

CATHERINE HART

*Zaslepienie*

# 1

*Waszyngton, maj 1876*

*Zaraz umrę.*

Tego Andrea była pewna - choć nie potrafiła jeszcze określić, w jaki sposób zejdzie z ziemskiego padołu. W danej chwili przychodziły jej do głowy dwie wersje. Albo nie wytrzyma upokorzenia mimowolnego świadkowania schadzce zakochanych, albo stanie przed plutonem egzekucyjnym, kiedy tylko odkryją ją chowającą się pod tym łóżkiem w apartamencie Jeffersona w pałacu prezydenckim ze skradzionymi kosztownościami w kieszeni.

Jak do tego doszło, że się tu znalazła? Przecież towarzyszyła tylko Maddy, przyjaciółce i pracodawczyni, na proszonym obiedzie u prezydenckiej pary Lyssa i Julii Grantów. Jakim cudem zwykła wyprawa na górne piętro do toalety i krótki, potajemny przegląd pokoi gościnnych w poszukiwaniu świecidełek mogły przybrać tak nieoczekiwany obrót?

Tak czy inaczej, kiedy usłyszała zbliżające się głosy, musiała skryć się w tym pokoju. Spanikowana, rozejrzała się za kryjówką i ledwie zdążyła wśliznąć się pod łóżko, do pokoju wpadła para, kobieta i mężczyzna. Andrea z odrazą stwierdziła, że nieznamomi natychmiast zabrali się do gorączkowej gry miłosnej. Najwyraźniej zamierzali pozostać w pomieszczeniu jakiś czas, a ona wraz z nimi, pod łóżkiem.

Sytuacja wyglądała na absurdalną. Dać się zmusić do kradzieży to jedno, ale znaleźć się w roli podglądacza, to już

zupełnie co innego! Z tym że w danych okolicznościach, jeśli nie chciała ryzykować własną szyją, nie miała większego wyboru.

- Pospiesz się, Freddy! - ponaglała kobieta. - Pomóż mi zdjąć sukienkę, ale jej nie porwij, bo Harold z pewnością to zauważy.

Andrea zmarszczyła brwi. Harold? To chyba nie jest głos Lucilli Huffman, żony jednego ze znamienitszych senatorów Waszyngtonu! Ostrożnie zerknęła przez zakurzone koronki narzuty. Och, Boże! To Lucilla! Do połowy naga, z mało dostojnym pośpiechem zdzierająca ubranie z Freddy'ego Newtona. Zsunęła mu spodnie do kolan.

Powstrzymując okrzyk zaskoczenia, Andrea o sekundę za późno zacisnęła powieki. Na jej twarzy pojawił się jaskrawy rumieniec, kiedy zrozumiała, co właśnie zobaczyła. Wielkie nieba! Zmianianie pieluszek małemu siostrzeńcowi z pewnością nie przygotowało jej do oglądania dorosłego mężczyzny bez ubrania! Poza tym wcale nie miała ochoty na ten spektakl.

Ciężkie huknięcie tuż koło głowy zmusiło ją do otwarcia jednego oka, tylko ociupinkę. Lewy but Freddy'ego wylądował tak blisko, że mogła policzyć stebny. Obok zobaczyła dwie gołe stopy, stykające się dużymi palcami. Zaraz potem Lucilla uniosła gołą nogę i lubieżnie zarzuciła ją na biodro kochanka.

- Czy mój Freddy już gotowy? - wymruczała zmysłowo.

- A mój cukiereczek gorący i chętny? - zapytał w odpowiedzi, na co partnerka wydała głębokie westchnienie.

Twarz Andrei ponownie spłonęła rumieńcem. Nie wiedziała do końca, co ma się zdarzyć, ale domyślała się, że to słowne preludium musi prowadzić do czegoś, czego nie powinna być świadkiem.

- Nie spiesz się tak - upomniała Lucilla partnera. - Mam ochotę najpierw się pobawić.

- Oszalałaś? - zdenerwował się Freddy. - Nie ma czasu na igraszki. Ktoś nas może przyłapać. Zapomniałaś, gdzie

jesteśmy? Dobry Boże, Lucy! Prezydent może tu wejść w każdej chwili.

- I to właśnie mnie podnieca - oświadczyła.

Andrea była całkowicie odmiennego zdania. W gruncie rzeczy nie potrafiła wyobrazić sobie paskudniejszej sytuacji. Leżała pod łóżkiem, zduszona kłębami kurzu, i wsłuchiwała się w odgłosy zdrady tej pary. Z pewnością nie będą... nie odważą się...

Nadzieja na szybkie wyswobodzenie się z przykrego położenia rozwiązała się w chwili, gdy Lucilla powiedziała:

- Wskakuj na łóżko, Freddy. Usiądź po turecku. - Schyliła się i podniosła rzuconą na podłogę spódnice. - Masz. Owiń ją sobie wokół głowy, jak zaklinacze węzów.

Freddy zachichotał.

- Chwileczkę, kochanie. Czy przypadkiem nie odwracasz ról? W końcu to ja posiadam "węża", który zresztą tańczył do twojej muzyki już nie jeden raz.

Andrea przypomniała sobie krótkie oględziny ciała mówiącego i twarz tak jej spłonęła, aż zaczęła się obawiać, że zostanie taka na zawsze. Jednak Lucille najwyraźniej nie miała podobnych oporów. Chłodnym komentarzem ostudziła protesty kochanka.

- Jesteś niewymownie błyskotliwy, Freddy. A teraz rób, jak mówię, albo ubiorę się i wyjdę.

O, tak, zrób to! - błagała w duchu Andrea. - Wyjdź i to już, żebyśmy mogła się stąd wydostać!

Znowu spotkał ją zawód, bo Freddy przystał na żądanie. Łóżko zaskrzypiało i zapadło się, sprężyny wisiały tuż nad głową Andrei. Ku jej zaskoczeniu i odrazie Lucille ochoczo rzuciła się na kupkę ubrań na podłodze, po czym schyliła głowę i wsparła na rękach. Gdyby nie to, że Lucille usadowiła się bokiem, jej twarz znalazłaby się tuż przed twarzą Andrei.

- No a teraz, Freddy, udawaj, że grasz na flecie - rozkazała. - Twoja kochająca kobra czeka.

Do uszu niecodziennego więźnia doszedł najtragiczniejszy

odgłos imitujący grę na flecie. Każda kobra z odrobiną słuchu i dumy wyskoczyłaby z kosza i śmiertelnie ukaśiła grajka. Nosowy dźwięk, który Freddy wydawał, przypominał skrobanie paznokciem po szkle.

Andreę aż skręcało z pragnienia zasłonięcia uszu, toteż w całkowitym oszołomieniu przyglądała się, jak Lucilla zaczyna się widać w przód i w tył. Z zamkniętymi oczami wyrzuciła ramiona nad głowę i z dziwnym uśmiechem podniosła się powoli i z gracją, cały czas kołysząc się na boki, zarzucając obfitymi piersiami jak bliźniaczymi wahadłami.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, żalosne zawołanie Freddy'ego ustało. Zanim Andrea zdążyła podziękować Bogu za to małe wyzwolenie, Lucilla wydała piskliwy okrzyk i rzuciła się na łóżko - i, jak przypuszczała Andrea, na Freddy'ego. Sprężyny wygięły się, łapiąc pęk włosów uwiecznionej pod łóżkiem dziewczyny i ciągnąc boleśnie. Andrea z trudem powstrzymała się, by nie zawyc z bólu; łzy stanęły jej w oczach.

Kiedy oswobodziła pukiel i położyła płasko głowę, usłyszała okrzyk Lucilli:

- Teraz, Freddy! Teraz!

Materac znowu ugiął się złowieszczo, a sprężyny podskoczyły i zaskrzypiały w odpowiedzi na energiczny atak kochanków. Choć Andrea mogła się tylko domyślać, co działo się nad głową, jej wyobraźnia zaczęła tworzyć niesamowite obrazki. Jakby mogło być inaczej przy dźwiękach dochodzących z góry. Dyszenie, jęki, westchnienia, piski - tajemnicze, a zarazem dziwnie i ogromnie... zmysłowe!

Andrea zorientowała się, że jej własny oddech stał się szybki i urywany. Krople potu, gorące i słone, zaczęły spływać między piersiami. Serce w klatce piersiowej biło szybko, jakby za sekundę miało wybuchnąć.

- Szybciej, Freddy! Szybciej!

Bez słowa, za to z ciężkim stęknieniem, mężczyzna najwyraźniej postanowił zaspokoić wymagania swojej damy. Łoże zatrzęsło się gwałtownie, sprężyny napięły się niebez-

piecznie. Andrea przyciśnięta do podłogi modliła się, by druty wytrzymały napór, bo inaczej albo zostanie przeszyta, albo zamieni się w masę pogruchotanych kości. Gdyby poniosła śmierć pod tym łóżkiem, co w danej chwili wydawało się wysoce prawdopodobne, jej ciało zostałoby odnalezione najprawdopodobniej dopiero wtedy, gdy zacznie gnić - lub kiedy sprzątaczką, zajmującą się tym pokojem, zdecyduje się wreszcie na zamieszczenie pod łóżkiem, którą to czynność wyraźnie zaniedbywała.

W trakcie tworzenia tych katastroficznych wizji Andrea cały czas nie wychodziła z podziwu nad żywotnością pary na górze. Ciekawa była, jak długo trwać będzie ich wyteżona walka. Boże! Czy stosunek zawsze tak się ciągnie? Czy wszystkie pary robią to tak... energicznie? Tak głośno? Okrzyki kochanków odbijały się echem od ścian, przybierając stale na sile. Jeśli ktoś będzie przechodził korytarzem, z pewnością usłyszy dziwne odgłosy i zechce sprawdzić, skąd pochodzą. Andrea już widziała, jak drzwi stają otworem. A wtedy ją złapią. Z pałającymi policzkami i na gorącym uczynku! Jeśli wcześniej nie umrze starta na popiół.

Boże, bądź łaskaw! Jeśli ta dwójka wkrótce nie przestanie, ona tu zemdleje. Miała serce w gardle. Na ramionach i szyi pojawiła się swędząca gęsia skórka. Z trudem oddychała i prawie nie mogła się ruszać. I, o wstydzie, gdzieś w łonie czuła mocne gniecenie. Tajemne miejsce między nogami pulsowało gorączkowo. Z trudem hamowała wydzierające się z głębi ciężkie jęknięcie.

Nagle wszystko nad jej głową ucichło.

- Czy to ty? - zapytał Freddy.

Andrea, przerażona, wstrzymała oddech, ale Lucilla syknęła:

- Och, do licha! Nie przestawaj teraz, ty ośle!

- Cicho! Przysięgłbym, że coś słyszałem, a raczej kogoś. Głos Lucilli przepełniony był zjadliwym ostrzeżeniem.

- Jeśli nie skończysz tego, co rozpocząłeś, usłyszysz mój krzyk, i to długi i głośny. A ostatnim dźwiękiem, jaki usły-

szysz, będzie okrzyk furii Harolda, kiedy będzie chciał cię zabić za to, że uwiodłeś jego ukochaną małżonkę.

- Nigdy nie przestaniesz być taką zręczliwą dziwką, prawda złotko? - wypalił w odpowiedzi Freddy. - Zdaje się, że istnieje tylko jeden sposób na pohamowanie ciebie i twojej niewyparzonej buzi.

Przy tych słowach łóżko ponownie się ugięło, na serio grożąc Andrei zgnieceniem. Cokolwiek Freddy zrobił, spowodowało to, że jego towarzyszka wyrzuciła z siebie okrzyk pełen zachwytu.

- Tak! Więcej! Mocniej! - dyszała, a łóżko na nowo wpadło we wściekłe drgania.

Wkrótce Lucille zaczęła się delirycznie trząść, po czym nagle zawyła, jakby ktoś ją dusił. Andrea zastanawiała się, czy przypadkiem nie umiera od nadmiaru emocji. W tym czasie Freddy wydał długi, chrapliwy jęk. Łoże po raz ostatni zapadło się i zamarło w bezruchu.

Minęły wypełnione napięciem sekundy, w czasie których Andrea ze strachem zastanawiała się, czy para nad nią przeżyła. Prawda była taka, że przysłuchując się odgłosom miłości jej dziewicze ciało wpadło w ekstazę, całe przepełniło się... pożądaniem. I na dodatek znajdowała się w najbardziej kłopotliwej sytuacji, jaką można sobie wyobrazić, Czy kiedykolwiek będzie mogła spojrzeć w oczy Lucilli, Freddy'emu, a nawet mężowi Lucilli, Haroldowi Huffmannowi? Co więcej, czy będzie w stanie spojrzeć na siebie samą w lustrze?

Niski śmiech Lucilli wyrwał ją z zamyślenia.

- Freddy, jesteś niebezpieczny dla każdej kobiety, która skończyła dziesięć lat — oświadczyła szczerze.

- A ty stanowisz zagrożenie dla każdego mężczyzny, który choć trochę dba o skórę na karku - zrewanżował się Freddy, po czym zszedł z łóżka i pospiesznie zaczął zbierać części garderoby z podłogi. - Nie możesz nauczyć się chować pazurków?

- Och, ale ja uwielbiam zostawiać po sobie ślady, kocha-

nie - wyznała Lucilla. - I gdybyś był uczciwy, przyznałbyś, że niewielki ból w odpowiednim momencie zwiększa przyjemność.

Freddy wciągnął spodnie i chwycił za koszulę.

- Stajesz się monotonna, moja droga pani.

- Czyż nie dzieje się tak z każdym? - skomentowała, zsuwając stopy na podłogę i sięgając po ubranie. - Chodź, Freddy, pomóż mi zapiąć suknię. Zobaczymy, czy tak samo szybko, jak ją zdejmowałeś, potrafisz ją na mnie założyć.

- Najpierw znajdę krawat - rzucił Freddy. - Zdaje się, że gdzieś się zapodział.

- Może upadł pod łóżko - zasugerowała Lucille, ku przerażeniu Andrei. W tej samej chwili Freddy odnalazł krawat w zwojach narzuty i Andrea odetchnęła z ulgą.

W końcu para kochanków była ubrana.

- Ty idź pierwszy, mój drogi - rzuciła Lucilla, po czym dodała złośliwie: - A jak wpadniesz na Harolda, powiedz mu, że już Schodzę.

Zdażyła wypowiedzieć ostatnie słowo, kiedy z korytarza doszedł ich głos Harolda.

- Lucillo? Gdzie jesteś, kochanie? - Otworzyły się sąsiednie drzwi, potem zamknęły, wskazując, iż Harold poszukuje swojej niesfornej małżonki. - Lucy? - Jego głos coraz bardziej się przybliżał.

- Och, dobry Boże! - szeptem zawołała Lucilla. Zaczęła cicho chichotać. - To Harold! Wiedziałam, że pewnego dnia do tego dojdzie!

Freddy potrząsnął nią ostro, jakby chciał przywrócić ją do rzeczywistości.

- Przestań się śmiać, ty wariatko, i pomóż mi wymyślić jakieś wyjście z tej katastrofy.

Harold ponownie zawołał imię żony, tym razem z pokoju położonego obok sypialni.

- Szybko! Wchodź pod łóżko! - rozkazała Lucilla.

Andrea mało się nie udławiła, połykając okrzyk przerażenia. Tych dwoje szaleńców i tak popsuło już jej plany, miała

nerwy napięte jak postronki. Jeśli Freddy pokaże się pod łóżkiem, walnie go prosto w nos.

Szcześnie wpadł na inny pomysł. Pchnął Lucillę do drzwi sypialni.

- Wyjdź do swojego kurczaczka, cmoknij w policzek i odciągnij stąd.

- Ale moje włosy! - syknęła Lucilla. - Są potargane!

- Nie więcej niż ta narzuta na łóżku. Nie chciałybyś, żeby Harold tu wszedł i ją zobaczył - uprzytomnił jej Freddy.

Lucilla przyznała mu rację. Wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Jej ostry głos wyraźnie dobiegał z korytarza.

- Haroldzie, na rany boskie! Czy nie mogę wyjść do łazienki, żebyś mnie nie śledził? Wiesz, że bardzo cię kocham, ale co za dużo, to niezdrowo! A teraz chodźmy przeprosić prezydenta i panią Grant. Myślę, że pieczona kaczka była nieco zbyt tłusta. Mam niestrawność.

Kiedy Freddy upewnił się, że małżeństwo zniknęło z pola widzenia, pospieszenie wymknął się z pokoju. Andrea mogła wreszcie wyczołgać się z ukrycia. Skrzywiła usta, widząc swoje odbicie w lustrze. Jej włosy znajdowały się w o wiele gorszym stanie niż fryzura Lucilli. Loki, które uniknęły wciągnięcia w sprężyny, zostały zgniecione przez materac. Kurz tak oblepił jej całą głowę, że wydawało się, iż nagle posiwiła.

- Ciekawa jestem, czy pani Grant zdaje sobie sprawę, jak niechlujną ma służbę. Może przydałaby się jakaś anonimowa uwaga - mruknęła pod nosem.

Kiedy strzepnęła kurz z sukni, spojrzała na zapadnięte łóżko z pomietą narzutą. A wydawałoby się, że w domu prezydenta łóżka dla gości powinny być jak najlepszej jakości!

Z przyzwyczajenia i z wrodzonego zamiłowania do porządku zaczęła poprawiać kapę. Wpadł jej w oko jakiś błyszczący przedmiot.

No, no! Co my tu mamy? - zaciekawiła się, sięgając po wytworną złotą spinkę do włosów. Prawdopodobnie wypięła

się niepostrzeżenie z koka Lucilli, kiedy kochankowie tarzali się w miłosnych objęciach. Biorąc pod uwagę okoliczności, w jakich ją zgubiła, Lucilla zapewne nie będzie upierała się przy jej odnalezieniu.

Sprytny uśmiech rozświetlił fiołkowe oczy Andrei, tak że zaczęły przypominać ametysty. To odpowiednia nagroda za straszliwe niewygody, które musiałam znosić, pomyślała. Człowiekowi należy się jakieś zadośćuczynienie za przeżyte poniżenie!

W dziesięć minut później Andrea zeszła do salonu muzycznego i dołączyła do Madeline Foster, swojej przyjaciółki i pracodawczyni. Z ulgą stwierdziła, że występy zbliżają się do końca. Przy odrobinie szczęścia mogło się okazać, że nikt nie zauważył jej przedłużającej się nieobecności.

Cała nadzieja rozwiąła się, kiedy Maddy pochyliła się do niej, uprzejmie poklepała po dłoni i wyszeptła:

- Wiem, że nie przepadasz za operą, kochanie,, ale tenor był naprawdę zupełnie znośny. Gdybyś została, spodobałby ci się.

- Ale musiałabym słuchać sopranu - tłumaczyła się Andrea. - Te piskliwe dźwięki powodują, że oczy wychodzą mi z orbit. Poza tym przytłaczają mnie... walory pieśniarki!

Maddy zachichotała.

- Przyznaję, że w czasie jej występu moje myśli trochę zbaczały z toru. Zastanawiałam się, co by się stało, gdyby postawić jej na piersi spodeczek z białością jajek. Ciekawe, po jakim czasie przy takich wibracjach ubiłoby się na pianę?

- Maddy! Jesteś niemożliwa! - skomentowała wesoło Andrea.

- Tak, ale mam tyle lat, że wszystko mi się wybacza. Ty jesteś młoda i na tym polega cała różnica. Musisz uważać na maniery, podczas gdy ja mogę się zachowywać, jak mi się żywnie podoba. Pamiętaj o tym, Andreo - przestrzegła ją starszka.

Maddy mówiła prawdę. W wieku siedemdziesięciu pięciu

lat mogła mówić i robić to, na co miała ochotę. I jeśli nawet jej znajomi sądzili, że jest nieco ekscentryczna, to równocześnie uważali ją za najmilszą, najśłodszą ze wszystkich starszych pań. Maddy miała tylu przyjaciół, że trudno jej było spamiętać ich imiona, wielu z nich też przeżyła. Z roku na rok stawała się jakby bardziej odległa, przybywało jej jakiejś tajemniczej mądrości, która pozornie kłóciła się z jej zwykłą skłonnością do fanaberii. Posiadała rzadki, osobliwy urok, chwyający za serce zarówno królów, jak i zwykłych ludzi.

Andrea nie należała do wyjątków. Pracowała u Maddy już od dwóch lat i nie żałowała ani jednego dnia ich znajomości. Nie mogła tylko przeboleć, że jest nieszczerą w stosunku do przyjaciółki. Ale jakże miała podzielić się swoimi problemami, swoim przerażającym sekretem z tą przemiłą staruszką? Nie śmiała zaprzętać jej głowy.

Poza tym, gdyby wyjawiała tajemnicę, życie bezbronnego dziecka znalazłoby się w niebezpieczeństwie. A Andrea przysięgła, że będzie go strzegła, że będzie je ochraniała, jak tylko potrafi! Co znaczyło kilka skradzionych świecidełek w porównaniu z życiem Stevie'ego, syna jej zmarłej siostry, siostrzeńca i jedynego żyjącego krewnego? Nie, musi zachować milczenie, dla jego dobra. Jeśli chce odzyskać chłopca, musi postępować dokładnie tak, jak żąda porywacz, i modlić się do Boga, by jej nie złapano, zanim wyrwie siostrzeńca ze szponów Ralpa Muttona.

Paradoks polegał na tym, że Ralph był ojcem Stevie'ego. A mówiąc dokładniej, był szubrawcem, który uwiódł siostrę Andrei, Lilly, mając ją podstępnie kłamstwami, po czym porzucił, pozostawiając biedną dziewczynę bez grosza, w ciąży i bez ślubu. Andrea nadal nie była w stanie zrozumieć, jak siostra mogła ulec komuś tak odrażającemu jak Ralph. Ani nie był bogaty, ani jakoś specjalnie błyskotliwy, ani nawet zabójczo przystojny, żeby kobiety zakochiwały się w nim bez pamięci. Wręcz odwrotnie. To rynsztokowy szczur - złośliwy jak sam diabeł, kiedy był pijany, a w tym

stanie znajdował się praktycznie bez przerwy. Był na najlepszej drodze, by wylądować w więzieniu, jeśli wcześniej ktoś nie wepchnie mu noża w plecy w jakiejś ciemnej uliczce.

Andrea tylko na to czekała, ale przedtem musiała odzyskać Stevie'ego, całego i zdrowego.

Nic też dziwnego, że w ostatnich dniach zaabsorbowana kłopotami Andrea nie tryskała szczególnym animuszem. Ten wieczór nie należał do wyjątków, zwłaszcza że po występie śpiewaków operowych i Lucilli Huffman nic już nie miało ożywić przyjęcia w domu prezydenta.

Maddy zaproponowała jej grę w karty, lecz Andrea odmówiła, tłumacząc się zmęczeniem. Julia Grant zastąpiła ją z radością.

Po krótkim czasie zabawiania zagranicznych gości uprzejmą i bezosobową rozmową, utrudnioną barierami językowymi, Andrea skryła się w małej bibliotece na końcu korytarza. Szybkie oględziny pokoju przekonały ją, że przedmioty warte zainteresowania są zbyt duże, by ukryć je przy sobie, a znowu wartość mniejszych wydała jej się wątpliwa.

Wzięła do ręki wyjątkowo szkaradną figurkę, próbując zrozumieć, co przedstawia i dlaczego ktoś ją kupił. Wykuta w brązie koszmarna postać w połowie była człowiekiem, w połowie jakimś potworem. Obydwie części tak samo groteskowe. Nagle, bez zapowiedzi, za plecami Andrei rozległ się męski głos. Dziewczyna podskoczyła. Odwróciła się pospiesznie, mimowolnie podnosząc rękę do gardła; drugą rękę, z zaciśniętą w dłoni statuetką, wepchnęła do kieszeni sukni.

W drzwiach stał Freddy i uśmiechał się przepaszająco.

- Wybacz. Nie chciałem cię przestraszyć. Chyba nie zemdlejesz?

Andrea nic nie mogła poradzić na to, że wpatruje się w przybysza oczami ogromnymi jak spodki.

- Och, to ty - zauważyła cicho.

Pokiwał twierdząco głową.

- Ponieważ najwyraźniej obydwójce znudzeni jesteśmy towarzystwem reszty gości, może przejdziemy się po ogrodzie?

Andrea miała jeszcze świeżo w pamięci nieprzyjemny epizod z sypialni na górze. Uniosła dumnie nos i odpowiedziała lodowato:

- Może byłeś zbyt zajęty, żeby zauważyć, iż zaczęło padać, a ja nie zamierzam złapać wiosennej grypy tylko po to, by cię zabawić. Wydaje mi się, że to raczej powinność Lucilli.

Brwi Freddy'ego wystrzeliły w górę, ale zanim zdążył wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, Andrea minęła go i wyszła na korytarz. Po drodze rzuciła w jego stronę niewinną uwagę:

- A tak przy okazji, Freddy, jeśli się nudzisz, to pomyśl o lekcjach muzyki.

## 2

*New York City, maj 1876*

Brenton Sinclair wyszedł ze swojego biura do przedpokoju, gdzie pracował jego sekretarz.

- Panie Densing, nie mogę znaleźć kodycyłu pani Harrison. Nie wie pan, gdzie on może być?

- Wydaje mi się, że ma go pana ojciec, sir - wyjaśnił sekretarz. - Chciał sam sprawdzić zmiany w testamencie.

Rozłoszczony Brent zmarszczył brwi.

- Do cholery! Jak mam dokończyć jakąkolwiek sprawę, jeśli mój ojciec albo któryś z moich braci ciągle coś mi podbierają? To, że są tu seniorami, nie znaczy, że wolno im przeglądać moje dokumenty, jakbym nadal był chłopczykiem w krótkich spodenkach.

- Czy mam je przynieść, sir? Oczywiście, jeżeli pan Sinclair skończył je przeglądać?

- Nie trzeba, Densing - przerwał mu burkliwy głos, w którym brzmiał hamowany śmiech. - Właśnie je zwracam. Są posortowane, zaopiniowane, gotowe do podpisu.

Brent spojrział ponuro na ojca.

- I poprawione przez ciebie, jak przypuszczam? Do diabła, tato! Czy dając mi robotę nie możesz zaufać, że wykonam ją poprawnie? Ostatecznie ukończyłem szkołę z wyróżnieniem i nie dali mi tytułu magistra prawa tylko po to, by sprawić ci przyjemność. Czegoś mnie tam nauczyli.

- Mam nadzieję, biorąc pod uwagę pustkę w mojej kie-

szeni po opłaceniu czesnego - oświadczył ojciec. - Nie musisz czuć się taki niedoceniany, mój chłopcze. Tak samo jak ciebie sprawdzam też od czasu do czasu twoich braci.

Brent potrząsnął głową.

- Nic dziwnego, że Daniel zdecydował się na medycynę. To jedyny sposób, by nie mieć cię ciągle za plecami, kontrolującego każdy ruch, jak to robisz z nami.

Robert Sinclair zachłysnął się śmiechem.

- Możliwe, ale pocieszam się, że kiedy dostanę wrzodów, od tego jak ty, Bob i Arnie skaczeć mi ciągle do gardła, Danny będzie mnie z nich leczył i da mi zniżkę.

- Aha! Wiedziałem, że coś się kryje za tym, iż tak łatwo pozwoliłeś mu postawić na swoim.

Błysk w brązowych oczach starszuka przypominał lśnienie oczu syna.

- Nie jestem głupcem. Pamiętaj o tym. I nie zapominaj też, po kim odziedziczyłeś intelekt.

Brwi Brenta uniosły się kpiąco.

- Po panu Bogu? - rzucił niewinnie. - Po mamie? Dziadku Henrym?

Robert wzruszył ramionami.

- Myślę, że część chwały należy się Bogu. Jeśli chodzi o twoją matkę, to jest piękną kobietą, ale nie ma za wiele rozumu. Ani też jej ojciec. Jeśli jej to powtórzysz, wygarbuję ci skórę. Nie jesteś jeszcze za stary na porządne lanie.

Brent wybuchnął śmiechem.

- Wiem, że nadal traktujesz mnie jak młodzika, ale to śmieszne! Mam dwadzieścia sześć lat.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, zwłaszcza że twoja matka nie pozwala mi zapomnieć, iż osiągnąłeś już odpowiedni wiek, by przyprowadzić do domu narzeczoną.

- Po co mi żona, jeśli mam posiwieć w tej firmie?

- Twoja matka pragnie mieć więcej wnuków - poinformował go Robert z przebiegłym uśmiechem. - Od ciebie. Wprawdzie akurat tego nie mogę jej zapewnić, ale sprawdzę,

co da się zrobić z tymi siwymi włosami. Kiedy tylko pierwszy pojawi się na twojej skroni, natychmiast przestanę przeglądać po tobie dokumenty.

- Dzięki, tato. Jesteś wielkoduszny. Czy możemy to gdzieś zapisać? - droczył się Brent z lekką złośliwością; jeszcze jedna cecha, którą odziedziczył po ojcu.

- Co? Dlaczego, można by pomyśleć, że nie ufasz własnemu ojcu! - wykrzyknął Robert z udanym wzburzeniem.

- Oczywiście, że ci nie ufam, tato. Jesteś prawnikiem.

- Ty też - zauważył Robert z tryumfem na twarzy. - Co oznacza, idąc za twoim biegiem rozumowania, że nie możesz ufać samemu sobie.

Brent złapał się za serce.

- Tragiczne, prawda? - skomentował. - To mi coś przypomina. Idę dzisiaj do teatru z Mary Beth Rogers, więc nie będę na kolacji. Przekażesz to mamie?

- Jestem pewien, że będzie zachwycona.

- Czy kucharka jest taka oszczędna, że jedna osoba mniej przy stole będzie powodem do tak wielkiej radości?

- Bardzo zabawne. Doskonale wiesz, co miałem na myśli. Twoja matka lubi dziewczynę Rogersów. Mam jej robić nadzieję?

- Obawiam się, że nie. Mary Beth jest bardzo miła, ale to nie jej podaruję zaręczynowy pierścień. Mimo to nie martw się. Jestem przekonany, że gdzieś tam istnieje kobieta, która pewnego dnia zawładnie moim sercem. Po prostu jeszcze jej nie spotkałem, ale kiedy to nastąpi, będę wiedział, że to właśnie ta, na którą czekałem całe życie.

Robert z zadumą pokiwał głową.

- Tak to zdaje się jest z nami, mężczyznami z rodu Sinclairów. Fruwamy sobie jak te wolne ptaki, rozkoszując się stanem kawalerskim, aż tu naraz dajemy się zestrzelić.

Brent wykrzywił usta w grymasie.

- Nie bardzo podoba mi się to porównanie, tato, ale od dzisiaj innym okiem będę patrzył na tę wypchaną kuropatkę w twoim gabinecie - jakby była jedną z nas.

*Waszyngton, maj 1876*

Andrea wpatrywała się w lustro wiszące w przedpokoju w domu Maddy, starając się zawiązać sznurówki kapelusza w zuchwałą kokardę tuż pod lewym uchem. Robiła to automatycznie, ponieważ jej myśli zaprzętały sprawy większej wagi. Wybierała się na trzecią wyprawę do Garden Hotel, gdzie w recepcji miała zostawić małą paczuszkę dla Ralpa Muttona. W środku niewielkiego pakunku, owiniętego w zwykły szary papier, podpisanego „dla George'a Jonesa”, znajdowała się mała fortuna, składająca się z pieniędzy i skradzionych klejnotów. Jednak po zastawieniu biżuterii otrzyma sumę, która tylko w niewielkim stopniu pokryje wygórowane żądania Ralpa.

Boże, Lilly, jęknęła w duchu Andrea. Jak ci się udało wpakować nas w tę kabałę? Coś ty widziała w tym obrzydliwym człowieku? Przysięgam, że gdyby nie to, że jesteś poza moim zasięgiem, nieźle bym tobą potrząsnęła! Co to za matnia! Ty nie żyjesz. Stevie w szponach Ralpa. A ja okradam przyjaciół Maddy i jestem o krok od więzienia. I wszystko dlatego, że omyliłaś się w wyborze kochanka. Moja droga siostrzyczko, uwierz, że dużo się nauczyłam na twoich błędach. Zanim zainteresuję się jakimkolwiek mężczyzną, najpierw dokładnie sprawdzę, czy jest tego wart!

Westchnęła głęboko i mruknęła pod nosem:

- Oczywiście, jeżeli tego dożyję. I jeśli nie spędzę reszty moich dni za kratkami. I jeśli uda mi się zmusić Ralpa, by uwolnił Stevie'ego i dał nam spokój.

- Andreo, kochanie, co ty tam do siebie szepczesz? Tylko starzy ludzie mówią do siebie w ten sposób.

Z sercem w gardle Andrea odwróciła się pospiesznie i zobaczyła Maddy, która przyglądała się jej ze zdziwieniem.

- Na Boga, Maddy! - wykrzyknęła. - Aleś mnie wystraszyła!

Oczy starszki załśniły, tak że przez chwilę wyglądała jak przekorny siwy skrzat - wrażenie tym bardziej złudne, że

kobieta nie mierzyła więcej niż pięć stóp, a w rękach dzierżyła ogromny parasol, którego używała zamiast laski.

- W przyszłości będę starała się głośniej zapowiadać swoje przybycie, zwłaszcza w chwilach, kiedy będziesz tak zajęta. Z pewnością nie miałam zamiaru wystraszyć cię na śmierć. Wiesz, że nie znalazłabym nikogo na twoje miejsce.

Andrea zmusiła się do słabego uśmiechu.

- Miło, że tak mówisz, Maddy, ale to nieprawda. Znam z tuzin dziewcząt, które dałyby odciąć sobie prawą dłoń, żeby tylko pracować dla ciebie.

'•- Cóż, chcę ciebie, więc nie mają się po co okaleczać. - Maddy kiwnęła w stronę drzwi. - Wchodzisz czy wychodzisz, kochanie?

- Wychodzę. Mam kilka spraw do załatwienia. Chyba że potrzebujesz mnie w tej chwili.

- Miałam nadzieję, że pomożesz mi zlokalizować moje druty. Jeden gdzieś mi się zapodział.

Pomimo złego nastroju Andrea z trudem powstrzymała śmiech.

- Masz go we włosach, Maddy. Wyglądasz jak Japonka.

- Och! - Staruszka skrzywiła się pocieszenie. - Może zapoczątkuję nową modę. Nie wisi tam przypadkiem motek wełny? On też mi wsiąkł.

- Czy ten? - zapytała Andrea, wskazując na zamknięty parasol, z którego wystawała poskręcana różowa nić.

- Wielkie nieba, ten! Słowo daję, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Andreo. Aha, to mi przypomniało, że mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Czy mogłabyś zatrzymać się po drodze przy Millie's Millinery i odebrać moje rękawiczki? Z pewnością już je naprawili, a w ten sposób zaoszczędzisz sobie powtórnej drogi.

- Postaram się, ale jeśli nie zdążę, to będzie to pierwsza rzecz, jaką zrobię jutro.

- Nie wrócisz tutaj? - zainteresowała się Maddy. - Wiem, że nie mamy dzisiaj w planach żadnego wyjścia. - Zamilkła i zmarszczyła brwi. - Nie mamy, prawda?

- Nie, nie dzisiaj - potwierdziła łagodnie Andrea.

- Dobrze. Myślałam, że może spędzimy spokojny wieczór w swoim towarzystwie, tak jak miałyśmy w zwyczaju, zanim twoja siostra tak strasznie się rozchorowała, że musiałaś się do niej przeprowadzić. Możesz przyprowadzić Stevie'ego, jeśli chcesz. Położymy go w którejś z gościnnych sypialni.

- Stevie jest na jakiś czas z ojcem - przypomniała starsze Andrea. Choć nie rozwiodła się nad szczegółami, jednak tę informację ujawniła swojej pracodawczyni. Dzięki temu mogła wyjaśnić, dlaczego nie przyprowadza już dziecka w odwiedziny i nie musi spieszyć się do domu po pracy, by zwolnić niańkę, którą wynajmowała na czas swojej nieobecności.

- Nadal? - zdziwiła się Maddy. - Czy Stevie zamieszkał z nim na zawsze?

Niespodziewanie do oczu Andrei napłynęły gorące łzy.

- Mam nadzieję, że nie. Tak bardzo mi go brak! Był z mną tylko te kilka miesięcy po śmierci Lilly, ale ogromnie się do niego przywiązałam.

- To oczywiście, kochanie - pocieszała ją Maddy. - Kto by się nie przywiązał? To taki słodki chłopczyk. Całkowicie zawojował moje serce. Nadal nie rozumiem, dlaczego odrzuciłaś moją propozycję, żeby tu z nami zamieszkał, kiedy twoja siostra odeszła. Nie brak tu miejsca dla Stevie'ego. Mieszkam sama ze służką i często czuję się bardzo samotna.

- Małe dzieci są bardzo ruchliwe i głośne.

- Mówiłam już, że wcale by mi to nie przeszkadzało - upierała się Maddy. - Jestem stara i nieco stuknięta, ale nadal mówię to, co myślę. Zdaję sobie sprawę, jak żywotne potrafi być dwuletnie dziecko. Gdybym nie chciała, żebyście ze mną mieszkali, nie proponowałabym tego. Zaproszenie nadal jest aktualne. Kiedy jego ojciec odda ci go pod opiekę, chcę, żebyś opuściła nędzne mieszkanko siostry i przeniosła się do mnie. Ty, Stevie i jego niania.

Andrea dławiła się hamowanymi łzami.

- Pomyślę o tym, naprawdę. - Szybko wyszła, żeby nie rozkleić się do końca.

W gruncie rzeczy już nie raz Andrea zastanawiała się nad propozycją Maddy. I miała ochotę zbić samą siebie za to, że nie skorzystała z pierwszego zaproszenia. Gdyby tak uczyniła, prawdopodobnie nie znalazłaby się w obecnej sytuacji. Z pewnością Ralph nie mógłby tak łatwo wykraść Stevie'ego. A tak, bez problemów wszedł do mieszkania Lilly, unieszkodliwił nianię i zabrał dziecko. Sąsiedzi słyszeli zamieszanie, ale nikt się nie wtrącił. Nie w tej dzielnicy, gdzie wsadzanie nosa w cudze sprawy mogło oznaczać jego utratę.

Kiedy tamtego dnia, dwa tygodnie temu, wróciła po pracy do domu, zastała opiekunkę dziecka pogrążoną w histerycznym płaczu, nieustannie powtarzającą, że to nie jej wina. Próbowwała powstrzymać tego strasznego człowieka, żeby nie zabierał dziecka, ale on ją pobił. Była tak roztrzęsiona, że uspokojenie jej zajęło Andrei kilkanaście minut i dopiero wtedy kobieta pokazała jej list, który pozostawił Ralph.

Andrea była zaszokowana. Na początku nie mogła uwierzyć, że ktokolwiek, nawet Ralph, może być tak podły - tak zły. Jednak nieobecność Stevie'ego i list z żądaniem okupu świadczyły o tym, że nie miała racji. Pierwszą myślą Andrei było zwrócenie się do policji, ale po ponownym przeczytaniu notatki od Ralpa zmieniła zdanie. Bandzior uprzedzał ją, że jeśli kogoś powiadomi, a zwłaszcza władzę, coś złego może spotkać dziecko.

Wpadła w popłoch, kiedy przeczytała, jakiej sumy żąda Ralph za uwolnienie Stevie'ego. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów! No cóż, mógł równie dobrze zażyczyć sobie miliona, bo i tak nie była w stanie zebrać tych pieniędzy. Nie ze swojej pensji.

To wcale nie znaczy, że Maddy źle jej płaciła. Staruszka była bardzo szczodra. Oprócz stałej gaży, Andrea dostawała od niej pokój i utrzymanie oraz ubrania, odpowiednie do jej stanowiska towarzyszkii jednej z największych dam Waszyngtonu. Maddy pilnowała, by jej młoda pracowniczka

kształciła nie tylko maniery i zachowanie, ale także pobierała lekcje francuskiego, literatury, geografii, tak, by swobodnie mogła się poruszać w elitarnym kręgu jej znajomych. Wprowadziła ją do świata opery, teatru i baletu.

Za to wszystko i jeszcze więcej Andrea pozostanie wdzięczna starszej pani do końca życia. Jednakże znajomość francuskiego i szafa pełna pięknych sukien nie mogła jej teraz pomóc. Miała tylko niewielkie oszczędności, uszczuplone opłacaniem mieszkania Lilly, porad lekarskich, pogrzebu, nie wspominając pensji niani.

Oczywiście, mogłaby sprzedać suknie, za które dostałaby kilka dodatkowych dolarów, ale jakby wyjaśniła ich brak? Maddy, choć czasami traciła kontakt z rzeczywistością, nadal była jeszcze bardzo spostrzegawcza.

W końcu Andrea postanowiła zastawić swoją biżuterię, która jednak nie należała do najcenniejszych, zebrała każdego centa, jakiego posiadała, i zorganizowała spotkanie z Ralphem w jednym z miejskich parków, choć pomysł ten wydawał się jej zarówno niebezpieczny, jak i odpychający. Ojciec Stevie'ego sprawił na niej odrażające wrażenie. Olbrzymi i gruby, niechlujny do granic możliwości, Podejrzała, że od miesięcy nie używał wody. Z przebiegłymi ciemnymi oczkami, obrzękłą twarzą i nieustannie przetłuszczonymi włosami, zwisającymi długimi, posklejanymi strąkami, przypominał tłustego wieprza. Choć może to i obraza dla tego zwierzęcia, przypuszczalnie o wiele czystsze od Ralpha, a już z pewnością bardziej moralnego. A na pewno mniej niebezpiecznego od tego wygrażającego bandziora, którego głównym zajęciem było wyżywanie się na mniejszych i słabszych od siebie.

Po zaferowaniu swojego skąpego majątku Andrea zaczęła błagać Ralpha, żeby oddał jej dziecko. Ale całe to lamentowanie nic nie dało. Potwór bez serca tylko się zaśmiał i kazał jej przyjść, kiedy zdobędzie resztę okupu.

- I pospiesz się, jeśli zależy ci na dzieciaku. Ten mały bękart robi się nieznośny.

Andrea była wstrząśnięta.

- Jak możesz mówić o nim w ten sposób? Jak możesz tak postępować? Stevie jest twoim synem! Twoja krew i ciało! Jak możesz choćby pomyśleć o skrzywdzeniu go? Albo o handlowaniu nim, bo to właśnie robisz.

Ralph sarknął ironicznie.

- Jesteś tak samo głupia jak Lilly, prawda? No cóż, coś ci powiem, paniusiu. Nie podnoś na mnie swojego noska, bo te bogate państwo, z którym przestajesz, wcale nie jest lepsze ode mnie. Sami by sprzedali swoje żony bez mrugnięcia okiem. I zresztą robią to każdego dnia. Przekonaj mnie, że ojciec nie myśli o napełnieniu trzosa, kiedy oddaje swoją córkę jakiemuś staremu durniowi, który jedną nogę trzyma w grobie, a drugą na stercie pieniędzy.

- To nie to samo - słabo sprzeciwiła się Andrea, choć w głębi ducha musiała przyznać, iż słowa Ralpha zawierały okrutną prawdę.

Prychnął w jej stronę.

- A ty masz niezbyt mocną głowę. Tak jak twoja siostra. Doprowadzała mnie do wściekłości tym wyszukiwaniem dobrych stron u innych. Zawsze widziała promyk słońca, kiedy lało. Była głupia i nic więcej. Proste.

- Ciagle to powtarzasz - zauważyła Andrea. - Wiem, że pod pewnymi względami była bardzo infantylna, głównie kiedy chodziło o takich jak ty. Nigdy nie zrozumieć, co ją do ciebie ciągnęło. Ale zastanawiam się, dlaczego się z nią zadawałeś, skoro miałeś ją za taką idiotkę?

- No właśnie, znowu pokazujesz, jaka sama jesteś naiwna, dziewczusko - rzucił z pogardą. - Ale mam dzisiaj dobry humor, więc ci wyjaśnię. - Przybliżył się, zepsutym oddechem budząc w Andrei mdłości. - Mężczyzna niekoniecznie szuka rozumu, kiedy chce się zabawić. A twoja siostra to była niezła babka.

- Jesteś obrzydliwy! - syknęła Andrea. - I ryzykując, że moje słowa zabrzmiały tak samo okrutnie jak twoje, przypomnę ci, że Lilly nie... nie zaszła w ciążę sama ze sobą.

- Taaa, nieźle się rozumieliśmy w łóżku. Ale ona to zepsuła. Na szczęście nie była jedyna na świecie.

Oczy Ralpha zabłyśły złowrogo, kiedy powoli zmierzył wzrokiem postać Andrei. Jego taksujące spojrzenie sprawiło, że cała się spięła, a skóra na karku zaczęła alarmująco śwędzić. Zrobiła krok do tyłu, gotowa do ucieczki.

Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

- Nie bój się, mała. Jak dla mnie jesteś za chuda. Nie to, co twoja siostra. Poza tym nie chcę ciebie, tylko twoich pieniędzy.

Andrea przełknęła wielką grudę tkwiącą jej w gardle.

- Dałam ci wszystko, co mam.

- Postaraj się o więcej - rozkazał ostro. Jego oczy zwięziły się złowieszczo.

- Nie mam jak. Błagam, bądź rozsądny. Skąd mam wziąć sumę, której sobie zażyczyłeś?

- Dlaczego nie poprosisz o pożyczkę tej staruchy, u której pracujesz? Pewnie siedzi na takiej forsie, że nigdy jej nie wyda. - Usta wykrzywiły mu się w obrzydliwym uśmiechu.

- Przynajmniej, zanim wykituje, zrobi z nich dobry użytek, zamiast przekazać je jakiejś instytucji dobroczynnej.

- Nie! - krzyknęła Andrea. - Nie mogę prosić o to Maddy. Jak mam jej wytłumaczyć, że potrzebna mi jest tak duża suma?

- Wymyśl coś. Wszystko oprócz prawdy. Pamiętasz, co się stanie, jeśli komuś coś o mnie piśniesz albo naślesz na mnie gliny? Rodzina nic dla mnie nie znaczy, malutka. Nie zrób jakiegoś głupstwa. Jeśli staniesz mi na drodze, ten gówniarz za to zapłaci.

Andrea próbowała jeszcze go przekonywać, jednak z każdym słowem Ralpha wpadała w coraz większe przerażenie.

- Nawet gdybym ją o to poprosiła, i tak nic z tego nie będzie, bo Maddy nie posiada takiego majątku. Nie jest taka bogata jak ludzie sądzą. Uwierz, że nie mam skąd zebrać tej sumy.

- Możesz ją ukraść - rzucił spokojnie Ralph. - Starucha

ma mnóstwo bogatych znajomych i zabiera cię do ich domów. Jestem pewien, że bez większego trudu uda ci się zebrać tyle, że wkrótce wykupisz małego. Jak nie uda ci się zwędzić pieniędzy, to może być biżuteria. Mam kumpla, który sprzeda wszystko. Wystarczy, że ładnie wszystko spakujesz i zostawisz w recepcji Garden Hotel przy Grand Street na nazwisko George Jones.

- Nie mogę! Nie umiem! Złapią mnie.

Ralph wzruszył ramionami i zaczął się oddalać, całkowicie obojętny na błagania Andrei.

- To by było kiepsko dla ciebie i dla dzieciaka, no nie? Zwłaszcza że nie jest wystarczająco duży, żeby go sprzedać do jakiegoś burdeliku albo wyćwiczyć na złodzieja, żeby na siebie zarabiał. Pozbędę się gnojka tak czy inaczej, więc jeśli go chcesz, lepiej się postaraj, bo nie będę się z nim długo cackał.

- Poczekaj! - Andrea pobiegła za nim. - Kiedy mogę go zobaczyć?

- Jak za niego zapłacisz.

- Muszę wiedzieć, czy jest zdrowy. Czy dobrze się nim opiekujesz.

- Paniusiu, musisz to ty musisz zdobyć forszę, nim stracę cierpliwość.

### 3

Tak też rozpoczęła się złodziejska kariera Andrei. Ponieważ za bardzo kochała Maddy, by ją okradać, robiła to w domach jej przyjaciół. Roztrzęsiona, z sercem w gardle, przepełniona obrzydzeniem do samej siebie od dwóch tygodni wkradała się ostrożnie do sypialni i gabinetów i zabierała stamtąd co popadnie, pieniądze albo biżuterię pozostawione na toaletkach, w otwartych szufladach lub szkatułkach.

Była zaskoczona, że znajduje tak wiele kosztowności. Na przykład toaletki, przy których panie układały włosy i przymierzały kreacje, stanowiły prawdziwe skarbcce. Natykała się na nich na kosztowne spinki, grzebienie, siatki na włosy przetykane perłami, wytworne spinki do kapeluszy, porzucone kolczyki, zapomniane między pędzelkami do pudru i flakonikami perfum. Nawet drogocenne pierścionki, zdjęte przed nasmarowaniem rąk kremem.

W szufladach bieliźniarek kryły się rzeźbione sprzączki do butów, spinki do krawatów i złote łańcuszki do zegarków. Często spotykała się ze szkatułkami szeroko otwartymi, z których klejnoty wysypywały się migoczącą lawą, wskazując, w jak dużym pośpiechu właścicielka gotowała się do wyjścia. Warto też było zaglądać do łazienek. Goście zostawiali w nich pierścionki, bransolety, różnorodne spinki do włosów, eleganckie wachlarze - czasem nawet jakiś zegarek.

Andrea pilnowała się, by nie wpaść w pułapkę chciwości, mimo że potrzebowała zebrać okup jak najszybciej. Rozsą-

dek mówił jej, że za jednym razem nie wolno wziąć więcej niż kilka przedmiotów, by nie ryzykować utraty wszystkiego. Właściciel mógł nie zauważyć braku jednej rzeczy lub uznać, że gdzieś się zapodziała. Gdyby jednak brakowało ich więcej, z pewnością podniósłby alarm.

Andrea kradła, czego nienawidziła całym sercem, toteż starała się mimo wszystko zachować jakiś kodeks moralny. Nigdy nie zabierała przedmiotów, do których jej zdaniem właściciel mógł być szczególnie przywiązany. Nie ruszała obrączek ślubnych, choćby nie wiadomo jak kosztownych. Nie brała broszek przekazywanych przez matki córkom, zegarków od ojców dla synów, prezentów od ukochanych małżonków. Po prostu nie mogła zmusić się do zabrania tych przedmiotów, choćby były nie wiem jak cenne. Dzięki temu nie myślała o sobie bardzo źle, choć i tak żołądek kurczył się jej z żalu, kiedy wyciągała rękę po inne kosztowności.

W jednym przypadku jednak pozwoliła sobie na pewne ustępstwo. Nie dla własnej korzyści, ale z myślą o Stevie'm. Zaczęło się to wtedy, kiedy w kilku domach zauważyła kolekcje małych cynowych figurek. Były to repliki różnych zwierząt. Andrea wiedziała, że siostrzeniec byłby nimi zachwycony. Fascynował się zwierzętami, umiał je nazwać i udawać ich głosy.

Kiedy natykała się na taką kolekcję, brała z niej jedną lub dwie figurki, tłumacząc sobie, że przecież nie posiadają żadnej wartości i że jeśli będzie je trzymała dla Stevie'ego, może pewnego dnia go odzyska. Co więcej, w przyszłości staną się pamiątką tego, jak bardzo Stevie był kochany i jak duże ryzyko podjęła, by go ratować. Te małe zdobycze wkrótce stały się dla niej tak ważne, jakby były talizmanami zapewniającymi szczęśliwy powrót siostrzeńca. Gdybyż tylko rzeczywiście posiadały czarodziejską moc...

Po wyjściu z domu, w drodze do hotelu z paczuszką ze skradzionymi przedmiotami, Andrea natknęła się na dwie znajome Maddy. Właśnie wysiadały z powozu.

- Och, nasza kochana Andrea! - zawołała pani Kerr. - Czy możemy prosić cię o chwilę rozmowy?

Choć niechętnie, Andrea zwołała kroku.

- Dzień dobry, pani Kerr. Pani Philips - przywitała się.  
- Nie wiedziałam, że zamierzałyście panie odwiedzić dzisiaj Maddy. Załatwiłabym swoje sprawy wcześniej.

- Nic nie szkodzi, dziecko. Damy sobie radę z herbatą. Nie musisz się przejmować - zapewniła pani Philips. - Ale chcieliśmy cię o coś zapytać.

- Tak?

Obydwie damy wyglądały na wielce zakłopotane, jakby nie wiedziały, od czego mają zacząć. Serce Andrei zabiło mocniej. Czyżby zauważyły zniknięcie jakichś przedmiotów po ostatniej wizycie u nich? Czy podejrzewały ją o kradzież? Może jakiś służący widział, jak wychodziła z sypialni, i opowiedział im o tym?

- To naprawdę bardzo delikatna sprawa — zająknęła się pani Kerr. - Przypuszczam, że powinnam po prostu o tym zapomnieć, ale...

- Ale martwimy się o Maddy - dokończyła za przyjaciółkę pani Philips.

Andrea odzyskała równy oddech.

- O Maddy? - zdziwiła się. - Ale o co chodzi?

- No cóż, wiemy, że biedaczka coraz bardziej traci pamięć. Rozumiemy, że bezustannie jej towarzyszysz i pomagasz. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie natknęłaś się na nasze drobiazgi, które Maddy mogła przez omyłkę wziąć za swoje?

Andrea czuła się tak, jakby dostała obuchem po głowie. Zaskoczenie musiało wyraźnie rysować się na jej twarzy, bo pani Philips rzuciła się do dalszych wyjaśnień.

- Oczywiście, nie oskarżamy Maddy o umyślne zabranie tych przedmiotów. Nie powinnaś tak myśleć.

- Jakie... jakie przedmioty paniom zginęły? - wydusiła w końcu.

- Drobiazgi, ale posiadały pewną wartość - poinformowała pani Kerr. - Zapodziała mi się gdzieś złota bransoleta.

A pamiętam, że miałam ją na ręku podczas waszej ostatniej wizyty u mnie. Chodzi o to, że nie mogę jej nigdzie znaleźć, chociaż kazałam służbie przeczesać cały dom. Pomyślałam sobie, że może Maddy ją znalazła i zabrała do domu. Oczywiście przez omyłkę.

- Tak samo tajemniczo zginęła moja kamea z kości słoniowej - dodała pani Philips. - Nic cennego, ale bardzo ładny egzemplarz. Jeśli przez przypadek Maddy ją zabrała, może ją sobie zostawić. Chciałabym tylko wiedzieć, co się z nią stało.

- Choć Maddy czasami rzeczywiście się zapomina, to z pewnością nie wzięła biżuterii - ostrożnie dobierając słowa oświadczyła Andrea. - To po prostu nie leży w jej charakterze. Jako jej najbliższe przyjaciółki powinny panie same to wiedzieć.

- No widzisz, Adelajdo, powiedziałam ci, że to głupi pomysł i że powinnaś się wstydzić nawet wspominać o czymś takim! - zawołała pani Philips z zaczerwienionymi policzkami. - Twoja śmieszna bransoleta leży pewnie gdzieś za kanapą.

- Nie mów do mnie takim tonem, Harrieto. Jesteś winna tak samo jak ja i tak samo ochoczo podejrzewałaś Maddy, podczas gdy twoja kamea pewnie nadal tkwi przypięta do bluzki w twojej przepełnionej szafie!

Nie zwracając więcej uwagi na Andreeę, obie panie nie przestawały robić sobie wymówek. Korzystając z okazji, Andrea pożegnała się i pospiesznie odeszła. Targały nią wyrzuty sumienia. Niewiele brakowało, by Maddy została oskarżona o przestępstwo, które było jej dziełem. Z drugiej strony czuła ulgę, że sama uniknęła podejrzeń.

Plotka się rozeszła. Teraz, kiedy pani Kerr i pani Philips uznały, że to nie Maddy winna jest zaginięcia klejnotów oraz po rozmowie z innymi osobami, którym ostatnio także coś zginęło, wszyscy doszli do wniosku, że między nimi krąży złodziej biżuterii. Na niektórych spotkaniach dyskutowano o tym problemie. Uczestniczyły w tym oczywiście Maddy i Andrea.

- Proponuję zawiadomić policję - słusznie zasugerował jeden z panów.

- I co powiemy? Że jesteśmy tak beztroscy, iż zostawiamy kosztowności gdzie popadnie, jak jakieś śmiecie, które nadają się tylko do wyrzucenia? Moim zdaniem zasłużyliśmy sobie na to, bo nie chciało nam się odpowiednio zabezpieczyć biżuterii.

- I to właśnie od dzisiaj będę robił - dodał ktoś inny.

- Ojej! - zawołała starsza matrona. - Nie będzie mi się chciało bawić z kluczami i zamkami przy każdej spince do kapelusza.

- Albo sprzączce do buta - zgodziła się jej sąsiadka. - Nie mogę uwierzyć, że ktoś połakomił się na takie rzeczy! To bardzo dziwne, jeśli chcecie znać moje zdanie.

- Może złodziej jest fetyszystą- sucho odpowiedział jej mąż. - Tylko, jeśli to prawda, dziwię się, że nie zabrał także butów.

Jego żona zarumieniła się uroczo.

- Naprawdę, Samuelu! Proszę, uważaj, co mówisz. Jesteśmy w mieszanym towarzystwie!

- Uważam, że wszyscy powinniśmy lepiej pilnować naszych kosztowności. I trzymać oczy szeroko otwarte.

Ktoś inny zaproponował, żeby sporządzić listę zaginionych przedmiotów.

- Wspaniały pomysł - zgodziła się pani Philips. - Ku zaskoczeniu Andrei, odwróciła się w jej stronę i poprosiła:

- Andreo, kochanie, spiszesz to. Masz taki ładny charakter pisma. I czytelny.

Zaczęło się wyliczanie, choć Andrea wcale nie potrzebowała odpowiedzi. Doskonale pamiętała, co i komu ukradła. Nieźle by ich zdziwiła, gdyby im o tym powiedziała, a także o tym, że ich kosztowności po zastawieniu utworzyły niezłą sumkę na jej koncie. Była przekonana, że Ralph oszukuje ją i podaje fałszywe wyliczenia. Część skradzionych przedmiotów z pewnością ładowała w jego kieszeni, ale czy mogła temu zaradzić?

Jedna po drugiej jej bogate ofiary recytowały straty,

a Andrea posłusznie je spisywała. Kiedy w końcu przysłała kolej na Maddy, starszka oświadczyła szczerze:

- Trudno mi stwierdzić, czy coś mi zginęło, jeśli w ogóle coś zginęło. Ciagle coś gubię, sami wiecie.

Wszystkie głowy pochyliły się w cichej zgodzie. Po chwili namysłu Maddy dodała:

- Przypomniałam sobie, że ostatnio nie widziałam swojego czarnego szala z angory, tego... wyszywanego perłami.

Pani Roberts westchnęła i potrząsnęła głową.

- Madeline, twój szal wisi u mnie w przedpokoju. Ciagle zapominam ci go zwrócić.

Spotkanie wkrótce dobiegło końca. Jego uczestnicy postanowili lepiej strzec kosztowności, przekazywać sobie wiadomości, jeśli coś jeszcze im zginie, uważać na każdą osobę zachowującą się podejrzanie oraz zawiadomić policję o już zaginionych przedmiotach.

Maddy i Andrea wyszły już, kiedy Ida Shearing oświadczyła:

- Najpierw podejrzewałam, że to pokojówka ukradła mój wisior z opalu. W szkatułce z biżuterią mam taki bałagan, że zawsze tracę mnóstwo czasu, żeby coś znaleźć. Wcale bym nie podejrzewała, że naszyjnik zginął, gdyby nie to, że wczoraj chciałam go założyć. O dziwo, biżuteria w szkatułce była poukładana. Wyobraźcie sobie... złodziej z zamiłowaniem do porządku!

*Nowy York, czerwiec 1876*

Brent siedział przy stoliku naprzeciwko Kennetha, przysłuchując się opowieści przyjaciela o jego pracy w agencji Pinkertona. Lubił słuchać tych historii i często zazdrościł przygód swojemu byłemu koledze szkolnemu. To, że Ken także mu zazdrościł, wyrównywało stosunki między nimi.

W czasie studiów na Harvardzie Ken dzielił pokój z Brentem, ale kiedy Brownowie wpadli w kłopoty finansowe, mu-

siał porzucić studia. Na szczęście szybko znalazł posadę w agencji Pinkertona, gdzie pracował ostatnie cztery lata, stopniowo pnąc się w górę w dziale dochodzeniowym. Brent skończył studia i kiedy wrócił do Nowego Jorku, dwaj przyjaciele wznowili znajomość.

- Wyobrażasz sobie, że przy takim natłoku roboty dostaliśmy nakaz z Waszyngtonu, żeby zająć się tamtejszymi kradzieżami? - zwierzał się teraz Ken Brentowi. - Jakby tamta policja sama nie potrafiła sobie z tym dać rady. W końcu chodzi tylko o parę błyskotek ukradzionych kilku bogatym obywatelom, którzy nawet nie odczuli ich straty. Rzecz w tym, że te osoby są nie tylko bogate, ale też ustosunkowane, więc oczekuje się Od nas, że rzucimy wszystko i zajmiemy się łapaniem złodzieja. Najprawdopodobniej jakiś służący próbuje podnieść sobie stopę życiową.

Brent wybuchnął śmiechem.

- Domyślam się, że nie mówimy o klejnotach korony - rzucił.

- Faktycznie - prychnął Ken. - Choć zginęła broszka należąca do jakiejś księżniczki odwiedzającej prezydenta i jego małżonkę. I jakaś figurka tak stara, że nikt nie pamięta, kiedy pojawiła się w domu prezydenta ani który prezydent ją tam przyniósł.

Brent szeroko otworzył oczy.

- No, no! Chcesz powiedzieć, że ktoś kradnie kosztowności z domu prezydenta? Tuż pod nosem wszystkich?

Ken wzruszył ramionami.

- Na to wygląda. Ale, do diabła, Brent, co to za sprawa w porównaniu z akcjami, dzięki którym agencja zdobyła swoją reputację.

- Takimi jak infiltracja i rozwiązanie sprawy Molly Maguires w zeszłym roku? - podpowiedział Brent.

- Chociażby... albo fakt, że byliśmy najważniejszą organizacją szpiegowską Stanów w czasie wojny. Albo wielkie napady na pociągi i tym podobne. Musisz przyznać, że ta sprawa to fraszka, nie warta straty czasu i wysiłków ludzi.

- Dlaczego w takim razie agencja grzecznie nie odmówi? Ken wybałuszył oczy.

- Chory jesteś? Nawdychałeś się chyba za dużo kurzu z tych opasłych ksiąg prawniczych. Kto o zdrowych zmysłach odmawia prezydentowi Stanów Zjednoczonych i jego bogatym i wpływowym znajomym? Z pewnością nie pan Pinkerton.

- I ty też nie, jak słyszę - zachichotał Brent. - Kiedy wyjeżdżasz do Waszyngtonu?

- Jutro, porannym pociągiem. - Detektyw skrzywił się.

- Jak myślisz, czy w końcu ktoś zacznie ubezpieczać mniej wartościowe przedmioty, tak jak Lloyd ubezpiecza towar na statkach?

Brent z zadumą zmarszczył brwi.

- To całkiem niezły pomysł. Przynajmniej raz, stary, udało ci się powiedzieć coś z sensem.

Ken popatrzył na niego kpiąco.

- Nie bądź taki zdziwiony i nie kręć na mnie nosem, bo jeśli będę potrzebował kogoś do pomocy przy tym zadaniu, powiedzmy człowieka o wysokiej pozycji społecznej i wyśmienitym pochodzeniu, by nie miał problemów z wmieszaniami się w elitarne kręgi, najprawdopodobniej wciągnę ciębie.

- Szczerze mówiąc, byłbym zachwycony, gdyby ktoś uratował mnie przed monotonią pisania testamentów i badania spraw sądowych dla mojego ojca i braci - ochocho oświadczył Brent. - Nie będziesz musiał długo mnie prosić.

*Waszyngton, czerwiec 1876*

Andrea spuściła woalkę kapelusza na twarz, modląc się o to, by nie zostać rozpoznaną przez żadnego przypadkowo spotkanego znajomego - zwłaszcza przez Ralphi Muttona. Stała naprzeciwko Garden Hotel. Czekwała i obserwowała. Czuła się jak kobieta lekkich obyczajów, choć starała się nie

wychylać spod cienia witryny sklepowej i wyglądać jak najbardziej niepozornie.

Minęły trzy godziny od chwili, gdy zostawiła opakowaną w papier paczuszkę w recepcji hotelu. Trzy długie godziny i nadal ani śladu Ralpa. Nie mogła czekać dłużej. Właściciel sklepu przyglądał się jej podejrzliwie i już raz zapytał, dlaczego stoi przed jego sklepem. Powiedziała mu, że czeka na przyjaciółkę - spóźnialską przyjaciółkę. Jeśli nie odejdzie stąd za chwilę, właściciel sklepu wezwie policję i zaaresztują ją za włóczęgostwo. I to by już była kropla przepełniająca czarę goryczy.

Gdzie jest Ralph? Czy w ogóle nie zależało mu na odebraniu klejnotów? Gdyby była na jego miejscu, chciałaby je mieć najszybciej, jak tylko można. W jej wyobrażeniu Ralph kierował się tylko chciwością. Nie bardzo wiedziała, na jakich zasadach działa jego przestępczy umysł i wcale by się tym nie zajmowała, gdyby nie Stevie.

Na moment jej uwagę odwrócił przejeżdżający wóz straży pożarnej i niewiele brakowało, by przegapiła Ralpa. Oczywiście nie zauważyła, jak wchodził do hotelu i tylko dzięki łutowi szczęścia odwróciła wzrok w chwili, gdy wychodził. Spojrzał w jej stronę, więc szybko się odwróciła, udając, że przygląda się wystawie sklepowej. W szybie zobaczyła, że odchodzi chodnikiem wcale się nie spiesząc.

Odliczyła do dziesięciu, potem odwróciła się i ruszyła za nim, trzymając się przeciwnej strony ulicy i zachowując bezpieczną w jej mniemaniu odległość. Nie chciała, by ją zauważył, ponieważ postanowiła śledzić go aż do miejsca, w którym ukrył Stevie'ego. Zamierzała poczekać, aż Ralph ponownie wyjdzie z domu, wykraść chłopca i tak, raz na zawsze, zakończyć obrzydliwą przygodę.

Ralph krążył po niezliczonych ulicach i zaułkach, aż w końcu Andrea całkowicie straciła orientację. Zupełnie nie znała tej części Waszyngtonu; ulice z każdym krokiem stawały się coraz bardziej zatłoczone, coraz węższe i brudniejsze, a budynki biurowe i mieszkalne coraz bardziej znisz-

czone. Choć Andrea nie chciała rzucać się w oczy, w swojej bogatej sukni wyglądała jak świecidełko na choinkę i była oczywistą przynętą dla kieszonkowców. Ale nie rezygnowała ze względu na siostrzeńca.

Ralph zatrzymał się i ona uczyniła to samo. Stała przed reklamą piwa udając, że się jej przygląda, lecz kątem oka widziała, że Mutton rozpakował paczkę i otworzył ją. Szybki, zdecydowanymi ruchami wyjął zawartość i przełożył ją do kieszeni, a opakowanie wyrzucił do rynsztoka, po czym ruszył w dalszą drogę. Dzięki przypadkowi Andrea zauważyła, że w porzuconej paczce leży wypolerowany przedmiot z brązu.

Sama nie wiedziała, dlaczego postanowiła to sprawdzić. Tak samo jak nie wiedziała, dlaczego, kiedy przekonała się, że jest to ta sama szkaradna figurka, którą niechcący zabrała z pałacu prezydenta, podniosła ją z ziemi. Zatrzymanie jej okazało się niebezpieczne. W sekundę po jej podniesieniu jakieś kościste palce zamknęły się na jej dłoni.

- Oddawaj! - usłyszała piskliwy kobiecy głos. - Ja pierwsza to zobaczyłam.

Z jakiegoś powodu, nadal dla niej niezrozumiałego, Andrea nie puszczała statuetki.

- Nie, to należy do mnie!

- Opowiedz mi inną bajeczkę, kochanieńka. Widziałam, jak tamten gość to wyrzucił! No, a teraz dawaj to, albo wydrapię ci ślipia!

Rozpoczęła się walka, w trakcie której obca kobieta drapała i szarpała się jak dzikie zwierzę. Andrea miała już na głowie przekreślony kapelusz, na ramionach porwaną narzutkę, a brudne buty napastniczki groziły poplamieniem sukni. Prymitywna bójka nabrała zaciętości i tylko dzięki wielkiej determinacji Andrea w niej wygrała. Ale zwycięstwo trwało tak krótko, jak sama utarczka. Napastniczka nie chciała pogodzić się ze stratą łupu i najwyraźniej zamierzała zaatakować na nowo, gdy Andrea zobaczyła spieszącego w jej stronę Ralpha. Skan i przerobienie pona.

Rzuciła się do ucieczki, udało jej się nawet odbiec kilka kroków, ale ciężka łapa pochwyciła ją za ramię i obróciła ją dokoła. Ralph stał nad nią okropnie rozwścieczony.

- Zabawa się skończyła, siostrzyczko.

Zanim Andrea zdołała wydusić jakąś odpowiedź, dobiegła do nich tamta kobieta, próbując wyrwać jej figurkę.

- Spływaj, Bertie - rzucił w jej stronę Ralph, ostro odtrącając ją na bok. - To nie twoja sprawa.

- Ja to znalazłam, Ralph - upierała się Bertie.

- To jest moje - huknął Mutton. - A teraz uciekaj, bo powiem twojemu staremu, że wpychałaś nos w nie swoje sprawy. On ci już pokaże.

Bertie usunęła się, mrużąc pod nosem przekleństwa. Andrea została sam na sam z Ralphem.

- Śledziłaś mnie, co? Myślałaś, że jesteś sprytniejsza od starego Ralph'a? Nie jesteś najmądrzejsza, panno Albright - rzucił sarkastycznie.

- Ja... ja nie... -jąkała się.

Potrząsała nią, aż zaszczekała zębami.

- Nie okłamuj mnie, kobieto. Nie jestem ani ślepy, ani głupi.

- Już dobrze! - udało jej się wystękać. - Ja... śledziłam cię.

- Miałaś nadzieję odnaleźć dzieciaka - stwierdził Ralph.

- Tak - syknęła. - Dlaczego by nie?

- Będzie cię to kosztować... dodatkowe dwa tysiące - poinformował z satysfakcją.

Andrea skurczyła się i popatrzyła na napastnika.

- Mogłam się domyślić - rzuciła kwaśno, - Dziwię się tylko, że potrafisz do tyłu liczyć. Twoje rachunki są oszukane, panie Mutton. Zaniżasz stawki za przedmioty, które ci przekazuję.

- Co ty mówisz? Jak mógłbym oszukiwać taką ślicznotkę? - kpił.

- Tak samo jak sprzedajesz własnego syna - odpowiedziała pogardliwie.

- A cena się podniosła - przypomniał jej. - I podwoi się,

jeśli jeszcze raz spróbujesz takich sztuczek. Następnym razem nie będę się z tobą targował. Odwołam całą umowę i nigdy więcej nie zobaczysz gnojka.

Jego wzrok spoczął na figurce z brązu, którą trzymała w dłoni.

- I nie próbuj wciskać mi więcej takiego bezwartościowego śmiecia. Co to w ogóle jest, do cholery?

Andrea uśmiechnęła się złośliwie.

- Myślałam, że ci się spodoba, zwłaszcza że tak bardzo przypomina ciebie.

Oczy mężczyzny zwięzły się ostrzegawczo.

- Nie bądź taka wygadana, mała. Nie opłaci się. Radzę ci, żebyś zajęła się świecidełkami. Dzieciak naprawdę mi się już uprzykrzył, więc im szybciej uregulujesz rachunek, tym lepiej. Zrozumiałaś? Nie chcemy, żeby komuś coś się stało, prawda?

Oczy Andrei rzucały błyskawice, choć jej serce przepełniał strach.

- Tylko go dotknij, a przysięgam ci, że będziesz wisiał! Roześmiał się nieprzyjemnie.

- Lepiej wkładaj więcej do paczuszek.

- Staram się, ale policja została powiadomiona o kradzieżach, a ludzie zaczęli pilnować kosztowności. Trudno mi się do nich dostać.

- Dlaczego wcześniej tego nie mówiłaś? - odezwał się niemal miłym głosem. - Nie zostawię przecież współniczki w opałach.

- Nie jestem twoją współniczką, panie Mutton.

Zignorował jej uwagę i wyciągnął z kieszeni kilka dziwnych przedmiotów, których nie potrafiła nazwać. Podawał jej każdy po kolei z objaśnieniem.

- To są wytrychy. Pasują do większości drzwi oraz zamków w szafach i komodach. Te tutaj zakrzywione pasują do szerszych zamków. - Ostatni przyrząd przypominał nożyczki. - To są szczypce. Najlepsi funcjarze używają ich do ściągania biżuterii prosto z szyi i uszu bóbków. Zdobądź

mały łom i będziesz miała cały zestaw narzędzi do wykradania świecidełek i mamony.

- Bóbek to zapewne osoba, którą się okrada, ale kto to jest funciarz?

Ralph zachłysnął się, prawdziwie rozbawiony.

- Jasne, że to złodziej biżuterii, mała. Taki jak ty, tylko lepszy.

- A mamona?

- Pieniądze. Metal albo forsa. Niektórzy nazywają je cukier albo paczka.

- Te w twoich rękach nazwałabym skradzionymi.

- Nazywaj je, jak sobie chcesz. Tylko mi je dostarczaj. Co tydzień do hotelu, tak jak umówione, a twój smarkacz będzie bezpieczny. Jeśli przegapisz termin albo spróbujesz mnie śledzić, będzie tak, jakbyś sama odbierała mu żarcie od ust.

Andrea zbladła.

- Może mi się nie udać w przyszłym tygodniu, i w następnym też nie.

Uśmiech Ralpha przybladł.

- Starasz się mnie okpić, mała?

- Nie, tylko moja pracodawczyni chce, żebym towarzyszyła jej w podróży do Filadelfii na wystawę stulecia i nie wiem, jak długo nas nie będzie. Jeśli w ogóle pojedę, oczywiście.

Ralph zastanawiał się przez chwilę, potem w jego oczach zabłysł wyraz chciwości i ku zaskoczeniu Andrei powiedział:

- Jedź. Na targach będzie mnóstwo bóbków. Jak nic wrócisz z całą walizką łupów. Starczy ci na wykupienie dzieciaka, a ja będę bogaty jak sam król. - Widząc jej przerażone spojrzenie, dodał: - Nie martw się o gnojka. Będzie bezpieczny tak długo, jak długo ty będziesz w porządku. Ale spróbuj mnie oszukać, a pożałujesz. I skontaktuj się ze mną zaraz po przyjeździe.

## 4

### *Filadelfia, czerwiec 1876*

Pod koniec czerwca, w niecałe trzy tygodnie po rozmowie z Kenem przy obiedzie, Brent *znalazł* się w holu hotelu Continental w Filadelfii. Korzystając z dobrodziejstwa telegrafu, w ostatnim momencie zdołał załatwić rezerwację w tym pierwszorzędnym przybytku, w którym w czasie bytności w mieście zatrzymywali się prezydenci i książęta. Kiedy tak patrzył na zatłoczony hol, na wchodzących i wychodzących gości, zastanawiał się, jakim cudem znalazło się tu dla niego miejsce. Wyglądało na to, że wszystkie pokoje są zajęte przez osoby pragnące zwiedzić wystawę stulecia.

Cel Brenta był podobny, ale nie znalazł się tu tylko dla przyjemności. Przybył do hotelu z ramienia agencji Pinkertona, tak jak przepowiadał Ken. Młody prawnik ogromnie się zdziwił, gdy przyjaciel rzeczywiście zaproponował mu pracę dla agencji. Wydawało mu się, że Ken tylko żartował, prosząc go o pomoc. Jeszcze bardziej zdziwiło go, kiedy usłyszał, że ma jechać do Filadelfii, a nie do Waszyngtonu. Ken wszystko mu wyjaśnił.

- Zdaje się, że nasz złodziej biżuterii zmienił lokalizację, przynajmniej tymczasowo. Zanotowano kilka podobnych incydentów w Filadelfii. Przypuszczamy, że ma to związek z wystawą i odwiedzającymi ją bogatymi gośćmi. Doskonała okazja dla każdego złodzieja, od najbardziej wyrafinowa-

nego do prostego kieszonkowca. Wystawa musi pękać od przestępców.

- Skąd pewność, że twój złodziej jest między nimi? - zainteresował się Brent. - Moim zdaniem te kradzieże mogą być dziełem każdego innego złodziejaska. Twój może dalej przebywać w Waszyngtonie.

Ken potrząsnął głową.

- Kradzieże w Waszyngtonie ustały, przynajmniej te, którymi ja się miałem zająć. Poza tym są pewne poszlaki, charakterystyczne dla tego właśnie przestępcy, powtarzające się w Filadelfii. Nasz złodziej pozostawia miejsce przestępstwa w nieskazitelnym porządku, zazwyczaj w większym, niż je zastał.

Brent nie potrafił opanować śmiechu.

- Co on robi, wyciera kurze i zamiata podłogi?

- Nie do końca, ale dojdzie do tego, jeśli pozwolimy mu dalej działać. Jemu albo jej. Nie wykluczamy, że to może być kobieta. W gruncie rzeczy, biorąc pod uwagę te porządki, to chyba słuszne podejrzenie.

- Dlatego, że lubi czystość? - zdziwił się Brent. - Czy to nie krótkowzroczność, Ken? Znam z pół tuzina dżentelmenów, którzy są takimi pedantami, że aż się robi niedobrze. W porównaniu z nimi ja wychodzę na niechluj, czego moja matka nigdy nie omieszka mi wytknąć, rozpaczając przy tym, że z tego powodu nie znajdę sobie żony.

Teraz Ken zaczął chichotać, aż mu się zatrzęśła czupryna.

- Moja matka uważa, że jestem dość porządny, ale narzeka, że pracuję w dziwnych godzinach i że żadna kobieta nie zniesie moich częstych wyjazdów. Prawdopodobnie ma rację.

Brent wrócił do głównego tematu rozmowy.

- Co jeszcze powinienem wiedzieć o twoim złodzieju, zanim zacznę go szpiegować?

- Naszym złodzieju - poprawił go przyjaciel. - Ma jeszcze jeden dziwny zwyczaj. Kradnie nie tylko pieniądze i biżuterię, ale lubuje się też w małych figurkach. Jeśli

dobrze rozumiemy, interesują go wszelkie zwierzątka i czasami pozostawia na miejscu dość wartościowe z kryształu, a wybiera zwykłe cynowe.

- To dziwne - przyznał Brent. - I opierając się na tych poszlakach, uznałeś, że przeniósł się do Filadelfii?

- Między innymi. Wydawało nam się, że już mamy podejrzanego. Ta osoba nadal jest podejrzana, choć ja nie wierzę w jej winę. Nazywa się Madeline Foster, wśród przyjaciół znana jako Maddy. To starsza dama z waszyngtońskiego towarzystwa. Znasz ten typ... bogata, wpływowa, należy do kilku instytucji charytatywnych, zna wszystkich odpowiednich ludzi zawsze na liście gości prezydenta, nieważne, kto nim w danym momencie jest.

- I? - ponaglał go Brent.

- Okazuje się, że to miła, śmieszna staruszka, która nieustannie coś gubi, głównie własne rzeczy. Przyznaję, że posiada swoje dziwactwa, na przykład zawsze nosi ze sobą parasol, nawet w domu, i dźga nim ludzi, kiedy chce zwrócić ich uwagę. Jest nie wyższa od konika polnego, ma jasnoniebieskie oczy i czuprynkę siwych włosów, sterczących we wszystkie strony. Ciekawa osobka. Niektórzy z jej znajomych sądzą, że ze starości trochę jej się pomieszało w głowie i bezwiednie podkrada ich rzeczy. Ale po rozmowie z nią muszę się sprzeciwić. Szczerze mówiąc, te kradzieże są przemyślanymi aktami, dokonywanymi przez osobę o większej koncentracji uwagi niż może poszczycić się pani Foster. Możliwe, że ktoś wykorzystuje ekscentryczne zachowanie staruszki, by zatuszować własne działania.

- Robi z pani Foster kozła ofiarnego?

Ken wzruszył ramionami.

- Nie jestem pewien. To jedna wersja. Ale ktokolwiek to jest, założę się, że ją zna. Może nawet obraca się w tych samych kręgach. Zwłaszcza że Maddy Foster i grupa jej przyjaciół przebywają w Filadelfii już od tygodnia. To jest dokładnie przedział czasu, w którym ustały kradzieże w Waszyngtonie, a rozpoczęły się w Filadelfii. Dlatego chcemy,

żebyś tam pojechał i sprawdził to doborowe towarzystwo. Żebyś się do nich zbliżył, korzystając z tego, że należysz do ich grupy społecznej.

- Dlaczego ja? Ty masz podobne pochodzenie. Poza tym masz doświadczenie. Jesteś przeszkolony, w przeciwieństwie do mnie — zauważył Brent.

- Zapominasz, że już mnie znają i wiedzą, że pracuję dla agencji.

- Zgoda, ale z pewnością twoi koledzy z pracy lepiej się nadają do tego zadania.

Ken potrząsnął głową.

- Nie mamy zbyt wielu absolwentów Harvardu. Nasi pracownicy, choć są dobrymi detektywami, w większości odstawaliby od tamtego towarzystwa, a ci, którzy by się nadawali, są przydzieleni do innych zadań. Poza tym chodzi o coś więcej niż odpowiednie ubranie i umiejętność posługiwania się sztucami. To ogólna postawa luzu i arogancji, która emanuje z człowieka bogatego. I mówiąc otwarcie, mój bracie, ty tym cuchniesz na odległość.

Tak więc Brent znalazł się w Filadelfii i zarejestrował w tym samym hotelu co Madeline Foster. Wpisał się do książki gości i czekał na klucz, po czym bezmyślnie odwrócił oczy w stronę windy. Gdy się otworzyła, oczom Brenta ukazała się najbardziej zachwycająca kobieta, jaką kiedykolwiek *widział*. *Już pierwsze spojrzenie zaparło mu dech w piersi.*

Jej włosy wydawały się utkane z promieni księżyca, Cere miała jak alabaster. Usta układały się w równiutkie serduszko Kupidyna, a oczy były ogromne i jaśniejsze od ametystów. Przez sekundę stała całkowicie nieruchomo, a wtedy Brent doszedł do wniosku, że nie jest to osoba z tego świata. Żadna kobieta z krwi i kości nie może być tak piękna. Najprawdopodobniej była mirażem, ułudą jego wymęczonego podróżą umysłu.

Potem poruszyła się. Z gracją bogini wyszła z windy. Jej

starsza towarzyska coś do niej powiedziała, na co piękna nieznajoma uśmiechnęła się, a serce Brenta z wrażenia podeszło do żołądka, żeby zaraz wrócić pod gardło. Była żywą, oddychającą repliką jego najskrytszych, najbardziej wybujałych fantazji.

Głos recepcjonisty wreszcie przedarł się przez zamroczony umysł młodego prawnika.

- Pański klucz, sir - powtórzył, wpychając klucz w bezwładną dłoń gościa. - Ma pan pokój na trzecim piętrze. Czy przywołać bagażowego?

- Uhy... och, tak - wydukał Brent, niechętnie odrywając wzrok od nieznajomej, w strachu, że zniknie.

- Czy jeszcze czegoś panu trzeba, sir? - zapytał zniecierpliwiony pracownik.

- Tak. Tamta piękna kobieta - wskazał Brent. - Czy może wie pan, kto to jest?

Recepcjonista obrzucił wzrokiem tłum.

- Sir, tu znajduje się z trzydzieści dam, doskonale pasujących do opisu. Czy mógłby pan być bardziej szczegółowy?

- Wielki Boże, człowieku, popraw okulary. Ten anioł jest w liliowej sukni - rzucił Brent, zastanawiając się, czy recepcjonista rzeczywiście jest tak głupi, że od razu nie wiedział, o kogo chodzi. Przecież nieznajoma przewyższała urodą wszystkie inne.

- Z jasnymi włosami i purpurowymi oczami za dużymi do twarzy? - zapytał urzędnik.

- Tak, chociaż nie zgadzam się z pana opinią. Zna ją pan? Czy zatrzymała się w tym hotelu?

- Sądzę, że jest to panna Albright: Towarzyszka pani Foster.

- Madeline Foster z Waszyngtonu?

- Ta sama - potwierdził recepcjonista i kiwnął głową.

- Dziękuję. - Brent zmusił się do szerokiego uśmiechu.

— Dziękuję panu bardzo. Nie przypuszczam, żeby chciał mi pan podać numer pokoju panny Albright?

Recepcjonista potrząsnął przecząco głową.

- To zabronione. Ale jeśli zostawi pan wiadomość, dopilnuję, żeby ją otrzymała.

- Wolę przesłać kwiaty. Czy to możliwe?

- Oczywiście. Natychmiast się tym zajmę. Jaki gatunek, kolor i ilość?

- Jedna fioletowa orchidea.

- A tekst na liściku? - zapytał recepcjonista, podnosząc w gotowości pióro.

Brent zawahał się.

- Proszę napisać: „Perfekcja łączy do perfekcji”. I proszę podpisać: „Zauroczony adorator”.

Kiedy chłopiec hotelowy zapukał do drzwi pokoju, który Andrea dzieliła z Maddy, i podał małe pudełeczko z jej imieniem na wieczku, była ogromnie zaskoczona. Podniosła pokrywkę i bez słowa wpatrywała się w piękny kwiat. W takiej pozycji zastała ją Maddy, wchodząc przez drzwi łączące ich pokoje.

- Andreo, kochanie? Czy słyszałam pukanie?

- Tak - wymamrotała dziewczyna, nadal wpatrując się we wspaniałą orchideę. Z wolna wracając do siebie, podniosła delikatny kwiat z bibułki. - Maddy, kto mógłby przesłać mi ten precudowny podarunek?

- Ktoś z doskonałym smakiem, oczywiście. Znawca kobiet i kwiatów - stwierdziła starszka. - Nie ma liściku?

- Och! Zapomniałam sprawdzić!

Maddy potrząsnęła głową.

- Głupia dziewczyna. Zachowujesz się tak samo niedorzecznie jak ja.

Andrea odnalazła karteczkę, która wprawiła ją w jeszcze większą rozterkę.

- Zauroczony adorator - przeczytała na głos.

Maddy zachichotała.

- Jeśli nie potrafił przypomnieć sobie swojego nazwiska przy podpisywaniu liściku, był więcej niż zauroczony. Raczej całkiem ogłuszony.

- Kto to może być? - zastanawiała się Andrea.

- Któryś z wielu młodzieńców urzeczonych tobą. Spotkałaś z pięćdziesięciu w ciągu tego tygodnia. A jeden z nich, jak widać, dał się szczególnie zauroczyć. No, ale czy to nie ekscytujące? Tajemniczy wielbiciel! Wiedziałam, że ta wycieczka do Filadelfii to był wspaniały pomysł.

- Maddy, bądź poważna! Jestem tu, by dotrzymywać ci towarzystwa, a nie żeby zakochiwali się we mnie jacyś nieznajomi mężczyźni bez nazwiska i twarzy.

- Niedługo pozostanie enigmą, zapewniam cię - prorokowała staruszka. - I powinnaś się przygotować na moment, kiedy postanowi się ujawnić.

Podreptała do swojego pokoju, ale za chwilę wróciła z powrotem, niosąc w rękach szkatułkę z biżuterią.

- Proszę. Chcę, żebyś to wzięła - odezwała się do Andrei.

- Przyniosą ci szczęście.

Otworzywszy pudełko wyjęła z niego naszyjnik i pasujące do niego kolczyki. Kamienie miały niebieskosrebrny odcień z opalizującym błyskiem, oprawione były w delikatnie rzeźbione srebro. - Weź je, kochanie, są twoje.

- Och, Maddy! Nie mogę przyjąć twoich opali. Muszą być warte fortunę.

- Wątpię - oświadczyła starsza dama. - Poza tym to nie są opale. To kamienie księżycowe. Nie są tak kosztowne, ale moim zdaniem są o wiele bardziej intrygujące. Pochodzą z Indii. Istnieje legenda, która mówi, że kiedy te kamienie ocierają się o skórę i rozgrzewają się od niej, nabierają magicznych właściwości. Wzmagają miłość w ukochanym. Nie chwalc się, kochanie, mogę zaświadczyć, że legenda mówi prawdę. Mój mąż, niech spoczywa w spokoju, też by to potwierdził.

- Czy on ci je podarował? - zainteresowała się Andrea.

Maddy potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, należały do mojej ciotki i do mojej babki, a przedtem do mojej prababki. Skąd wzięły się w naszej rodzinie, nikt naprawdę nie wie, ale przyniosły nam szczęście i nie-

zapomnianą miłość. A teraz, ponieważ nie mam komu ich przekazać, chciałabym powierzyć je tobie wraz z tajemniczym urokiem kamieni księżycowych.

Brent zatrzymał się w wejściu do sali balowej, przesuwając wzrokiem po tłumie elegancko ubranych gości. Zgodnie ze słowami jego informatorów, Madeline Foster miała uczestniczyć w tej gali, co oznaczało, że będzie tu także jej dama do towarzystwa, panna Albright. Nie mógł się doczekać spotkania z kobietą swoich snów, by przekonać się, czy w bezpośrednim kontakcie nie znika wrażenie, jakie wywarła na nim w pierwszej chwili.

I oto była tam. Stała na granicy parkietu, pogrążona w rozmowie z kilkoma paniami i panami. Odwróciła się w jego kierunku, jakby czuła na sobie jego spojrzenie, i w tym momencie krew uderzyła mu do twarzy. Jeśli to w ogóle możliwe, wyglądała jeszcze bardziej uroczo niż po południu.

Jej przetykane księżycową poświatą włosy były upięte wysoko na głowie, choć kilka loków zwieszało się na szyję, pieszcząc ją tak, jak pragnął Brent. Orchidea, którą jej posłał, tkwiła za uchem przypominającym morską muszelkę. Z każdego płątka zwieszał się opalizujący kolczyk; taki sam wisiorek spoczywał na szyi. Suknia, doskonale komponująca się z kwiatem we włosach, miała bladolawendowy kolor z fiołkowymi krezami i wstążkami. Barwy ubioru podkreślały kolor olbrzymich, błyszczących oczu dziewczyny.

- Purpurowe! - fuknął sam do siebie Brent. - Ten recepcjonista jest albo ślepy, albo głupi.

- Przepraszam? Mówił pan coś? - zapytał młody mężczyzna, stojący obok Brenta.

- Nie, ale może mógłby mi pan pomóc, jeśli byłby pan tak uprzejmy. Czy zna pan pannę Albright? - Brent wskazał w jej stronę.

- Tak się składa, że spotkaliśmy się wczoraj. Jest bardzo miłą osobą, jeśli nie przeszkadza panu u kobiety inteligencja. Dlaczego się pan nią interesuje?

- Chciałbym ją poznać. Szukam kogoś, kto by mnie jej przedstawił. - Wyciągnął dłoń. - Jestem Brenton Sinclair.

- Harry Andrews - odpowiedział nieznajomy, odczo potraszając ręką Brenta. - Miło mi pana poznać. Czy jest pan spokrewniony z Sinclairami z Nowego Jorku? Chodziłem na zajęcia z Danem Sinclairem.

- To mój brat - wyjaśnił Brent grzecznie, choć trochę niecierpliwie.

- Tak mi się zdawało, że widzę podobieństwo. Ale chyba nie ma pan ochoty w tej chwili na dyskusję o rodzinie - roześmiał się Harry. - Proszę iść za mną. Przedstawię pana tej damie.

Andrea zauważyła Harry'ego zmierzającego w jej stronę i z trudem powstrzymała się przed jęknięciem. O Boże, ale ten człowiek jest pompatycznym nudziarzem! A miała nadzieję, że ostudziła jego zainteresowanie przy ostatnim spotkaniu! Och, cóż, za późno już na ucieczkę.

- Panno Albright! Jak pięknie pani dziś wygląda - pochwalił, stając przed nią.

- Dziękuję za komplement, panie Andrews - odpowiedziała, kryjąc rozczarowanie za chłodnym uśmiechem.

- Chciałbym przedstawić pani dżentelmena, który przepiękny jest podziwem dla pani urody - ciągnął Harry, kiwając głową w stronę mężczyzny stojącego za jego plecami. - Panno Albright, proszę pozwolić, to pan Brenton Sinclair. Panie Sinclair, Andrea Albright.

Ledwie zdążyli rzucić sobie zaciekawione spojrzenia, kiedy młodzieniec wesoło dokończył:

- A teraz, kiedy zrobiłem już, co do mnie należało, pozostawię was samych, byście mogli się bliżej poznać.

Andrea popatrzyła w przeszywające, złociste oczy Brenta i nagle cała ciężko zdobyta nauka etykiety uleciała jej z głowy. Nie potrafiła wymyślić jednego sensownego słowa! Stała wgąpią w fascynujące oczy nieznajomego, ciemne włosy i przystojną twarz, stanowcze, męskie usta - i zastanawiała

się, jak by to było, gdyby ją pocałował! Gdyby wziął ją w ramiona i...

Potrząsnęła głową, próbując zebrać myśli. Co się z nią dzieje, na Boga? Wypiła tylko łyk szampana, a mimo to czuła, że rozsądek opuścił ją całkowicie!

- Dobrze się pani czuje, panno Albright? - zapytał przybyły głębokim, aksamitnym głosem, który sprawił, że po jej ciele przebiegł dreszczyk.

- Och... tak - wyjąkała. - Dziękuję. - Nie wiedząc, co mądrzejszego może powiedzieć, zapytała: - Czy długo zna pan pana Andrews'a?

Brent uśmiechnął się, a pod Andrea ugięły się nogi.

- Tak naprawdę poznaliśmy się przed chwilą. Ale dowiedziałem się, że chodził do szkoły z moim bratem. Zaczepiłem go z nadzieją, że mnie pani przedstawi. Trudno jest się oświadczyć, kiedy nie zna się nawet imienia wybranki, nie sądzi pani?

Zaskoczona ostatnimi słowami Andrea wybuchnęła śmiechem.

- No, no, taki żart rzeczywiście może zaintrygować dziewczynę, panie Sinclair! Dość oryginalne, ale też ogromnie niebezpieczne. A gdybym tak potraktowała pańską wypowiedź poważnie?

- Proszę bardzo. Nic bardziej by mnie nie uradowało.

Andrea zamrużyła oczami; była zmieszana. Na ustach mężczyzny widziała uśmiech, ale w tonie jego głosu brzmiała powaga, podobna do tej, która pojawiła się w tygrysim spojrzeniu, jakim ją obrzucił.

- Jest pan szalony albo pijany. Najprawdopodobniej jedno i drugie - zdecydowała.

- Pijany pani widokiem. Szalony z pożądaniami - zgodził się. Wyciągnął dłoń do kwiatu w jej włosach. - Wpięła go pani. Jestem szczęśliwy. I jeszcze bardziej oszołomiony.

- To pan? - szepnęła zdumiona. - To pan przysłał mi orchideę?

- Zastanawiałem się nad różami, ale orchidea wydała mi

się bardziej odpowiednia. Bardziej pasująca do pani delikatnej urody, choć i tak bladej w porównaniu z nią.

- Jest pan mistrzem w prawieniu komplementów, panie Sinclair. Postaram się panu odpłacić. Założę się, że tysiące kobiet leży u pańskich stóp.

- To nie jest prawda nawet w połowie. I nie sądzi pani, że mogłaby mówić mi Brent - zaproponował z pewnym siebie uśmiechem - skoro mamy zostać kochankami?

- Słucham? - sapnęła, szeroko otwierając oczy. Szybko przeanalizowała sytuację i powiedziała: - Czegoś tu nie rozumiem. Skąd to przekonanie, że zostaniemy kochankami?

- Cóż, jeśli mamy się pobrać, myślę, że będziemy także kochankami - droczył się. - W jakież inny sposób ma mi pani powić te wszystkie piękne dzieci?

- Dzieci? - powtórzyła słabym głosem.

- No wie pani, niemowlęta, potomstwo, córki i synów. Uważam, że dziesiątka to całkiem miła liczba.

- Miła liczba czego? - zapytała Maddy, wyłaniając się zza ich pleców.

- Dzieci, które zamierzamy mieć, madame - spokojnie wyjaśnił Brent. - Chyba nie sądzi pani, że dziesiątka to zbyt wiele?

Maddy wzruszyła ramionami, jej niebieskie oczy rozbłysły humorem.

- Brzmi interesująco, pod warunkiem że to nie ja musiałabym je rodzić. Jakie jest twoje zdanie, Andreo? Co o tym sądzisz? A tak przy okazji zastanawiania się nad odpowiedzią, czy nie mogłabyś przedstawić mi swojego narzeczonego?

- Maddy, to jest pan Sinclair i nie jest moim narzeczoną.

- Ale chcę nim zostać i nie tylko narzeczoną - dodał Brent. Pochylił się nad dłonią Madeline i złożył na niej szarmancki pocałunek.

Staruszka westchnęła rozmarzonym głosem.

- Nazywam się Madeline Foster i gdybym była kilka lat młodsza, stanęłabym z nią w konkury.

- Och, na Boga! - wykrzyknęła Andrea. - To niesamowite!

Brent zignorował ją i zwrócił się do Maddy.

- Za pani pozwoleniem, pani Foster, chciałbym zatańczyć z Andrea - oświadczył.

- Proszę wstrzymać się jedną chwilkę! - rzuciła zdenerwowana dziewczyna. - Gdzie podziewały się pańskie maniery, kiedy proponował mi pan małżeństwo i dzieci? Nagłe przypomniał pan sobie o dobrym wychowaniu?

- To sprawa pierwszeństwa, Andreo - wyjaśnił z dobroliwym uśmiechem. - Zależało mi na przedstawieniu swoich pragnień, a teraz, po ich wypowiedzeniu, mogę już zgodnie z etykietą ubiegać się o panią.

- To brzmi sensownie - zgodziła się Maddy. - Zatańcz z tym miłym panem, kochanie. - Odwracając się do Brenta, powiedziała: - Na tarasie wieje przyjemna bryza i świeci księżyc w pełni.

- Nie zachęcaj mnie, Maddy. Prawie nie znam tego pana.

- W takim razie radzę, byście czym prędzej bliżej się poznali, skoro planujecie mieć ze sobą dzieci. Wielkie nieba, Andreo. Zbierz się do kupy, dziecińco.

## 5

Czy zawsze dostaje pan wszystko, co pan chce? - zapytała Andrea ze zmarszczonymi brwiami, wirując w ramionach Brenta do rytmu popularnego walca.

- Wręcz przeciwnie - odpowiedział. - Ale z drugiej strony nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek pragnął kogoś tak bardzo, jak pragnę ciebie.

- No, to już przesada! Do dzisiejszego wieczora nawet pan nie wiedział, że istnieję.

- Do dzisiejszego popołudnia - poprawił ją łagodnie. - Czy zapomniałaś, że posłałem ci orchideę?

Zmarszczyła czoło z namysłem.

- Jest piękna i dziękuję panu, ale jestem zmieszana. Kiedy i dlaczego wpadł pan na pomysł, by mi ją podarować? Nie przypominam sobie, żebym pana wcześniej widziała.

- Ale ja cię zobaczyłem i nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Właśnie rejestrowałem się w hotelu, kiedy wyszłaś z windy. Recepcjonista powiedział mi, jak się nazywasz.

- I to przypadek, że obydwójce znaleźliśmy się na tym przyjęciu? - dopytywała się.

- Nazwałbym to przeznaczeniem - oświadczył ostrożnie. Nie chciał jej oszukiwać, ale nie chciał także, by wiedziała, że pracuje jako detektyw dla agencji Pinkertona. Przynajmniej nie w tej chwili. Poza tym sam się zdziwił, kiedy się okazało, iż to właśnie Andrea jest damą do towarzystwa

osoby, którą miał śledzić. Może kiedyś, gdy się lepiej poznają, będzie mógł wyjawić jej prawdę nie narażając na uszczerbek dochodzenia, ale jeszcze nie teraz.

- Skąd pan pochodzi, panie Sinclair? Z pewnością nie z Filadelfii, skoro zatrzymał się pan w tym hotelu.

- Mieszkam w Nowym Jorku. I wydawało mi się, iż ustaliliśmy, że będziesz mówiła mi po imieniu.

- Na nic takiego się nie godziłam. Jednakże nie widzę w tym nic złego. Ma pan ładne imię.

- Tak też uważali moi rodzice - zwierzył się. - To skrót od Brenton. A czy ja mogę mówić ci Andrea?

- Proszę bardzo. Odnoszę wrażenie, że odmowa na nic się nie zda. Jesteś upartym osobnikiem.

Posłał jej łobuzerski uśmiech.

- Widzisz. Już zaczynamy więcej dowiadywać się o sobie. Jak brzmi twoje pełne nazwisko?

- Alexandra Ann Albright. Zdaje się, że w moim przypadku matka uparła się przy pierwszej literze alfabetu. Oczywiście, podobnie postąpiła z moją siostrą. Nazwała ją Lillian Leah.

- Czy twoja siostra jest także taka piękna?

Nagła chmura przysłoniła wzrok Andrei, oczy zasnuły się smutkiem.

- Moja siostra zmarła na zapalenie płuc kilka miesięcy temu. Jej odejście było dla mnie wielkim ciosem.

- Przykro mi - szczerze odpowiedział Brent. - Gdybym wiedział, nie pytałbym. Czy masz inne rodzeństwo?

- Nie, byliśmy tylko dwie - Lilly i ja. Moi rodzice zmarli przed kilku laty. - Westchnęła głęboko, po czym postanowiła skierować temat rozmowy na osobę towarzysza.

- A co z tobą? Czy masz braci lub siostry?

- Czy mam? - zawołał. - Mam dwóch starszych braci, którzy wraz ze mną pracują w firmie prawniczej mojego ojca. Oprócz tego jest jeszcze młodszy brat, Danny, który studiuje medycynę. Kończy naukę za pół roku. Mamy także młodszą siostrę, Hope, ulubienicę całej rodziny. Mama tak

ją nazwała - nadzieja - bo będąc piątą raz w ciąży, po urodzeniu czterech synów, bardzo pragnęła dziewczynki.

Andrea uśmiechnęła się.

- Podoba mi się to. Wygląda na to, że jesteście sobie bardzo bliscy.

- To prawda - przyznał ochoczo - choć nie zawsze się ze sobą zgadzamy. Mama często nas straszy, że da nam po głowach, zwłaszcza kiedy zbieramy się w niedzielę na wspólnym obiedzie. Nieodmiennie któreś z nas porusza jakiś gorący temat, a przy czterech prawnikach w pokoju trudno jest o spokojną rozmowę. Oczywiście, będziesz mogła sama się o tym przekonać, kiedy cię im przedstawię. Matka będzie zachwycona. Od lat namawia mnie, bym się ożenił.

Andrea popatrzyła na mówiącego.

- Znowu zaczynasz mówić od rzeczy. To, że pozwoliłam ci zwracać się do siebie po imieniu, nie oznacza, że zgodzę się za ciebie wyjść.

Brent spojrział na nią z wyrzutem. W tej chwili przypomniał jej Stevie'ego, kiedy nie mógł dostać tego, czego pragnął.

- Dlaczego nie? Jestem jeszcze zupełnie młody, zdrowy. Nawet zęby mam wszystkie własne. Jestem dość wysoki i wcale nie skapcianiąły. Przynajmniej nikt mnie tak nie opisuje.

Wbrew sobie, Andrea zaczęła się śmiać.

- Brent, doskonale wiesz, że jesteś ogromnie atrakcyjnym mężczyzną, więc nie bierz mnie na litość. To ci się nie uda.

Spoważniał i popatrzył na nią roziskrzonymi złotem oczami.

- Proszę, powtórz to.

- Co mam powtórzyć? Że jesteś przystojny?

- Nie. Powtórz moje imię. Słyszę je całe życie, ale przysięgam, że w żadnych innych ustach nie brzmiało ono tak słodko.

Andrea poczuła, jak zamiera jej serce. Musiała dwukrotnie przełknąć ślinę, zanim zdołała wydusić:

- Brent - szepnęła.

- Andreo - powiedział także cicho, nadal wpatrując się w nią zdumionym wzrokiem. Popatrzył na jej usta, ale po chwili wpatrzył się w jej oczy. - Pragnę cię pocałować.

Andrea nie zdawała sobie sprawy, że tańcząc zbliżają się do wyjścia na taras. Wyszli na zewnątrz w ciepłą letnią noc i wtedy Brent przycisnął ją mocniej do siebie. Księżyc oblał ich miękkimi, srebrzystymi promieniami, jakby dawał im swoje błogosławieństwo.

- Myślałem, że jesteś piękna - odezwał się Brent - ale tu, pod tym nocnym niebem, jesteś po prostu przecudowna.

- Zaczął delikatnie gładzić ją po włosach. - Promienie księżyca nie są tak jasne ani tak gładkie jak twoje włosy. Gwiazdy umierają z zazdrości widząc lśnienie twoich oczu. Twoje usta musiał formować sam Kupidyn, by pokazać ziemianom, jak wygląda rajska piękność. I kimże jestem ja, by oprzeć się tak wyrefinowanej pokusie?

Opuścił głowę, lekko dotykając jej ust swoimi. Był niebywale delikatny.

- Masz smak szampana i światła gwiazd.

Rozsunęła wargi w westchnieniu, zarzuciła mu ręce na szyję, by trzymać jego głowę blisko siebie. Językiem dotknęła jego mocnych, gorących warg.

- A ty masz smak... niebezpiecznie cudowny.

Pocałował ją mocniej, intensywniej, jakby nie potrafił już dłużej powstrzymać w karchach pożądania. Ich usta połączyły się w szalonym pragnieniu zbliżenia. Spijali z nich nektar pałającej w nich namiętności. Żywili się nią. Ich głód rósł - coraz większy i większy.

Język Brenta otarł się o jej język. Muskał ją, pieścił, wzniecał emocje tak dziwne i wspaniałe, że Andrea czuła w głowie całkowitą zamęt.

Serce biło jej mocno i szybko. Bała się, że zaraz pęknie. W żołądku czuła dziwne poruszenie, jakby trzepotały się w nim całe gromady motyli. Zalało ją nieznaną ciepło i sprawiło, że na całej skórze czuła dreszcze, a biust wyda-

wał się dziwnie ciężki, sutki niesamowicie wrażliwe, jakby gorąco bijące od Brenta bez przeszkód przenikało przez ubrania dzielące ich ciała.

Kiedy się rozłączyli, Andrea nie mogła złapać tchu. Jej towarzysz znajdował się w nieco lepszym stanie. W jego oczach lśniło niepohamowane pożądanie.

- Pani, jesteś absolutnie niesamowita! - wykrzyknął cicho, gładząc palcem jej napuchnięte od pocałunków usta.

Andrea zadrżała od tego dotyku.

- Czy dobrze robimy? - zapytała zachrypniętym głosem.

- Moja słodka Andreo, niewiele brakowało, a zapomniałbym się na tyle, że kochałbym się z tobą tu, w tym miejscu. Powiedz, że za mnie wyjdiesz. Dzisiaj. Jutro. Tak szybko, jak tylko da się załatwić formalności. Zanim zaszokujemy mieszkańców Filadelfii.

- Sama w tej chwili jestem dość oszołomiona - przyznała słodko. - Ale nie na tyle, by zgodzić się na ślub z mężczyzną, którego, prawie nie znam.

- Martwiłem się, że o tym wspomnisz - stwierdził z ciężkim westchnieniem. - Jednak nie jestem człowiekiem, który łatwo się poddaje. Przynajmniej powiedz, że spotkasz się ze mną jutro. Zwiedzimy razem wystawę.

- Już wcześniej miałyśmy z Maddy takie plany. Liczy na to, że będę jej towarzyszyć.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie moglibyśmy pójść tam we trójkę? -. nalegał z przymilnym uśmiechem.

- Zazwyczaj dołączają do nas przyjaciele Maddy, więc nasza grupa będzie prawdopodobnie znacznie większa - poinformowała, wyraźnie starając się go zniechęcić.

Wzruszył tylko ramionami.

- Trudno, będę się męczył. O której się spotkamy?

Choć uprzedzony, Brent z rozczarowaniem stwierdził, że grupa przypomina hordę najeźdźców, składającą się z dziewięciu dam i trzech dżentelmenów, włączając jego osobę. Mimo to pocieszył się, że może upiec dwie pieczenie na

jednym ogniu, łącząc obowiązki z przyjemnością. Spędzi dzień z Andrea, a zarazem będzie śledził Madeline Foster i jej waszyngtońskich znajomych.

- Jesteś pewien, że chcesz z nami iść? - dopytywała się Andrea, widząc wyraz jego twarzy.

- Nigdy w życiu nie przepuściłbym tej okazji - zapewnił, pomagając jej i Maddy wsiąść do oczekującego na nich powozu. Później sam się do niego wspiął.

- Cóż, to nic w porównaniu z samą wystawą, więc mam nadzieję, że lubisz tłum.

- Oczywiście, że lubi, kochana - wtrąciła się Maddy. - W końcu pragnie mieć dziesięcioro dzieci. A może to była dwunastka, już nie pamiętam.

Andrea skrzywiła się na tę uwagę, a Brent uśmiechnął.

- Dziesiątka wystarczy. Jeżeli Andrea zgodzi się zostać ich matką.

- Wnioskuje z tego, że lubisz dzieci? - zapytała Andrea, zastanawiając się, jak Brent przyjąłby Stevie'ego. Niemal całą noc spędziła na wyobrażaniu sobie, jak wyglądałoby małżeństwo z takim mężczyzną. Snuła marzenia o cudownym odzyskaniu siostrzeńca oraz o życiu przy boku kogoś tak wspaniałego jak Brent. Ale marzenia były na razie nieziszczalne. Może kiedyś... gdy Stevie będzie bezpieczny, a ona nie będzie musiała kraść, umierając przy tym ze strachu, że zostanie przyłapaną na gorącym uczynku.

- Uwielbiam dzieci - oświadczył. - Obydwaj moi starsi bracia są żonaci. Bob i Caro mają chłopca i dziewczynkę. Jedno ma cztery, drugie dwa lata. A Arnie i Sheila mają trzyletnią dziewczynkę i następne dziecko w drodze. Ryzykuję, że posadzicie mnie o brak skromności, ale muszę powiedzieć, że jestem wspaniałym wujkiem. Dzieciaki mnie uwielbiają. Oczywiście nieprzyzwoicie je rozpieszczęm - pochwalił się.

- Naprawdę? - droczyła się Andrea, chcąc usłyszeć coś więcej.

- Daję im wszystkie drobne, jakie znajduję w kiesze-

niach, potem zabieram je do cukierni i kupuję słodczyce, rujnując im apetyty przed kolacją - opowiadał z przebiegłym uśmiechem. - Kupuję im zabawki i różne drobiazgi, i zabieram do parku na przejażdżki na kucykach. Potem, gdy już się zmęczą, zwracam je rodzicom, a na następne eskapady zabieram je dopiero wtedy, gdy się porządnie najedzą i wyśpią.

Andrea wybuchnęła śmiechem.

- Tego się oczekuje od wujka. Jednak na ojcu spoczywa trochę więcej obowiązków. Jesteś pewien, że pragniesz mieć dziesięcioro własnych dzieci?

- Nie upieram się co do liczby, oczywiście. Ty, jako moja żona, także będziesz miała coś do powiedzenia.

- Ulżyło mi, kiedy to usłyszałam.

- Lubisz dzieci, prawda?

- Pytanie jej o to teraz, to jak zamykanie drzwi od stajni, kiedy koń już z niej uciekł, nie uważasz? - orzekła Maddy, rzucając w jego stronę rozbawione spojrzenie. - Ale masz szczęście, ponieważ Andrea uwielbia dzieci. Powinieneś zobaczyć ją z jej małym siostrzeńcem. To urodzona matka.

- Siostrzeńcem? - zdziwił się Brent. - To pewnie syn twojej siostry?

- Tak. Syn Lilly - potwierdziła krótko. Uśmiech na jej twarzy nieco przybladł.

Brwi Brenta zbiegły się u nasady nosa.

- Wybacz, ale jestem nieco zagubiony. Zrozumiałem, że twoi rodzice i siostra nie żyją, i że nie masz innych sióstr ani braci. Kto opiekuje się chłopcem?

- Do niedawna ja. Na jakiś czas zabrał go ojciec, ale mam nadzieję szybko go odzyskać.

Brent mocniej zmarszczył brwi.

- Jak to? Wydawało mi się, że większość mężczyzn wolałaby zostawić dziecko przy sobie, jeśli tylko byłoby to możliwe. Czy zajmujesz się siostrzeńcem, kiedy twój szwagier pracuje?

- Ojciec Stevie'ego nie należy do typowych mężczyzn.

Przynajmniej ja tak uważam - gorzko oświadczyła Andrea, tonem głosu zdradzając, jak bardzo nie lubi tego człowieka. - I nie jest on, ani nigdy nie był, moim szwagrem. Jeśli chodzi o pracę, to wątpię, by choć jeden dzień w swoim żalnym życiu przepracował uczciwie!

Brent wyglądał na wielce zdumionego.

- Chcesz powiedzieć, że on i twoja siostra nie byli małżeństwem?

- To przejaw wielkiej inteligencji, że to zrozumiałaś - rzuciła mu kwaśno z ostrzegawczym błyskiem w oku. - No, a teraz, czy moglibyśmy zmienić temat rozmowy na jakiś przyjemniejszy?

Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy, jakby był zaskoczony, że potrafi być taka uszczypliwa.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Machnął kapeluszem w żartobliwym geście poddania, po czym zaczął paplać, co mu ślina na język przyniosła. - Piękny mamy dzień, nieprawdaż? Czy widziały panie kiedykolwiek niebo tak lazurowe i czyste? I czyż ten trawnik nie posiada najwspanialszego odcienia zieleni? A co jadłaś na śniadanie, najdroższa?

Andrea, nie mogąc się powstrzymać, przestała sznurować usta. Maddy otwarcie wybuchnęła śmiechem, wyraźnie zachwycona nimi obojgiem.

Żeby uniknąć „Stuletniego Miasta”, budynków ciągnących się na milę, wystaw i podrzędnych straganów, które ustawiono dla zabawy tłumów przed głównym wejściem do Fairmount Park, kierowca podwiózł ich pod jedno z bocznych wejść. Stamtąd zabrali się specjalnym tramwajem, który zawiózł ich do fontann, ulokowanych pomiędzy dwoma największymi budynkami wystawy, skąd mieli rozpocząć zwiedzanie.

- Co będziemy zwiedzać najpierw? - zapytał jeden z uczestników wycieczki. Wybór był rzeczywiście ogromny - ponad dwieście budynków i trzy tysiące ekspozycji.

- Wczoraj ledwie zdążyliśmy obejrzeć główny gmach - zauważył ktoś inny. - Zacznijmy od miejsca, w którym skończyliśmy, i zobaczmy tyle, ile się da.

- Co i tak będzie niewiele - oświadczyła Maddy. - Jest tu tyle interesujących rzeczy, że założę się, iż całe lato nie wystarczyłoby na zobaczenie wszystkiego. Ten ostatni tydzień to tylko słaby początek. Lyss i Julia mówili mi, że wystawa jest ogromna, ale dopóki sama się nie przekonałam, nie miałam pojęcia, że jest aż tak olbrzymia.

- Lyss i Julia? - zapytał Brent Andreę. - Czy ona mówi o prezydencie Grancie i jego żonie?

Andrea kiwnęła twierdząco głową.

- Tak. Maddy się z nimi przyjaźni. Po powrocie z ceremonii otwarcia wystawy prezydent wydał specjalny obiad, na którym opowiadał o wszystkich tutejszych cudach. On i pierwsza dama byli zachwyceni, i widzę, że mieli rację.

- Ja także - zgodził się Brent, choć jego uwaga tyczyła się dwóch spraw. W danej chwili, kiedy nie widział jeszcze nic z wystawy, większe wrażenie zrobił na nim fakt, iż Maddy jest tak blisko związana z prezydentem i jego żoną, że bez skrępowania mówi o nich po imieniu. Jego własna rodzina była nieźle ustosunkowana, z gronem bogatych i wpływowych znajomych, jednak przyjaźnie Maddy okazały się jeszcze bardziej znamienite, o czym zresztą Ken napomykał. Zmusiło to Brenta do zastanowienia się, jak wielką władzą może poszczycić się ta staruszka, pomimo swojego słodkiego i łagodnego wyglądu.

Jedno wydawało mu się jasne - musi bardzo ostrożnie prowadzić śledztwo. Nie powinien powyrywać zbyt wielu piór z pawiego ogona, nawet jeśli popularność prezydenta Granta ostatnio znacznie spadła za sprawą skandali, w jakie wdała się jego administracja, korupcji i rządowych umów z poplecznikami.

Dzień spędzili bardzo pracowicie. Zwiedzili budynek główny, z ekspozycjami wyrobów manufaktury i fascynującymi efektami naukowych osiągnięć. Słuchali wykładu Tho-

masa Edisona, który wytłumaczył działanie automatycznego telegrafu, i na własne oczy zobaczyli Alexandra Grahama Bella demonstrującego swój cudowny telefon.

- Czy wierzysz, że pewnego dnia we wszystkich domach w Ameryce znajdzie się taki aparat? To wydaje się niesamowite! - zastanawiała się Andrea.

- Zgadza się, ale mam nadzieję, że będę taki miał - rzucił Brent. - Tylko pomyśl, jaka to wygoda i oszczędność czasu, kiedy chcesz skomunikować się z kimś oddalonym o setki mil. Dopiero wtedy biznes by się rozkręcił!

Maddy przyznała mu rację, jednak zwróciła uwagę na oczywiste ograniczenia.

- Urządzenia tego można będzie użyć tylko wtedy, gdy osoba, z którą chcesz się porozumieć, także będzie je posiadała. A więc wszystko zależy od jego powszechności. Osobiście wolę gołębie pocztowe - zwierzyła się rozmarzonym głosem. - To takie łagodne i delikatne stworzenia, nie uważacie? Chociaż - dodała z żartobliwym mrugnięciem - gdybyście wy dwoje mieli telefony, ja także chciałabym taki mieć, by móc kontaktować się z wnuczętami. Pozwolicie mi zostać ich babką, prawda?

- Naturalnie - potwierdził Brent nieco zmieszany.

Andrea przewróciła oczami i zaczęła głośno się modlić.

- Boże, błagam, oświeć tych dwoje większą dawką rozsądku, zanim wciągną mnie w swoje niedorzeczne fantazje.

Ruszyli dalej, przyglądając się eksponatom z różnych zakątków świata. Materiały najróżniejszych faktur i kolorów; dywany i materiały obiciowe; serwisy z porcelany, srebra, kryształy z rzeźbionego szkła, tak wspaniałe, że aż niemożliwością było wyobrazić sobie, że się je posiada; egzotyczne potrawy i napoje; mechaniczne urządzenia i zabawki; brąz i kość słoniowa, biżuteria tak cudowna, że kobiety, przyglądając się im zza szklanych witryn, wdychały z pożądania.

Wraz z innymi Andrea wpatrywała się z gorączką w oczach w kosztowności znajdujące się bezpiecznie poza

jej zasięgiem. Czują się jak głodny żebrak, którego posadzo-  
no przy stole biesiadnym, ale zabroniono jeść! Niewiel-  
ka cząstka zgromadzonych tu bogactw oswobodziłaby Ste-  
vie'ego i dziesięcioro innych dzieci.

- Gdybyś mogła dostać coś spośród przedmiotów, które  
widziałaś, co byś wybrała? - zapytał ją Brent. - Złoty  
naszyjnik? Jedwabne kimono? Biżuterię? A może sobolowe  
futro?

Andrea oderwała wzrok od kuszącego pudełka z biżuterią.

- Naprawdę nie wiedziałabym, co wybrać. Wszystko tu  
jest takie wspaniałe. Choć bardzo podobał mi się ten szal  
z Chantilly. - A ty, co byś wybrał? - zadała mu to samo  
pytanie.

Uśmiechnął się szelmowsko i jego złote oczy rozświetlił  
diabelski błysk.

- Ja wziąłbym ten dywanik z tygrysa bengalskiego. -  
Pochylił się, by następne słowa dotarły tylko do niej. -  
Potem położyłbym cię na nim, naga jak w dniu, w którym  
się urodziłaś, i kochałbym się z tobą aż do utraty tchu.

Andrea, zaszokowana odpowiedzią podniosła na niego  
zgorzony wzrok. Ponieważ miała nadal świeżo w pamięci  
historię z Freddym i Lucillą, odważne słowa Brenta w jed-  
nej chwili przywołały do jej umysłu odpowiednie sceny. Bez  
trudu wyobraziła sobie dotyk miękkiego, gęstego futra na  
gołej skórze, skrzypiący ogień oblewający poświatą ich  
zwinne, odkryte ciała. Ciepło wydawało się tak realne, że  
policzki zaczęły jej płonąć, a kolana pod nią się uginać.

- Och, mój Boże! - zawołała zduszonym głosem, zbyt  
przejęta, by wymyślić bardziej sensowną odpowiedź, czy  
przynajmniej zganić towarzysza za obraźliwe zachowanie.

Słyszając ten okrzyk Maddy odwróciła się, a widząc za-  
czerwienione policzki Andrei, zawołała:

- Och, wielkie nieba. Następna ofiara tej gorącej bryzy!  
Niech ktoś poda tej biednej dziewczynie krzesło, zanim nam  
tu zemdleje. I szklaneczkę wody!

- Nie! - Andrea uniosła roztrzęsioną dłoń na znak, że

wszystko jest w porządku. - Czuję się dobrze. Naprawdę, Maddy. Proszę, nie rób zamieszania z mojego powodu.

Staruszka przyglądała się jej z troską.

- Moim zdaniem nie wyglądasz dobrze, moja młoda damo. Jakbyś miała zaraz zemdleć.

- Przyznaję, że przydałby mi się łyk świeżego powietrza - zgodziła się Andrea.

Maddy kiwnęła głową.

- Myślę, że wszystkim nam dobrze zrobi mała przerwa i jakiś posiłek.

Kilka osób z grupy zgodziło się z nią, więc ruszyli w stronę najbliższych drzwi, kierując się do pawilonu Public Comfort. Brent widząc, że Andrea wprost słania się na nogach, wziął ją w ramiona i jak dziecko wyniósł z sali wystawowej.

- Natychmiast mnie postaw! - syknęła mu do ucha. - Robisz z nas widowisko!

Roześmiał się cicho.

- Staram się po prostu zachować szarmancko - oświadczył niewinnym tonem, całkowicie sprzecznym z łobuzerskim lśnieniem oczu.

Popatrzyła na niego.

- Zaczynam podejrzewać, że w porównaniu z tobą nacie-  
rający Wiking jest bardziej rycerski! Jak śmiałeś mówić mi o takich rzeczach?

- Powinnaś do tego przywyknąć, kochanie - poradził jej spokojnie. - Zamierzam do końca życia szeptać ci w uszko słodkie propozycje.

- Ten moment może nadejść szybciej, niż chcesz - ostrzegła go.

Spojrzał na nią wyzywająco.

- Czyżbyś mnie straszyla, Andreo?

- Nazywaj to sobie jak chcesz, ale postaw mnie w tej sekundzie, bo inaczej zagraża ci dożywotnie kalectwo!

- No, no, ależ z ciebie ognista bojowniczką! - kpił, wcale nie przestraszony. - Całkiem inaczej wyobrażałem sobie

ciębie, kiedy po raz pierwszy ujrzałem twoje złociste włosy. Niemniej jestem zachwycony tym odkryciem. Lepsze to niż małżeństwo z jakąś lodowatą księżniczką czy bojaźliwą myszką.

Zanim zdążyła wypełnić swoją groźbę, Brent delikatnie posadził ją na krześle. Zdziwiona stwierdziła, że dotarli już na miejsce i znajdują się w wielkim holu.

- Choć bardzo pragnąłbym dalej cię nieść, podejrzewam, że zostałbym zlincowany, gdybym wniósł cię do przebieiralni dla kobiet. Czy myślisz, że uda ci się tam dojść bez mojej asysty? - zapytał, powstrzymując śmiech.

Spojrzenie, które mu rzuciła, miało go zmrozić na sople lodu.

- Jakoś sobie poradzę, zapewniam cię. I wcale się nie zmartwię, kiedy po powrocie już cię tu nie zastanę.

- Och, nie uda ci się tak łatwo mnie pozbyć, mój ognisty aniele - oświadczył. - Widzisz, czekałem całe życie, żeby cię odnaleźć, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię zatrzymać.

- Nie należę do ciebie, więc nie możesz mnie zatrzymać - przypomniała mu.

- Ale będziesz należała. Już wkrótce. A wtedy resztę moich dni spędzę na czynieniu cię najszcześniejszą kobietą na świecie.

Podniosła się i ruszyła w stronę damskiej przebieralni.

- Założę się, że pozostała część twojej rodziny składa się z bardzo miłych osób, bo ty odziedziczyłeś całą rodzinną zarozumiałość.

Roześmiał się tylko i powiedział:

- Zmienisz zdanie, kiedy ich poznasz, i tym bardziej uznasz mnie za prezent od losu.

Odchodząc Andrea rzuciła za siebie:

- A to dopiero ciekawa opinia.

## 6

Kiedy tylko drzwi toalety zamknęły się za Andrea, natychmiast rozwarła zaciśniętą dłoń, by popatrzeć na zegarek i złoty łańcuszek, należące do Brenta. Ukradła je i najprawdopodobniej powinna się wstydzić, ale co tam, do diabła - tak ją rozłościł, że to zrobiła. Nieokrzesany neandertalczyk! Obnosił się z nią jak z jakąś pojmaną dziewczką! Należała mu się kara za to barbarzyńskie postępowanie. Poza tym potrzebowała następnych łupów.

Otworzyła wypchaną torbę i włożyła do niej ukradziony zegarek. Opadł na kupkę przedmiotów, które udało jej się ukraść w tych nielicznych momentach, kiedy Brent przestawał się nią interesować. Nie było to łatwe, bo przez cały ranek nie odstępował jej na krok, ale od czasu do czasu jego uwagę zaprzętał jakiś eksponat.

Dzięki tłumowi i szczyptom, które dał jej Ralph, bez większego trudu pozbawiła kilku gości drogocennych świadectek. Zresztą przed wyjazdem przećwiczyła użytkowanie złodziejskich narzędzi na nic nie podejrzewającej służbie Maddy. Biedacy nie mogli zrozumieć, dlaczego nagle zaczęły ginąć ich osobiste przedmioty, które następnie znajdowali w najdziwniejszych miejscach.

Nauczyła się także korzystania z wytrychów, otwierając i zamykając zamki niezliczonych komód i szaf stojących na strychu w domu Maddy. Andrea była zdziwiona i odpowie-

dnio zgorzona, gdy stwierdziła, że ma do tego jakby wrodzony talent, choć ta wątpliwa zaleta okazała się w tej chwili bardzo pomocna. Prawda była taka, że straż na wystawie nie działała rzetelnie i tam, gdzie sprzedawcy oferowali towary do kupienia, ludzie tak się tłoczyli, że Andrea bez większego trudu mogła ściągnąć jakąś drobnostkę, na co zaganiani kupcy nie mieli czasu zwrócić uwagi.

Tego dnia udało jej się podkraść cztery zegarki, włączając w to zegarek Brenta, trzy męskie portfele, beztriosko wystające właścicielom z kieszeni, oraz dwie bransoletki z drogiemi kamieniami. Z jednej z ekspozycji ściągnęła orientalny wachlarz oraz inkrustowaną srebrną puszkę na tytoń pozostawioną na ladzie.

Jeśli dopisze jej szczęście, do końca dnia uda jej się zebrać dużo więcej. Byleby tylko Brent przestał się za nią uganiać, a wtedy w pozornym spokoju będzie mogła zająć się tym wątpliwej natury procederem. Jednak jakoś nie wierzyła, że tak się stanie - i gdzieś w głębi serca wcale tego nie pragnęła, ponieważ pomimo wszystko coś silnie ciągnęło ją do tego upartego prawnika z błyszczącymi czarnymi włosami i czarującymi tygrysimi oczami.

Dopiero później, przebijając się do kolacji, Brent odkrył, że ktoś ukradł mu zegarek. Przez chwilę nie chciał w to uwierzyć. Może upuścił go, kiedy się rozbierał. Robił to automatycznie, głowę zajęta miał innymi sprawami, toteż zupełnie nie pamiętał momentu, w którym odpinał pasek zegarka. Ale z pewnością musiał to zrobić. Może upadł na podłogę albo wpadł pod komodę.

Krótkie poszukiwania nie dały pożądaných rezultatów, więc nie pozostawało mu nic innego, jak pogodzić się z faktem, z niemąłą dozą zaskoczenia, że ktoś, w jakiś sposób, w którymś momencie rzeczywiście zdołał ukraść mu zegarek! Natychmiast obok niedowierzania pojawiły się inne uczucia. Przede wszystkim gniew, że ktoś śmiał wziąć coś, co należało do niego. I zawstydenie, że nie zauważył, gdy

go okradano. Czuł się jak kompletny palant! Cóż z niego za detektyw, jeśli do tego dopuścił?

- Najwyraźniej kiepski - mruknął pod nosem, czując obrzydzenie do samego siebie. - I niezbyt poświęcający się swojemu zadaniu. Pozwoliłem, by moja uwaga zwróciła się gdzie indziej, skoncentrowałem się na Andrei, zamiast na pracy, dla której mnie tu przysłano.

Nie miał już wątpliwości, że złodziej skorzystał z jego zauroczenia urodą Andrei. Może winić jedynie samego siebie. Gdyby zachował zdrowy rozsądek, przyłapałby złodziejaszka. Mógłby na miejscu wyjaśnić sprawę, a potem bez przeszkód oddać się zdobywaniu damy swego serca. A tak, przez jego głupotę, lis nadal hula na wolności, w tej właśnie minucie ograbiając następną osobę!

Najgorsze, że najprawdopodobniej złodziejem jest ktoś z ich grupy. Jeden ze znajomych Maddy, tak jak podejrzewał Ken. W ciągu dnia Brent starał się zebrać nieco informacji o każdym z nich i zwracać uwagę na podejrzane zachowanie, ale najwyraźniej nie powiodło mu się. Całkowita klapa. Pocieszał się nadzieją, że złodziej nie jest świadom, iż on pracuje dla agencji Pinkertona, bo inaczej śmiałby się do rozpuku - co i tak zresztą pewnie czyni, skoro tak łatwo udało mu się wywieść w pole zakochanego głupca!

- Musisz szerzej otwierać oczy - upomniał sam siebie - albo, jak mówi Maddy, wziąć się wreszcie do kupy.

Ale czy przy okazji nie utraci Andrei? Szczerze mówiąc, gdyby przyszło mu wybierać, zaniechałby śledzenia złodzieja. Nie miał także pojęcia, jak długo Andrea, Maddy i reszta towarzystwa zostaną w Filadelfii. Ile czasu pozostało mu na wypełnienie podwójnego - jak się teraz okazało - zadania: pochycenie złodzieja i podbicie serca Andrei?

Kiedy Andrea otworzyła drzwi młodemu posłańcowi trzymającemu pudełko z kwiatami, tym razem większe i cięższe od poprzedniego, nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Uznała, że to kolejna oznaka zainteresowania nią Brenta

-jego sposób uwodzenia jej, przeprosiny za wcześniejsze zachowanie albo obie te rzeczy jednocześnie.

Otworzyła pudło, w którym znalazła osadzony na mosiężnej podstawie olbrzymi bukiet z otwierającymi się śnieżnobiałymi pąkami. Na dołączonym liściku widniał napis:

*Księżycowe kwiaty dla mojej księżycowej damy.*

*Z miłością, Brent S.*

Na dole karteczki umieścił dopisek:

*Te kwiaty zakwitają o północy - tak jak, mam nadzieję, i ty zakwitniesz w moich objęciach.*

Przeszyło ją uczucie żalu. Brent jest taki miły, taki romantyczny, a co ona uczyniła w podzięce? Ukradła mu zegarek! Zastanawiała się nad oddaniem mu go, ale naprawdę nie wiedziała, jak to zrobić, żeby jej nie schwytano albo żeby nie wzbudzić podejrzeń samego Brenta. Nagle wpadła na pomysł. Oczywiście, to takie proste! Jaka z niej idiotka, że nie pomyślała o tym od razu! Przecież Brent niósł ją na rękach. Powie mu, że zegarek musiał zaczepić się o falbanę sukni i że zauważyła go dopiero po powrocie do pokoju, gdy upadł na podłogę.

To był wspaniały plan. Brent odzyska swoją własność, a ona pozbędzie się poczucia winy. Nic lepszego nie można wymyślić. Jeśli w dodatku któryś ze znajomych Maddy zaczął ją podejrzewać, przestanie to robić. Bo jaki złodziej oddaje przedmioty, które raz ukradł?

Andrea przebierała się do obiadu z większą niż dotychczas uwagą. Nie tylko zależało jej, by wyglądać pięknie ze względu na Brenta, ale też chciała, by biła od niej słodka aura niewinności. Wybrała białą prążkowaną suknię z satyny; dekolt w kształcie serca obszyty był delikatną taśmą z naszytymi na niej bladoróżowymi bukietnikami. Taka sama

taśma wieńczyła koronkowy pas sukni oraz jej kraj. Dół sukni z gracją spływał w dół. Na jednym biodrze udrapowana była po przekątnej różowa satyna.

Upięła włosy na czubku głowy, pozostawiając na czole falujące pasemka. Z lewego boku spływał jeden gruby lok, w który wplotła kiść księżycowego kwiatu. W uszach i na szyi widniały połyskujące kamienie księżycowe, które podarowała jej Maddy. Andrea miała nadzieję, że tego wieczora ich tajemnicza moc ujawni się i rzeczywiście przyniosą jej szczęście.

Właśnie mówiła sobie, że udało jej się osiągnąć aż przesadnie skromny, niewinny wygląd, kiedy Maddy powiedziała:

- Wyglądasz prześlicznie, Andreo. Jak różowo-białe lukrowane ciasteczko albo jakaś wróżka przemykająca po porośniętej kwieciami łące.

Zjawił się Brent, by poprowadzić obie panie do jadalni. Zlustrował wzrokiem każdy centymetr ciała Andrei, od ukwieconej głowy do czubków pantofelków, i jego oczy rozbłysnęły podziwem.

- Jesteś absolutnie boska! Prawdziwa księżycowa bogini! Za każdym razem, jak cię widzę, wydajesz mi się bardziej promienna.

- No tak - roześmiała się Maddy. - Kiedy osiągnie mój wiek, będzie po prostu przecudowna!

- Och, proszę, przestańcie mnie chwalić, bo wam uwierzę i stanę się tak zarozumiała, że nikt nie będzie mógł mnie znieść - powiedziała Andrea. - Nie jestem ostatnią brzydota, ale też nie jest ze mnie jakaś porywająca piękność.

- Dla mnie tak - szczerze zapewnił Brent.

Andrea odczekała, aż Maddy i jej znajomi zajmą miejsca przy stole, i dopiero wtedy wyjęła zegarek Brenta i podała mu go.

- Był zaczepiony o falbanę mojej sukni. Zdaje się, że należy do ciebie.

Brent wyglądał na bardzo zmieszanego. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Cała jego teoria o zuchwałym złodzie-

ju legła w gruzach. Wziął zegarek i przyjrzał mu się uważnie, chcąc sprawdzić, czy to na pewno ten.

- Dziękuję - wydusił z trudem. - Myślałem, że zgubiłem go na dobre.

- Prawdopodobnie tak by się stało, gdyby nie zaczepił się o moją suknię - rzuciła Andrea. - Choć wydaje mi się, że właśnie dlatego spadł ci z ręki.

- Tak - zgodził się, marszcząc z zadumą czoło. - Chyba tak właśnie było. Najprawdopodobniej wtedy, kiedy cię niosłem.

- No, ale odzyskałeś go i nie spóźnisz się już na żadne ważne spotkanie, a więc to łut szczęścia, nie sądzisz?

- O wiele większy niż zdarza się ostatnio większości z nas - zauważył sąsiad ze stołu.

Ta uwaga rozpoczęła dyskusję, której Andrea wolała uniknąć, ale poszczególne osoby zaczęły już wyliczać utracone przedmioty. Oczywiście ten tok rozmowy bardzo odpowiadał Brentowi, który cały czas zastanawiał się, jak zmusić grupę do mówienia o kradzieżach bez ujawniania swojej roli. Dość niefortunnie rozpoczęty wieczór miał się okazać bardzo owocny.

Jednak nie mógł nie zauważyć, że z całego towarzystwa tylko Maddy i Andrea nie wspomniały o ukradzionych rzeczach. Kiedy o to zapytał, starając się zrobić to jak najdelikatniej i jak najstosowniej, Andrea wytłumaczyła mu:

- W naszym przypadku trudno stwierdzić, czy padłyśmy ofiarą złodzieja, ponieważ Maddy często gubi przedmioty, które znajduje następnie w najdziwniejszych miejscach. Jeśli zaś chodzi o mnie, to nie posiadam nic, co mogłoby kogośkolwiek skusić.

Choć wcale nie uśmiechało jej się umniejszać siebie w oczach najbardziej intrygującego mężczyzny, jakiego spotkała do tej pory w życiu, pomyślała, że najlepiej powiedzieć prawdę. Przynajmniej kiedyś w przyszłości Brent nie będzie mógł zarzucić jej, że oszukiwała go, udając, iż jest

kimś więcej. Patrząc mu prosto w oczy, oświadczyła otwarcie i jasno:

- Może nie zdajesz sobie sprawy z charakteru mojej pozycji. Choć bardzo się z Maddy zaprzyjaźniłyśmy, pracuję u niej jako dama do towarzystwa i jej pomocnica. Jestem u niej na pensji, poza tym to ona płaci za moją garderobę. Dodatkowo zapewnia mi edukację, do której w innych okolicznościach nie miałabym dostępu. Bez niej byłabym biedna jak mysz kościelna i bez wątpienia pozbawiona wszelkiej ogłady.

Przez chwilę Brent wpatrywał się w nią w milczeniu, a dookoła niego zapadła napięta cisza, ponieważ wszyscy oczekiwali na odpowiedź, łącznie z Andrea. Kiedy wydawało jej się, że dłużej już nie zniesie napięcia, Brent podniósł jej zziębniętą dłoń do gorących ust i złożył na niej lekki pocałunek. Wspomniała, złociste oczy rozświeciły się uśmiechem.

- Zawsze uwielbiałem bajkę o Kopciuszku - powiedział ciepło. - A teraz wygląda na to, że trafia mi się okazja odegrania roli księcia. Pozostaje mi tylko życzyć sobie, żeby koniec opowieści okazał się dla mnie tak samo szczęśliwy jak dla niego.

- To takie urocze! - westchnęła Adelaide Kerr. Odwróciła się do męża i jej rozmarzona twarz przybrała zgryźliwy wyraz. - Dlaczego nigdy nie mówisz do mnie tak romantycznie, Henry? Nie zabiłoby cię to, wiesz?

- Widzisz, do czego doprowadziłeś? - szepnęła Andrea do Brenta, nadal trzymając rękę w jego ciepłej dłoni.

Spojrzał na nią, zmrużył oczy i w odpowiedzi mruknął:

- Chyba nie musimy zgadywać, kto zagrałby rolę złej macochy.

- Adelaide nie jest taka okropna. Inaczej nie należałaby do grona najbliższych przyjaciół Maddy - zapewniła Andrea.

- Ciekawi mnie tylko jedna rzecz.

- Jaka?

- Jeśli mam być Kopciuszkiem, to czy nie powinnam nosić czarodziejskich pantofelków?

Brent mrugnął do niej.

- To zadanie dla dobrej wróżki - przypomniał, kiwając głową w stronę Maddy.

Wolną dłonią Andrea dotknęła wiszącego na jej szyi naszyjnika.

- Coś mi się zdaje, że dzisiejsze wróżki zamiast pantofelków dają w prezencie kamienie księżycowe.

Choć Andrea miała wielką ochotę przyjąć zaproszenie Brenta na bal, który rozpoczynał się po kolacji, jednak musiała odmówić.

- Dzisiejsze gorąco dało mi się nieźle we znaki. Nie czuję się zbyt dobrze. Oczywiście to nic poważnego - pospieszyła z wyjaśnieniami, obawiając się, że każe wezwać do niej lekarza. - Jestem po prostu zmęczona. Jutro wszystko będzie w porządku.

- No dobrze - zgodził się niechętnie. - Mam nadzieję, że nie próbujesz mnie unikać.

- Czy to w ogóle możliwe? - droczyła się z ciepłym uśmiechem.

- Nie.' - Nie przejmując się resztą towarzystwa, złożył na jej policzku lekki pocałunek. - Odpoczywaj więc, i do zobaczenia rano.

W pół godziny później Andrea wymknęła się ukradkiem ze swojego pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi. Rozejrzała się na boki i stwierdziwszy, że ma przed sobą wolną drogę, ruszyła pospiesznie korytarzem, gasząc po drodze kilka gazowych lamp. W ciemnej sukni i płaszczu, w przyciszonym świetle zlewała się z mrokiem.

Kiedy dotarła do drzwi przy końcu korytarza, zastukała w nie cicho. Nikt nie odpowiadał, więc przyłożyła ucho, wsłuchując się w odgłosy w środku pokoju. Nic nie usłyszawszy, wyciągnęła z kieszeni wytrych i zabrała się za otwieranie zamka. Z ulgą stwierdziła, że puścił za drugim podejściem. Rzucając za siebie ostatnie ukradkowe spojrzenie, wśliznęła się do pokoju i zamknęła drzwi.

W środku stanęła na moment, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Oparła się o zamknięte drzwi, pragnąc, by serce przestało tak szaleńczo pompować krew, a ciało drżeć. Kiedy widziała już na tyle dobrze, że nie musiała bać się potknięcia o meble, rozpoczęła pospieszne oględziny dwóch sąsiadujących ze sobą pokoiów, sprawdzając, czy rzeczywiście nikogo w nich nie ma. Przekonawszy się, że jest tak w istocie, wyjęła z kieszeni świeczkę i zapaliła ją.

Teraz, kiedy widziała już wyraźnie, była trochę mniej przerażona. Nadal czekało ją przeszukanie pomieszczeń, zabranie wartościowych przedmiotów, a potem wymknięcie się niepostrzeżenie z apartamentu. Na szczęście, jeśli nie brać pod uwagę jakichś nieprzewidzianych zdarzeń, osoby zajmujące pokoje powinny były znajdować się w teatrze, gdzie z pewnością spędzą jeszcze jakiś czas.

Andrea zawsze starała się jak najwięcej dowiedzieć na temat planów swoich ofiar. W spisie hotelowym lub też w innym dostępnym źródle sprawdzała, ile osób zamieszkuje dany pokój. Podśłuchując rozmowy prowadzone w holu hotelowym mogła ustalić, co jej ofiary zamierzają robić w ciągu dnia. Poza tym, jakby służąc jej pomocą, obsługa hotelowa wywiesiła listę imprez i balów, na którą mieli wpisywać się potencjalni zainteresowani.

Zebrawszy wszystkie te wiadomości, ustalała, w jakich godzinach dany pokój będzie pusty. Zabezpieczała się w ten sposób przed natknięciem się na właścicieli, choć nigdy nie mogła być do końca pewna, co się wydarzy. Ani na chwilę nie zapominała o ostrożności, starając się przewidzieć każdy scenariusz i sytuację, które mogłyby pokrzyżować jej plany. Nagła zmiana decyzji, niespodziewana choroba, odwołane spotkanie. Im dłużej zajmowała się złodziejskim procederem, tym bardziej dochodziła do wniosku, że trzeba mieć do tego nerwy jak postronki.

Zapaliła świeczkę i natychmiast się przekonała, że mieszkańcy pokoju mają zwyczaj pozostawiać sprzątaną służbie. Na łóżku i na podłodze leżały bezładnie porzucane ubra-

nia. Puder pokrywał toaletkę, a także otwartą szkatułkę z biżuterią, z której wysypywały się drogie ozdoby.

Andrea szybko je przejrzała, po czym otworzyła obszerną torbę i wrzuciła do niej najbardziej wartościowe przedmioty. Z przyzwyczajenia zamknęła wieczko szkatułki, po czym przetarła rękawiczką blat oraz stojące na nim buteleczki i pudełka. Potem przeszukała szuflady komody. W jednej z nich natknęła się na wypchany pieniędzmi portfel wetknięty w męską skarpetę.

- Czy oni nigdy niczego się nie nauczą? - mruknęła do siebie. Nie trudząc się przeliczaniem banknotów, wrzuciła portfel do przepastnej torby.

Pomyślała o korzyściach płynących z faktu, że znalazła się w Filadelfii, w hotelu, w którym czekało na nią tysiące okazji. Jedni goście wyjeżdżali, a na ich miejsce natychmiast zjawiali się następni. Poza tym, skoro okradała osoby, które jej nie znały, nie musiała przejmować się liczbą skradzionych przedmiotów z obawy, że zbyt wcześnie wzbudzi czyjeś podejrzenia albo że ktoś skojarzy sobie jej obecność w domu w czasie kradzieży. Jednakże nadal starała się nie ruszać rzeczy, które wyglądały na pamiątki rodzinne. Ani na jotę nie zmniejszyło się jej poczucie winy, ale było jej jakoś łatwiej okradać nieznanym.

Po ogołoceniu szuflad komody zaczęła przeszukiwać ubrania porozrzucone po pokoju. Osoby tak nieporządne mają zwyczaj pozostawiać przy odzieży różnorodne ozdoby: broszki, spinki, zapinki. Przeglądając części garderoby, Andrea automatycznie je składała.

Prawie kończyła, zamierzając przejść z sypialni do salonu, kiedy ciche skrzypnięcie sprawiło, że stanęła jak wryta. Od drzwi dochodził odgłos przekręcanego w zamku klucza, niecałe sześć kroków od niej! Panika na kilka sekund całkowicie ją sparaliżowała. Potem, zebrawszy się w sobie, Andrea rzuciła się do najbliższej sofy i przykucnęła za nią. Pamiętała, by zdmuchnąć świeczkę, którą trzymała w rękach. Drzwi się otworzyły.

- Co to za zapach? - usłyszała dobiegający od progu kobiecy głos. - Tak jakby ktoś tu palił świeczkę.

- Prawdopodobnie używała jej sprzątaczką - rzucił bez zainteresowania mężczyzna. Miękkie światło gazowych lamp zalało pokój.

- Nie napracowała się - oświadczyła niechętnym głosem kobieta. - Popatrz tylko! Jeśli chciało jej się złożyć ubrania, dlaczego nie odłożyła ich na miejsce, zamiast zostawiać je na środku podłogi?

- Może nie potrafiła zdecydować, które są jeszcze na tyle czyste, że nadają się do odwieszenia, a które pójdą do pralni? - zasugerował towarzysz.

- Jeśli ja umiem to ocenić, ona z pewnością także!

Brzęczenie szkła i odgłos nalewanego płynu powiedziały Andrei, że małżonkowie szykują sobie drinki. Para błyszczących męskich butów zbliżyła się do sofy, po czym ich właściciel usiadł na niej ciężko. Choć Andrea nie mogła zobaczyć nic więcej oprócz stóp osobnika, po tym, jak głęboko zapadła się kanapa, uznała, że musi być dość potężny. Prawie wgniął ją w ścianę.

- Co ty chcesz od tej dziewczyny? - ciągnął. - Żeby wahała pod pachami, sprawdzając, czy ubrania są już przepocone?

- Nie musisz być złośliwy, kochanie, tylko dlatego że wyciągnęłam cię z tej strasznej sztuki przed końcem.

- Podobała mi się - upierał się mężczyzna.

- Zupełnie nie rozumiem, dlaczego. To najgorsze przedstawienie, jakie widziałam w życiu. - Głos kobiety oddalił się i Andrea domyśliła się, że jego właścicielka weszła do łazienki. W każdym momencie mogła się przekonać, że jej szkatułka jest prawie pusta!

- Nie do wiary, Thomas! Chodź i sam zobacz! Ta leniwa dziewczucha nawet nie poprawiła łóżka, nie mówiąc o zmianie pościeli! Będziesz musiał powiadomić o tym kierownictwo.

Mężczyzna podźwignął się z sofy, wzdychając przy tym

ciężko, po czym poszedł do sypialni, by dołączyć do swojej krzykliwej małżonki.

- Tak, kochanie, zrobię to. Ale czy nie możemy poczekać do rana?

Andrea, przyciskając do serca torbę ze skradzionymi przedmiotami, na czworkach rzuciła się do drzwi wyjściowych. Na szczęście nie były zamknięte na klucz, więc po lekkim przekręceniu gałki otworzyły się bez kłopotu. Andrea wyprostowała się i wypadła na pusty korytarz. W tej samej chwili usłyszała za sobą krzyk kobiety.

- O Boże! Ktoś nas okradł!

Wiedziała, że nie zdąży się skryć w swoim pokoju, więc ruszyła w stronę zapasowej klatki schodowej, której używała obsługa hotelowa. Zaledwie zniknęła za rogiem, kiedy dobiegł do niej wrzask Thomasa odbijający się od ścian korytarza.

- Ktoś za to zapłaci! Posypią się głowy!

Na te wrzaski kilkoro drzwi uchyliło się i korytarz wypełniły zaciekawione głosy. Andrea nie zatrzymała się, by posłuchać. Na miękkich nogach zbiegła piętro niżej.

# 7

Zbiegła bocznymi schodami na sam parter, po czym przeszła przez długi korytarz, aż do głównego holu. Zadowolona, że znalazła się na tyle daleko od miejsca przestępstwa, iż nikt nie powinien jej podejrzewać, stanęła przy windzie, zastanawiając się, kiedy może zdecydować się na powrót do pokoju. Stała twarzą do recepcji, a plecami do głównego wejścia, więc nie zobaczyła Brenta wchodzącego do holu. O jego obecności przekonała się dopiero, gdy przywitał się z nią niespodziewanie, a ona prawie krzyknęła z zaskoczenia.

- Andreo! Co ty tu robisz? - zapytał zdziwiony. — Myślałem, że śpisz już od wielu godzin.

- Ja... uch... Zeszłam, by dowiedzieć się, czy podają tu herbatę ziołową. Dostałam straszego bólu głowy.

- Jesteś pewna, że nie przydałby ci się lekarz? Znowu masz rozognione policzki.

Jej dłonie natychmiast powędrowały do twarzy. Nawet przez rękawiczki czuła bijące od niej gorąco.

- Czuję się dobrze, a raczej będę się tak czuła, kiedy tylko pozbędę się tego potwornego bólu głowy i nieco odpocznę.

Patrzył na nią pytająco.

- O co chodzi? - zdziwiła się.

- Zastanawiam się, dlaczego założyłaś rękawiczki, skoro

schodziłaś tylko do recepcji. A tak przy okazji, na prawej masz jakąś białą plamę.

Andrea z przerażeniem zobaczyła, że na rękawicze pozostały resztki po pudrze należącym do kobiety, którą okradła.

- Och! Będę musiała dać je do wyczyszczenia.

Zaczęła gorączkowo myśleć o jakimś logicznym wytłumaczeniu ich opłakanego stanu.

- Mam nadzieję, że plamy z proszku do nacierania głowy dają się wywabić? Tak niezręcznie otwierałam torebkę, że wysypałam całą jej zawartość. Właśnie dlatego zesłam po herbatę ziołową. Apteka będzie czynna dopiero jutro rano. Nie zauważyłam, że zabrudziłam sobie rękawiczki. Dziękuję, że zwróciłeś mi na to uwagę.

- Nadal nie rozumiem, po co założyłaś rękawiczki, idąc do recepcji - stwierdził Brent.

Pomachała rękami i zmusiła się do śmiechu.

- Przyzwyczajenie, zapewne. Zwykłe przyzwyczajenie. Ostatnio noszę je praktycznie bez przerwy, więc założyłam je bez większego zastanowienia.

- A ta ogromna torba? - dociekał dalej głosem, z którego biło niedowierzanie.

- Tak samo - oznajmiła ze słabym uśmiechem. - To głupie, prawda? Czasami odnoszę wrażenie, że przebywając tak długo z Maddy, przejmuję jej dziwactwa. A może to przez ten ból głowy.

Za nimi otworzyły się drzwi windy, z których wypadł rozwścieczony ogromny mężczyzna, niemal przewracając Andreeę.

- Chcę mówić z dyrektorem! - krzyknął. - Natychmiast! Zostałem okradziony i winię za to ten hotel! Co za obsługę wy tu macie? Nie dość, że nie potrafi porządnie sprzątnąć, to na dodatek kradnie wszystko, co nie jest przybite gwoździem!

Choć to niedorzeczne, bo przecież ani Thomas, ani jego żona nie widzieli jej i nie mogli podejrzewać, że to ona ich okradła, Andrea poczuła przemożną chęć ucieczki. Po prostu musiała zniknąć stąd tak szybko, jak to tylko możliwe!

Chwyając się pierwszej wymówki, jaka jej przysłała do głowy, wykrzyknęła:

- Och, Boże! Ten pan zajmuje pokój niedaleko mojego i Maddy! Muszę iść i sprawdzić, czy nic się tam nie zdarzyło! Maddy jest prawdopodobnie przerażona na śmierć!

- A co z herbatą? - zapytał Brent, starając się jednym uchem podsłuchiwać rozmowę przy recepcji, drugim śledzić wypowiedź Andrei. - Po to tu zesłaś, jeśli pamiętasz.

Zamrugła oczami. Proszę, proszę, wygląda na to, że Brent jest... zazdrosny!

- Doskonale pamiętam, przecież to mnie pęka głowa - odparowała. Wskazała ręką w stronę holu. - Ale biorąc pod uwagę zamieszanie i ważniejsze sprawy, wątpię, by recepcjonista miał teraz czas na zamawianie dla mnie herbaty. Poza tym, muszę zobaczyć, co się dzieje z Maddy.

Brent nie był do końca przekonany, czy Andrea mówi prawdę, niemniej musiał się jej teraz pozbyć, jeśli chciał się dowiedzieć czegoś na temat najnowszej kradzieży.

- Masz rację - oświadczył, popychając dziewczynę do windy. - Jedź na górę, a ja dopilnuję, żeby dostarczono ci herbatę, nawet jeśli przyjdzie mi samemu ją zaparzyć.

- Zobaczmy się rano, tak jak planowaliśmy? - zapytała pospiesznie, wyglądając zza zamykających się drzwi windy.

- Ależ naturalnie - potwierdził i nawet jeśli coś jeszcze powiedział, Andrea nie usłyszała jego słów, zagłuszonych zgrzytem lin ciągnących windę w górę.

Kiedy tylko pojawiła się policja, Brent natychmiast zdradził im, kim jest. Policjanci przystali na jego uczestnictwo w śledztwie, podobnie jak dwójka detektywów od Pinkertona, którzy pojawili się niedługo potem.

Brent obrzucił ich pobieżnym spojrzeniem, ich pospolite garnitury i pogniecione meloniki, po czym w duchu przyznał Kenowi rację. Dwójka detektywów nie mogłaby nawet marzyć o tym, by niepostrzeżenie wmieszać się w tłum elegancko ubranych osób. Nie mieli szans, by się nie wyróżniać.

Prowadzeni przez niezwykle poirytowanego Thomasa Thorntona, całą grupą poszli na górę, by obejrzeć miejsce przestępstwa. W pokoju zastali żonę Thomasa, całą we łzach, otoczoną kółkiem gości hotelowych, którzy jak mogli starali się ją pocieszyć. Mąż nie okazał jej podobnego współczucia.

- Mogłabyś już skończyć z tym piekielnym zawodzeniem?

- Och, zamknij się, Thomasie! - jęknęła. - To nie ty straciłeś całą biżuterię!

- Może i nie - odburknął gorzko - ale w skarpetce miałem schowane cztery tysiące dolarów.

Przedstawiciele prawa, całkowicie ignorując sprzeczącą się parę, szybko zabrali się do pracy. Brent stanął z boku i przyglądał się ich poczynaniom. Po krótkiej chwili jeden z policjantów kiwnął do drugiego.

- Wygląda na tego samego sprawcę.

- Tak - zgodził się kolega. - Te same M.O. jak w Waszyngtonie.

- M.O.? - zainteresował się Brent.

- *Modus operandi* - wyjaśnił policjant. - Metoda działania.

- Na jakiej podstawie sądzicie, że to ta sama osoba?

- Przede wszystkim nie doszło do włamania. Ktokolwiek to zrobił, nie musiał wyłamywać zamka i nie dostał się tu przez okno. Albo miał klucz, albo drzwi pozostawiono otwarte.

- Były zamknięte - gniewnie zawołał Thornton. - Zawsze pamiętam o takich rzeczach.

Pierwszy z detektywów sarknął nosem.

- W takim razie dlaczego trzyma pan pieniądze w skarpecie, skoro w hotelu znajduje się bezpieczny sejf?

Rozwścieczony właściciel pokoju nastroszył się jak kogut.

- Jeśli sugeruje pan, że to moja wina, to skacze pan na złe drzewo! Nie mam zaufania do tych urzędasów, tak samo jak i do tej pokojówki, która wyszła stąd z naszymi kosztownościami! To ich powinien pan wypytywać, nie mnie!

- Wątpię, żeby sprawczynią była pokojówka, ale niedługo z nią porozmawiamy, zapewniam pana. Jednak najpierw

chciałbym zadać panu kilka pytań. Na przykład, kto poskładał te ubrania?

- Ta przekłeta pokojówka! Kiedy wychodziliśmy do teatru, bardzo się spieszyliśmy i nie mieliśmy czasu na uprządkowanie pokoju.

- A toaletka? Zostawiliście ją w takim stanie?

- Nie... nie wydaje mi się - przyznała Sara. - Przypominam sobie, że niechcący rozsypałam puder. Ale nie zwracałam sobie tym głowy, ponieważ uznałam, że pokojówka i tak to uprzątnie. Ale oczywiście nie spodziewałam się, że przy okazji zabierze całą moją biżuterię!

Jakaś nie do końca sformułowana myśl przemknęła Brentowi przez głowę, ale nie miał czasu się nad nią zastanawiać.

- A pani szkatułka? - dopytywał się detektyw. - Czy zazwyczaj panuje w niej taki nieskazitelny porządek? Naszyjniki z jednej strony, bransolety z drugiej, kolczyki dobrane do pary?

- Na Boga, nie! Kto ma czas na takie bzdury?

- Najwyraźniej nasz złodziej - sucho rzucił policjant. Odwrócił się do kolegi. - Tak jak mówiłeś, to samo M.O.

- Pójdę sprawdzić, czy ostatnio została przyjęta do pracy jakaś nowa pokojówka - oświadczył jeden z detektywów.

- Sprawdź całą załogę - zasugerował drugi. - Dowiedz się, czy może ktoś przeniósł się niedawno z Waszyngtonu?

- Następnie dodał ze złością. - Choć nie wierzę, byśmy tak łatwo dopadli złodziejzka.

Brent szedł korytarzem w stronę windy. Głowę zajęta miał wszystkim, co przed chwilą zobaczył i usłyszał, kiedy nagle zatrzymało go dziwne syczenie.

- Pssst! - powtórzyło się.

Odwrócił się i zobaczył Andreę wyglądającą przez szparę w drzwiach. Kiwała na niego palcem.

- Wiedzą już, kto to zrobił? - zapytała szeptem.

- Skąd wiesz, że byłem w tamtym pokoju?

- Widziałam cię przechodzącego w towarzystwie poli-

cyjantów i pomyślałam, że zabrałeś się z nimi, by zaspokoić ciekawość. Tak duże wścibstwo może cię pewnego dnia wpędzić w niezłe kłopoty, wiesz? - ostrzegła.

Brent odetchnął z ulgą. Przez chwilę myślał, że go rozszyfrowała, że dowiedziała się o jego sekretnej misji.

- Ty też musisz uważać z tym wołaniem mężczyzn pod swoje drzwi o tak późnej godzinie - zrewanżował się.

- Unikasz odpowiedzi na moje pytanie. Odkryli już sprawcę?

Brent uśmiechnął się i oparł o framugę drzwi.

- Wpuść mnie, to ci powiem - przekomarzał się.

Ku jego zaskoczeniu, zgodziła się. Jeszcze bardziej się zdziwił, kiedy zobaczył, że ma na sobie koszulę nocną, choć od stóp do głów owinęła się szlafrokiem. Usiadła na sofie i poklepała w poduszkę obok siebie.

- Usiądź, ale mów cicho. Maddy śpi w pokoju obok.

Uczynił, co kazała, zadowolony, że najwyraźniej chce, by znajdował się blisko niej, i że nie każe mu przykucnąć gdzieś w drugim końcu pokoju.

- Jak twój ból głowy? - zapytał pojednawczo. - Czy dostarczono ci herbatę?

- Tak, dziękuję. Chłopiec hotelowy pojawił się bardzo szybko i zdaje się, że napój mi pomógł.

- W takim razie dlaczego nie śpisz?

- Ponieważ czekałam na ciebie. Myślałam, że już nigdy nie wyjdiesz i przez to wygląkanie przez szparę w drzwiach dostałam skurczu szyi.

- Mogę ci ją rozmasować - zaproponował.

Popatrzyła na niego sceptycznie. Rozłożył dłonie.

- Nie mam nic złego na myśli. Często robię masaż mojej matce i siostrze.

- No cóż, może i to coś da - zgodziła się. - Ale masz myśleć o mnie jak o swojej siostrze.

- To już chyba przesada, ale spróbuję. - Obszedł sofę dokoła i delikatnie położył dłonie na karku Andrei.

Poczuła, jak wzdłuż kręgosłupa przebiegają ją dreszcze.

- Boję się to zaproponować, bo będziesz chciała wytargać mnie za ucho, ale czy mogłabyś nieco rozsunać kołnierzyk? - zapytał.

- Czy aby nie planujesz czegoś zdroźnego? - zapytała, spoglądając na niego przez ramię.

- Słowo harcerza - zachichotał.

Andrea poluzowała kołnierzyk szlafroka.

- A teraz zrelaksuj się.

Miał ciepłe ręce. Delikatne palce czyniły cuda z jej szyją i karkiem. W kilka sekund Andrea zamieniła się w roztopione masło.

- Rozmawiaj ze mną. Powiedz, czego się dowiedziałeś na temat dzisiejszego napadu.

- Włamania - poprawił ją łagodnie. - Do napadu dochodzi wtedy, gdy mamy do czynienia z bronią i zagrożeniem czyjegoś życia. Podczas włamania złodziej ma na celu kradzież, ale nie chce nikogo skrzywdzić i zazwyczaj wybiera taki moment, w którym właściciele są nieobecni w miejscu przestępstwa.

- Dobrze, skoro przekonałeś mnie już, że jesteś prawnikiem, może opowiesz mi o dzisiejszym włamaniu - nalegała z uśmiechem.

- No cóż, pan Thornton, mężczyzna, który został okradziony, upiera się, że zrobiła to pokojówka, ale policja nie jest co do tego przekonana.

- Jeśli to ta sama, która sprząta mój pokój i resztę na tym korytarzu, to wygląda na miłą i uczciwą dziewczynę - wtrąciła Andrea. - Ale mów dalej.

Brent z trudem koncentrował się na rozmowie, mając pod palcami skórę Andrei, tak jedwabistą, tak ciepłą.

- Uch... jak mówiłem, Thorntonowie oskarżają sprzątaczkę, ponieważ pokój był uprzątnięty i złodziej musiał mieć dostęp do kluczy. Ani zamki, ani okna nie zostały wyłamane.

- Co do okien, to wcale się nie dziwię. W końcu znajdujemy się na trzecim piętrze! - przyciszonym głosem zauważyła Andrea. - A dlaczego policja wątpi w winę pokojówki?

- Naprawdę nie wiem - wymigiwał się Brent, nią chcąc przedwcześnie zdradzać wszystkiego, by nie zaszkodzić śledztwu. - Przypuszczam, że boją się wyciągać pochopne wnioski, zanim zbiorą więcej faktów.

- Och. - Andrea drgnęła lekko i w tej chwili szlafrok osunął się z jej ramion. Wydawało się, że tego nie zauważyła. - Myślę, że to rozsądne z ich strony, nie sądzisz?

Zamiast odpowiedzi Brent wydał cichy jęk. Oprócz cienkiego paseczka podtrzymującego koszulę, ramię Andrei było zupełnie nagie. Palce mężczyzny zaczęły delikatnie głaskać alabastrową skórę.

Andrea zadrżała i wygięła szyję na bok. Brent nie potrzebował powtórnego zaproszenia. Pochylił się i pocałował pachnące ramię. Dotknął językiem, jakby chciał poznać jego smak, ale to mu nie wystarczyło. Delikatnie, uważając, by nie zrobić tego za mocno i nie przestraszyć dziewczyny, zatopił zęby w miękkim zagięciu.

- Och, Boże! - krzyknęła dziewczyna, czując że głos więźnie jej w gardle.

Brent rozmasował ustami bolące miejsce, po czym zaczął przesuwać wargami po szyi w stronę ucha. Andrea drżała z rozkoszy. Nigdy przedtem nie czuła nic tak zmysłowego, ani też nie odniosła wrażenia takiej pełni życia, jakby całe jej ciało nagle się obudziło. Skóra zdawała się płonąć, krew zaczęła krążyć w radosnym rytmie.

Kiedy odwrócił ją do siebie, poddała się z ochotą. Szukała jego ust. Spotkali się i stopili. Języki przywitały się radośnie i rozpoczęły wdzięczny taniec, sięgając dalej po ukryte cuda i tajemniczy, słodki nektar. Spijali go z siebie.

Brent dotknął palcami jej szyi i wyczuł mocno pulsującą krew. Ręka opuszczała się dalej, tuż nad piersi, które narzmiwały pożądaną jego dotyku. Instynktownie, nie wiedząc prawie, co robi, Andrea przywarła do mężczyzny. Jego palce czule otoczyły piersi, jakby były to najcenniejsze klejnoty. Kciukiem pocierał o stwardniałe sutki, powoli, bez pośpiechu, aż dziewczyna poczuła dziwne gniecenie w dołku. Całe

jej ciało spięło się, ale zarazem w środku rozplęwało się jak lawa.

W pewnej chwili Andrea stwierdziła, że jest bez szlafroka, choć zupełnie nie pamiętała, jak do tego doszło. Ręka mężczyzny ponownie zawędrowała w okolice biustu, gładziła jej rozpalone ciało. Andrea pragnęła w tej chwili tylko jednego - by Brent ugasił żar, który w niej rozniecił.

- Przestańcie, proszę. Wystarczy!

Zagniewany głos Maddy, nagły i niespodziewany, sprawił, że oboje aż podskoczyli. Odsunęli się od siebie pospiesznie; na twarzach obydwójga widniał ten sam wyraz poczucia winy. Brent wyciągnął dłoń spod koszuli Andrei i szybko narzucił na nią szlafrok. Uniósł wzrok i ponownie zamarł. Przyglądał się najdziwniejszemu widokowi na świecie - Maddy w nocnych papuciach, szlafroku i z papilotami we włosach, sterczącymi na wszystkie strony.

Staruszka popatrzyła na niego gniewnie.

- Nie waż się powiedzieć słowa, ty młokosie! - ostrzegła, jakby czytając w jego myślach. - I tak już zbyt się zagalopowałeś! Podobnie ty, moja panno! -. ciągnęła, zwracając się do Andrei. - Dobranoc! Nawet nie wiecie, jak mnie przestraszyliście. Od wielu lat nie słyszałam takich jęków i stękań, ale nie jestem taka stara, żeby nie pamiętać, co zwiastują. Przez chwilę, na w pół śpiąc, myślałam, że Dwight wstał z grobu! Niewiele brakowało, a dostałabym zawału serca!

Twarz Andrei pokrywała się coraz wyraźniejszym rumieńcem.

- Maddy! Na Boga!

- No właśnie! - burknęła starsza pani. - Druga w nocy, a tu ktoś wyrzywa mnie ze snu. Co miałam pomyśleć? Nawet nie przyszło mi do głowy, że to wy tak obściskujecie się na tej kanapie, że nawet kartki papieru nie można by między was wsunąć! Powinniście się wstydzić!

- Myślę, że już sobie pójdę - zaproponował Brent, pragnąc się ulotnić, zanim Maddy wezwie pluton egzekucyjny lub wymyśli inny sposób zagrażający jego życiu.

Przeszyła go twardym wzrokiem.

- Wspaniały pomysł. Może jednak nie zabronię Andrei widywać się z tobą. Tak czy inaczej, kiedy nieco ochłone, porozmawiamy sobie.

- Tak, madam - zgodził się posłusznie.

Rzucił Andrei przestraszone spojrzenie i ze zdziwieniem stwierdził, że dziewczyna walczy ze sobą, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Odprowadzę cię - powiedziała, a głos trząsał jej się bardziej od wesołości niż z zawstydenia.

- Bardzo dobrze - fuknęła Maddy. - Ja wracam do łóżka. Ale ostrzegam was - dodała potrząsając palcem - jeśli pożegnanie zajmie wam więcej niż dwie minuty, wrócę tu! Dostyc migdalenia!

- Tak, Maddy - powiedzieli razem.

Kiedy starszka zniknęła za drzwiami, Andrea chwyciła Brenta za ramię i popchnęła go w stronę wyjścia.

- Lepiej już idź, bo jeszcze bardziej ją zdenerwujemy. Przysięgam, że nigdy nie widziałam jej takiej zagniewanej. Ani też nie podejrzewałam, że ty potrafisz być taki potulny.

- Starsza pani nieźle mnie przestraszyła - przyznał. - A przy okazji, czy ona zawsze śpi z takimi włosami? Nigdy nie widziałem nic równie dziwnego.

Andrea kiwnęła twierdząco głową.

- Zazwyczaj. Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałem się, czy ty też będziesz tak wyglądała, kładąc się ze mną do łóżka. Oczywiście po ślubie.

Andrea wypchnęła go na korytarz.

- Słodkich snów, książę z bajki - zakpiła. Kiedy zamykała drzwi, na jej ustach nadal gościł uśmiech.

## 8

Andrea zakochała się całym sercem. Nieważne, że czas był nieodpowiedni, a okoliczności nie sprzyjające. Starła się wybić sobie z głowy tę miłość, ale bez rezultatu. Stało się - nie mogła nic na to poradzić. Serce zawładnęło rozsądkiem i nie chciało ustąpić.

Taki kłopot, myślała z irytacją. Jej życie i tak już było nieźle pogmatwane. Ralph Mutton, siostrzeniec i jego los, kradzieże. Więcej w tej chwili nie była w stanie znieść. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, było zakochanie się.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje, Andreo? - dopytywała się Maddy, widząc jej skrzywioną minę. Staruszka smarowała właśnie masłem pachnącą bułeczkę. - Jeśli gniewasz się na mnie za to, że na ciebie wczoraj nakrzyczałam, to przepraszam, ale trochę wytrąciliście mnie z równowagi. I tobie, i temu młodemu człowiekowi należało się złajanie.

- Wiem. Przykro mi, że cię obudziliśmy. Wybacz nam nasze zachowanie. Nie przypuszczałam, że sytuacja wymknie mi się z rąk.

- Sądząc po tym, co widziałam, zajęte ręce miał twój towarzysz - przypomniała staruszka z kpina w głosie. - Za wcześniej.

- Jak dla mnie, wszystko toczy się za szybko, Maddy - z westchnieniem poskarżyła się Andrea. - Czuję się jak

żongler, który próbuje podrzucać zbyt wiele przedmiotów. Po kłopotach Lilly przyrzekłam sobie, że będę ostrożna. A tu proszę, zakochałam się w człowieku, którego prawie nie znam, i to po kilku dniach znajomości!

- Czy tak jest w istocie? - łagodnie zapytała Maddy. - Kochasz Brenta Sinclaira?

- Tak! - odparła z westchnieniem Andrea. - I przez to mam mętlik w głowie! Jestem szczęśliwa i nieszczęśliwa zarazem. Och, Maddy, co mam zrobić?

- Powiedziabym, że to zależy od tego, co on czuje do ciebie, a wydaje się, że za tobą szaleje. Mówił coś o ślubie? Andrea kiwnęła głową.

- Proponował mi, ale się nie zgodziłam.

- Jeśli się kochacie, w czym leży problem?

- To zbyt skomplikowane, by tak po prostu dało się wyjaśnić - odparła Andrea. - Starczy powiedzieć, że to nie jest dla mnie odpowiedni moment. Potrzebuję spokoju, by ułożyć swoje sprawy, uporządkować życie. Muszę myśleć o Stevie'm, o pracy i o tym, że już niedługo wracamy do Waszyngtonu.

- Och, nie zamartwiaj się tak - poradziła staruszka, pocieszająco klepiąc Andreę po rękę. - Z czasem wszystko samo się ułoży.

- W tym cały problem, że nie mam czasu.

Maddy potrząsnęła głową.

- Nie musisz się tak spieszyć, kochanie. Jestem pewna, że Brent zna drogę do Waszyngtonu. Pozna się ze Stevenem, a ty będziesz miała okazję nieco się uspokoić i przygotować do roli żony. Jeśli rzeczywiście tego pragniesz. Po prostu trzeba iść krok po kroku, wtedy wszystko wydaje się wyraźniejsze.

Andrea westchnęła głęboko i posłała swojej pocieszycielce słaby uśmiech.

- Jaka ty jesteś mądra, Maddy.

- To przychodzi z wiekiem, a przynajmniej tak się mówi - ze śmiechem odparła staruszka. - Myślę, że dobry Bóg

dał nam rozsądek w zamian za siwe włosy i pomarszczoną skórę, choć czasami są dni, że wołałabym być głupia, ale za to piękna.

Obie panie gotowały się właśnie do wyjścia z pokoju i spotkania ze znajomymi Maddy, by ustalić plan dnia, kiedy chłopiec hotelowy dostarczył następną paczkę dla Andrei.

- Co też przysłał mi tym razem ten szalony człowiek? - zastanawiała się. - Mam nadzieję, że nie kwiaty. Jeśli z tym nie skończy, niedługo będzie tu jak w zakładzie pogrzebowym.

- Boże broń! - z przesadą wzdrygnęła się Maddy. - W moim wieku wolę unikać wszystkiego, co kojarzy się ze śmiercią.

Andrea otworzyła paczkę i wyciągnęła z niej kawałek wełnianego materiału. Widząc frędzle na obu końcach, powiedziała:

- Ha, zdaje się, że to szal, Maddy. Czyż nie jest piękny?

- I gruby - dodała starszka, zbliżywszy się, by dotknąć materiału. - Dobry na zimowe wieczory. Ciekawe, czy kupił go w tym szkockim stoisku, które wczoraj mijaliśmy?

Andrea szperała w paczce, chcąc odnaleźć zwyczajowy bilecik.

- To dziwne - mruknęła. - Nie ma żadnej kartki.

- Tu jest - pokazała Maddy. - Przypięta do szala. Starszka nie mogła powstrzymać się, by nie przeczytać notatki. - O, na Boga! - zawołała cicho. - Andreo, kochanie. Wygląda na to, że masz następnego adoratora. Szal nie jest od Brenta.

- Co?! - krzyknęła dziewczyna, szeroko otwierając oczy.

- W takim razie od kogo?

Maddy podała jej kartkę.

- Od kogoś, kto nazywa się Dugan MacDonald. Sądząc po nazwisku oraz prezencie, musi to być Szkot.

- Pisze, że czeka na mnie w głównym holu. Chce mnie

poznać osobiście.- dodała Andrea, zaskoczona rozwojem wypadków.

Maddy zaczęła się śmiać.

- Tak samo jak Brent, pamiętasz? Założę się, że będzie zachwycony. - Złapała Andreę za ramię i wypchnęła za drzwi. - Za żadne skarby świata nie chcę tego stracić!

Zjechały na dół, ale kiedy miały wyjść z windy, Andrea zawahała się, czując przemożną ochotę schowania się za spódnicą Maddy. Z miejsca zauważyła Brenta i aż dech jej zaparło, bo stał w towarzystwie trzech pań, które gorączkowo zabiegały o jego uwagę. Co więcej, wyglądało na to, że Brent dobrze się bawi.

- Dobrze mu zrobi konkurencja - z irytacją w głosie powiedziała Andrea. - Podły uwodziciel!

- Wszystko się okaże - orzekła spokojnie Maddy. - Jeżeli dobrze zgaduję, ten twój Szkot chyba kroczy w naszym kierunku. Ojej, jaki to wielki mężczyzna!

Andrea poszła za wzrokiem towarzyszki i omal się nie udławiła. Wielki to mało powiedziane o człowieku, który się do nich zbliżał. Nawet ogromny by nie wystarczyło! Miał rudą gęstwinę na głowie i tego samego koloru brodę; przypominał olbrzymi dąb.

- Wszyscy święci! - stęknęła Andrea z podziwem.

- Niesamowite podobieństwo do płonącego krzewu, nie sądzisz? - żartowała Maddy. - Choć szczerze mówiąc przychodzą mi też na myśl mityczni bogowie. Gdyby był Rzymianinem, porównałabym go z Marsem. Nie zdziwiłabym się, gdyby miał temperament tak samo ognisty jak wygląd.

Mężczyzna mówił z tak dziwnym akcentem, że Andrea musiała się nieźle namęczyć, by go zrozumieć.

- Panno Albright, nazywam się Dugan MacDonald. Czy otrzymała pani prezent, który pani posłałem?

- Och... tak, owszem, panie MacDonald. Szal jest piękny, ale obawiam się, że nie mogę go przyjąć.

Uśmiech mężczyzny gdzieś się ulotnił. Zmarszczył brwi,

a bruzdy, które pojawiły się na czole, przypominały głębokie wąwozy górskie.

- Dlaczego nie? - zapytał ostro.

Andrea zamrugnęła oczami.

- Ponieważ to zbyt drogi prezent, bym mogła go przyjąć od nieznajomego - wyjaśniła cicho, nieswoim głosem.

- Poznaliśmy się i nie jesteśmy już nieznajomymi - odparł olbrzym. - Więc zatrzymaj szal.

- Nie. Nie mogę. Nie chcę pana urazić, ale mam już przyjaciela. Mężczyznę - dodała.

Spojrzał na nią pochmurnie, z góry.

- No, przecież nie pomyślałbym, że spotyka się pani z kobietą. Kto to jest?

W tym momencie stanęła między nimi Maddy. Wyglądała jakoś tak niepozornie na tle Dugana. Nos miała na wysokości jego paska.

- To nie pana interes - oświadczyła. — Chyba nie nauczyło pana w dzieciństwie dobrych manier.

Mężczyzna wybuchnął tak gromkim śmiechem, że zatrzęsała się podłoga.

- Madame, ja nigdy nie byłem dzieckiem. Od początku byłem wielki i nadal rosnę.

- W to akurat mogę uwierzyć - zapewniła go Maddy. - Ale zachowuje się pan jak złośliwy troll. Dżentelmen grzecznie wysłuchuje odmowy i odchodzi.

- A jeśli tego nie uczynię, co mi pani zrobi? - zapytał z szerokim uśmiechem. - Chyba nie przetrzuci przez kolano, co?

- O co tu chodzi?

Andrea odwróciła się do Brenta, czując radość zmieszaną ze złością.

- No, wreszcie oderwałeś się od zabawy i przyszedłeś nam na pomoc! - syknęła cicho. - Pan MacDonald nie potrafił się odpowiednio zachować i właśnie Maddy go strofuje. Jak sam widzisz, zupełnie do siebie nie pasują.

Brent popatrzył na wykrzywioną furją twarz Maddy oraz

na olbrzyma stojącego nad nią i zapewne wybuchnąłby śmiechem, gdyby nie wyczuwał, że atmosfera jest napięta.

- Powiedziałbym, że Maddy doskonale sobie radzi - mruknął.

- Zrób coś, ty ośle! On się do mnie zaleca!

- Ha, dlaczego nie mówiłaś tak od razu? — zawołał Brent. Widać było, że w jednej chwili opuścił go dobry humor.

Delikatnie odsunął Maddy z drogi.

- Nazywam się Sinclair. Opiekuję się panną Albright - oświadczył stanowczo, choć nawet on, dość wysoki, musiał zadzierać głowę, by napotkać wzrok Szkota.

- Dugan MacDonald - padła gromka odpowiedź, po czym olbrzym niechętnie popatrzył na Brenta. - Czy to pan jest tym mężczyzną, za którym tak przepada panna Albright?

Brent nie cofnął się nawet o krok.

- Zgadza się - powiedział krótko. - Zamierzamy się wkrótce pobrać.

Na te słowa krzaczaste brwi Szkota podjechały do góry.

- Jesteście zaręczeni, tak? - Zanim Andrea domyśliła się, co się stanie, Szkot chwycił ją za rękę. - Jeśli tak, to dlaczego na jej palcu nie widać zaręczynowego pierścionka? Myślę, że nawet tutaj panuje zwyczaj, że dziewczyna nosi jakiś znak dla świata, iż jest zajęta.

- Poprosiłem o jej rękę dopiero niedawno. Mieliśmy właśnie wybrać pierścionek - poinformował Brent. - I na pana miejscu puściłbym jej rękę.

- Ha, dlaczego odnoszę wrażenie, że nie mówicie mi prawdy? - upierał się olbrzym. - Pewnie wcale nie jesteście zaręczeni, co?

- Moja znajomość z panem Sinclairem nie ma z panem nic wspólnego - wtrąciła się Andrea, wrywając dłoń. - Odmówiłam panu i to wszystko. Więc proszę mi się więcej nie naprzykrzać. Każę natychmiast zwrócić panu szal.

- A ja natychmiast go pani odeślę - rzucił Szkot. W jego oczach widać było upór. - Zobaczymy, kto pierwszy ustąpi.

- Ostrzegam po raz ostatni - warknął Brent. Złapał Szkota za rękę. - Puść ją pan i to już.

Szkot zmierzył go wzrokiem, ale Brent tylko wzmocnił uścisk.

Olbrzym puścił rękę Andrei i odsunął się.

- Miłego dnia, dziewczyno. Ale nie myśl, że więcej nie usłyszysz Dugana MacDonalda. Nie poddam się tak łatwo.

Kiedy się oddalił, Andrea odetchnęła głęboko i z przestraszonym spojrzeniem na Brenta.

- Myślisz, że będzie się jeszcze naprzykrzał?

- Nie wiadomo - odpowiedział. - Ale jeśli nawet, to ja cię obronię.

W jej oczach dojrzał podziw.

- Czy naprawdę biłbyś się z nim o mnie?

- Oczywiście. I prawdopodobnie dostałbym nieźle po ty... karku.

- Jeśli dalej będzie namolny, razem z nim powalczymy - zaferowała się Maddy, nadal jeszcze rozgrzana złością. - Intelkt przeciw mięśniom! David przeciw Goliatowi! Ten przerośnięty brutal nawet nie będzie wiedział, co go trafiło!

Andrea i Brent wybuchnęli śmiechem.

- Mam już nawet plan - zawołał Brent. - Andrea ściągnie go do pokoju, a wtedy ty, Maddy, naskoczysz na niego ubrana tak jak zeszłego wieczoru. Facet osłupieje i wtedy ja walnę go w głowę czymś ciężkim. Potem go zwiążemy i odsprzedamy jakiemuś wędrownemu cyrkowi. Myślicie, że to się uda?

- Wspaniały plan - zachwyciła się Andrea.

- Uważaj, co mówisz, łobuzie - ostrzegła Maddy, choć żarty prawnika nieco ją rozluźniły - bo będziesz potrzebował wiele więcej niż pocałunek Andrei, by zmienić się z żaby w księcia.

Była sobota i na wystawie panował jeszcze większy tłok niż w zwykłe dni. Zjawili się ci, którzy w tygodniu pracowali. Ze względu na święta religijne wystawa była zamykana

na niedzielę, więc dla niektórych był to jedyny dzień na zobaczenie ekspozycji.

Grupa Maddy postanowiła do końca zwiedzić główny pawilon. Wszyscy zachwycali się wspaniałością stojącej tam kryształowej fontanny, wysłuchali koncertu odegranego na olbrzymich organach, następnie przeszli do oglądania rzeźb, mebli, maszyn do przędzenia, egzotycznych materiałów i ubrań. Zatrzymali się przy nowoczesnym dystrybutorze z wodą sodową, gdzie każdy otrzymywał kubek napoju o ulubionym smaku.

Dziwne się wydawało, że Brent z zainteresowaniem oglądał stoisko, na którym wystawiono oprzyrządowanie dla policji. Kajdanki, gwizdki, odznaki, pałki policyjne i tym podobne. W tym czasie Andrea z zapartym tchem przyglądała się pokazowi działania nowoczesnego systemu alarmowego. Podśluchała, jak kilka z jej ofiar żaliło się, że nie miało takiego urządzenia w swoim domu przed kradzieżą. Jednakże, ponieważ alarm zabezpieczał okna i drzwi, Andrea mogłaby im wyjaśnić, że i tak na nic by im się zdało to cudeńko. Ona nie musiała się włamywać. Przecież witano ją w ich domach z całą radością i ufnością.

Zrobili krótką przerwę na lunch, po czym przeszli do pawilonu, gdzie stały różnorodne maszyny. Wszystkich zachwycił olbrzymi silnik parowy Corlissa, ważący siedemset ton i dostarczający energię do tysiąca innych maszyn, wypełniających wystawę. Panowie zauroczeni oglądali sekcję zbrojeniową, silniki spalinowe oraz urządzenia przeznaczone dla rolnictwa i przemysłu. Panie w tym czasie pospiesznie umknęły do sali, gdzie rozłożył się przemysł tekstylny.

Ta chwilowa rozłąka pozwoliła Andrei na zajęcie się swoimi sprawami. W samym pawilonie nie było rzeczy, które by się jej przydały, musiała więc ograniczyć się do zwiedzających gości. Ralph z pewnością nie byłby zainteresowany szpulkami z nićmi. Mimo to udało jej się nieźle obłowić, a więc dzień nie poszedł tak zupełnie na marne.

Brent także nie mógł narzekać. Choć to zadziwiające,

jakimś cudownym trafem trzy kobiety, które poznał wcześniej tego dnia, odnalazły go w tłumie oglądających. Andrea widziała ich nadejście i natychmiast przypomniała sobie historię o człowieku grającym na flecie. Zastanawiała się, czy woda kolońska, której używał Brent, nie działa jak swoisty afrodyzjak. A może obsypał dziewczyny opiłkami żelaza, a sam trzyma w kieszeni wielki magnes? A może po prostu jest tak pociągający, że żadna kobieta nie jest w stanie mu się oprzeć, włączając ją samą?

W końcu Brent postanowił pożegnać się ze swoim harem, choć widać było, że kobiety niechętnie się na to godzą. Następnie, radośnie pogwizdując, dołączył do Andrei.

- Dobrze się bawiłeś? - zapytała, posyłając mu skwaszony uśmiech. - Zobaczyłeś coś, co ci się szczególnie spodobało, nie licząc oczywiście tego kobiecego klubu, który z pewnością wystawiał twoje zalety pod niebiosa?

Brent odważył się roześmiać, wyraźnie rozbawiony jej nastawieniem.

- Nie znalazłem nic, co by mnie zaciekało - odparł wesoło - ale zauważyłem maszynę do pisania, która bardzo przypadłaby do gustu Densingowi.

- Densingowi? - zdziwiła się Andrea.

- To mój sekretarz, Arthur Densing. Zajmuje się papierkową robotą w naszym biurze. Ma za zadanie przygotowywać ostateczne kopie dokumentów, które ja i moi bracia oraz mój ojciec mu przesyłamy.

Andrea lekko uniosła brwi.

- Myślałam, że do takiej pracy wynajmuje się kobiety. Przynajmniej tak się dzieje w większości firm. A może w twojej pracują tylko mężczyźni?

Brent zachichotał.

- Ho! Ho! Czyżbym miał do czynienia z liderką feministek, udającą potulną myszkę? Nie martw się, moja słodka. Gdyby nie to, że Densing pracuje u nas od czasów, kiedy jeszcze chodziłem w krótkich majteczkach, z pewnością zastąpilibyśmy go przyjemniejszą buźką. Poza tym to dosko-

nały pracownik. Nie wyobrażam sobie szkolenia jego zastępcy, kiedy przejdzie już na emeryturę.

Po chwili dodał z uśmiechem.

- Z drugiej strony, gdybym miał kobietę sekretarkę, prawdopodobnie nie dałabyś mi żyć utyskując, że zbyt wiele czasu spędzam w biurze. Coś mi się zdaje, że jesteś niezwykle zazdrosną osobką.

Na te słowa Andrea uniosła dumnie nos.

- Nie mam pojęcia, skąd to wrażenie - fuknęła. - Co więcej, cały czas napomykasz, że się pobierzemy, a ja przecież wcale się jeszcze nie zgodziłam.

Dotknął palcem jej uniesionego noska i uśmiechnął się.

- Jestem wiecznym optymistą - zdradził.

Biorąc ją pod ramię, skierował się w stronę wystawy z akwariami. Andrea tak się nimi zachwyciła, że w sekundę zapomniała o złości.

- Nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego - sapnęła z podziwem. - Och, popatrz na to akwarium! Czy nie jest zachwycające?

Brent musiał się zgodzić. Ryby pływały w szklanych zbiornikach pomiędzy zielonymi paprociami i dekoracyjnymi skałkami, a nad wszystkim rozpościerała się krata w kształcie łuku, obrośnięta winoroślą. Na jej szczycie znajdowała się klatka dla ptaków, z rozśpiewanymi kanarkami w środku. W pobliżu stało jeszcze kilka zbiorników wodnych, otoczonych wymyślnymi kompozycjami z paproci i kwiatów.

- To wspaniałe - ocenił Brent. - Myślę, że zamówię jedno takie akwarium dla mojej matki. Niedługo będzie miała urodziny, a ja nigdy nie wiem, co jej kupić.

- Które to będą urodziny? - zainteresowała się Andrea.

- Nie jestem całkiem pewien - odpowiedział ze śmiechem. - Matka nie chce ujawnić, ile naprawdę ma lat. Mówi, że trzydzieści dziewięć, i każe nam zgadywać, czy to prawda. - Brent pochylił głowę do towarzyszki i nagle zapytał:

- A ty, ile masz lat?

Andrea wycelowała w niego palcem.

- Widzisz? Powiedziałam ci, że jak na razie zbyt mało o sobie wiemy, by się pobrać! Ale, dla twojej informacji, osiemnaście.

Brent przez chwilę kontemplował uzyskaną odpowiedź, potem oświadczył:

- W takim razie jesteś o osiem lat młodsza ode mnie. Jak ulał. Powiedziałbym, że tworzymy doskonałą parę.

- Doskonale absurdalną, to możliwe - stwierdziła potrząsając głową. - Boże, ale jesteś uparty.

- Wolę myśleć o sobie jako o człowieku stanowczym.

Rzuciła mu zmęczone spojrzenie.

- W twoim przypadku to to samo.

Z powodu ostatnich straszliwych doniesień o tragicznej klęsce Custer'a w bitwie o Little Bighorn ekspozycja dotycząca amerykańskich Indian została zamknięta. Obawiano się, że może dojść do nieprzyjemnych incydentów. Dlatego też grupa Maddy zakończyła dzień przy budynku ze szkła - majstersztyk sam w sobie - i wyszła z wystawy z naręczem pamiątek. Rzeźbione przyciski do papieru, kolorowe ozdoby, filigranowe przedmioty z dmuchanego szkła. Widząc figurkę anioła z włókna szklanego ze skrzydłami tak delikatnymi, że wydawały się utkane z mgły, Brent postanowił kupić ją dla Andrei.

- Aniołek dla mojego aniołka - powiedział, podając jej statuetkę z wyrazem najszczerzego uwielbienia na twarzy.

- To będzie moja najukochańsza maskotka - szepnęła, zerkając w lśniące oczy i po raz setny poddając się ich przemożnemu czarowi.

W duchu zastanawiała się, czy miniaturowa figurka przedstawiająca diabła nie byłaby bardziej trafionym prezentem dla kobiety tak złej jak ona.

## 9

Po powrocie do pokoju Andrea ze zdziwieniem stwierdziła, że oczekuje na nią następna paczka. Rozpakowała ją i z przykrością zobaczyła ten sam szal, który odesłała Duganowi MacDonaldowi przed wyjściem na wystawę. W środku zawiniątka znalazła niewielki obrazek ze szkockim krajobrazem.

Przedstawiał kamienną fortecę, wznosząca się nad jeziorem, otoczoną urwistymi górami. Ziemię pomiędzy skałami i powyginanymi sosnami porastał wrzos, dodający ciepła surowemu pejzażowi. Liścik dołączony do przesyłki brzmiał:

*Oto przepastne piękno, które powita cię, kiedy tylko zjawisz się w mojej ojczyźnie.*

Choć krajobraz wydawał się groźny, Andrea musiała przyznać, że jest także urzekający. Jednak była bardziej niż zadowolona, że może podziwiać go z daleka. Z pewnością nie zamierzała oglądać go w towarzystwie tego szalonego olbrzyma. Niech Bóg broni, żeby kiedykolwiek znalazła się w tak odległych, opustoszałych okolicach, mając koło siebie tylko tego czerwonołosego potwora i podobnych mu członków jego rodziny!

Pospiesznie spakowała oba przedmioty i odłożyła na koncie recepcjonisty.

- Proszę zwrócić to panu Duganowi MacDonaldowi - poleciła. - I byłabym wdzięczna, gdyby nigdy więcej nie przekazywał pan przesyłek od tego pana do mojego pokoju.

Udręczony recepcjonista kiwnął głową.

- Zostawię wiadomość w pani przegródce na pocztę. Co mam robić z prezentami od pana Sinclaira? Czy ich także mam nie dostarczać?

Andrea uśmiechnęła się.

- Nie. Proszę mi je przysłać, gdy tylko je pan dostanie. Dziękuję.

Właśnie zmierzała do windy, kiedy zauważyła trzy kobiety, które wcześniej tak bardzo ubiegały się o zainteresowanie Brenta. Wchodziły do westybulu. Z niespotykaną u niej śmiałością podeszła prosto do nich i przedstawiła się.

- Jestem Andrea Albright, przyjaciółka pana Brenta Sinclaira. Widziałam, że rozmawiały z nim panie na wystawie, ale odeszłyście, zanim zdążyłam się zbliżyć. - Wyciągnęła dłoń, praktycznie zmuszając jedną z nich do przyjęcia jej.

- Shirley Cunningham - powiedziała chyba najstarsza z tria, na krótko dotykając ręki Andrei. - A to moja przyjaciółka, Betsy Shaw, i moja kuzynka, Lois Kincaid.

- Miło mi panie poznać - grzecznie odpowiedziała Andrea, choć nie do końca było to szczere zachowanie. - Mam nadzieję, że podobnie jak ja, jesteście panie zachwycone wystawą?

- Jest całkiem interesująca, choć męcząca - zauważyła Betsy.

- Czy panie podróżujecie same? - zapytała Andrea, w końcu zahaczając o temat, który ją interesował. - O ile mi wiadomo, ostatnio doszło do serii rabunków, jeden nawet zdarzył się w tym hotelu. Mam nadzieję, że macie mężów, gotowych chronić was przed przestępcami. Gdyby nie Brent i reszta panów z mojej grupy, bałabym się wysunąć stopę z pokoju. A także pozostawać w nim sama.

W dwu parach oczu zabłysnął strach, ale Shirley Cun-

ningham zachowała spokój, nawet na sekundę nie przestając przyglądać się Andrei z powątpiewaniem.

- Jesteśmy tu w trójkę i mamy wspólny pokój, więc nie widzę powodu do obaw. Poza tym mój mąż zmarł przed rokiem i w tym czasie zdażyłam już nauczyć się dawać sobie radę sama. Ale jesteśmy wdzięczne za pani miłe słowa i ostrzeżenie. Będziemy czujne.

- Cóż, wydawało mi się, że należy panie uprzedzić - odparła Andrea, mierząc rywalkę wzrokiem tak samo dokładnie, jak przed chwilą czyniła to ona. - Muszę już iść, bo spóźnię się na obiad. Cieszę się, że pani poznałam.

- My także - oświadczyła Shirley tonem, który zadawał kłam jej słowom. Młodsze z pań zajęte były wymienianiem zmieszanych spojrzeń, prawdopodobnie zastanawiając się, coż takiego powiedziały sobie Andrea i Shirley między wierszami, a czego one nie zdołały uchwycić.

Pożegnawszy się wesołym machnięciem ręki, Andrea zważym krokiem ruszyła do windy, wiedząc już, gdzie uda się na swoją następną eskapadę. Już wkrótce Shirley Cunningham nie będzie taka pewna siebie i zadowolona z życia.

Kiedy Andrea wraz z Maddy znalazły się w sali jadalnej, stwierdziły, że przy ich stoliku posadzono Shirley, Betsy i Lois. Andrea wcale nie była zdziwiona widokiem trzech kobiet pograżonych w ożywionej rozmowie ze znajomymi Maddy. Po oszacowaniu swojej przeciwniczki, doszła do wniosku, że jest to osoba niezwykle przebiegła. Udało jej się nawet zająć krzesło obok Brenta i teraz flirtowała z nim bezwstydnie.

Kiedy podchodziły do stolika, Maddy szepnęła w ucho Andrei:

- Czy mamy dzisiaj na obiad drób? Mogłabym przysiąc, że będą tu latały pióra!

Andrea zachichotała.

- Daj spokój, Maddy. Bardzo mnie ciekawi, jak w takiej

sytuacji postąpi Brent. Pozwoli mi to ocenić głębokość jego uczuć do mnie.

Maddy zmarszczyła brwi.

- Jesteś ogromnie opanowana i właśnie to mnie niepokoi.  
- Nie martw się. Poradzę sobie, bez względu na to, co tu się wydarzy.

- Zastanawiam się, *jak* sobie poradzisz.

Andrea zajęła wolne krzesło po prawej stronie Brenta, dla Maddy pozostało miejsce dokładnie naprzeciwko nich.

Natychmiast odezwała się Shirley.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani, iż wprosiłyśmy się do państwa czarującego kółka, ale po informacji o kradzieżach czujemy się bezpieczniejsze w dużej grupie.

- Jestem zachwycona - zakpiła Andrea, prawie wybuchając śmiechem, kiedy zobaczyła, jak brwi Brenta i Maddy unoszą się w zaskoczeniu. - Gdyby jeszcze dołączył do nas pan MacDonald, nic już nie mogłoby zwiększyć uroku tego wieczoru.

Na te słowa Brent rzucił w jej kierunku zakłopotane spojrzenie pełne irytacji. Maddy tylko skierowała wzrok do nieba, jakby modląc się o boską interwencję.

Przez chwilę nic specjalnego się nie działo. Kelner napełnił ich kieliszki, goście przeglądali menu, kiedy nagle, bez żadnego widocznego powodu, Shirley straciła równowagę. Jej krzesło runęło na Brenta, a ona wraz z nim. Próbując się wyprostować, wyrzuciła rękę, przy okazji przewracając kieliszek stojący przed Andrea. Jaskrawoczerwone wino spłynęło na jej suknię.

W sekundę Shirley odzyskała równowagę i rzuciła się do gorączkowych przeprosin.

- Och, Boże. Jaka ze mnie niezgara! Mam nadzieję, że pani piękna suknia nie jest całkowicie zniszczona.

Wszyscy przy stoliku wstrzymali oddech. Brent pośpiesznie podał Andrei chustkę, bo jej własna była już całkowicie przesiąknięta winem. Ku zaskoczeniu obecnych Andrea odpowiedziała bardzo spokojnym głosem:

- Proszę się nie martwić, pani Cunningham. Jestem pewna, że plama da się usunąć, jeśli od razu dam suknię do czyszczenia; Jeśli ma to pani poprawić samopoczucie, prześlę ci rachunek za pralnię.

- Och, nalegam, byś to uczyniła! I, proszę, mów mi Shirley - zaproponowała wdowa, podczas gdy znajomi Andrei, włącznie z Maddy, przyglądali się widowisku z rosnącym rozbawieniem.

- Słyszałam, że w restauracjach w Indiach podają koty, A może to chodziło o Turcję? Och, gdzieś w tamtych okolicach - odezwała się Maddy.

Ponieważ reszta towarzystwa wpatrywała się w starsuskę z wyrazem niezrozumienia w oczach, Andrea, która jako jedyna zdawała, się pojmować ten dziwaczny komentarz, powiedziała:

- Futro zamiast piór, Maddy? Jesteś niepoprawna, ale myślę, że masz rację.

Przy tych słowach wstała, przeprosiła, że musi się oddalić, prosząc, by nie czekali z jedzeniem na jej powrót.

- Nie ma sensu, żeby wystygł wam obiad. Przebiorę się i zaraz wracam.

Brent pochwyił jej dłoń.

- Jesteś pewna, że nie chcesz, bym ci towarzyszył?

- Po ostatnim wieczorze Maddy prędeż by cię obdarła ze skóry, niż puściła ze mną - stwierdziła z uśmiechem. - Nie zajmie mi to dużo czasu - przyrzekła.

Andrea prawie biegła po schodach, nie czekając nawet na windę. Wpadła do pokoju, zdarła z siebie poplamioną suknię i haleczkę, odrzuciła je na bok, po czym szybko założyła pierwszą suknię wyjętą z szafy. Z takim samym pośpiechem zrzuciła mokre pantofelki, zmieniając je na suche i pasujące do reszty ubrania. Jednym ruchem dłoni poprawiła włosy, po czym chwyciła za wielką torbę i wypadła z pokoju, spędziwszy w nim zaledwie kilka minut.

Znowu wybrała schody, ale zeszła tylko na poziom dru-

giego piętra. Musiała się zmusić do zwolnienia kroku i o mało nie zemdląła, przechodząc obok nieznajomej pary, ale wkrótce znalazła drzwi, których szukała. Na szczęście nikt nie pojawił się na korytarzu, kiedy wytrychem otwierała zamek. Wśliznęła się do środka.

Właścicielki pokoju zostawiły włączone światło, więc nie musiała zapalać świeczki. Z większym niż zazwyczaj pośpiechem odszukała kasetkę z biżuterią, po czym wysypała jej zawartość do torby. Jak zwykle odstawiła puste pudełka i pozamykała wieczka.

Nie zaprzętała sobie głowy poszukiwaniem innych kosztowności. Nie musiała także uprzętać pokoju - najwyraźniej zrobiła to niedawno pokojówka albo też zamieszkujące tu panie były niesłychanie schludne. Zależało jej, by jak najszybciej opuścić pokój, choć była raczej pewna, że wdowa Cunningham dobrze wykorzystuje jej nieobecność, próbując uwieść Brenta. W gruncie rzeczy Shirley, złośliwie wylewając na nią wino, wyświadczyła jej przysługę. Dała jej okazję odejścia od stołu bez wzbudzania czyichkolwiek podejrzeń. Andrea modliła się tylko, by towarzyszkii wdowy nie znudziły się przedstawieniem odgrywanym przez ich wiedźmowatą przyjaciółkę i nie wyszły przedwcześnie z restauracji, a także by cała trójka długo żałowała straconych kosztowności.

Szczęście jej sprzyjało. Udało jej się niezauważenie wrócić do pokoju, ukryć zrabowane przedmioty i zaprać plamę na sukni. Kiedy wychodziła, wpadła prosto w objęcia Dugana MacDonalda. Jej przerażony okrzyk znikł gdzieś w czełusciach marynarki olbrzyma. Nos spłaszczył jej się na jednym z guzików.

Bez pytania wiedziała, kto przed nią stoi. O ile się nie myliła, żaden inny gość - a prawdopodobnie nikt w całej Filadelfii - nie był tak wysoki.

- Och! Jak zwykle jesteś taka nieuważna, dziewczyno? - zawołał w radosnym zdziwieniu.

Andrea chwiejnie odsunęła się do tyłu, ale zaraz jedna

z ogromnych łap MacDonalda opadła na jej ramię. W drugiej trzymał znajome pudełko.

- Zabieraj swoją wielką łapę! - rozkazała.

- No, dziewczyno, chciałem ci tylko oszczędzić upadku na ten piękny nosek. Albo na pupkę, która także, jak przypuszczam, musi być zachwycająca.

Rozognionym wzrokiem popatrzyła na jego rozbawioną twarz.

- Nigdy się tego nie dowiesz. Poza tym stoję już, więc możesz mnie puścić.

Nieoczekiwanie zrobił to, o co prosiła, ale nadal stał w otwartych drzwiach, tuż obok niej.

- Co tutaj robisz? - zapytała.

- Przyszedłem zwrócić szal i obrazek - stwierdził po prostu.

- Nie chcę ich - oświadczyła. - Właśnie dlatego zakazałam recepcjoniście przysyłania mi jakichkolwiek prezentów.

- I właśnie dlatego dostarczam go osobiście, dziewczyno.

- Zajrzał do wnętrza pokoju. - Nie przypuszczam, żebyś chciała mnie zaprosić. Wolałbym nie stać tu i nie robić z siebie widowiska.

- Słusznie pan przypuszcza, panie MacDonald. A teraz może zechciałby pan zejść mi z drogi. Spieszę się.

Wielki Szkot nie ruszył się nawet o milimetr.

- Czy to możliwe, żebyś mnie nie usłyszała, choć tak grzecznie proszę? - odezwał się tonem, w którym dźwięczała groźba. - Chcę z tobą porozmawiać. Na osobności.

Skąd wzięła się u niej taka odwaga, a także sam pomysł, Andrea nie miała pojęcia. Ale jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Poddała się instynktowi. Sięgnęła do torebki i chwyciła za szczytce. Ostry koniec wbiła w brzuch napaśtnika.

- Mam tu nóż - skłamała - i jeśli nie chcesz, żebym porznęła cię na kawałki, odejdz stąd. Powoli, z rękami w górze.

Przez chwilę mężczyzna stał bez ruchu, wpatrując się

w Andree, jakby się zastanawiał, czy mówi poważnie. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że tak, bo uczynił to, co mu kazała. Paczka, którą trzymał w rękach, zaszeleściła niepewnie.

- Trzymaj pakunek obydwoma rękami - poinstruowała. - Nad głową. A teraz stań pod przeciwną ścianą i nie ruszaj się, dopóki ci nie powiem.

Kiedy się odsunął, szybko zamknęła drzwi, tym samym odgradząc sobie i Szkotowi dostęp do pokoju. Uznała, że tak będzie lepiej, niż gdyby sama się w nim zamknęła i nie mogła zawołać pomocy, albo gdyby zamknął się tam wraz z nią.

Powoli zaczęła przesuwać się w stronę klatki schodowej, bojąc się odwrócić. Zrobił krok w jej kierunku, jakby zamierzał za nią podążyć, ale w tym samym momencie usłyszeli odgłos otwieranych drzwi.

- Jeszcze jeden krok, a zacznę tak się drzeć, że zleci się tu cały hotel - ostrzegła.

Kiedy jej stopa dotknęła pierwszego stopnia, podwinęła suknię, okręciła się i pędem zbiegła w dół. Nawet gdyby Szkot ją gonił, i tak by tego nie słyszała - miała w uszach odgłos pulsującej szaleńczo krwi. Bezpiecznie poczuła się dopiero wtedy, kiedy znalazła się w holu. Bez tchu i roztrzęsiona po wstrząsającym przeżyciu, z zaskoczeniem stwierdziła, że w całym tym zamieszaniu pamiętała o zabranii brudnej sukni dla praczki.

Kiedy wreszcie opadła na krzesło obok Brenta, poczuła, jak bardzo jest słaba.

- Na Boga, dziewczyno! - wykrzyknęła Maddy, zanim ktoś inny zdążył skomentować jej wygląd. - Co się stało? Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha!

- Wręcz odwrotnie - sapnęła Andrea, nadal nie mogąc złapać tchu. - Wielki i bardzo żywy szkocki demon to więcej niż człowiek z krwi i kości. Złapał mnie tuż przed moim pokojem i nieźle się namęczyłam, zanim zdołałam się oswobodzić.

Brent podnosił się już z krzesła z twarzą jak chmura gradowa.

- Gdzie on jest? Myślę, że najwyższy czas, byśmy doszli wreszcie do porozumienia.

Andrea pociągnęła go za rękaw, zmuszając, by usiadł.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie on teraz jest. I wcale nie chcę wiedzieć. Mam nadzieję, że nieźle go nastraszyłam, więc może przestanie mi się naprzykrzać.

Brent w zdumieniu zmarszczył brwi.

- Cóż takiego powiedziałaś, że uciekł?

- Nie chodzi o to, co powiedziałam, ale co zrobiłam - poinformowałam, wyglądając na całkiem z siebie zadowoloną.

- Zagroziłam, że dźgnę go nożyczkami, które miałam w torbie. Śmiem twierdzić, że nieźle się wystraszył.

Słuchacze zdumieli się.

- Jestem z ciebie dumna - zakomunikowała Maddy.

- I ja także - dodał Brent.

- A ja uważam, że nieładnie jest tak kogoś straszyć - szybko wtrąciła się Shirley.

- Ma pani prawo do własnego zdania, pani Cunningham - rzuciła Andrea zwięźle. - Kiedy spotkam go następnym razem, poradzę, żeby zaczął napastować panią. Wtedy zobaczymy, jak szybko zmieni pani swoje humanitarne podejście.

Danie Andrei zupełnie wystygło, więc odesłała je do kuchni do podgrzania. Reszta towarzystwa już dawno skończyła posiłek. Niektórzy postanowili przejść do sali balowej, gdzie odbywała się sobotnia zabawa. Brent i Maddy zaofiarowali się, że zostaną z Andrea.

- Maddy, idź z przyjaciółmi - nalegała Andrea..- Brent i ja zaraz do was dołączymy.

- Och, ale on przyrzekł mi taniec - poskarżyła się Shirley, wydymając usta. - Przecież nie ma sensu, żeby tracił całą zabawę tylko dlatego, że musi tu siedzieć i patrzeć, jak jesz.

- Przykro mi Shirley, ale zostanę z Andrea - oświadczył Brent krótko. - Możemy zatańczyć nieco później.

Wdowa odeszła z zachmurzoną twarzą, reszta poszła za nią, zostawiając Brenta i Andreę samych.

- Ty też możesz iść, jeśli masz ochotę - powiedziała patrząc na niego zimno. - Jeszcze zdążysz ją dogonić.

- Jesteś zła - domyślił się. - Czy zechciałabyś wytłumaczyć mi, z jakiego powodu?

Wzruszyła ramionami, dając mu do zrozumienia, że sam powinien znać odpowiedź.

- Po prostu nie lubię tej kobiety tak bardzo, jak bardzo ty ją lubisz - stwierdziła sucho.

- Shirley?

- Tak, Shirley - wykrzywiła usta w ironicznym grymasie.

- Jak widzę, szybko przeszliście na ty - dodała. - I jeśli słuch mnie nie zawodzi, zamierzasz z nią tańczyć.

Brent westchnął przesadnie głęboko.

- Jestem towarzyski, ale widzę, że będę musiał zmienić swoje zwyczaje, by usatysfakcjonować twój zazdrosny temperament.

- Nie odgrywaj przede mną biedaka - poradziła, nadal kipiąc z gniewu. - Jeśli masz ochotę zachowywać się jak swawolny kawaler, proszę bardzo. Ale nie narzucaj mi się ze swoją osobą. Nie pozwolę, by bawiono się moimi uczuciami, panie Sinclair!

Twarz Brenta pojaśniała.

- A więc przyznajesz, że coś do mnie czujesz. Najwyższy czas, panno Albright. Tak, tak, najwyższy czas, bo moje serce pęka od pierwszej chwili, w której się spotkaliśmy. Powiedz coś więcej, moja słodka. Jak głębokie są twoje uczucia?

Andrea wpatrywała się w niego z zakłopotaniem. Miała wyschnięte gardło, a serce biło jej jak oszalałe. Przyłapała ją i nie widziała sposobu, by mu się wywinąć. Ale czy odważy się wyznać, co do niego czuje? Czy nie powinna najpierw dowiedzieć się o nim tysiąca różnych rzeczy? A on, Boże broń, o niej? Myśli przemykały jej przez głowę, podczas gdy Brent z ciekawością w oczach czekał na odpowiedź.

Postanowiła pójść za głosem serca.

- Myślę, że... że cię Kocham - wyznała.

Patrzył na nią, a na twarzy malowała mu się niepewność.

- Myślisz? - powtórzył. - Co mam zrobić, byś była o tym przekonana?

- Daj mi czas na to, bym mogła lepiej cię poznać. Proszę.

- Jak wiele czasu?

- Nie umiem powiedzieć. Mam pewne problemy, które muszę rozwikłać, zanim złożę ci przysięgę, o którą mnie prosisz.

- Jakie problemy? Powiedz mi, a może będę mógł ci pomóc.

Propozycja była kusząca. Nawet nie wiedział, jak bardzo pragnęła podzielić się z nim swoim ciężarem. Opowiedzieć mu wszystko - o Ralphie i Stevie'm, i kradzieżach, do których została zmuszona. Wytłumaczyć mu wszystko, a potem błagać o zrozumienie i pomoc w wyzwoleniu się z pułapki, w jakiej się znalazła.

Ale nie mogła ryzykować. Nie teraz. Jeszcze nie. Skąd mogła wiedzieć, że po wysłuchaniu prawdy jego miłość nie zmieni się w odrazę? Poza tym musiała pamiętać o Stevie'm. Gdyby tylko chciał poczekać, dać jej czas... Nadal wierzyła, że jakoś uda jej się wypełnić żądania Ralphi, uratować siostrzeńca, nie mówiąc nic Brentowi. Potem, gdyby wszystko potoczyło się pomyślnie, mogłaby za niego wyjść i żyłoby długo i szczęśliwie. Postanowiła odrzucić jego propozycję pomocy.

- Proszę. Bądź cierpliwy jeszcze jakiś czas - szepnęła. - I uwierz mi, kiedy mówię, że cię Kocham.

# 10

Następnego ranka Andreę i Maddy obudziło głośne i bezlitosne stukanie do drzwi. Ponieważ poprzedniego wieczoru obie panie położyły się bardzo późno do łóżek, a była niedziela, więc nie spieszyły się ze wstawaniem- Teraz więc wyszły ze swoich sypialni gotowe zamordować nieoczekiwanego gościa.

Pierwsza do drzwi dotarła Andrea i otworzywszy je szeroko, z zamiarem zbesztania intruza, stanęła twarzą w twarz z Brentem. Wcale specjalnie się nie ucieszyła. Była na wpół zaspana i straszliwie potargana.

- Jak możesz budzić nas o takiej porze? - rzuciła z irytacją. - Dlaczego nie jesteś w łóżku, pogrążony we śnie, tak jak i ja byłam, zanim nie zadudniłeś do moich drzwi?

- Przykro mi, cukiereczku, ale dyrekcja hotelu poprosiła mnie, bym pomógł im przesłuchać gości.

- Przesłuchać? - zdziwiła się.

- No właśnie - ziewnęła Maddy. - Czy to jest aż tak pilne, że nie można z tym poczekać do bardziej cywilizowanej godziny?

- Jeśli zaprosicie mnie do środka, to wszystko wyjaśnię - zasugerował.

- Och, i tak już nas obudziłeś - mruknęła Andrea, odsuwając się na bok i czekając, aż Brent zamknie drzwi. - Szkoda tylko, że nie zamówiłeś śniadania. Tak naprawdę

czuję, że się obudziłam, dopiero wtedy, gdy coś zjem i wypiję filiżankę kawy lub dwie. - Strzepując z twarzy długie pasmo włosów, podeszła do krzesła i usiadła ciężko.

- Postaram się pamiętać o tym w przyszłości. Poza tym chciałbym zauważyć, że wyglądasz zachwycająco świeżo, nawet taka potargana.

- Idź do diabła, Sinclair - warknęła.

- Wolałabym, żeby najpierw powiedział nam, o co chodzi - wtrąciła Maddy. - Tylko streszczaj się, bo ja także mam ochotę na kawę i bułeczki.

Brent uśmiechnął się przebiegle.

- Mam przyjemność poinformować, że zanim pozwoliłem sobie paniom przeszkodzić, zamówiłem dla nich śniadanie. Niedługo je dostarczą. Wracając do sprawy. Wczoraj wieczorem doszło do następnej kradzieży. Dowiedzieliśmy się o niej dopiero przed kilkoma godzinami. Dyrekcja chce się upewnić, czy jeszcze ktoś nie padł ofiarą złodzieja. Musimy przepytać wszystkich gości, nim rozejdą się do swoich zajęć. Poproszono mnie o pomoc.

- Kto tym razem zapodział diadem? - mało sympatycznie zapytała Andrea, ubijając leżącą obok gobelinową poduszkę i z przesadną precyzją układając ją na miejscu.

- Pani Cunningham i jej współlokatorki — poinformował Brent z naganą w oczach. - I nic nie zapodziały, tylko zostały obrabowane z całej biżuterii, jaką posiadały. Nie został nawet jeden kolczyk. Są ogromnie przygnębione i nic by ci się nie stało, gdybyś okazała nieco współczucia. Bądź co bądź równie dobrze mogło to przytrafić się tobie.

- No cóż, wybac mi - rzuciła krótko Andrea, nieświadomie poprawiając serwetę pod lampą, która stała obok niej na stoliku - ale złodziej, ktokolwiek nim jest, doskonale wie, że nie posiadam nic cennego. Co się zaś tyczy wdowy Cunningham, z pewnością doszedł do wniosku, że jej apartament aż pęka w szwach od kosztowności. Przecież mieszkają tam trzy kobiety. Znęcił go trzykrotnie większy łup, na dodatek zagarnięty za jednym zamachem.

- Mnie też tak się zdaje - zgodził się Brent. Przy okazji przyszła mu do głowy pewna myśl, ale postanowił zająć się nią nieco później.

- Żałuję, że coś takiego im się przytrafiło - wtrąciła uprzejmie Maddy. -I proszę, wybaczyć oschłość Andrei. O tak wczesnej porze nie jest sobą. Jeśli nadal upierasz się przy poślubieniu jej, musisz nauczyć się cierpliwie znosić te poranne humory.

- Wezmę to pod uwagę - zapewnił. - A teraz, jeśli wolno mi zająć paniom jeszcze chwilkę, czy nie zechciałybyście sprawdzić swoich kasetek z biżuterią i innych miejsc, w których trzymacie kosztowności? Muszę jeszcze zajrzeć do innych gości - przypomniał.

- Och, Boże! - jęknęła Andrea, podnosząc się. - To bezcelowe, ale jeśli tylko w ten sposób się ciebie pozbędziemy, zgadzam się. - Wyszła z pokoju, a za nią Brent.

- Zatrzymaj się, ty szczywany lisie - ostro zawołała Maddy. - Andrea doskonale da sobie radę sama. Nie ma potrzeby, byś towarzyszył jej w sypialni. Jeśli już musisz za kimś chodzić, służyć swoją osobą.

Podczas gdy Andrea udawała, że przegląda swoją biżuterię, to samo w drugim pokoju robili Brent i Maddy. Ku wielkiemu zaskoczeniu Andrei, starszka wyszła z listą kilku zaginionych przedmiotów.

- Nie mogę zlokalizować mojego zielonego parasola ani szpilki do kapelusza z kości słoniowej, ani też tego żółtego wachlarza z malowanymi ptakami - wyliczyła. - I nie widzę nigdzie mojego zegarka.

Brent zmartwiony stratami poniesionymi przez miłą starszkę cieszył się zarazem, że wypełnił powierzone mu zadanie. Ryzykując, że zrani jego dumę, Andrea musiała wprowadzić obydwój z błędu.

- Maddy, kochana, dwa dni temu pożyczyłaś zegarek pani Kerr, ponieważ jej właśnie się zepsuł. Twoja parasolka znajduje się w koszu na parasole przy drzwiach i jeśli się nie mylę, spinka nadal tkwi w kapelusiku, który leży tam,

na tym małym stoliczku - stwierdziła, wskazując w stronę okna. - Pozostaje tylko wachlarz. A on może leżeć gdziekolwiek.

Zawstydzona Maddy uśmiechnęła się do Brenta.

- Teraz widzisz, dlaczego będę tęskniła za Andrea, kiedy się już pobierzecie. Gdyby nie ona, zgubiłabym własną głowę.

- Cieszę się, że Andrea rozwiązała zagadkę zaginionych przedmiotów - poddał się Brent. - Teraz jednak muszę iść do innych gości, którzy mogli ponieść większe straty. Spotkamy się później na obiedzie. Aha, i ubierzcie się z sensem. Dzisiaj ma być znowu słonecznie i gorąco, a zamierzam namówić was na grę w krykieta.

Po wyjściu Brenta Andrea opadła bez sił na krzesło. Czuła się tak, jakby właśnie umknęła przed plutonem egzekucyjnym. Liczyła się z różnymi przeciwnościami, ale nawet przez chwilę nie pomyślała, że Brent będzie miał coś wspólnego ze śledztwem dotyczącym kradzieży. Dzisiejszy niespodziewany epizod usunął jej ziemię spod stóp. Miała nadzieję, że Brent nie zajmie się sprawą na stałe, inaczej jej szczęśliwa przyszłość stała pod wielkim znakiem zapytania.

A wszystko to po tak precudownym i obiecującym wieczorze! Po skończonym obiedzie dołączyli z Brentem do reszty towarzystwa, po czym dosłownie przetańczyli całą noc. Brent dotrzymał obietnicy danej Shirley Cunningham, ale zatańczył z nią tylko raz, resztę czasu poświęcając Andrei. Udało im się nawet uciec na krótko na zalany księżycową poświatą taras, gdzie całowali się namiętnie, dopóki nie przyłapała ich Maddy i nie wypędziła z powrotem do sali balowej.

Wieczór był tak magicznie bajkowy, że Andrea zaczęła prawie wierzyć, iż cuda rzeczywiście się zdarzają, jeśli tylko pragnie się ich wystarczająco mocno. Jednak teraz, po porannym incydencie, wszystkie lęki i zmartwienia na nowo nabrały mocy.

Brent czuł zamęt w głowie, tak samo zresztą jak reszta śledczych pracujących przy sprawie. Ostatnia kradzież niezupełnie pasowała do poprzednich, choć istniały pewne podobieństwa. Nie zostały wyłamane ani okna, ani drzwi, co wskazywało, że złodziej miał dostęp do kluczy. Tak jak poprzednio pudełeczka po biżuterii były pozamykane, a pokój uprzątnięty. Jednakże trzy kobiety zapewniały, że oprócz biżuterii nic w pokoju nie zostało naruszone.

Mimo to detektywi doszli do wniosku, że złodziej, jeśli rzeczywiście była to ta sama osoba, stał się nagle ogromnie pazerny. Przy poprzednich kradzieżach zawsze zostawiał mniej cenne przedmioty. W tym wypadku do cna oczyścił trzy szkatułki. Pracownicy z agencji Pinkertona mieli twarde orzech do zgryzienia i ani na jotę nie zbliżyli się do rozwiązania zagadki.

Z jednym z agentów Brent nawiązał bliższą znajomość. Nazywał się Jenkins. Był przeciętnego wzrostu, wagi i na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżniał. Z szarymi oczami i włosami, ubrany w zwykły brązowy garnitur i buty, doskonale wtapiał się w grono pospolicie wyglądających śledczych. Dopiero kiedy jego twarz rozjaśniał rzadki zresztą uśmiech, coś się w nim zmieniało i zaczynał rzucać się w oczy. Jednak w tej chwili, rozmawiając o ostatniej kradzieży, Jenkins się nie uśmiechał.

- Musimy poczekać na następną. Miejmy nadzieję, że wtedy złodziej pozostawi po sobie więcej śladów - stwierdził z niechęcią.

- Tak. Szkoda, że wczoraj nie dokonał dwóch włamań. Mielibyśmy porównanie - dodał stojący obok policjant.

Brent przyglądał się im kpiąco.

- Muszę powiedzieć, że to nieco zaskakujące podejście - oświadczył. - Mając na uwadze ofiary kradzieży, należałoby się cieszyć, że złodziej ograniczył się tylko do tego jednego apartamentu.

Jenkins wzruszył ramionami.

- Wszystko zależy od punktu widzenia. My mamy tu na

myśli dobro śledztwa. Wcześniej czy później złodziej popełni jakiś błąd i im częściej będzie powtarzał włamania, tym szybciej to nastąpi.

- Gzy stanowczo wykluczylismy udział pokojówki przypisanej do pokoju Thorntonów? - chciał wiedzieć Brent.

- Przeszukaliśmy jej mieszkanie i nie znaleźliśmy nic, co by wskazywało, że to ona jest naszym złodziejem - poinformował drugi śledczy. - Oczywiście, nie oznacza to, że nie bierzemy jej już pod uwagę. Zarówno ona, jak i kilka setek innych osób nadal pozostaje na naszej liście podejrzanych.

- Co, mówiąc inaczej, oznacza, że nadal poruszamy się po omacku - skonkludował Brent. - Podczas gdy nasz przestępca bogaci się, doskonali technikę i prawdopodobnie wyśmienicie bawi naszymi nieudanymi próbami pojmania go. - Najwyraźniej sfrustrowany, przeczesał ręką włosy. - Nienawidzę, jak ktoś robi ze mnie durnia. Przysięgam wam, że jeśli go złapiemy, już ja mu dam popalić.

Po lunchu cała grupa zebrała się przy grze w krykieta, dzieląc się na dwie drużyny. Andrea z niesmakiem stwierdziła, że na polu obecna jest Shirley Cunningham i jej dwie towarzyszki. Po pierwszych trzech rundach Andrea z trudem powstrzymywała się, by nie rąbnąć wdowy pobijakiem w głowę.

- Nigdy nie spotkałam kogoś tak...

- Sukowatego? - poddała jej słowo Maddy, kiedy Andrea nie potrafiła znaleźć odpowiedniego epitetu.

- Właśnie. Niczego bardziej nie pragnę, jak wbić jedną z tych wielkich drewnianych piłek w jej usta!

- Cóż, może gdybym poćwiczyła uderzenie, udałoby mi się to - zastanawiała się staruszka. - Ale musiałoby to wyglądać na przypadek.

Andrea zachichotała.

- Maddy, jesteś nieoceniona! Żałuję, że nie spotkałam cię wiele lat wcześniej. Było z ciebie niesamowite ziółko.

- Wiedziałam, jak dać im popalić - przyznała. A po chwili dodała sucho: - I chyba nadal mi się to udaje, do pewnego stopnia.

- Pani kolej, panno Albright! - zawołała piskliwie Shirley. - Wszyscy na panią czekamy, a pani skutecznie tu sobie jakieś ploteczki.

- Tak się składa, pani Cunningham, że Maddy i ja dyskutowaliśmy o teorii ewolucji Karola Darwina - odparowała Andrea nawet nie mrugnawszy powieką przy wypowiedzianiu tego jawnego kłamstwa.

Maddy niemalże zakrztusiła się od nagłego śmiechu; jej oczy zaskliły się od łez. Andrea klepnęła ją delikatnie po plecach. Na twarzy Brenta także pojawił się szeroki grymas.

- O jakiej teorii? - zdziwiła się Shirley ze zdecydowanie głupkowatą miną.

- Darwin próbował wyjaśnić pochodzenie człowieka - pospieszył z pomocą Brent, z trudem utrzymując powagę. - Od lat dyskutuje się na ten temat.

- No właśnie! - zawołała Andrea. - Ciekawa jestem pani opinii, pani Cunningham.

- Wolę nie zaprztać sobie głowy tak nudnymi sprawami - oświadczyła zapytana. - Lepiej niech zajmują się nimi takie intelektualistki jak pani, panno Albright.

- Osobiście uważam intelektualistki za ogromnie intrygujące - wtrącił się Brent. - Nigdy nie wiadomo, czym zaskoczą człowieka w rozmowie!

W połowie rozgrywki Lois własnym kijem uderzyła się w palec u nogi, więc postanowiła zakończyć grę. Zaproponowała, żeby ktoś ją zastąpił. Spomiędzy grupki widzów wystąpił osobnik o krzaczastej rudej brodzie.

- Z ochotą wejdę za panią - powiedział z ciężkim szkockim akcentem.

Andrea głośno jęknęła.

- Och, nie. - Przewróciła oczami, popatrzyła w niebo, po czym zboląłym głosem zapytała: - Co takiego uczyniłam, żeby na to zasłużyć?

- Musiało to być coś bardzo złego - odezwała się Maddy - bo ten człowiek przyczepił się do ciebie jak rzep do psiego ogona.

- To staje się nudne - mruknął Brent.

- Hej tam, wy troje, nad czym tak dywagujecie - wpadła im w słowo Shirley, wyraźnie rozdrażniona. - To tylko głupi krykiet. Jeśli chcemy go dzisiaj skończyć, potrzebujemy szóstego gracza. - Kiwając głową w stronę Dugana, dodała z odcieniem podziwu: - Ten pan doskonale się nadaje.

Po przywitaniu się z Shirley i Betsy, bo reszta nie zdradzała większej ochoty na bliższe kontakty, Dugan podniósł kij i gra rozpoczęła się na nowo, choć z pewnymi perturbacjami.

- Ostrzegam cię, MacDonald. Trzymaj się z daleka od panny Albright albo się z tobą policzę - ostrzegał Brent, obrzucając Szkota groźnym spojrzeniem.

- Z pomocą jakiej armii? - kpił olbrzym.

- Nie będę potrzebował niczyjej pomocy - zapewnił go Brent.

- Może i nie, ale z pewnością przyda ci się kij - odpowiedział Dugan, krztusząc się śmiechem.

- Och, kończmy już ten mecz! - złościła się Betsy. - Jest straszny upał!

Wznowili rozgrywkę, teraz, kiedy przeciwnik wzmocnił swoje szeregi, nieco bardziej ognistą. Dugan grał nieźle i starał się zachowywać poprawnie. W pewnym momencie, kiedy szykował się do wybicia piłki Maddy, ta podeszła do niego i powiedziała:

- No dalej, ty kudłaty potworze. Mam nadzieję, że złamiesz sobie łapsko.

W chwili, kiedy się zamachiwał, staruszka uniosła parasolkę i ostrym końcem dźgnęła Szkota w bok.

Dugan spudłował i na dodatek uderzył się kijem w kostkę. Przerażliwie wrzasnął z bólu. Szybko odwrócił się do uśmiechniętej przeciwniczki.

- To niedozwolone! - ryknął; jego oczy rzucały gromy.

- Jestem krucha i stara, i nie ma dla mnie rzeczy niedozwolonych - oświadczyła Maddy ze stoickim spokojem. Przeszła nonszalancko obok przeciwnika i stanęła przy swojej piłce. - Zejdź mi z drogi, ty wielki byku - rozkazała - albo znowu cię dźgnę.

Dugan pospiesznie uskoczył na bok, stękając z bólu.

- Kobieto, gdybyśmy mieli cię po swojej stronie w czasie starć z Anglikami, wypędzilibyśmy ich aż do Chin! - zawołał z podziwem. - Taka drobinka, a taka niebezpieczna!

Ostatecznie gra dobiegła końca. Wygrała Andrea, choć podejrzewała, że po cichu pomógł jej w tym Brent, który uzyskał prawie tyle samo punktów co ona. Dugan zajął trzecie miejsce, mimo obolałej kostki i strat poczynionych przez Lois.

- Och! - skarżył się głośno. - To nie jest męska gra. Nie to co golf. Ten dopiero wymaga zręczności.

- Podobnie jak krykiet sprowadza się do obijania piłki po polu - sucho zauważyła Maddy.

- No, ale jest to nieco trudniejsze obijanie - upierał się Dugan. - Znasz tę grę, Sinclair? - zwrócił się do Brenta.

- Trochę w nią grałem - odparł.

- Może rozegralibyśmy jakiś mecz? Będziesz miał okazję udowodnić mi, że nie tylko Szkoci wiedzą, jak grać w golfa. Obronisz honor Amerykanów.

Było to jawne wyzwanie, którego Brent nie mógł puścić mimo uszu, jednak pozostawał jeden problem.

- Gdzie będziemy grać? Z tego, co wiem, w Filadelfii nie ma pola golfowego.

- Już jest - poinformował go Szkot z beczelnym uśmiechem. - W szkockiej części wystawy. Ustawiliśmy dziewięć dołków w Fairmount Park. Połowa odległości, ale podwójna trudność - pochwalił się olbrzym. - Co ty na to, żeby spotkać się jutro z samego rana?

Brent pomyślał i doszedł do wniosku, że rozgrywka nie może nieść ze sobą żadnych złych reperkusji. Jeśli uda mu się utrzcć nosa Szkotowi, tym lepiej.

- Będę tam - zgodził się.

Andrea wyglądała na skonsternowaną i nieco przestraszoną. Kiedy Dugan się oddalił, zwróciła się do towarzysza.

- Dlaczego się zgodziłeś? - zapytała. - Nie rozumiem.

- Otwarcie mnie wyzwiał - rzucił krótko Brent, jakby nie widział sensu dalszego tłumaczenia. - Nie mogłem nie podjąć wyzwania.

- Kochanie, tu chodzi o dumę - wtrąciła się Maddy, widząc, że Andrea nadal nic nie rozumie. - Męskie ego jest ogromnie skomplikowane i delikatne. Wymaga nieustannych zwycięstw nad przeciwnikami, nieważne, czy w walce wręcz, czy w rozgrywce intelektualnej. Przypuszczam, że sięga to jeszcze epoki kamienia łupanego albo, jak sugeruje Darwin, małą człękoksztalnych walących się nawzajem potorsach.

- I przy okazji robiących z siebie ostatnich głupców? - dopytywała się kpiąco Andrea, niewinnie mrugając w stronę Brenta.

- Czy taka jest nagroda za to, że staram się o twoje dobre o mnie zdanie? - zaprotestował. - Same obelgi?

- Ach, więc starasz się wyrzeć na mnie wrażenie? - rzuciła Andrea. - To zupełnie zmienia postać rzeczy. Jednakże w przyszłości nie potrzebujesz walczyć z każdym przechodzącym mężczyzną, żeby to osiągnąć. Uważam, że i bez tego jesteście wspaniały.

# 11

Brent powrócił z porannego meczu tryskając radosnym tryumfem. Dołączył do Andrei w czytelnicy tak dumny z siebie, że obawiała się, iż zaraz pęknie.

- Pokonałem go! - poinformował zupełnie niepotrzebnie.  
- Zwyciężyłem tego wielkiego zarozumiałego potwora!

- Bardzo ci to pochlebia, prawda? - z rozbawieniem dopytywała się dziewczyna. - Napęczniałeś z dumy jak beczka.

- Cóż, muszę przyznać, że wygrałem tylko jednym punktem, dzięki szczęśliwemu uderzeniu - wyjął. - Ale pobiłem Szkota w jego własnej grze i czuję się cudownie! - Pochwyił Andreę za ramię, ciągnąc ją z fotela, potem czekał niecierpliwie, aż poprawi abażur, który niechcący strącił łokciem. - Chodźmy. Chcę to uczcić! Odnajdźmy Maddy i wybierzmy się na zakupy. Kupię ci wszystko, czego zapragniesz.

Oprócz Brenta, Andrea pragnęła jedynie Stevie'ego, ale przecież jej towarzysz nie mógł o tym wiedzieć. Odpędziła ponure myśli i zaczęła się przekomarzać.

- Wspaniale. Chcę maszynę do szycia. Najlepszą. Singera. Zatrzymał się i spojrzał na nią, jakby postradała rozum.

- Maszynę do szycia? - powtórzył. - Na co ci ona?

Wybuchnęła śmiechem.

- A jak myślisz? Z pewnością nie do łupania orzechów.

- Doskonale wiesz, że nie to miałem na myśli. Po prostu zdziwiłem się, że chcesz maszynę do szycia, że jej potrzebujesz i że chciałybyś jej używać.

- Oczywiście, że bym jej używała - zapewniła. - Czy wiesz, jak dużo kosztuje uszycie eleganckiej sukni? Tych, które dostają od Maddy, nie kupuje się w zwykłych sklepach. Wiesz, mogłabym sobie taką uszyć za jedną trzecią ceny. Ale nie oczekuję wcale, że kupisz mi maszynę do szycia - dodała pośpiesznie. - Chciałam tylko zobaczyć, co powiesz.

- Andreo, moje ty kochanie, czy pomyślałeś o tym, że kiedy się pobierzemy, będzie cię stać na kupienie garderoby, jakiej tylko zapragniesz? Nie będziesz musiała oszczędzać, choć podoba mi się takie podejście, bo być może nie od razu wyślesz mnie do przytułku dla biednych.

- Tak samo jak mnie podoba się, że nie zamierzasz być sknerą - odpowiedziała uprzejmie. - Ale, jak mawiał Franklin: zaoszczędzony grosz, to zarobiony grosz. Po prostu nie widzę powodu do ekstrawagancji, kiedy przy odrobinie pomysłowości mogę uszyć suknię dwa razy ładniejszą od tych, które wiszą w mojej szafie, wydając na nią cztery razy mniej niż policzyłyby sobie krawcowa. Miałabym z tego wielką radość.

- Zobaczmy - oświadczył Brent. - Na razie pomyśl o czymś innym. O czymś mniej praktycznym, a bardziej frywolnym.

Okazało się, że Andrea bez trudu wywiązała się z zalecenia Brenta i, choć nieumyślnie, wprowadziła go w całkowite osłupienie. Pomiedzy jednym pawilonem, w którym wystawiano egipskie mumie, a drugim, z kolekcją texidermy, znajdował się pawilon z egzotycznymi zwierzętami. Umieszczono w nim różnorodne gatunki tropikalnych ptaków, tresowanych sokołów, węże i inne niecodzienne ssaki pochodzące z różnych części globu oraz rasowe psy i koty, niektóre przeznaczone do sprzedaży.

- Chcesz kotka? - zawołał zaskoczony, wpatrując się

z niedowierzaniem w kudłate stworzonko, które mu wskazała. - Kiedy powiedziałem - niepraktyczne i frywolne, potraktowałaś moje słowa poważnie!

- Och, Brent, popatrz tylko na niego! Jest przecudowny!

Wyczuwając kupca, właściciel podał Andrei malutkiego angorskiego kotka.

- Wygląda jak zużyta szczotka do zamiatania! - oświadczył Brent.

- Albo jak mój szal z angory zabrudzony pudrem - dodała Maddy.

W tym momencie w umyśle Brenta na krótko zaświtała zapomniana myśl, ale nie chciał się nad nią teraz zastanawiać.

- Stevie byłby nim zachwycony! - nalegała Andrea, przyciągając uwagę Brenta.

Na jego twarzy zagościł sceptycyzm.

- Mówiłaś, że ile lat ma twój siostrzeniec?

- Dwa.

- I z pewnością ponosi go niepohamowana ciekawość. Jeśli choć trochę przypomina dzieci mojego brata, będzie uwielbiał tego kota, ale przy okazji go udusi. W najlepszym razie obedrze go z futra w przeciągu tygodnia - zawyrokował.

- Nie zrobi nic podobnego! - zaprotestowała Andrea.

- Dziecko jest mądre, ale to żywy diabełek - zauważyła Maddy. - Z tego, co wiem, małe dzieci uwielbiają męczyć zwierzęta. Trzymam stronę Brenta. Jeśli ten kłębek futra nie ma dziewięciu wcieleń i szybkich nóg, nie ma szans.

Andrea zmartwiona oderwała od siebie kociaka, zamierzając zwrócić go sprzedawcy. Brent popatrzył na jej smutną minę i zmiękł.

- Och, no dobrze. Ale nie mów potem, że cię nie ostrzeżę. Czy ma pan klatkę albo coś podobnego, byśmy mogli bezpiecznie przetransportować to biedne, skazane na zagładę zwierzę? - zwrócił się do sprzedawcy.

Głośny skrzek, któremu towarzyszyło wściekłe trzepotanie skrzydeł, przerwało na chwilę transakcję.

Niedaleko znajdowała się klatka z olbrzymim orłem, który

złocistymi oczami wpatrywał się w miauczącego kociaka, jakby widział smakowity kąsek.

- Och, na Boga! - sapnęła Andrea, tuląc do siebie przerażone stworzonko. — Dlaczego ustawiono to ptaszysko tak blisko tych bezbronych kociąt?

Opiekun orła usłyszał jej słowa i poczuł się urażony.

- Ptaszysko? - powtórzył gniewnie. - Panienko, to sam Old Abe! Symbol naszego kraju i jeden z najbardziej cennych ptaków. Towarzyszył naszym żołnierzom w czasie wojny. Był nawet kilka razy ranny i odznaczony. To narodowy bohater!

- Niech będzie nawet samym wcieleniem prezydenta Lincolna! - odgryzła się Andrea. - Straszy mojego kotka! A także inne. Ten ptak nie powinien się tu znajdować. To tak, jakby przywiązać lisa przed kurnikiem!

Brent uśmiechnął się niewyraźnie do ptasznika.

- Ona ma trochę racji. Dla dobra obydwu zwierząt byłoby lepiej i mniej okrutnie umieścić orła z dala od tej smakowitej pokusy. Proszę popatrzeć, Old Abe cały się ślini. Na pewno nie chciałby pan, żeby dostał ataku serca, to przecież narodowy bohater.

- Może i słusznie - zgodził się ptasznik, ułagodzony faktem, iż inny mężczyzna podziela zdanie Andrei. - Szkoda by było, gdyby symbol naszego kraju zdechł.

Zanim Andrea zdążyła głośno wyrazić oburzenie i sprawić jeszcze więcej kłopotów, Brent i Maddy pospiesznie wyprowadzili ją z pawilonu. Nie opierała się zbyt, bo miała już przy sobie kociaka bezpiecznie ulokowanego w kartonowym pudle z wyciętymi otworami.

Szli główną alejką w stronę najbliższego przystanku tramwajowego, kiedy jakiś mężczyzna w ubogim, brązowym garniturze zatrzymał Brenta.

- Panie Sinclair, czy mógłbym zamienić z panem słówko na osobności?

Przeprosiwszy obie panie, Brent odszedł kilka kroków i wdał się w ożywioną rozmowę z nieznanym.

- Ciekawa jestem, o co chodzi? - dziwiła się Maddy.

Andrea przyglądała się rozmawiającym z rosnącym przeżeniem. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu obawiała się, że mówią o niej. Podeszła bliżej i wyłożywszy słuch, pochwyciła fragmenty dyskusji, które potwierdziły jej niepokój. Mężczyzna mówił Brentowi o skradzionych z wystawy glinianych figurkach i miniaturowych rzeźbionych w drzewie zwierzątkach. Znajdowały się one w tej chwili w jej torbie wraz z innymi przedmiotami, które zwędziła tego popołudnia, kiedy nikt jej nie obserwował. Była przekonana, że w ogromnym tłumie zwiedzających jej poczynania przeszły nie zauważone, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości.

Zaprzagnęła uciec, najszybciej jak potrafiła, zanim Brent zbliżył się do niej i oskarżył o kradzież. Ale jej stopy jakby wrosły w ziemię. Pozostała na miejscu. Czekała. Modłała się. Umierając po trochu.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu Brent zbliżył się z uśmiechem na twarzy.

- Dziękuję, że okazałyście tyle cierpliwości - powiedział.  
- Pospieszmy się, bo ten kociak zaraz wydrze pazurami dziurę w kartonie.

- Czego chciał od ciebie ten człowiek? - zapytała Andrea, obawiając się odpowiedzi.

- Nic ważnego.

- Kto to jest? Widziałam go, albo kogoś do niego podobnego, kręcącego się po hotelu - zauważyła Maddy. - Przypuszczam, że zwróciłam na niego uwagę, bo jakoś nie pasował do otoczenia.

Brent zastanawiał się przez chwilę.

- To jeden z agentów Pinkertona. Zajmuje się dochodzeniem w sprawie ostatnich kradzieży.

Na te słowa obie kobiety obrzuciły go zaskoczonymi spojrzeniami.

- Dlaczego chciał rozmawiać właśnie z tobą? - niepewnie zapytała Andrea. - Chyba nie sądzi, że masz coś wspólnego z tymi kradzieżami?

- Nie. Po prostu powiadomił mnie o podobnych zdarzeniach na terenie wystawy - wyjaśnił Brent. Widząc nieme pytanie na ich twarzach, a nie chcąc wyjawić swojej sekretnej misji, uchylił tylko rąbka tajemnicy. - Ponieważ pomagałem im poprzedniego dnia i zobaczyli, jak bardzo zainteresowała mnie ta sprawa, są tak uprzejmi, że przekazują mi niektóre informacje.

- Czy w takim razie wpadli już na trop złodzieja? - z zaciekawieniem zapytała Andrea.

- Obawiam się, że niestety nie - oświadczył Brent, po czym, dla polepszenia nastroju, zażartował: - Nie martw się, kochanie. Masz przy sobie to groźne zwierzę. Ono cię obroni.

Maddy sarkastycznie sapnęła.

- Jeśli tak, to będę mogła wreszcie oszczędzić swoją parasolkę. Niech od dzisiaj ten kot walczy z panem MacDonaldem.

Niemiły incydent z popołudnia nie powstrzymał Andrei przed kontynuowaniem przestępczego procederu. Wieczorem mieszkańcy Filadelfii wylegli na ulice, by oglądać pokaz sztucznych ogni. Tak się korzystnie złożyło, że tłum musiał przejść obok jej hotelu, żeby dostać się do Independence Hall, gdzie miała się odbyć wieczorna ceremonia uświetniona brzmieniem nowych dzwonów z wieży. Ich bicie miało zapowiedzieć nadejście święta Independence Day. W tłoczącej się ciżbie Andrea bez kłopotu oddzieliła się od swoich kompanów i na długo przed pierwszym uderzeniem zwiastującym północ jej torba pękała od skradzionych przedmiotów.

Z trudem torowali sobie drogę z Independence Squire, popychani i potrącani przez rozbawionych osobników, kiedy nagle torba Andrei obijała się o biodro Brenta. Stęknąwszy z bólu i łapiąc się za nogę, przepchnął się do najbliższego wejścia na klatkę schodową, ciągnąc za sobą Andreeę.

- O co chodzi? - zawołała, starając się przekrzyczeć wrzaski tłumu. - Co się stało?

- Ktoś mnie ugodził nożem! - odkrzyknął z grymasem na twarzy, nadal ściskając zranioną nogę.

Oczy dziewczyny rozszerzyło przerażenie.

- Och, mój Boże! Czy możesz iść? Mam cię tu zostawić i biec po lekarza? Po co ktoś coś takiego zrobił?

- To nie jest śmiertelna rana - zapewnił ją. - Tylko boli jak cholera! Wiem, że nie zrobiłaś tego specjalnie, ale co, do diabła, nosisz w tej swojej torbie? Czy to jakaś wielka igła?

Prawdopodobnie nie mija się z prawdą, pomyślała Andrea, przypominając sobie broszki i ozdobne spinki, które ukradła tego wieczoru. Z braku czasu wrzucała je do torby bez zapinania.

- Och, wielkie nieba! To pewnie moja szpilka do kapelusza albo zapięcie od kamei lub od kolczyka, a może nawet ząb grzebienia - tłumaczyła się wykrętnie. - Och, już wiem! To najprawdopodobniej te przekłete nożyczki, którymi odstraszyłam Dugana MacDonalda!

- Nic dziwnego, że tak łatwo dał się odwieść od niecnych zamiarów! Gdybym wcześniej wiedział, też bym się asekurował. Ale po co nosisz ze sobą te wszystkie rzeczy?

Po chwili gorączkowego myślenia, oświadczyła stanowczo:

- Po twoich ostrzeżeniach nie chcę zostawiać ich w pokoju. Nie są wiele warte, oprócz sentymentów, ale to wszystko, co posiadam.

Pomimo bólu Brent wybuchnął śmiechem.

- Przygwożdżony własną bronią! - Bez zapowiedzi chwycił torbę i uniósł ją do góry. - Wielki Boże, kobieto, czy nosisz również cegły? Aż dziw, że nie przechylasz się na jedną stronę, kiedy to zakładasz na ramię!

Przerażona, że Brent zechce obejrzeć zawartość torby, zaczęła uderzać go po dłoni, aż ją puścił.

- To książki - wyjawiła. - Prawie tak dobre jak cegły, kiedy trzeba odpędzić napastnika lub kieszonkowca. Skoro wszystkie cenne rzeczy mam przy sobie, nikt mi ich nie ukradnie.

- Więc wolisz mnie kłuć.
- Tak mi przykro! Bardzo boli? - zainteresowała się ponownie.
- Zdaje się, że rana przestała już krwawić, co jest dobrym znakiem.
- Najlepiej by było wrócić do hotelu, żeby ktoś ci to opatrzył - zasugerowała skruszonym głosem.
- Ty powinnaś się tym zająć, skoro jesteś winowajczynią - oświadczył z szelmowskim uśmiechem.
- Możesz sobie pomarzyć, ty łotrze! - odparowała, wymachując mu palcem przed nosem. Następnie uśmiechnęła się przebiegle. - Ale zdaje się, że Maddy skończyła jakiś pielęgniariski kurs. Ma wspaniały balsam, który podobno pomaga na wszystko. Piecze jak diabli, ale wyleczy każdego, chyba że go najpierw zabije.

Filadelfia gorączkowo świętowała. Parady, przemówienia, transparenty, prawie każdy dom i sklep udekorowany w czerwono-biało-niebieskie flagi. W wybranym miejscu na wystawie ustawiono Pochodnię Wolności, charakterystyczny fragment Statuy Wolności, której wbrew początkowym planom nie udało się ukończyć na czas obchodów stulecia Stanów Zjednoczonych. Przez weekend do Filadelfii przybyło ponad sto pięćdziesiąt tysięcy gości, pragnących uczcić święto wolności w mieście, w którym wszystko się zaczęło. Jeżeli komuś udało się dostać pokój w hotelu, musiał zapłacić za niego bajorńską sumę. Sławetna gościnność miasta została poddana ostrej próbie, ale jakoś się broniła.

Na ulicach prowadzących z przedmieść do Fairmount Park panował wzmożony ruch, a i tak konne tramwaje nie zaspokajały zapotrzebowania. Choć od centrum do terenu wystawy było około trzech mil, mimo straszliwego upału, wiele osób postanowiło przejść ten odcinek piechotą.

Brent spojrzął na gmatwaninę pojazdów i przechodniów, po czym ciężko westchnął.

- Choć żal mi przegapić wszystkie te uroczystości zapla-

nowane specjalnie na dzisiejsze święto, te tłumy zmuszają mnie do zastanowienia się nad decyzją pozostania w hotelu. Nie mam ochoty dać się znowu pokrajać jakimiś ostrymi narzędziami wystającymi z damskich torebek.

- No właśnie, jak tam dzisiaj twoja rana? - zainteresowała się Andrea. - Czy balsam Maddy podziałał?

Brent spojrział na nią z ukosa.

- Przez to cuchnące mazidło prosto z kotła wiedźmy wypadły mi włosy na nodze, a na tym miejscu pozostała jasnoczerwona plama. Ale muszę przyznać, że ból ustał, podobnie jak lekka opuchlizna, i nie ma żadnych oznak, że zagraża mi gangrena.

- Mam nadzieję, że chciałeś po prostu powiedzieć, iż maść nieładnie pachniała, i że to nie mnie miałeś na myśli mówiąc o wiedźmie - rzuciła Maddy, groźnie mrużąc oczy i potrząsając parasolką.

Brent wykrzywił usta w uśmiechu.

- Zdaje się, że nieprecyzyjnie się wyraziłem.

- Też tak sędzę - skomentowała Andrea.

- Mam także nadzieję, że nie mówiłeś poważnie o zrezygnowaniu z pójścia na jarmark - dodała Maddy. - Zaplanowałam dla ciebie i Andrei coś specjalnego. A przy okazji, umiesz jeździć konno, prawda?

Młoda para popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

- Tak - potwierdził Brent. - Ale dlaczego?

- Ponieważ zgłosiłam cię na rezerwowego zawodnika w turnieju. Biedacek, który miał reprezentować rycerza wystawy, złamał sobie dziś rano rękę.

Brent wyglądał na oszołomionego. Nawet Andrea, która dobrze знаła Maddy i jej dziwaczne pomysły, na jakiś czas zaniemówiła. Pierwszy odzyskał głos Brent.

- Ryzykowałeś nie wiedząc nawet, czy umiem jeździć konno - odezwał się, nadal zdumiony. - Może byś mnie oświeciła, proszę. Co dokładnie mam robić na tym turnieju?

- Jeśli dobrze zrozumiałam, musisz trafić w małe kółko

długą lancą, jadąc na koniu. Rycerz, który zdobędzie najwięcej punktów, dostaje nagrodę.

- Co? Żadnych walk? - zdumiał się.

- Ja także byłam zawiedziona - przyznała Maddy z żalem - ale tłumaczyli mi, że chcą utrzymać zawody na cywilizowanym poziomie. Jednakże otrzymasz odpowiedni strój, choć proszono mnie, byś zorganizował sobie własne buty jeździeckie lub inne odpowiednie obuwie. Kostium i koń czekają na ciebie na terenie turnieju.

- Nie mówisz chyba o zbroi? - drżącym głosem zapytała Andrea.

- To bardzo zmodyfikowana wersja - staruszka przekonywała i ja, i Brenta. - Oryginalnej nie dałoby się załatwić, zresztą byłaby niewygodna, a w tak gorącym dniu jak dzisiejszy człowiek czułby się w niej jak sardynka w puszcze.

## 12

Skoro Maddy i tak zgłosiła go już do zawodów, Brent, choć z wielką niechęcią, zgodził się w nich uczestniczyć. Bajki na dobranoc i chłopięce fantazje - to jedno; dać się wbić w jakiś śmieszny strój i pozwolić, żeby oglądała to połowa świata - to drugie. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, to stać się pośmiewiskiem na oczach Andrei.

Jednakże kiedy znaleźli się na arenie, panował tam tak radosny i świąteczny nastrój, że Brentowi szybko wrócił dobry humor. W zawodach miało brać udział piętnastu rycerzy, po jednym reprezentującym trzynaście kolonii, jeden ze strony Unii i on jako reprezentant obchodów stulecia. Każdemu przydzielono konia, sześciostopową lancę i odpowiednie odzienie. Ponieważ kolczugi były w tych czasach raczej nieosiągalne, zawodnicy dostali rękawiczki i kostiumy uszyte z błyszczącego srebrnoszarego materiału, który z daleka mógł uchodzić za zbroję. Na to narzucili różnokolorowe tuniki ozdobione herbami. Na głowy założyli okrągłe metalowe kapelusze, otoczone przepaską pasującą do tuniki, mające przypominać hełmy. Kolorowe strusie pióra powiewały bohaterko na szczycie każdego z nich.

Brent popatrzył po towarzyszach i ze smutkiem stwierdził, że najprawdopodobniej wygląda tak samo komicznie jak oni.

- Mój Boże! Czuję się tak, jakbym założył na głowę kocioł! - oświadczył.

- Dobrze, że nie nocnik! - zauważył ktoś ze śmiechem.  
- Widzieliście, jak wystroili nasze konie? - dopytywał się trzeci. - Założyli im koce w tych samych kolorach co nasze zbroje, z dzwoneczkami i innymi bzdurami przyszytymi na brzegach. Węzidła są przyozdobione, tak jak to robiono za czasów króla Artura.

- To jeszcze nic, popatrzcie na arenę - zawołał następny.  
- Powiedzcie mi, proszę, jak mamy trafić lancą w tak małe kółko?

- Piętnastu kłownów na rumakach. To nie do pomyślenia!  
- zawołał Brent.

Na polu stały trzy konstrukcje oddalone od siebie o piętnaście jardów, składające się z dwóch bocznych żerdzi i jednej umieszczonej na szczycie. Zwieszał się z niej drewniany pręt z metalowym uchwytem na końcu, do którego doczepiono małe czerwone kółko.

- Wielki Boże! - Stęknął zawodnik, stojący nie opodal Brenta. - Nawet napałek jest większy. Te pierścienie mają taką małą średnicę!

- Ile razy możemy próbować? - chciał wiedzieć następny zawodnik.

- Czy to ważne? - spytał ktoś inny. - Będę musiał pożyczyć od żony okulary, żeby w ogóle zobaczyć te przekłute kółeczka, nie mówiąc już o trafieniu w nie, w dodatku siedząc na rozpędzonym koniu.

- Czy nie mieliście okazji trochę potrenować? - zdziwił się Brent, nieco podniesiony na duchu.

- Chyba pan żartuje. Dopiero co to postawili. Nawet nie mogliśmy wybrać sobie koni!

Rozległ się dźwięk trąb, obwieszczający początek ceremonii. W pełnym poczuciu absurdu zawodnicy dosiedli dzielnych rumaków. Jeden za drugim podjechali do sędziowskiej ławki i oczekiwali na wyczytanie swojego nazwiska. Następnie ruszyli wokół areny. Każdy zatrzymywał się przy damie swojego serca, by odebrać z jej rąk kokardę.

Na widowni Maddy wściekle machała ręką, by zwrócić

na siebie uwagę Brenta. Obok niej stała Andrea, wymachując czerwoną wstążką. Kiedy rycerz zbliżył się do nich i wysunął do przodu lancę, Andrea przywiązała do niej kokardę.

- Wyglądasz oszałamiająco - powiedziała, złośliwie się uśmiechając.- Podoba mi się szczególnie to pióro.

- Czuję się jak idiota. Mam nadzieję, że nie zrobię z siebie kompletnego głupka.

- Po prostu uważaj na starcie. - poradziła Maddy. - A kiedy będziesz dojeżdżał do celu, nie spinaj się i nie wstrzymuj powietrza. Raczej odetchnij głęboko i rozluźnij mięśnie. Poddaj się rytmowi konia. Celuj lancą na prawo od ucha konia, na wysokości, na której wisi kółko, i tak trzymaj. Cała sztuczka zdaje się polegać na rozluźnieniu i patrzeniu na cel, zamiast pod nogi.

Brent w osłupieniu wpatrywał się w staruszkę. Tak samo Andrea.

- Tylko nie mów, że kiedyś to robiłaś - zakpił.

- Nie, ale przyglądałam się podobnym zawodom. Zaufaj mi. Zrób, jak ci poradziłam, a prześcigniesz innych.

Brent popatrzył na Andreę, ale tylko wzruszyła ramionami.

- Warto spróbować. Co masz do stracenia?

- Tylko moją dumę, którą i tak zostawiłem już w przebiegalni - stwierdził z sarkazmem.

- Będziemy ci kibicowały, mój waleczny rycerzy - z gracją przyrzekła Andrea, kiedy oddalał się, by zająć miejsce w szeregu.

Za pierwszym razem żaden z piętnastu rycerzy nie trafił w pierścień, choć kilku z nich, włączając Brenta, zdołało strącić go z uchwytu. To się jednakże nie liczyło. Rozpoczęła się druga runda i tym razem, ku zadowoleniu rozentuzjzmowanego tłumu, zawodnicy osiągnęli lepsze wyniki. Pan Bryan z Connecticut, trzeci z kolei, złowił dwa kółka. Czwarty i piąty jeździec zdobyli po jednym.

Nadeszła kolej na Brenta. Poprawiając się w siodle, usta-

wił lancę na cel, wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze, starając się zrelaksować, jak sugerowała Maddy. Uderzeniem pięt zmusił konia do galopu.

Tłum jęknął, a Brent skrzywił się, kiedy czubek lancy ześliznął się z pierwszego kółka, które teraz huštało się na haczyku. Ustawił lancę nieco wyżej i ogromnie się zdziwił, kiedy przeszła dokładnie przez sam środek drugiego pierścienia. W galopie, na grzbiecie rozpędzonego konia, trudno mu było utrzymać pozycję, ale udało mu się, bo trzeci pierścień wskoczył na drewnianą tyczkę i dołączył do poprzedniego.

Ruszył w stronę ławki sędziowskiej, by zaprezentować swoje trofeum. Towarzyszył mu ryk zachwyty widzów. Sam miał ochotę krzyczeć z dumy. Ograniczył się do szerokiego uśmiechu i pomachania do Andrei i Maddy, które wyglądały na tak samo zadowolone jak on.

Pozostali jeźdźcy starali się dorównać w zręczności Brentowi i Bryanowi, ale udało się to tylko jednemu. Ku zachwyty tłumu i rozpaczy Brenta zawodnik z Delaware jednym ruchem zgarnął wszystkie trzy pierścienie. Natychmiast obwołano go zwycięzcą. Jednakże pozostała kwestia drugiego i trzeciego miejsca. Kiedy sędziowie radzili, co zrobić z tym problemem, tłum zaczął skandować, że chce dogrywki. Tak więc Brent i Bryan mieli znowu stanąć w szranki.

Bryan startował jako pierwszy i z powodzeniem, bo zdjął dwa pierścienie. Przyszła kolej na Brenta. Rozluźnił się, spojrzął na cel i ustawił lancę. Koń wystrzelił jak z procy.

Pierwsze kółko gładko wśliznęło się na tyczkę. Tak samo następne. Kiedy zbliżał się do trzeciego, koń nagle się potknął i zarzucił na lewo. W gorączkowej próbie, która mogła się skończyć wypadnięciem z siodła, Brent stanął w strzemionach, pochylił się na prawo, miotając lancą w trzeci pierścień. Czubek z brzękiem uderzył w metalową obrączkę. Przez zapierającą dech sekundę wirowała szaleńczo na końcu, nie spadając, ale też i nie ześlizgując się na pręt. Potem, jakimś cudownym trafem, wleciała na lancę.

Widzowie wpadli w szal. Zanim zdążyli zażądać następnej dogrywki, sędziowie, ku zadowoleniu i uldze Brenta, szybko ogłosili, że zajął drugie miejsce. Tak więc zawody zakończyły się. Przedstawiciel Delaware jako pierwszy, Brent, reprezentant obchodów stulecia, drugi i Bryan z Connecticut - trzeci.

Andrea wprost płonęła z radości i dumy. Z całą przyjemnością przyjęła zaproszenie Brenta na uroczystą kolację i bal, który miał się odbyć tego dnia wieczorem. Z nieco mniejszym entuzjazmem Brent odniósł się do prośby oficjalnego fotografa targów, uwieczniającego na kliszy wszystkie znamienitsze wydarzenia, by zgodził się pozować w stroju rycerskim do zdjęcia. Przystał na to, kiedy uzgodnili, że na fotografii znajdzie się także Andrea.

Założyła na głowę wianek z kwiatów, pożyczony od pewnej damy, która była przekonana, iż wieczorem zostanie wybrana królową balu. Posadzono Andree bokiem w siodle, tuż przed Brentem, który objął ją w pasie. Wyglądali jak romantyczna para średniowiecznych kochanków.

Przed wieczornymi uroczystościami wrócili do hotelu, by przebrać się w nieco bardziej stosowne stroje. Andrea zatrzymała się przy recepcji, chcąc sprawdzić, czy dla niej lub dla Maddy nie pozostawiono żadnych wiadomości. Ze zdziwieniem stwierdziła, że czeka na nią list. Na kopercie nie było nazwiska nadawcy, ale wszystko wskazywało na to, że list wysłany został z Waszyngtonu. Zaciekawiona, niecierpliwie rozerwała kopertę. Była to krótka notatka od Ralphi. Roztrzęsiona, wepchnęła kartkę papieru do kieszeni nie czytając jej. Pospiesznie ruszyła do swojego pokoju.

Brent widział, jak odbierała pocztę. Zauważył wyraz niechęci, jaki pojawił się na jej twarzy, kiedy otworzyła list i ukradkowo schowała go do kieszeni. Zirytowało go, że tak szybko pragnęła wrócić do pokoju, iż nie zdążyła nawet odwrócić się do niego i pożegnać, choć stał tylko kilka kroków dalej.

Co się z nią stało? - zastanawiał się, przesuając dłonią po ciemnych włosach. Kto napisał ten list i dlaczego ją tak zdenerwował? Czy może to znowu Dugan MacDonald? A może jakiś inny adorator, ktoś z Waszyngtonu? Albo ktoś, kogo poznała tu na miejscu? Dlaczego tak spieszyła się do swojego pokoju, że nawet nie spojrzała w jego stronę?

W tym czasie Andrea dotarła do pokoju i ze zboląłym sercem czytała list. Był krótki, ale zwięzły. Nie zaprzatając sobie głowy pozdrowieniami, Ralph pisał:

*Mam nadzieję, że zebrałaś niezłe żniwo, bo Twój czas się kończy. Mam już dosyć tego gnojka. Sprawia więcej kłopotów, niż jest wart, i zatruwa mi życie. Stawka wzrosła, na pokrycie kosztów jego utrzymania i wszystkiego, co zniszczył. Nowe łóżko, bo stare całe zasikał. Nowe buty, bo moje ktoś ukradł, kiedy wyrzucił je przez okno. Poza tym winna mi jesteś nowy zegarek. Ten bękart mój potłukł i połknął łańcuszek, a kiedy próbowałem go przed tym powstrzymać, ugryzł mnie. Gdyby nie rzeczy, które dla mnie zbierasz, już dawno bym go wyrzucił, więc spiesz się, zanim stracą cierpliwość i oddam go jakimś przejeżdżnym Cyganom. Nie ociągaj się.*  
Ralph

Było jeszcze krótkie postscriptum:

*Pewnie się ucieszysz, bo dzieciak gada już jak poparzony, chyba że trzyma w gębie palucha. Klnie jak prawdziwy szewc.*

Andrea skończyła czytać list. Policzki miała zalane łzami. Usiadła, a wtedy kociak wskoczył jej na kolana i zaczął zlizywać słone krople. Wdzięczna nawet za takie pocieszenie, delikatnie pogłaskała zwierzę.

- Och, koteczku! - łkała. - Nawet nie wiesz, jak ja tęsknię za tym chłopcem. Muszę go odzyskać! Muszę zabrać go od Ralpa, nieważne, jakim kosztem!

Przestała płakać; na jeszcze drżących ustach pojawił się uśmiech.

- Ty także pokochasz Stevie'ego - odezwała się do kota.  
- Mimo że chyba zrobił się z niego niezły łobuziak. Wyobraź sobie, taki mały brzdąc wyrzucił buty Ralpa przez okno! I zepsuł mu zegarek! Gdybym nie obawiała się porywczosci Ralpa, chciałabym, żeby Stevie zamęczył go swoimi psikusami. Ale boję się, że Ralph robi mi w końcu krzywdę. Ten człowiek jest potworem! Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby się okazało, że od chwili porwania Stevie nie miał w ustach porządnego posiłku ani nie był kapany. To dziecko żyje w skrajnej nędzy, a ja chodzę w jedwabiach i satynach, mam wszystko, czego dusza zapagnie.

Smutno potrząsnęła głową.

- Nie, cofam to. Gdybym miała wszystko, czego pragnę, byłby tu koło mnie Stevie, cały i zdrowy. To jest moje najgorętsze pragnienie. Moja najgorętsza modlitwa.

Przecierając twarz mokrym ręcznikiem, używając pudru i różu Andrea starała się zatuszować efekty płaczu. Sądziła, że udało jej się to osiągnąć, ale Brent, który zdażył poznać ją lepiej, niż sądziła, tylko rzucił na nią okiem i powiedział:

- Płakałaś. Co się stało?

Andrea wzruszyła ramionami i zamachała rękami.

- Ach, dostałam list od Ralpa. Tak bardzo tęsknię za Stevie'm - wyjawiała.

- Z pewnością chcesz już wracać do Waszyngtonu i spotkać się z nim - zawyrokował Brent, przyglądając się jej uważnie.

W głębi duszy zastanawiał się, czy przypadkiem, mimo wszystkich złych słów na jego temat, Andrea nie tęskni za samym Ralphem. Czy możliwe, że żywi do niego jakieś poważniejsze uczucie? W końcu to przez list od niego niemalże pofrunęła do pokoju i spłakała się tak, że spuchły jej oczy.

Godzinę później, już na bankiecie, Brent nadal rozważał

tę możliwość. Uczestniczyli w istnej uczcie, przypominającej te z zamierzchłych czasów, kiedy to rządili królowie, a waleczni rycerze zmagali się ze złem. Mogli wybierać między pieczonymi kaczkami, bażantami, przepiórkami, ogromnymi półmiskami krojonej wołowiny i gotowanej nad parą ryby. Salaterki z sosami, wazy z parującymi słodkimi ziemniakami, otoczonymi warzywami we wszystkich kolorach tęczy. Bułeczki, chleb, ciasta każdego rodzaju. Oddzielny stół, na którym piętrzyły się kuszące desery - ciasta, placki, strucle, puddingi i torty. Wystarczyłoby tego na nakarmienie małej armii.

W trakcie posiłku myśli Andrei wróciły do siostrzeńca, przez co natychmiast opuścił ją apetyt. Z ciężkim westchnieniem odłożyła na bok widelec.

- A teraz czym się martwisz? - zapytał Brent, już nieco poirytowany. - Przez cały wieczór jesteś zamyślona. Czy zaczynam cię nudzić, kochanie?

Odpowiedziała nieco rozłoszczonym tonem.

- Ależ nie. Po prostu znowu przypomniał mi się Stevie. Zastanawiam się, czy dobrze go żywią, podczas gdy ja siedzę tu, napychając się tymi pysznościami.

- Chyba nie podejrzewasz, że rodzony ojciec go głodzi - z powątpiewaniem rzucił Brent.

- Nie znasz Ralpa.

Brent pomyślał chwilę, po czym poprosił:

- Opowiedz mi o nim.

Andrea odsunęła talerz.

- Wołałabym nie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Ależ mam - zapewnił, groźnie pochylając się nad nią; z jego oczu sypały się złote iskry. - Bardzo mnie ten człowiek zainteresował, zwłaszcza że tak niechętnie o nim mówisz. To oraz fakt, iż jeden list od niego zmienił cię w strzępek nerwów, ogromnie mnie intryguje. Wydaje się, że Ralph ma na ciebie jakiś tajemniczy wpływ, Andreo. Czy to możliwe, żebyś kochała się w mężu swojej siostry?

- Mówiłam ci, że nie byli małżeństwem - przypomniała

z coraz większą złością w głosie i roziskrzonymi gniewem oczami. - I nawet nie potrafię wyobrazić sobie, bym mogła upaść tak nisko, by żywić do tej straszliwej kreatury choć cień pozytywnego uczucia. To uliczny szczur, z moralnością dzikiego kota i charakterem węża!

Brent zaśmiał się krótko i wcale nie wesoło.

- Cała plejada zwierząt. Ale zastanawiam się, czy poeta nie miał racji, kiedy wątpił w prawdziwość słów zarzekającej się niewiasty.

- Hamlet był szaleńcem, tak jak jego matka, tak jak i zdaje się pan, panie Sinclair - odparła z pogardliwym uśmiechem. - Niech się pan udławi swoimi cytatami z Szekspira!

Przy tych słowach wstała, wyraźnie poirytowana, i prawdopodobnie opuściłaby salę balową na dobre, gdyby nie Maddy.

- Myślę, że przez zwykłą sprzeczkę nie warto marnować uroczego wieczoru - orzekła. Lekko pchnęła Andree w stronę jakiegoś młodzieńca, cieleńco w nią wpatzonego. - O ile dobrze zgaduję, ten jegomość umarłby za jeden taniec z tobą. Idź i pobaw się.

Andrea posłuchała jej. Zatańczyła z kilkoma dżentelmenami. Jeden z nich zachowywał się szczególnie szarmancko. Jason Henderson był sympatycznym młodzieńcem, o płowych włosach i oczach jak dwie czekoladki. Gdy Andrea w nie patrzyła, przychodziły jej na myśl małe szczenięta. Był całkowitym przeciwieństwem Brenta. Jego ożywione zainteresowanie poprawiło jej nastrój, zwłaszcza że Brent nadskakiwał każdej samotnej kobiecie, włączając w to zawsze chętną Shirley Cunningham.

Do chwili, w której Maddy oświadczyła, że gotowa jest do powrotu do hotelu, Andrea zdążyła nabawić się tak straszliwego bólu głowy, że nie marzyła o niczym innym, tylko o tym, by rzucić się na łóżko i łzami utulić się do snu. Jednakże nie chciała przegapić okazji, skoro bal trwał i wielu gości hotelowych w najlepsze się jeszcze bawiło. Mogła bez

przeszkód dostać się do ich pokojów. Mając w pamięci najświeższe pogróżki Ralpa, nie mogła pozwolić, by fizyczna czy psychiczna niemoc odciągnęła ją od zadania, z którym tu przyjechała. W grę wchodziło życie Stevie'ego.

- Mężczyźni! - fuknęła do siebie. Gdyby nie oni, miałyby teraz o wiele mniej problemów. Po pierwsze i najważniejsze, ten przebiegły Ralph. A tuż za nim Brent Sinclair, głupiec ponad głupcami! Powinno się ich obu zastrzelić! A z nimi Dugana MacDonalda!

## 13

Andrea cichutko skradała się do swojego pokoju, a przynajmniej wydawało jej się, że robi to cicho. Miała mokre pantofelki i przesiąknięte wodą ubranie. Przy każdym kroku spod jej stóp wydobywał się pluszczący odgłos. Nie dość, że cały wieczór okazał się wielką kłapą, to jeszcze zaczęło padać. A gdzie ona się znajdowała, kiedy na niebieskich rozgorzała ognista wojna? Na balkonie, z jazgoczącym pudlem, próbującym poszarpać jej spódnicę na kawałki! Ten wstrętny głupi pies musiał być rodzaju męskiego! Miała nadzieję, że szczególnie na tym balkonie do powrotu właścicieli. Głupi zwierzak ganiał ją po całym pokoju i szczekał tak przeraźliwie, że umarłego by obudził.

Oczywiście cała wyprawa na nic. Szczęście, że przebrzydłe psisko jej nie ugryzło: właściwie po to, by tego uniknąć, musiała zamknąć go na balkonie. Sama uciekła głównymi drzwiami, przerażona, że ktoś przyjdzie sprawdzić, co to za raban. Lepiej poszło jej w innych pokojach i teraz zmęczona mogła wreszcie wrócić do łóżka.

Wkładając klucz do zamka, żałowała, że nie zatrzymała się w recepcji, by poprosić o przysłanie dzbanka z gorącą herbatą. Dobrze by było rozgrzać zmarznięte kości. Może wystarczy gorąca kąpiel i sucha koszula, chyba że zaśnie w wannie i się utopi. Była tak straszliwie zmęczona!

Nagle, jak z nocnego koszmaru, czyjaś ciężka dłoń opadła jej na ramię. Andrea odwróciła się i aż krzyknęła.

- Och! To pani, panno Albright - powiedział mężczyzna stojący przed nią, wyglądający na tak samo zaskoczonego jak ona. - Przepraszam. Myślałem, że ktoś próbuje włamać się do pani apartamentu.

- O wszyscy święci! - wyjąkała dziewczyna, łapiąc się za gardło i wybałuszając oczy na detektywa od Pinkertona.

- Ależ mnie pan przestraszył!

W tej samej chwili gdzieś z okolicy pokoju Brenta dał się słyszeć znajomy męski głos.

- Co się stało, Jenkins?

- Nic, panie Sinclair. To pomyłka. Panna Albright wraca do swojego pokoju.

- O tej godzinie? - zainteresował się Brent, podchodząc na tyle blisko, by zobaczyć pobladałą twarz Andrei i jej mokre ubranie. - W dodatku cała mokra? - dodał, unosząc brwi.

Ręką o długich palcach dotknął opadającego, przemoczonego pasma włosów. Andrea w jednej sekundzie otrząsnęła się z odrętwienia.

- Nie dotykaj mnie, ty podły zdrajco! - syknęła.

Złapał ją za ramię, wcale nie delikatnie, i wepchnął do pokoju.

- Możesz wracać na posterunek, Jenkins. Panna Albright i ja porozmawiamy na osobności.

- Nie, nie porozmawiamy! - zawołała, odskakując w tył.

- Idę spać. Dobranoc, panowie. Chciała zatrzaskać drzwi, ale Brent na to nie pozwolił. - Proszę - powiedziała, przybierając przymilny ton. Musiała się ich pozbyć, zanim sprawdzą, co ma w torbie! - Jestem zmęczona i raczej nie w humorze.

- Podobnie jak ja - przerwał jej Brent z ostrzegawczym błyskiem w oku. - Musimy porozmawiać, Andreo. I to teraz.

- Zrobił krok do środka.

- Stój! Obudzisz Maddy.

- Prawdopodobnie i tak już nie śpi. Nie wyobrażam sobie, żeby twój pisk jej nie obudził.

- Gdyby tak było, już by tu stała, wypychając cię na korytarz. A teraz, bardzo proszę, odejdz.

- Jeśli nalegasz - odpowiedział prawie uprzejmie. Wycofał się, ciągnąc ją za sobą. - Porozmawiamy w moim pokoju. Tam będziemy mieli większą swobodę.

- No nie, Brent. Czy postradałeś zmysły?

- Najwyraźniej. Chodź, Andreo, i jeśli jesteś rozsądna, nie będziesz robiła scen.

- Poczekaj! - zawołała cicho, przyciskając do piersi torbę. - Mogę przynajmniej przebrać się w suche ubranie?

- Dobrze - zgodził się. - Będę tu na ciebie czekał. Ale nie próbuj mnie okpić, bo wyrwę cię stamtąd nie przejmując się, czy ktoś nas zobaczy lub usłyszy.

Cała roztrzęsiona wbiegła do sypialni. Wrzuciła torbę pod łóżko, zdarła z siebie mokrą suknię tak szybko, jak tylko pozwoliły zgrabiące palce. Przez myśl przemykało jej mnóstwo pytań. Czy Brent ją podejrzewa? Czy dlatego zachowuje się tak dziwnie, jest taki zagniewany? A może nadal się złości po ich niedawnej sprzeczce? Może nic więcej? I dlaczego ten detektyw od Pinkertona szwendał się po korytarzu? Jezusie najświętszy! Niewiele brakowało, żeby ją złapali! Ale nie wiadomo, co się jeszcze święci!

Od drzwi doszło ciche pukanie.

- Chwileczkę - syknęła. Nie tracąc czasu na zakładanie bielizny, zarzuciła na siebie suknię, mocując się przy tym z guzikami. W pośpiechu potknęła się o kupkę rozrzuconych na ziemi mokrych ubrań. Mało co, a padłaby na nos.

- W porządku! - szepnęła z furją, kiedy dołączyła do czekającego na nią Brenta. - Jestem gotowa, choć może lepiej zrobimy, jeśli zostaniemy u mnie.

Potrząsnął głową i pochylił nad nią.

- O co chodzi, kochanie? Nie ufasz mi? - Zamknął cicho drzwi i poprowadził ją do swojego pokoju.

W przeciwieństwie do Andrei i Maddy, Brent nie wynajął

apartamentu. Obszerny i urządzony ze smakiem pokój służył zarówno za bawialnię, jak i za sypialnię. Za bocznymi drzwiami kryły się zapewne łazienka i garderoba.

Brent gestem dłoni zaproponował, by usiadła.

- Podać ci ręcznik do wysuszenia włosów? - zapytał uprzejmie.

Kiedy odmówiła, sięgnął po drugie krzesło i usiadł na przeciwko niej.

- A teraz, moja droga panno Albright, chcę się dowiedzieć, gdzie byłaś dziś wieczorem. Z kim i co robiłaś? I proszę, nie złość mnie więcej kłamstwami.

Popatrzyła na niego, wysilając gorączkowo szare komórki.

- Ja... ja... a niech będzie! Wyrwałam się na papierosa i złapał mnie deszcz! Jesteś usatysfakcjonowany, ty przebrzydły brutalu?

Zaskoczyła go tą odpowiedzią. Przez chwilę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Że co? - zapytał osłupiały.

- Słyszałeś - mruknęła. I z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie samej powodu zapytała złośliwie: - A ty myślałeś, że co robiłam?

Brent zebrał się w sobie i stanowczo oświadczył:

- Nie wierzę ci.

- Wcale mi na tym nie zależy - odburknęła nieuprzejmie.

- Mogę już pójść? Czy to koniec przesłuchania? - Zaczęła podnosić się z krzesła, ale natychmiast została usadzona na nim z powrotem.

- Nie całkiem. Powiedz mi, Andreo, dlaczego musiałaś wychodzić na dwór, żeby zapalić? Masz przecież oddzielny pokój.

- Maddy mieszka przez drzwi - zwróciła mu uwagę. - Dym przeszedłby przez szpary i wsiąkł w zasłony. Maddy z pewnością by go wyczuła, a także pokojówki, które później miałyby temat do plotek.

Kiedy mówiła, Brent wyciągnął z kieszeni papierośnicę. Wyjął dwa papierosy, zapalił i podał jej jednego.

- Proszę, kochanie - zakpił. - Pal, ile chcesz. Nikomu nie powiem, póki nie będziesz tego robiła publicznie.

Wahała się, więc zaczęła się naigrawać.

- Coś nie tak, kochanie? Nie lubisz tej marki? Jest bardzo popularna w Nowym Jorku.

Chcąc zachować twarz, Andrea przyjęła papierosa, i przypominając sobie reklamy, niezręcznie ułożyła go między palcami. Następnie ostrożnie uniosła do wyschniętych warg i pociągnęła. Dym wypełnił jej usta i zaszczypał w nos, ale udało jej się nie wciągnąć go dalej.

Brent roześmiał się nieprzyjemnie.

- No, Andreo. To żadne palenie. Zrób to, jak należy. Zaciągnij się aż do płuc.

Przejrzała ją. Obydwoje o tym wiedzieli. Ale co mogła jeszcze zrobić? Zaciągnęła się ponownie, tym razem mocniej, i natychmiast zaczęła się krztusić. Brent pochylił się i usłużnie poklepał ją po plecach.

- Jak widzę, palisz od niedawna - wydedukował z czarnym humorem. - Troszeczkę pozieleniałaś.

- No właśnie, dopiero zaczęłam - przyznała, wstrzymując mdłości. Wolną ręką otarła z ust kawałek bibułki i resztki tytoniu. Brent odsunął jej dłoń i sam zajął się oczyszczaniem jej warg, delikatnie przesuwając po nich palcami. Oczy Andrei napotkały jego wzrok i tam utknęły.

- Powiedz mi prawdę, Andreo - poprosił miękko. - Byłaś z tamtym mężczyzną, czy tak?

Końcem języka zmczyła usta, dotykając przy tym jego palców. W głowie czuła zamęt i minęła spora chwila, zanim zrozumiała pytanie.

- Jakim mężczyzną?

- Tym, z którym dzisiaj tańczyłaś. Zdaje się, że nazywa się Henderson - przypomniał.

- Nie byłam z nim. Wróciłam z Maddy i jej znajomymi.

- Ale wykradłaś się, kiedy staruszka zasnęła, by się z nim spotkać, prawda? - nalegał.

- Nie. Mylisz się. Byłam przygnębiona sprzeczką z tobą.

Nie mogłam zasnąć. Miałam nadzieję, że papieros mnie uspokoi.

Usunął z jej wiotkiej dłoni tłący się niedopałek i przygasił w stojącej opodal popielniczce. To samo uczynił ze swoim papierosem. Następnie odwrócił się do Andrei i oświadczył twardo:

- Jesteś kłamczuchą, Andreo. Piękną, bezwstydną oszustką. Ilu mężczyzn okpiłaś? Jak wielu wpadło w twoją jedwabną sieć? Z pewnością nie ja pierwszy dałem się uwieść twej pozornej niewinności, twej słodyczy.

- Mylisz się, Brent.

Wstał i pochylił się nad nią.

- Jak wielu otrzymało nagrodę? Dostało zapłatę za wierną służbę i głupotę?

- Przestań! - rozkazała, przerażona jego niezwykłym zachowaniem. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz?

- Nie? - sztydził. - Pozwól, że ujmę to jaśniej. Do tej pory byłem na tyle naiwny, by sądzić, iż twoje zmysłowe pocałunki to wyraz tego, jak bardzo mnie pragniesz - tylko mnie. Ale teraz widzę, że nie jesteś taka kryształowa, jak sądziłem. Więc powiedz mi, ilu mężczyzn leżało między twoimi nogami i próbowało twójego słodkiego ciała? A może było ich tak wielu, że trudno ci zliczyć?

- Jesteś odrażający! - krzyknęła, próbując go od siebie odepchnąć. - Nie byłam nigdy z żadnym mężczyzną! I dalej nie mam takiego zamiaru!

Złapał ją za ramiona, podniósł z krzesła i przeniósł na łóżko.

- Pomyśl jeszcze raz, moja kusicielko. Teraz to ja będę myśliwym i nie zamierzam cię puścić, dopóki nie uzyskam pełnej satysfakcji.

- Zwariowałeś! - zawołała; jej oczy rozszerzył strach. - Puść mnie, zanim zbrukasz nas obydwójce. Błagam.

- Już wkrótce będziesz błagała o coś zupełnie innego - przechwalał się, kładąc ją na łóżku. - O coś, za czym obydwójce długo tęskniliśmy. Niepotrzebnie odgrywałeś to obłudne przedstawienie.

Pochylił się i objął jej wargi ustami, ucinając błagania. Język wbił się głęboko jak rapier. Miał smak tytoniu, brendy i... Brenta. Na moment Andrea poddała się ukochanej miękkości. Ale kiedy poczuła na biuście dłoń, a drugą wdzierającą się pod spódnicę, zaczęła walczyć, wykręcać głowę od jego pocałunków.

- Nie rób tego, Brent - wystękała, - Jesteś pijany. Rano będziesz siebie nienawidził, ale nawet w połowie nie tak mocno jak ja.

- Nadal upierasz się przy niewinności? O tak późnej godzinie? - kpił.

- To prawda. Proszę, uwierz mi.

- Kiedy tak patrzysz na mnie tymi swoimi wielkimi fiołkowymi oczami, prawie wierzę - rzucił. - Jaki czar mi zadałaś, że nadal pragnę przyjmować twoje kłamstwa za prawdę?

- Nic ci nie zadałam. To tylko moja miłość do ciebie - oświadczyła cicho, a łzy zbierające się w jej oczach zamieniły je w roziskrzony ametysty. - Nie niszczy tego, co winno być dawane z radością.

Głowa mężczyzny powoli opadała, aż oparła się na jej czole. Brent westchnął głęboko.

- Kocham cię, Andreo. Niech mnie Bóg ma w swojej opiece, ale kocham cię bardziej niż kogokolwiek lub cokolwiek na tym świecie. Umierałem, widząc cię tańczącą z innymi i szalałem wyobrażając sobie ciebie i Hendersona razem w łóżku.

Uwolniła jedną rękę i łagodnie pogłaskała kruczoczną głowę.

- Wiem. Pragnęłam wyrwać wszystkie włosy z głowy wdowy Cunningham. Właśnie dlatego tak szybko wyszłam, Brent. Nie mogłam znieść widoku tych wszystkich pięknych kobiet, które tak do ciebie lgnęły.

Unosząc się nieco, pocałowała go lekko w usta.

- Kocham cię, Brent, jak nie kochałam nigdy żadnego innego mężczyzny, nawet nie marzyłam o takiej miłości.

Znowu jego usta spoczęły na jej wargach, tym razem czułe, radosne. Połączyli się, języki triumfowały. Ogień między nimi rozkwitał szybko, płomień rosi z sekundy na sekundę. Brent zaczął pokrywać pocałunkami twarz Andrei, potem szyję. Zębami leciuteńko chwycił koniuszek ucha, ciepłym oddechem wzbudzając w partnerce ogniste dreszcze. W odpowiedzi leciutko wibrowała językiem w muszli jego ucha i roześmiała się uszczęśliwiona, kiedy i on drgnął z rozkoszy.

Uwolnił jej włosy ze spinek, po czym na kształt świetlistego welonu rozłożył złote pasma na jej ramionach. Dłonią szukał guzików sukni, jakby czekając na jej zgodę.

- Tak bardzo pragnę cię dotknąć - wymruczał, a oczy jarzyły mu się jak dwie monety. - Pragnę napawać wzrok twoją pięknnością.

Mniejsze, drżące ręce pomogły mu uporać się z zapięciem. Uniósł lekko Andreę i zsunął z jej ramię suknię, pod którą była zupełnie naga. Nie dał po sobie poznać, że go tym zaskoczyła.

Andrea leżała nieruchomo, modląc się w duchu i zastanawiając, czy spodoba się kochankowi. Serce biło jej mocno w niespokojnym oczekiwaniu. Przygryzła zębami dolną wargę. Brent uśmiechnął się czule, odciągnął palcem wargę i pomasaował ją.

- Jesteś doskonała - zapewnił. Potem opuścił ciemną głowę nad piersi kobiety, rozgrzewając je ciepłym oddechem. Mimo to sutki natychmiast zamieniły się w dwa twarde wzgórki. Brent patrzył zafascynowany, po czym omiół językiem najpierw jedną, potem drugą pierś.

W odpowiedzi Andrea wygięła plecy w łuk. Palce wbiła w ciemne włosy, przyciągając głowę partnera do rozognionego biustu. W tej chwili potrzebowała dotyku jego ust jak samego powietrza. Brent bez wahania pochylił się nad nią i objął wargami różaną koronę. Ssał mocno rozpalonymi ustami, a język kończył erotyczny taniec.

Andrea poczuła, że zatracą się w tej zmysłowej pieszczot-

cie. Ogień zaczął trawić jej piersi, brzuch i uda. Każdy kawałek jej ciała żył i pulsował natężoną rozkoszą. Przestraszyła się, że jeszcze chwila i zemdleje. Z ust wydarł jej się głęboki, słodki jęk.

Brent natychmiast odpowiedział na jej zawołanie, podciągając się do góry i całując w usta. Języki znowu wpadły w szalony taniec, oddechy połączyły się w jednym przyspieszonym rytmie, krew uderzała ze zdwojoną mocą. Palce Andrei zaczęły szarpać koszulę kochanka. Rozwartą dłońią dotknęła jego gołej piersi. Bawiła się porastającymi ją włosami, gładziła je zmysłowo.

Brent oderwał od niej usta i teraz on jęknął.

- Nie przestawaj, kochana. Jestem w niebie, kiedy mnie tak dotykasz. Niebo i piekło jednocześnie.

Dowód jego pożądania znajdował się między nimi. Nawet przez ubranie Andrea czuła jego twardość na swoim udzie, tak blisko jej pulsującego łona - a zarazem tak daleko.

- Pragnę cię - wyszeptała drżącym głosem.

Uniósł głowę, roziskrzonymi oczami szukając jej wzroku.

- Jesteś tego pewna?

- Nie wiem, czy powinnam, ale jestem pewna. I to bardzo - odpowiedziała miękko i z całą szczerością.

Jego dłoń znalazła się pod spódnicą, palce gładziły uda, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Andrea cicho krzyknęła, przestraszona. Brent jęknął i soczyście zaklął.

- Do diabła!

Pukanie nie ustawało, więc uniósł się i podszedł do drzwi. Miał rozpiętą koszulę.

- Zostań tam - powiedział do Andrei. - Zaraz wracam.

Otwierając drzwi prawie wyrwał je z zawiasów, nie trudząc się, by wcześniej zapytać, kto przed nimi stoi.

- Pragniesz śmierci? - wrzasnął na bezbronnego intruza.

Andrea nie widziała, kim był gość. Brent wyszedł z nim na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Do pokoju dochodziły przez ścianę odgłosy cichej rozmowy. Andrea odniosła wrażenie, że początkowa złość kochanka zelżała.

Na korytarzu Brent z zakłopotaną miną słuchał sprawozdania o ostatnich kradzieżach. Cztery włamania. Jedno na miejscu, dwa w Girard House, hotelu po drugiej stronie ulicy, i jeszcze jedno w Franklin House. Tym razem złodziej zostawił za sobą interesujące ślady.

Wiedząc, że powinien się ubrać i iść z detektywem, Brent nadal się wahał, rozdarty między pożądaniem a obowiązkiem. Odsyłając późnego gościa, powiedział, że zaraz do niego dołączy.

Wróciwszy do pokoju, przekonał się, że decyzja została podjęta za niego. Andrea ubrała się, zapięła guziki pod samą szyję, a teraz nerwowo poprawiała ściągnięte prześcieradła. Z zawstydzoną miną napotkała jego pytający wzrok.

- Powinam pójść - mruknęła słabym, zawstydzonym głosem. - Zanim Maddy się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma. Zanim...

- Zanim znowu poddamy się pożądaniu? - zapytał miękko.

- Tak. - Bliźniacze koła szkarłatu znaczyły jej policzki. Ruszyła do drzwi.

Kiedy przechodziła koło Brenta, złapał ją za ramię i odwrócił do siebie. Pocałował ją lekko w czoło.

- Nie musisz się za nic wstydzić, Andreo. Kocham cię i nie przestanę kochać. Myślę, że to niemożliwe.

- Mam nadzieję - wyszeptała, tuląc się do niego. - Ja także cię kocham. - Szybko wybiegła z pokoju, bojąc się, że za chwilę nie będzie umiała oprzeć się pokusie.

Złodziej biżuterii, do tej pory tak przebiegły, zaczął popełniać błędy. Stał się pazerny, skoro jednej nocy włamał się do czterech miejsc. Nie wybierał już też tak dokładnie swoich ofiar i dlatego nie wiedział o psie pozostawionym w jednym z apartamentów. Właściciele wrócili i znaleźli pudła zamkniętego na balkonie, ze skrawkiem czarnego materiału nadal tkwiącym między małymi ząbkami. Najwyraźniej złodziej szamotał się ze zwierzęciem, ale nie został pogryziony, bo nigdzie nie było śladów krwi.

Brent z uwagą przyglądał się mokrym odciskom stóp wyraźnie widocznym na wypolerowanych posadzkach. Osoba zamieszkująca ten pokój posiadała stopy o wiele większe niż odciski na podłodze. Nikt inny nie wchodził do pokoju, więc należało uznać, że ślady pozostawił złodziej.

- Założę się o swoją odznakę, że to jest kobieta - oświadczył jeden z detektywów.

- A może to młody chłopak o małych stopach — zastanawiał się Brent.

- Możliwe, ale wątpię. Gdyby był to chłopiec lub młody mężczyzna, mielibyśmy tu jakieś ślady po obcasach. A te wyglądają jak zrobione przez delikatne płaskie pantofelki, jakie czasami noszą kobiety.

- A więc to kobieta - zamyślił się Brent, odczuwając gdzieś w środku niezrozumiały niepokój. - Musi to być niezwykle przebiegła dama.

Detektyw roześmiał się sucho.

- Że przebiegła, to się zgodzę, ale nie dama, Sinclair. Jak sam wiesz, czasami zdarzają się niespodzianki.

- Nasz przestępca może być mężczyzną, który zakłada specjalne obuwie, żeby ciszej się poruszać - wtrącił się Jenkins. - Tak czy inaczej, sądzę, że już niedługo wszystkiego się dowiemy. Nasz złodziej robi się nieostrożny. Z pewnością wkrótce się potknie.

Dla Brenta słowa detektywa nie stanowiły pocieszenia, zwłaszcza że jedną z ofiar okazał się dżentelmen z Nowego Jorku - klient firmy „Sinclair i synowie”.

# 14

Andrea zasnęła. Kiedy się obudziła, Maddy zeszła już na dół do przyjaciół. Ktoś zapukał do drzwi. Myśląc, że to Brent, i wstydząc się go zobaczyć, Andrea zawahała się. Kiedy w końcu postanowiła otworzyć, za drzwiami nie było nikogo. Ale na podłodze stała wielka paczka.

Andrea wciągnęła ją do środka i szybko otworzyła, spodziewając się prezentu od Brenta. Był to jednak podarunek od Dugana MacDonalda, a raczej cały zestaw podarunków. W paczce znalazła wełniany szal, obrazek i najnowszy dodatek - srebrny komplet składający się ze szczotki, grzebienia i ręcznego lusterka.

- Niech diabli porwą tego człowieka! Czy on się nigdy nie podda? - poskarżyła się na głos, choć z zachwytem przyglądała się rzeźbieniom na szczotce.

Znowu ktoś zapukał i Andrea skoczyła na równe nogi. Energicznie otworzyła drzwi, zamierzając porządnie skarcić Szkota, ale przed nią stał Brent.

- Czy pojawiam się za wcześnie? - zapytał, zasłaniając się żartobliwie ręką. - Z wyrazu twojej twarzy wnioskuję, że powinienem dać ci jeszcze pół godziny, byś doszła do formy po porannej kawie.

- To nie to - mruknęła. - Właśnie dostarczono mi następny prezent od pana MacDonalda. Przysięgam na wszystkie świętości, Brent, że zrobiłam, co tylko można, żeby zniechęcić tego olbrzyma, ale nic do niego nie dociera.

- Może będzie musiał zrezygnować po dzisiejszym dniu  
- stwierdził Brent tajemniczo. Spojrzał na zegarek. - Mam nadzieję, że jesteś gotowa do wyjścia. Przygotowałem dla ciebie niespodziankę, ale nie możemy się spóźnić.

Andrea chwyciła parasolkę i torbę.

- Jaka niespodziankę? - dopytywała się, kiedy opuszczali pokój.

Roześmiał się.

- Gdybym ci teraz powiedział, nie byłaby to niespodzianka, prawda?

Po wyjściu z windy zaprowadził ją do głównych drzwi.

- Zaczekaj! - zawołała Andrea. - Czy nie powinniśmy najpierw pójść po Maddy?

- Nie dzisiaj. Wyszła już zresztą z przyjaciółmi. Mamy się spotkać na wystawie.

- Czy tam właśnie się udajemy?

Mrugnął do niej żartobliwie.

- Wszystko się okaże. A teraz koniec z pytaniami, bo zepsujesz niespodziankę.

Całą drogę do Fairmount Park milczał jak mumia, jak uśmiechnięta mumia. Andrea w końcu przestała wyciągać z niego informacje i usiadła wygodnie, by cieszyć się przejażdżką. Nocny deszcz zmył ulice, które teraz świeciły w słońcu. Trawa wydawała się zieleńsza, kwiaty bardziej pełne. Dzień był przepiękny. Nareszcie powóz wjechał na teren wystawy i skierował się do stanowiska, gdzie odbywał się pokaz latających balonów.

Kiedy Brent pomagał jej wsiąść, Andrea przytrzymała go za rękę.

- Czy to ma coś wspólnego z tą wielką niespodzianką?  
- zapytała podejrzliwym tonem.

- Oczywiście - przyznał. - Moja kochana, za chwilę doświadczysz największego wydarzenia swojego życia.

- Nie będziemy latać w jednej z tych rzeczy?

- Właśnie będziemy.

- Nie, nie zgadzam się! - sprzeciwiła się z nachmurzoną

miną. - Ty możesz lecieć, jeśli ci się podoba, ale moje stopy nie ruszą się z ziemi.

- Och, Andreo - wyjąkał tonem, który przypominał jej małego chłopczyka proszącego o jeszcze jeden kawałek ciasta. - Gdzie twoje pragnienie przygody.

- Nie posiadam go - odparła. - A jeśli nawet, to nie tyczy się ono tak ryzykownych przedsięwzięć.

- Nie ma w tym nic ryzykownego, kochanie. Czy sądzisz, że narażałbym cię na niebezpieczeństwo? Na niebie nie ma jednej chmurki. Poza niewielką bryzą powietrze jest spokojne. - Wziął ją za ramię i poprowadził w stronę dużego czerwono-żółtego balonu, gotowego do startu. - Chodź, nasz pilot już czeka.

- Nie lubię wysokości - powiedziała, przyglądając się z powątpiewaniem napełnionej powietrzem konstrukcji.

- Polubisz, kiedy zobaczysz ziemię znad koron drzew - zapewnił.

- Naprawdę nie chcę - upierała się.

Zanim zdążyła wypowiedzieć następne słowa sprzeciwu, wepchnął ją do wiklinowego kosza, po czym sam do niego wskoczył. Pilot stanął obok i zaczął odwiązywać liny, trzymające balon przy ziemi. Kosz zatrząsł się, wprawiając Andreeę w przerażenie, potem znieruchomiał, a po chwili zaczął się powoli unosić.

Andrea wzięła głęboki wdech i mocno zacisnęła ręce na barierce.

- Może nie będzie tak źle - zgodziła się niepewnie, bardziej przekonując samą siebie niż kogokolwiek innego.

- To lepsza zabawa niż cyrk! - zapowiedział Brent.

- Dlaczego więc odnoszę wrażenie, że to my jesteśmy kłownami? - zażartowała słabym głosem.

Potem odważyła się spojrzeć w dół i wpadła w całkowite osłupienie.

- Wielkie nieba! - zawołała, wzbudzając tym okrzykiem śmiech obu panów. - To przecież niesamowite! Popatrz, Brent! Widać stąd całe miasto!

Objął ją w pasie i przytulił do siebie.

- To wspaniałe! - zgodził się.

Andrea cieszyła się, że ją trzyma, bo od patrzenia w dół czuła zawrót głowy. Z tej odległości ludzie wyglądali jak malutkie, wierzące się mrówki:

- Och, Boże! - stęknęła, pospiesznie unosząc głowę i chwiejąc się na nogach. - To nie był wcale dobry pomysł.

- Zapomniałem cię ostrzec, żebyś nie patrzyła prosto w dół, zwłaszcza jeśli boisz się wysokości - przepraszając rzucił Brent. - Ale jeśli będziesz patrzyła przed siebie, doświadczysz tego, co mają przywilej przeżywać tylko ptaki.

Kiedy odzyskała równowagę i naturalny odcień skóry na policzkach, nie mogła powstrzymać się, by nie podziwiać scenerii.

- Cieszę się, że mnie namówiłeś - przyznała w końcu. - Nigdy w życiu nie zapomnę tej podróży.

- Mam nadzieję uczynić ją jeszcze bardziej godną zapamiętania - oświadczył Brent. Wolną ręką sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej małe welurowe pudełeczko. Potem, nadal przytrzymując ją ramieniem, opadł na jedno kolano i otworzył pudełeczko. Znajdował się w nim zaręczynowy pierścionek z diamentem.

- Andreo, moja jedyna miłości, czy uczynisz mi ten honor i zgodzisz się zostać moją żoną?

Dziewczyna zamarła. Nagle, znajdując się w tych przestworzach, mając przed sobą Brenta proszącego o jej rękę, poczuła, że nie może złapać powietrza. W głowie miała pustkę, kolana się pod nią ugięły.

- Nie waż się zemdleć, zanim dasz mi odpowiedź - poprosił miękko, wzmacniając uścisk na jej kibici. — I uprzejmie uczyni to, zanim kolano odmówi mi posłuszeństwa i padnie na twarz.

- Brent, kocham cię, ale...

- Nie, Andreo. Koniec z wymówkami. Kochamy się nawzajem. Niech to wystarczy.

- Są rzeczy, których o mnie nie wiesz - napomknęła. - Ważne rzeczy.

- Mam przed sobą lata, by się o nich dowiedzieć, by odkryć wszystko, co ciebie dotyczy - upierał się.

- Przyjmę twoje oświadczenia pod jednym warunkiem - ustąpiła, poddając się głosowi serca. - Nie będziemy nic konkretnego planowali, dopóki nie wrócę do Waszyngtonu i nie załatwię spraw związanych ze Stevie'm.

- Czy mam to potraktować jako zgodę? - zapytał z nadzieją w głosie. - Czy zgadzasz się zostać moją żoną?

- Tak - odpowiedziała z promiennym uśmiechem. - Tak mi się zdaje.

Brent szybko wsunął pierścienek na jej palec, podniósł się z kolan i wziął ją w ramiona. Opuścił głowę i złożył na ustach ukochanej pocałunek, od którego znowu poczuła zawrót głowy. Kiedy w końcu pozwolił jej nabrać powietrza, powiedział: - Wiesz, Farber jest moim świadkiem. Nie będziesz mogła się wycofać.

Natychmiast pomyślała, że z nich dwojga raczej on będzie pragnął odwołać zaręczyny, jeśli odkryje, jakim przestępczym procederem ona się zajmuje.

- Tylko prawnik mógł zaplanować coś takiego - skomentowała, lekko potrząsając głową. Uśmiechnęła się uszczęśliwiona. - I tylko ty potrafisz wybrać tak niecodzienne otoczenie do oświadczeń. Jesteśmy prawdopodobnie pierwszą parą, która zaręczyła się w balonie.

Uśmiechnął się do niej z satysfakcją.

- Wydawało mi się, że to jedyne miejsce, gdzie nie zdołasz mi się wymknąć.

- Jesteś nicponiem, Brent - mruknęła, wpatrując się w niego roziskrzonym wzrokiem. - Bardzo romantycznym nicponiem.

Znowu zaczęli się całować, zapominając o otaczających ich pięknych widokach, gdy nagle pilot zawołał:

- Matko święta! Co do diabła robi ten idiota?

Na ten okrzyk Brent i Andrea odsunęli się od siebie, chcąc

zobaczyć, co zaalarmowało Farbera. Niewiele ponad sto jardów od nich płynął drugi balon. Kierował się prosto na nich. Kiedy się zbliżył, mogli wyraźniej dojrzeć pilota - i jego wysokiego, tęgiego, rudowłosego pasażera! Obydwaj szeroko się uśmiechali i energicznie do nich machali.

- Co myślicie o wyścigach? - krzyczeli, podpływając niebezpiecznie blisko.

- Oszaleliście czy co? - odkrzyknął Farber. - Odsuńcie się, zanim zabijecie nas wszystkich! — Do Andrei i Brenta powiedział: - Lepiej złapcie się mocno poręczy. Mam przecucie, że może być ostro i nie będę miał czasu na zajęcie się wami.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytał Brent, podczas gdy Andrea z przerażeniem wpatrywała się w nadciągający balon.

- Może mi pan pomóc wyrzucać te worki z piaskiem. Jeśli zrobimy to dostatecznie szybko, przepłyną tuż pod nami.

- Czy to niebezpieczne? - dopytywał się Brent.

Farber kiwnął głową.

- Ale nie tak bardzo, jak siedzenie z założonymi rękami i czekanie, aż się z nami zderzą.

Szybko wzięli się do pracy, wyrzucając worki za burtę. Jednakże kiedy załoga drugiego balonu zobaczyła, co się święci, także zaczęła pozbywać się balastu, i ich balon też począł się wznosić.

- Och, dobry Boże! - zawołała przestraszona Andrea. - Zginiemy!

- Nie czas teraz na panikę, kochanie - zawołał Brent.

- Masz może na myśli jakiś bardziej odpowiedni moment? - roztrzęsionym głosem zapytała dziewczyna, z oczami wlepionymi w drugi balon, dryfujący teraz nie więcej niż piętnaście jardów od nich.

- Musimy ich przechytryć - stwierdził Farber.

- Jak? - zapytał Brent.

Pilot wyjaśnił.

- Ten balon to najnowszy model, wykonany specjalnie na wystawę. W przeciwieństwie do starszych typów nie posiada jednego centralnego pojemnika na wodór, ale kilka, każdy wyposażony we własny zawór. Jeżeli wypuścimy nieco gazu, balon zniży lot. Żeby zaskoczyć naszych przeciwników, musimy odkręcić kilka zaworów naraz.

Pilot pokazał Brentowi, gdzie znajdują się zawory. Było ich osiem.

- Kiedy dam znak, otworzy pan te dwa, a ja zrobię to samo po przeciwnej stronie. Dzięki pozostałym zbiornikom nadal będziemy utrzymywać się w powietrzu, ale uwaga, trzymajcie się mocno, bo balon będzie schodził w dół bardzo gwałtownie. Panno Albright, myślę, że krótka modlitwa nikomu nie zaszkodzi.

- Jeśli przeżyjemy, zamorduję Dugana MacDonalda! - przysięgła Andrea, kucając na dnie kosza i zaciskając mocno oczy.

- Będziesz musiała poczekać, aż ja się z nim rozprawię - przyrzekł gniewnie Brent.

- Przygotujcie się! - zawołał Farber. - Odkręcaj!

Tak jak przewidywał pilot, powietrzny statek runął gwałtownie w dół, a żołądek Andrei wraz z nim. Sapnęła i krzyknęła jednocześnie. W chwili gdy balon zdawał się nieco zwalniać i wyrównywać lot, usłyszała głośny świst nad głową. Farber przeklinał.

- Cholera! Straciliśmy jeden zbiornik! Ten idiota musiał w niego uderzyć!

Zanim skończył zdanie, balon przechylił się na bok i ponownie zaczął się opuszczać. Andrea trzymała się kurczowo boku kosza, odmawiając modlitwy, o których dawno już zapomniała. W tym czasie Brent i Farber z pośpiechem starali się przywrócić statkowi równowagę, wypuszczając gaz ze zbiornika znajdującego się po przeciwnej stronie tego, który się oderwał. Nie chcąc, by ulotnił się cały wodór, musieli zamknąć zawory odkręcone wcześniej.

Spadali w alarmującym tempie. Przez otwory w wiklino-

wym koszu Andrea widziała zbliżającą się ziemię. Czekwała na chwilę, w której przemknie jej przed oczami całe minione życie. Gdzieś słyszała, że tak właśnie dzieje się tuż przed śmiercią.

- Błagam! O Boże, błagam! - zawodziła, zbyt odrętwiała, by przypomnieć sobie słowa jakiegokolwiek modlitwy.

Farber przy pomocy Brenta wyciągnął zapasowy kanister z wodorem i gorączkowo starał się napompować nim prawie puste zbiorniki. Za wszelką cenę pragnął zmniejszyć szybkość, z jaką spadali. Niecałe sto stóp nad ziemią balon zwolnił.

- Zdaje się, że nam się uda! - krzyknął Farber. Potem jeszcze głośniej dodał: - O wszyscy święci! Trzymajcie się, ludzie! Spadamy na drzewa!

Kosz otarł się o gałęzie i zakołysał gwałtownie. Wielki konar przekłuł wiklinę; niewiele brakowało, a ugodziłby Andree w kolano. Potem, jakimś cudem, statek nagle się zatrzymał.

- Niech nikt się nie rusza - cicho ostrzegł Farber. - Nie wolno nawet głębiej oddychać.

- Dlaczego? Nie jesteśmy na ziemi? - jęknęła Andrea. Pod sobą widziała gałęzie i liście, a nad głową przekłuty balon, wydający z siebie złowieszczy świst.

- Niezupełnie — przyciszonym głosem powiedział Brent. - Wylądowaliśmy na czubku drzewa, jakieś czterdzieści stóp nad ziemią. I nie wydaje mi się, byśmy osiedli dość solidnie.

- A to znaczy - dodał ponuro Farber - że najmniejszy ruch może sprawić, iż spadniemy.

- Więc jak zejdziemy na dół? - wyszeptwała Andrea.

- Jesteśmy na krańcach Fairmount Park, niedaleko rzeki. Jestem pewien, że zaraz nadejdzie pomoc. Musimy tylko siedzieć bez ruchu.

Brent zgodził się z pilotem.

- Prawdopodobnie przyślą wozy strażackie, z drabinami i innymi niezbędnymi przyrządami.

- Jeśli ktoś nas zauważy - rzuciła Andrea.

Farber zaryzykował cichy chichot.

- Och, zobaczyli nas na pewno, dziewczyno. Płynęliśmy tuż nad ich głowami, tak nisko, że spokojnie mogliśmy dokooptować jeszcze kilku pasażerów!

- A ty darłaś się głośniej niż gwizdek na statku parowym - sucho dorzucił Brent. - Uwierz mi, że nie mogli nas nie zauważyć.

- Później będziecie mogli odpowiednio mi podziękować - powiedziała Andrea.

Z daleka doszły ich odgłosy gwizdków i dzwonek, zwiastujących przybycie straży pożarnej, dumnej z najnowszego oprzyrządowania, w które została wyposażona specjalnie na wystawę.

- Mam nadzieję, że mieli na tyle rozsądku, żeby nie rozpalić kotłów - trzeźwo zauważył Farber. - Jedna iskra, a wylecimy prosto do królestwa niebieskiego.

Andrea znowu zaczęła się modlić i nie przestała do chwili, kiedy Brent powiedział jej, że już wszystko jest w porządku.

- Nie odetchnę spokojnie, dopóki moje stopy nie znajdą się na ziemi - oświadczyła roztrzęsionym głosem. - Pamiętaj, nigdy więcej nie polecę balonem, chyba że wymyślisz jakiś niezwykle sprytny sposób przekonania mnie do tego.

Minęła prawie godzina, zanim strażacy, ustalwszy najbezpieczniejszy wariant, ściągnęli pilota i jego dwoje pasażerów z drzewa. Wokół rozległy się wiwaty. Jeden głos, z wyraźnym szkockim akcentem, górował nad resztą i natychmiast przykuł uwagę uratowanych.

Brent zareagował jak szalencie. Na wzór rozjuszonego byka pochylił głowę i rzucił się w tłum, trafiając prosto w żołądek Dugana MacDonalda. Obaj mężczyźni padli na ziemię. Widać było, że Szkot na chwilę stracił dech. Zanim wrócił do siebie, Brent zdążył już złapać go za krawat i mocno zacisnąć.

- Ty śmierdzący sukinsynu! - warknął. - Niewiele brakowało, żebyś nas zabił!

- To był wypadek! - sapał Dugan, łapiąc za krawat i próbując go poluzować. - Nigdy nie skrzywdziłbym panny Albright.

- To prawda - poświadczył pilot lecący ze Szkotem. - Myśleliśmy, że wyścigi ożywią nieco nastroje.

Pięść Farbera wylądowała prosto na szczęce mówiącego.

- Może to ci poprawi nastrój, ty imbecyłu!

- Niech pan go puści — poradził jeden ze strażaków, widząc, że twarz Dugana MacDonalda całkowicie zbieleła.  
- Ten człowiek nie może oddychać.

Brent posłuchał, ale najpierw postanowił pójść w ślady Farbera i solidnie przygrzmocił w oko Szkota.

- Zbliżysz się do Andrei albo do mnie, a dokończę, co tutaj zacząłem - ostrzegł ponuro. - Ona należy do mnie, MacDonald. Do mnie. I niech Bóg pomoże tobie i każdemu innemu mężczyźnie, który będzie próbował stanąć między nami.

# 15

Andrea nie widziała jeszcze Maddy tak roztrzęsionej.

- Na wszystkich świętych! - zawołała staruszka ze łzami w oczach. - Kiedy zobaczyłam, jak ten balon spada z nieba, prawie stanęło mi serce! - Przycisnęła Andreę do siebie. - Kochana! Kochana! Tak się o ciebie bałam i taka jestem wdzięczna, że ty i Brent przeżyliście to bliskie spotkanie ze śmiercią!

Andrea ciepło przytuliła ją do siebie.

- Przypuszczam, że Brent zdradził ci swoje plany?

- Och, tak! Choć z pewnością kiedy wymyślał te zdumiewające oświadczenia, nie wyobrażał sobie, iż dojdzie do podobnego wypadku.

Brent uśmiechnął się. Widać było, że wrócił mu już dobry humor.

- Andrea powiedziała, że na zawsze zapamięta ten dzień. Żadne z nas nie podejrzewało, że aż tak bardzo stanie się godny zapamiętania.

- Pomijając wypadek z balonem, jak poszło? - niecierpliwie dopytywała się Maddy.

Brent uniósł lewą dłoń Andrei, by pokazać widniejący na jej palcu pierścienek z diamentem.

- Zgodziła się - oświadczył dumnie.

Wyglądało na to, że Maddy zaraz zacznie tańczyć z radości.

- Och, tak się cieszę! Kiedy ślub?  
- Daj mi trochę czasu na przyzwyczajenie się do tej myśli, Maddy! - poprosiła Andrea. - Wrócimy do Waszyngtonu, załatwię kilka spraw dotyczących Stevie'ego i wtedy zajmujemy się planowaniem uroczystości ślubnych. Będę szczęśliwa, jeśli mi w tym pomożesz.

- Nie mogłabyś mnie powstrzymać, nawet gdybyś chciała.

Odwracając się do Brenta, Andrea oświadczyła:

- Zdajesz sobie sprawę, że, biorąc mnie za żonę, musisz wziąć też mojego siostrzeńca? Chcę, by z nami mieszkał.

- Czy jego ojciec nie będzie się sprzeciwiał? - zaciekawił się Brent.

- Zajmę się tym. Zastanawiam się tylko, jakie jest twoje podejście. Przypuszczam, że większość mężczyzn woli nie mieć na głowie obcych dzieci, zwłaszcza od samego początku małżeństwa, ale ja i Stevie jesteśmy sobie bardzo bliscy. Nie mogę go zostawić.

- Jeśli tylko nie będzie z nami jego ojca, zgadzam się bez zastrzeżeń.

- Jesteś wspaniała! - zawołała Andrea, unosząc się na palcach, by pocałować go w policzek.

- Będę pamiętał, żeby powiedzieć to mojej matce, kiedy zatelegrafuję do rodziny, by przekazać im szczęśliwe wieści - zapewnił patrząc na ukochaną roziskrzonym wzrokiem. - Nie będą się mogli doczekać spotkania z tobą.

Andrea westchnęła.

- Trochę się tego boję.

Brent wybuchnął śmiechem.

- Nie martw się. Pokochają cię, bo dzięki tobie będą mnie mieli z głowy. Poza tym, zdaje się, że minie nieco czasu, zanim zdążymy zaaranżować spotkanie, skoro tak bardzo upierasz się przy powrocie do Waszyngtonu. Ja sam niedługo muszę wracać do Nowego Jorku. Ale jestem pewien, że kiedy będę chciał cię odwiedzić, ojciec da mi wolne. Nie

zdziwię się, jeśli zechcą mi towarzyszyć, żeby tylko poznać moją narzeczoną.

Tego samego wieczoru przy kolacji młoda para uczciła sążyny toastami szampanem. Znajomi byli zachwyceni nowiną. Tylko Shirley Cunningham nieco zmarkotniała i dość wczesnie opuściła towarzystwo, prawdopodobnie udając się na poszukiwanie bardziej obiecującej zdobyczy.

Andrea przeżyła jedną przerażającą chwilę, kiedy Brent sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej obciążki. Podając jej, powiedział:

- Wypadły z twojej torby, kiedy zawiśliśmy na drzewie. Wyciągnęła do narzeczonego roztrzęsioną dłoń.

- Dziękuję - udało jej się wydusić przez zaciśnięte gardło. Paraliżował ją strach przed pytaniami, które teraz z pewnością nastąpią. Czy Brent wiedział, do czego służy to narzędzie? Czy już się wszystkiego domyślił?

- Muszę przyznać, że jeszcze nigdy nie widziałem niczego podobnego. Nie przypominam sobie, żeby siostry albo matka czegoś takiego używały. Te nożyce wyglądają tak, jakby można nimi było przeciąć drut.

- Ach, skądże. Są przeznaczone do odcinania nitek i guzików od ubrań - wymyśliła na poczekaniu Andrea, pospiesznie wpychając nożyce do torby, zanim któraś z pań zdążyła zainteresować się ich dziwnym kształtem. - Poza tym przydają się do odstraszenia niepożądanych wielbicieli - dodała, próbując zmienić temat rozmowy.

Odniosła sukces, bo od razu dyskusja przeszła na wypadki popołudnia. Chwilę później Andrea oświadczyła, że jest bardzo zmęczona.

- Bardzo mi przykro, Brent - powiedziała, kryjąc ziewnięcie. - Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale oczy same mi się zamykają i w ogóle nie mogę się skoncentrować.

- To prawdopodobnie reakcja na dzisiejsze emocje - stwierdził łagodnym głosem. - A może winne jest świe-

że powietrze i wysokość? W każdym razie powinnaś szybko *znaleźć* się w łóżku, bo inaczej zaśniesz nam tu na stole.

- Nie będzie ci przykro? - dopytywała się. - W końcu świętujemy nasze zaręczyny i uniknięcie śmierci. Nie chcę zachować się niewłaściwie.

- Mamy przed sobą lata, by to nadrobić. Zresztą, jak na jeden dzień miałaś dostateczną dawkę wrażeń. Musisz nabrać nowych sił.

- A ty co będziesz robił? - zainteresowała się.

Uśmiechnął się.

- Obawiam się, że będę musiał zaprosić wdowę Cunningham do tańca - przekomarzał się.

Andrea zmarszczyła brwi.

- Zdaje się, że już się przekonałeś, jak boli ukłucie moimi... nożycami - postraszyła.

Szybko uniósł ręce do góry w geście poddania.

- Och, nie! Wiem, kiedy jestem pokonany! - rzucił z chichotem. - Raczej już przyjmę propozycję Harry'ego Andrewsa i zagram w karty. Wcześniej powiedziałem, że rezygnuję, ale myślę, że jeszcze mnie dopuszcza.

Andrea nagrodziła narzeczonego promiennym uśmiechem.

- Dobrze. Nie chcę, byś się nudził, ale nie chcę także, byś zachowywał się jak wolny mężczyzna. Jesteś zaręczony, mój drogi. Sam się na to zdecydowałeś i musisz ponosić konsekwencje własnych pochopnych decyzji. - Uderzyła go żartobliwie po ramieniu. - Czy już ich żałujesz?

- Wcale nie - odpowiedział, podnosząc jej dłoń do ust.  
- Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

W niewiele godzin później Brent miał powód, by zwątpić we własne słowa. Siedział przy stoliku karcianym i właśnie miał zacząć licytację, kiedy spojrzął w okno i zobaczył przechodzącą przez ulicę kobietę. Szła od strony Girard House do Continental Hotel. Choć znajdowała się w znacznej odległości i ubrana była na czarno, jasne włosy niezna-

jomej natychmiast przykuły jego uwagę. Wyteżył wzrok, starając się dojrzeć twarz. Przecież to nie jest - nie może być - Andrea. Ale mimo wszystko kobieta bardzo ją przypominała.

Bez słowa uprzedzenia czy pożegnania Brent zdusił papierosa w najbliższej popielniczce i wypadł z pokoju. Wkrótce się dowie, czy to jest Andrea, a wtedy będzie musiała mu wiele wytłumaczyć.

Andrea stała na krawędzi chodnika, czekając, aż minie ją przejeżdżający powóz. Na ile to było możliwe, starała się pozostawać w cieniu. Nagle ogarnęło ją dziwne uczucie, że ktoś się w nią wpatruje. Zerknęła w górę i w oknie Hotelu Continental, do którego właśnie zmierzała po długiej nocy złodziejskiej harówki, zauważyła postać mężczyzny. Przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem. Nieznacznie się odwrócił i wtedy na jego twarz padło światło. Andrei zabrakło tchu. To był Brent! I wyglądał na poruszonego!

Jej serce zaczęło bić ze zdwojoną mocą. Nie mógł jej przecież rozpoznać z tej odległości. Ale z drugiej strony, jeśli ona rozpoznała jego, równie dobrze i on mógł poznać ją. Patrzyła, jak Brent z pośpiechem opuszcza miejsce przy oknie. Och, Boże! Co robić?

Zapominając o ostrożności, Andrea przebiegła przez ulicę, prawie wpadając pod kopyta rozpędzonych koni ciągnących powóz. Jeśli szczęście całkowicie jej nie opuściło, Brent wybierze frontowe schody, a może nawet windę, dzięki czemu ona będzie mogła użyć schodów zapasowych. Musi się tylko pospieszyć. I nie może dać się złapać agentom Pinkertona.

Rzuciła się w ciemną, przyległą do hotelu alejkę, modląc się, by nie natknąć się tam na jakiegoś łązęgę lub pijaka. O dziwo bez przeszkód dotarła do bocznego wejścia, dziękując Bogu, że jest otwarte, tak jak wtedy, gdy kilka godzin wcześniej wybierała się tą drogą na nocną eskapadę. Zajrzała podejrzliwie do środka i znowu zaparło jej dech. W koryta-

rzu, cztery, pięć jardów od niej, stał Jenkins. Z nadzieją, że drzwi nie zaskrzypią, otworzyła je, wśliznęła się cichutko do wewnątrz, po czym popędziła w stronę schodów. Miękkie pantofelki tłumiły odgłosy kroków.

Ciężko dysząc, trzymając się za bok, w którym coś ją niemożliwie kłuło, dotarła na trzecie piętro. Jednak nie pozwoliła sobie nawet na sekundę odsapki. W każdej minucie Brent mógł zniechęcić się oczekiwaniem na nią w głównym holu i postanowić sprawdzić jej pokój. Z sercem w gardle przebiegła pusty korytarz, wetknęła klucze w zamek i wpadła do pokoju. Cichutko zamknęła drzwi, żeby nie obudzić Maddy, zasunęła zasuwkę i dopiero teraz głośno odetchnęła.

Następnie, na wpół omdlała ze zmęczenia, przedarła się do sypialni, potykając się przy tym o kota. Zapaliła nocną lampkę. Zdarła ubranie nie zważając na szwy i zatraski, potem całą kupkę wraz z wypchaną torbą wrzuciła do szafy. W jednej ręce trzymała koszulę nocną, w drugiej szlafrok, kiedy usłyszała ciche pukanie do drzwi.

- Och, do diabła! - stęknęła, walcząc z rękawami koszuli. Pukanie powtórzyło się. Tym razem było głośniejsze. Znajdowała się trzy kroki od drzwi sypialni, lecz nagle zawróciła i rozrzuciła pościel na łóżku, a w poduszce zrobiła wgniecenie. Jeśli Brent naprawdę ją podejrzewa, może to go przekona. Biegając do drzwi, wyciągała z włosów szpilki, rzucając je do stojaka na parasole. Założyła szlafrok i sięgnęła do zamka.

Zanim zdążyła otworzyć, Brent zapukał jeszcze gwałtowniej i zawołał:

- Otwieraj natychmiast!

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła, szeroko otwierając drzwi. - Co to za zamieszanie?

Brent wyglądał na skonsternowanego. Przez kilka sekund wpatrywał się w nią bez słowa, potem wyjąkał:

- An... Andrea? Jesteś tu?

Spojrzała na niego z naganą.

- A gdzie miałabym być twoim zdaniem? Jesteś pijany?

- Nie na tyle, żeby mieć zwidy - mruknął. - Przynajmniej mi się wydaje. - Zrobił krok do środka i pospiesznie się rozejrzał, zauważając przez otwarte drzwi do sypialni rozrzuconą pościel na łóżku. - Byłaś tu cały wieczór?

Udała, że go nie rozumie, i głośno ziewnęła.

- Spałam jak zabita, dopóki mnie tak niegrzecznie nie obudziłeś. Czy mógłbyś mi uprzejmie wytłumaczyć, o co tu chodzi?

- Wydawało mi się, że... że widziałem ciebie albo kogoś do ciebie podobnego przed hotelem. Kilka minut temu. Mógłbym przysiąc, że to byłaś ty.

- Jak widać, myliłeś się - stwierdziła sucho.

Nadal wydawał się zszokowany.

- Chyba tak. Przepraszam, że cię obudziłem. Pójdę już i pozwolę ci wrócić do łóżka.

- Wyśmienity pomysł - rozległ się poirytowany głos Maddy. - To się staje dość kłopotliwym nawykiem, młodzieńcze. Skończ z tym, bo będę zmuszona kupić pistolet. I nie myśl sobie, że nie wiem, jak go użyć. Trzy lata z rzędu zdobywałam mistrzostwo w strzelaniu do gołębi.

- Czy to prawda? - szeptem przepełnionym zdziwieniem zapytał Brent Andree.

Wzruszyła ramionami, uśmiechając się łobuzersko.

- Nie mam pojęcia, ale to możliwe. Maddy prowadzi dość bogate życie, jak sam wiesz. Zmykaj stąd, jeśli nie chcesz stracić uszu.

- Już idę - zawołał głośno. - Zobaczymy się jutro, Maddy. Każę, by przysłano wam śniadanie, jeśli przyrzekniesz, że nie kupisz tego pistoletu.

- Och, ty gagatku! - odkrzyknęła staruszka. - O dziesiątej czekam na świeże bułeczki i dżem pomarańczowy!

Andrea wypchnęła go za drzwi, zamknęła je i roztrzęsiona osunęła się na podłogę. Dopiero wtedy zauważyła, że w pośpiechu założyła koszulę na lewą stronę.

Następnego dnia wraz ze śniadaniem nadeszły prezenty od Brenta. Andrea otrzymała flakonik bardzo drogich perfum o cudownym zapachu. Na dołączonym bileciku widniał napis:

*Używaj ich na swoje własne ryzyko. Proszę. Z miłością,  
Brent.*

Dla Maddy była kołatka do drzwi ozdobiona rzeźbionymi w brzoje ptaszkami. Napis na bileciku brzmiał:

*Powieś to na swoich drzwiach, a już nigdy nie pojawią się bez zapowiedzi. Ale błagam, nie ładuj pistoletu! Z szacunkiem - Brent Sinclair.*

- To nicpoń! - zadowolonym głosem zawołała Maddy. - Doskonale wie, jak oczarować damę, prawda? Masz szczęście, że go spotkałaś, Andreo. Tylko nie odwlekaj zbytnio ślubu, bo go stracisz. Inne kobiety, nawet ja sama, gdybym była pół wieku młodsza, zrobią wszystko, żeby sprzątnąć ci go sprzed nosa.

- Użyję perfum, które mi przysłał - zdecydowała Andrea ze śmiechem. - Może one zmuszą go do trzymania się właściwego tropu.

Jej słowa już wkrótce miały okazać się wprost prorocze.

Nieco później, spotkawszy się z Brentem, obie panie ustaliły, że wyjadą do Waszyngtonu w niedzielę popołudniowym pociągiem. Był czwartek, więc młodej parze pozostały tylko trzy dni. Mając to w pamięci, postanowili odwiedzić następną część Fairmount Park, zamiast wybrać się na wystawę, którą zresztą prawie całą już obejrzel.

Z pomocą pracowników kuchni hotelowej przygotowali prowiant na piknik. Ku wielkiemu zmartwieniu Brenta na wycieczkę zaproszeni zostali także przyjaciele Maddy. Brent marzył, by być tylko z Andrea, ale Maddy uparła się odgrywać rolę przyzwoitkę dopóki nie dojdzie do ślubu.

Rozłożyli się na porośniętym trawą brzegu rzeki, skąd mogli przyglądać się przepływającym łódkom. Wtedy Brent wpadł na pomysł, który dawał mu szansę na nieco intymności z ukochaną, zarazem nie łamiąc zasad etykiety. Po kilku minutach on i Andrea płynęli już wynajętym kajakiem.

- Jak ci się udało uzyskać przyzwolenie Maddy? - dopytywała się Andrea. - Tak się upierała, by nawet przez sekundę nie zostawić nas sam na sam.

- Zgodziła się z tego samego powodu, z jakiego pozwoliła mi zabrać cię na przejażdżkę balonem. W tej małej łódeczce nie jesteśmy w stanie uczynić nic zdroźnego. Podobnie jak w balonie, zresztą towarzyszył nam wtedy Farber.

- A przy tym na rzece znajdują się inne łódki - dodała Andrea. - Maddy jest przebiegła jak lis, kiedy się o to stara.

Brent uśmiechnął się.

- Ja także. Czyż nie jesteśmy w końcu sami?

Przejażdżka okazała się spokojnym i rozkosznym interludium, całkowicie odmiennym od dramatycznych wydarzeń poprzedniego dnia. Andrea poddała się błogiemu nastrojowi całą duszą. Upajała się równomiernym kołysaniem łódki. Ostonięta od słońca parasolem, owiewana chłodną bryzą, czuła się wprost cudownie, co nie zdarzyło jej się już od dawna. Rozmawiali cicho o wielu rzeczach: wspaniałościach, które widzieli na wystawie, pracy Brenta i jego rodzinie, postanowieniu Andrei, że do czasu ślubu będzie mieszkać u Maddy, a potem w nowojorskim apartamencie Brenta, do chwili aż kupią albo zbudują własny dom.

Na lunch wrócili do reszty towarzystwa. W trakcie posiłku podszedł do nich katarzyniarz z tresowaną małpką i poczęstował ich improwizowaną serenadą. Po jedzeniu postanowili się przejść do części zoologicznej ogrodu. Od ulicznych sprzedawców kupili lody dla siebie, a prażoną kukurydzę i orzeszki ziemne dla zwierząt. Przed opuszczeniem parku zatrzymali się w piwiarni, gdzie każdy wypił po kuflu piwa i zagryzł precelkiem. Skan i przerobienie pona.

W drodze powrotnej, oparta o ramię narzeczonego, Andrea żałowała, że ten miły dzień już się kończy. Jakby czytając w jej myślach, Brent powiedział:

- Chcę, byście przebrały się w najpiękniejsze suknie, ponieważ wieczorem zabieram was do francuskiej restauracji, a potem do teatru.

Andrea nie znalazła czasu, by spytać, o jaką sztukę chodzi, i dopiero w łóżu dowiedziała się, że ma to być *Hamlet*. Roześmiała się.

- Specjalnie wybrałeś tę sztukę?

- Tak - przyznał z łobuzerskim uśmiechem Brent. - Skoro różnimy się zdaniem na jej temat, pomyślałem, że powinniśmy razem ją obejrzeć.

W połowie przedstawienia Maddy była skłonna udusić ich obydwoje.

- Czy wy, dzieciaki, wreszcie przestaniecie chichotać? Wszyscy na was patrzają! - syknęła. - Jeśli jeszcze nie zauważyliście, to jest tragedia, a nie komedia.

Reprimenda starszej pani zdopingowała ich do jeszcze większej wesołości. Przy końcu sztuki twarz Andrei dosłownie złana była łzami ze śmiechu.

Siedzący obok Brent oświadczył jowialnie:

- Nie wiem, czy kiedykolwiek bardziej ubawiłem się na sztuce. Muszę przyznać, Andreo, że miałaś rację. Królowa była głupia, a Hamlet perfekcyjnie odegrał idiotę.

Andrea kiwnęła głową.

- Tak, ale on tylko udawał chorobę psychiczną. Nie był naprawdę szaleńcem.

- W przeciwieństwie do was! - fuknęła Maddy ze złością.  
- Niedoczekanie, żebym jeszcze kiedyś wybrała się z wami do teatru!

# 16

Tego wieczoru Andrea bardzo niechętnie myślała o wybraniu się na nocną eskapadę. Wolałaby w zamian uczynić tysiące innych rzeczy - na przykład wskoczyć do łóżka i marzyć o przyszłym życiu z Brentem jako jego żona i matka Stevie'ego, o życiu w Nowym Jorku, z dala od Ralpha Muttona i jego rujnującej chciwości. Ale czas uciekał. Pozostały jej tylko trzy noce w Filadelfii.

W godzinę później gratulowała sobie dobrze wykonanej roboty. W tym krótkim czasie odwiedziła trzy pokoje i jak na jedną noc zebrała wystarczającą ilość świecidełek. Ostami apartament należał do włoskiej księżniczki i jej kochanka, i właśnie z tego powodu Andrea go wybrała. Księżniczka wręcz opływała w klejnoty, z których większość spoczywała obecnie w torbie Andrei, w tym imponujący diadem i rubinowy naszyjnik z dopasowanymi kolczykami. Same te przedmioty powinny zaspokoić wymagania Ralpha, choć jak zawsze zaniży ich wartość.

Teraz mogła już zaprzestać obrzydliwego procederu - na zawsze. Nigdy więcej nie będzie musiała przemykać się nocą po korytarzach, wystrzegając się detektywów Pinkertona i szczekających na nią psów, przerażona, że zostanie złapana i wsadzona do więzienia. Była wolna, tak jak wkrótce wolny będzie Stevie. Musi tylko jeszcze bezpiecznie powrócić z łupami do swojego pokoju.

Uchyliła drzwi i wyrzała na korytarz. Ku jej zaskoczeniu i niezadowoleniu, nie był pusty. Zbliżała się właśnie księżniczka i jej kochanek!

Szlag by to trafił! Minuta wcześniej i już by jej tu nie było. Teraz albo musi się ukryć, albo uciec przez balkon. Nie dam się znowu wepchnąć pod łóżko, żeby wysłuchiwać odgłosów miłości jak wtedy z Freddym i Lucilla, zapowiedziała sobie w duchu.

W chwili gdy księżniczka wsadzała klucz w zamek, Andrea przechylała się przez barierkę balkonu, spoglądając dwa piętra w dół. Zastanawiała się, jak się tam dostać, nie łamiąc przy tym karku i nie alarmując całej okolicy. Przy jej szczęściu będzie tu stała aż do rana albo do chwili, gdy księżniczka i jej kochanek nie postanowią wyjść na balkon z zamiarem rozkoszowania się widokiem gwiazd.

Nagle zauważyła kratę przytwierdzoną do ściany hotelu. Znajdowała się dwie stopy od brzegu balkonu. Jeśli uda jej się na nią dostać, a krata okaże się dostatecznie wytrzymała, może jednak wyjdzie cało z tej opresji.

Ostrożnie, czując się jak baletnica tańcząca na linie, z ciężką torbą dyndającą u jednego ramienia, Andrea przeszła przez barierkę balkonu. Jedną ręką trzymała się jej kurczowo, drugą wyciągnęła w stronę kraty. Objęła ją mocno palcami, zgniatając porastające ją pnącze. Kłopot sprawiała jej lewa stopa, a raczej spódniczka. Była zbyt wąska, by można było dać w niej szeroki krok.

Zawieszona między balkonem a kratą, Andrea znalazła się w pułapce. Ciężar torby ciągnął ją do kraty, ale całe ciało pozostawało na balkonie. Nie była w stanie ruszyć się ani w jedną, ani w drugą stronę, a przecież nie mogła oderwać ręki, by podciągnąć spódnicę! Mówiąc prosto, utknęła! Chyba że puści się i spadnie piętnaście stóp w dół.

Przestraszona, zła i bliska zalania się łzami, mocno szarpnęła nogą. Odgłos, który dał się słyszeć, brzmiał w jej uszach jak muzyka. Jeszcze dwa kopnięcia i w końcu mogła wsunąć stopę w otwór w kracie. Rozciągnięta na całą szerokość,

zastygła, by nabrać odwagi i sił. Potem głęboki oddech i rzuciła się do kraty, przywierając do niej roztrzęsionym ciałem, jak trzepocząca się mucha w pajęczej sieci.

Nie ufając w wytrzymałość delikatnej konstrukcji, ostrożnie, ale też z pośpiechem, zaczęła schodzić w dół. Pięć stóp od ziemi, kiedy była już niemal bezpieczna, cienki metal pod jej stopą pękł. Z mimowolnym okrzykiem przerażenia Andrea spadła na ziemię, a za nią deszcz oberwanych kwiatów.

Brent kończył właśnie obchód uliczek wokół hotelu, starając się wypatrzeć coś lub kogoś, kto mógłby wzbudzić jego podejrzenia. Miał nadzieję, że natknie się na złodzieja, choć tak naprawdę w to wątpił. Przestępca ciągle się im wymykał.

Właśnie okrążał róg na tyłach hotelu, kiedy doszedł go cichy dźwięk przypominający trzask pękającego drewna. Spojrzył w tamtym kierunku, akurat w chwili, gdy ktoś spadał z kraty zawieszonych kilka jardów od miejsca, w którym stał. Instynktownie poczuł, że to jest to. Podświadomie wiedział - po prostu wiedział - że wreszcie dopadł długo poszukiwanego złodzieja. Zanim ten zdążył się podnieść, Brent już do niego biegł.

Andrea uważnie badała kończyny, sprawdzając, czy są całe, kiedy usłyszała, że ktoś biegnie w jej kierunku. Podnosząc się z ziemi, rzuciła za siebie jedno szybkie spojrzenie i runęła w uliczkę. Nim dobiegła do lampy gazowej, przytomnie pomyślała o naciągnięciu kaptura na głowę, po czym przecięła ulicę i wpadła w ciemną alejkę. Zerwała z szyi apaszkę i zasłoniła nią twarz.

Rozdarta spódnica sprawiła, że mogła poruszać się w dość szybkim tempie. Biegła jak strzała, starając się umknąć goniącemu ją mężczyźnie, ale ciągle miała wrażenie, że lada chwila ją dogoni. Niewiele brakowało, a wyrznęłaby jak długa potykając się o kosz na śmieci, ale jakoś udało jej się go ominąć. Za to nie udało się to jej prześladowcy. Usłyszała gniewne stęknięcie.

Dobiegłszy do skrzyżowania ulic, Andrea cały czas trzymając się cienia pobiegła w prawo, po czym przy najbliższym rogu skręciła w lewo. Zasłonięta ścianą budynku, zatrzymała się, by złapać oddech. Nastawiła uszu z nadzieją, że zgubiła ścigającego ją osobnika. Jeśli pobiegł w innym kierunku, jest uratowana...

W przeciwieństwie do jej miękkich pantofelków, buty mężczyzny odbijały się głośnym echem od chodnika. Andrea usłyszała, że się zatrzymał. Wstrzymała oddech, modląc się, by nieznajomy wybrał inny kierunek. Znowu zaczął biec, niestety w jej stronę. Andrea rzuciła się do ciemnej części ulicy, gnając co sił w nogach. Mocno ścisnęła torbę z łupami, ukrytą pod płaszczem. Goniący ją mężczyzna był coraz bliżej.

W chwili kiedy pomyślała, że za sekundę zostanie schwytana, zobaczyła przed sobą ścianę teatru, w którym tego *wieczoru* była z Brentem. Instynktownie, jak zwinna antylopa ścigana przez lwa, skoczyła w wąską uliczkę ciągnącą się koło bocznego wejścia do teatru. W tym samym momencie zrozumiała, że uliczka jest ślepa, a ona nie ma innej drogi powrotu niż ta, którą tu przybyła. Wpadła w panikę.

Spojrzała za siebie, po czym rzuciła się w stronę wejścia dla aktorów. Była przekonana, że jest zamknięte, ale nie miała wyboru. O dziwo, drzwi poddały się, kiedy na nie naparła. Zalała ją całkowita ciemność. Zdezorientowana, jednak nie chcąc stać w miejscu i dać się złapać, ruszyła po omacku przed siebie. Po kilku krokach uderzyła o ścianę, jeszcze dwa kroki i następna ściana. Zrozumiała, że znajduje się w wąskim korytarzu.

Z tyłu doszedł ją odgłos zamykanych drzwi. Ciężki oddech powiedział jej, że ścigający ją mężczyzna jest tuż za nią, choć tak jak ona nic nie widzi. Nie mając czasu do stracenia, obawiając się, że nieznajomy natknie się gdzieś na lampę, cicho stąpając, ruszyła przed siebie korytarzem. Dłonią wyczuła klamkę. Już miała otworzyć, ale instynkt podpowiedział jej, by nie wchodzić do pierwszego napotkanego pomieszczenia. Rozumując logicznie, właśnie tam najpierw

będzie jej szukał prześladowca. Minęła te drzwi i dwoje następnych. Przy czwartych zatrzymała się, przekreśliła gałkę i cicho wśliznęła do środka. Trzęsącymi się palcami szukała zasuw, ale nie znalazła jej. Jeśli nie myliły jej atramentowe ciemności, pomieszczenie nie posiadało żadnych okien, przez które mogłaby się z niego wydostać.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim, Brent zamarł w bezruchu, całkowicie zaskoczony panującym wewnątrz mrokiem. Przez chwilę nie poruszał się, wyężdżając słuch. Nie dochodził go żaden odgłos oprócz szaleńczego walenia własnego serca i ciężkiego oddechu. Nie słyszał nawet najmniejszego szmeru, który podpowiedziałyby mu, gdzie ukrył się złodziej. Może stoi tuż za nim i za chwilę go zaatakuje?

Odczekał jeszcze jakieś sześćdziesiąt sekund, nasłuchując. Czekając na jakikolwiek dźwięk. Nic. Starając się zrobić to cicho, Brent sięgnął do kieszeni i wyciągnął pudełko zapalek. Wstrzymując oddech, z napiętymi mięśniami ramion, zapalił zapalniczkę i uniósł do góry. Nikogo nie zobaczył. Żadnego dźwięku. Zauważył jednak lampę wiszącą na kołku przy drzwiach.

Miał teraz przewagę. A nawet kilka. Choć bandyta był szybki i ze względu na długi płaszcz trudno było określić, jak wygląda, Brent zorientował się, że jego przeciwnik jest drobnej budowy. Może to jeszcze chłopak - bardzo przebiegły i dobry w złodziejskim fachu, ale tylko chłopak. W walce wręcz nie miał z Brentem szans. Chyba że uzbrojony jest w pistolet albo nóż.

Ta myśl zastanowiła go. Musi zachować ostrożność, nieważne, jak młody jest jego przeciwnik. Rozglądając się za jakąś bronią, Brent zobaczył cienki kawałek drewna długości pałki policyjnej. Podniósł go z ziemi. Tak wyposażony, przy świetle lampy, ruszył na poszukiwanie sprytnego przestępcy.

Andrea, z uchem przy drzwiach, wyraźnie słyszała zbliżające się kroki. Cichły co jakiś czas, po czym rozlegał się

zgrzyt zawiasów. Domyśliła się, że nieznajomy zagląda po kolei do każdego pokoju. Kiedy zbliżył się do jej drzwi, wpadła w przerażenie, bo zobaczyła w szparze smugę światła. Do diabła! Znalazł lampę! Nie mogła zamknąć drzwi, nie miała ich czym zastawić, a więc zostanie złapana. Chyba że...

Brent pchnął czwarte drzwi. Nie poddały się, ale nie były zamknięte. Wyglądało na to, że coś za nimi stoi, coś albo ktoś. Pchnął silniej, lecz na próżno. W końcu odsunął się, po czym natarł ramieniem na przeszkodę. Drzwi nagle się otworzyły, a Brent z całym rozpędem wleciał do pomieszczenia, padając jak długi na podłogę. Starał się nie upuścić lampy, bojąc się, że spowoduje pożar. Kiedy się podnosił, kątem oka zdążył zobaczyć czarną figurę wymykającą się przez otwarte drzwi.

Korzystając z poświaty dobiegającej od lampy, Andrea gnała do wyjścia. Była przerażona, bo zobaczyła twarz mężczyzny, który ją ścigał. Omal się nie udusiła, kiedy Brent, jak rozjuszony byk, wpadł do pokoju. Teraz słyszała, że jest tuż za nią. Miała jeszcze kilka metrów do wyjścia, gdy poczuła, że apaszka zaciska jej się na gardle. Na szczęście materiał zsunął się z szyi.

Zdając sobie sprawę, że nie ma szans na dotarcie do drzwi, Andrea rzuciła się w lewo. Wbiegła po krótkich schodach na scenę, a Brent za nią. Był tak blisko, że słyszała jego ciężki oddech, prawie czuła, jak dosięga jej wielkim kijem, który trzymał w rękach. Wtem, nieoczekiwanie, coś zaszumiało, rozległ się dziwaczny zgrzyt, a następnie jeszcze dziwniejszy furkot. Zaraz za nim krzyk zaskoczonego Brenta, jakby oddalający się i dochodzący gdzieś z góry.

Andrea zasłoniła twarz kapturem i odważyła się rzucić krótkie spojrzenie przez ramię. Widok, jaki przedstawił się jej oczom, sprawił, że stanęła w miejscu jak wryta. Brent wisiał głową w dół. Z jedną nogą uwięzioną w linie, obracał się sześć stóp nad sceną. Wściekle wyklinał, co przekonało

uciekinierkę, że oprócz zranionej dumy, nic więcej mu nie dolegało. Jakimś cudem nadal trzymał w rękach lampę.

Przez kilka sekund Andrea stała zapatrzona w wirującego nad nią mężczyznę. Po chwili, wracając do siebie, najgrubszym głosem, jaki potrafiła wydobyć, zawołała:

- Nic się panu nie stało?

- Do diabła, nie! - padła wściekła odpowiedź. - Zdejmij mnie stąd!

- Do diabła, nie! - odrzyknęła, nie zapominając o zmianie głosu. - Masz mnie za idiotę? Dla mnie jest bezpieczniej, kiedy tam wisisz.

Brent z widocznym wysiłkiem starał się pohamować gniew.

- Jeśli mnie uwolnisz, przyrzekam, że postaram się, byś dostał łagodniejszy wyrok. Jestem prawnikiem. Wiem, jak się tym zająć.

- Nic mnie nie obchodzi, kim jesteś. Nie mogę cię ściągnąć, bo nie wiem jak. Nie wiem nawet, jak się tam dostałeś.

- Potknąłem się o zwój lin, które najprawdopodobniej służą do podnoszenia i opuszczania elementów dekoracji. W jakiś sposób uruchomiłem mechanizm. Rozejrzyj się, a z pewnością zauważysz gdzieś jakieś dźwignie. Jedna z nich powinna zwolnić tę przekłętą linę.

- Potrzebuję do tego lampy - odburknęła.

- Dobrze. Bierz. Tylko się pośpiesz, bo krew napływa mi do głowy.

Andrea podniosła małą drabinę, która akurat stała na scenie, i podsunęła ją pod wiszącego Brenta. Pamiętając o ukryciu twarzy, wspięła się na nią, pochwyciła lampę i szybko zbiegła z drabiny. Postawiwszy lampę w bezpiecznej odległości na podłodze, zawołała:

- Ma pan nóż?

- Tylko kieszonkowy. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ będzie panu potrzebny do odcięcia się. Myślę, że przerżnięcie tej liny zajmie panu jakieś dwadzieścia minut.

- Nie tak się umawialiśmy! - wrzasnął Brent.  
- Z nikim się nie umawiałem - przypomniał złodziej. - Ale coś panu powiem. Zostawię lampę, żeby nie odciął pan sobie stopy. Poszukam też czegoś miękkiego, na co będzie pan mógł upaść.

Brent na nowo zaczął kłać. Andrea natomiast wśród różnych rekwizytów wypatrzyła łóżko z materacem na dobrze naoliwionych kółkach. Przepchnęła je pod narzeczonego.

- Proszę, gubernatorze! - zachichotała gardłowo. - Wszystkiego najlepszego!

- Zaczekaj! - zawył Brent do oddalającej się postaci. - Nie zostawiaj mnie tu jak jakąś małą uczeptioną liany!

- Jeśli posiadasz spryt szympansa, szybko znajdziesz się na dole - odrzyknęła. - Lepiej zabieraj się do roboty, panie prawniku.

Przekonana, że Brent bez większych kłopotów wykaraska się z opresji, Andrea co tchu pobiegła do hotelu, po cichu weszła do swojego pokoju i ukryła skradzione przedmioty. Była szczęśliwa, że wszystko zakończyło się pomyślnie i że narzeczonej jej nie rozpoznał. Gdyby było inaczej, wpadłby w stokroć większą wściekłość. Nie mogła się nadziwić, że udało jej się uciec i dziękowała losowi, iż w końcu może skończyć z przestępczym życiem, ponieważ coś jej mówiło, że wykorzystała już całe przeznaczone jej szczęście.

Brent wracał do hotelu kuśtykając, rozjuszony jak nigdy, klnąc całą drogę na głos, choć w głowie waliły mu młoty - rezultat długiego wiszenia w dół. Jeśli kiedykolwiek dorwie tego małego bandytę, już on mu zapłaci! Rzucił się na łóżko nie trudząc się rozbieraniem. Zapadając w sen, nadal miotał pod nosem groźby.

Następnego dnia wstał w niewiele lepszym nastroju i z nadal doskwierającym mu bólem głowy. Umył się, ogolił, zmienił ubranie, uprzednio opróżniając kieszenie. W jednej znalazł czarną satynową apaszkę, którą ściągnął z szyi złodzieja. Stał, przesuwając ją w palcach i wyobrażając sobie,

jak dusi nią jej właściciela, kiedy spostrzegł coś bardzo dziwnego. Podniósł apaszkę do nosa i powąchał. Na Boga! Ten fatałaszek pachnie dokładnie takimi samymi perfumami, jakie podarował Andrei poprzedniego dnia rano. Tymi perfumami, przez które cały dzień przeżywał katusze, bo ich woń sprawiała, że marzył jedynie o tym, by wbić nos w miękką skórę narzeczonej!

Oszołomiony, chwiejnym krokiem przeszedł do najbliższego krzesła i padł na nie ciężko. To niemożliwe! To jakiś zbieg okoliczności! A jeśli nie? Nagle przypomniał sobie, ile to razy Andrea szła wcześniej spać. Potem nieoczekiwanie spotykał ją w różnych dziwnych miejscach. Zawsze potrafiła się logicznie wytłumaczyć, usypiając jego podejrzenia. Zresztą założyłby się o ostatniego dolara, że to ją widział przedwczoraj wieczorem, kiedy to zostawił grę, wybiegł na ulicę tylko po to, by po dziesięciu minutach znaleźć ją w pokoju w koszuli nocnej, zarzekając się, że śpi już od wielu godzin!

Co by oznaczało, że ona była osobą, którą wczoraj ścigał! Zostawiła go, uczepionego za jedną nogę, głową w dół, podczas gdy sama pognała do swojego pokoju! Po zastanowieniu przypomniał sobie, że spod szerokiego płaszcza złodzieja wystawał rąbek spódnicy. Oczywiście obracał się wtedy w powietrzu, ale teraz mógłby prawie przysiąc, że to widział!

Niesamowite! Złodziej biżuterii, który tyle razy im się wymykał, to nikt inny tylko jego przepiękna narzeczona! Kryła się tuż pod jego nosem, a on, zaślepiony miłością i pożądaniem, niczego się nie domyślał! Jaki z niego głupiec! I jak ona musiała się śmiać za jego plecami! Pewnie śmieje się też w tej chwili. Ale już niedługo.

- Nie, do diabła! - zaklął gniewnie, gniotąc w zaciśniętej pięści czarną apaszkę, po czym wstał z krzesła i jak burza wypadł z pokoju. - Już niedługo!

# 17

Andrea otworzyła drzwi z zaspaną i niewinną twarzą. Brent pchnął je mocno.

- Zamknij te cholerne drzwi! - warknął. - Chyba że chcesz, żeby cały przeklęty hotel dowiedział się prawdy o tobie!

Wpatrując się w całkowitym osłupieniu w mówiącego, Andrea zrobiła, co kazał. Przestraszona dzikim wyrazem złotych oczu narzeczonego, odsunęła się pospiesznie do tyłu, ale on kroczył za nią.

- Co, na Boga, w ciebie wstąpiło? - zapytała drżącym głosem.

Wyciągnął z kieszeni czarną apaszkę i pomachał nią przed jej nosem.

- Czy to ci coś przypomina, moja najdroższa? - zapytał tonem przepełnionym ironią.

Zanim Andrea zdążyła przewidzieć następny ruch rozjuszonego mężczyzny, zarzucił jej na szyję apaszkę i trzymając za końce, przyciągnął ją do siebie. Palcami wolnej ręki musnął ją po rozedrganych ustach.

- Jakież one są słodkie. I jakie słodkie kłamstwa z nich płyną!

Odepchnął Andreę od siebie, jakby się jej brzydził. Upadła na otomanę, z apaszką - dowodem rzeczowym - nadal owiniętą wokół szyi. Brent zaczął mówić, potwierdzając najkoszmarniejsze obawy Andrei.

- Wiem, że wczoraj w teatrze to byłeś ty, Andreo. I wszystkie te razy, kiedy cię spotykałem powracającą z nocnych łowów. Nie wiem tylko jednego. Dlaczego? Dlaczego, Andreo?

Zanim zdążyła dać odpowiedź, z pokoju obok wypadła Maddy, jeszcze w szlafroku, z rozczochną głową.

- Co to za krzyki? - zapytała poirytowanym głosem.

- Chodzi o kobietę, którą kochałem, a która zrobiła ze mnie głupca - poinformował Brent. - Chodzi o Andreę, która wymyka się nocami, włamuje się do hotelowych pokoi i okrada ich mieszkańców. Na wszystkich świętych! Miała nawet czelność ukraść mój zegarek, a potem mi go zwrócić! - Popatrzył na narzeczoną. - Wspaniale się bawiłaś? Czy sprawiło ci radość zrobienie ze mnie idioty?

- Nie! - zawołała, przerywając łkanie, które prawie ją udusiło, co, gdyby rzeczywiście się stało, z pewnością bardzo przypadłoby Brentowi do gustu. - Błagam, uwierz, nie o to mi chodziło. Naprawdę nic nie rozumiesz.

- Cholerna racja, zupełnie nic! Może chcesz się teraz wszystkiego wyprzeć? Sfabrykować jakieś sprytne kłamstwo, które tłumaczyłoby twoje brudne sprawy?

Nie czekając na odpowiedź, Brent pomaszerował prosto do sypialni Andrei i zaczął wysuwać szuflady, rozrzucając ich zawartość na wszystkie strony.

- Gdzie są łupy, Andreo? Powiedz, gdzie schowałeś skradzione przedmioty, bo inaczej, przysięgam, zdemoluję ten pokój i wszystko, co się w nim znajduje.

- W... niebieskiej podróżnej torbie na dnie szafy - wyjąkała omdlałym głosem.

Maddy sapnęła bezgłośnie, z oczywistych powodów zaszokowana rozwojem wypadków. Na jej rozszerzonych zdumieniem oczach Brent wyciągnął torbę, wyniósł ją do saloniku i jednym ruchem wyrzucił zawartość na podłogę. Popłątane, błyszczące mnogością kolorów zwoje potwierdziły jego oskarżycielskie słowa. Maddy powtórnie sapnęła.

- Dlaczego, Andreo? - przez zaciśnięte zęby znowu

powtórzył Brent. - Z niecierpliwością czekam na wyjaśnienia, z pewnością ogromnie pomysłowe, jednak ostrzegam, że mam po dziurki w nosie twojego udawania niewinności. Choć raz w swoim nieszczęsnym życiu spróbuj powiedzieć prawdę, jeśli pamiętasz, co to znaczy.

Łzy potokiem toczyły się po policzkach Andrei. Roztrzęsionymi palcami sięgnęła do twarzy, by je obetrzeć, po czym spojrzała błagalnie na narzeczonego.

- Nie chciałam tego robić - wyjąkała słabym, drżącym głosem. - Nigdy nie chciałam nikogo okradać. Nienawidziłam siebie, zwłaszcza kiedy obrabowywałam przyjaciół Maddy, za co zresztą podejrzania padły na nią.

Brent sarknął i machnął dłonią w stronę świetlistej kupki.

- Wygląda na to, że zupełnie nieźle udało ci się pokonać opory.

- Słabo powiedziane! - mruknęła Maddy, wodząc zdumionymi oczami od Andrei do góry kosztowności i z powrotem. - Dlaczego, moja droga? Co cię opętało?

Andrea zamknęła oczy, by nie widzieć jej zranionego spojrzenia, ale po chwili popatrzyła na obydwoje wzrokiem pełnym gorączkowej prośby.

- Musiałam! Nie dla siebie, ale dla Stevie'ego. Żeby go uratować...

- Uratować go od czego, Andreo? - przerwał jej kpiąco Brent. - Żeby w życiu nie musiał przepracować jednego dnia? By kupić mu wszystkie zabawki świata? Może by postawić mu zamek, z setką służby na skinienie palca? Żeby go rozpuścić do cna?

- Nie! - krzyknęła, zaskakując ich nagłą intensywnością reakcji. - By uratować mu życie! Życie, ty idioto! Ralph go porwał i wymyśla najkoszmarniejsze groźby. Odda mi dziecko, kiedy mu zapłacę! Muszę to zrobić, nie rozumiecie? Muszę! Muszę odzyskać Stevie'ego, zanim Ralph go skrzywdzi.

Brent wyrzucił w górę ramiona.

- Już to wszystko słyszałem - zawołał z sarkazmem. -

Chcesz, żebym uwierzył, że ten człowiek skrzywdzi własnego syna? Że jest takim szmatławcem, żeby żądać za niego okupu?

- Tak! - wykrzyknęła Andrea. - Kazał dostarczyć sobie ponad dwadzieścia pięć tysięcy dolarów albo ich ekwiwalent w kosztownych przedmiotach i biżuterii, które sprzedaje jakiemuś osobnikowi, który stale zaniża cenę dostarczanych przeze mnie przedmiotów. Od tygodni staram się zebrać ich wystarczająco dużo, przerażona, że nie zdążę i Ralph skrzywdzi Stevie'ego, sprzeda go albo zrobi mu jeszcze coś gorszego.

Maddy przysiadła na kanapie tuż obok Andrei, na jej twarzy malowało się współczucie.

- Kochanie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie poprosiłaś mnie o pieniądze?

- Och, Maddy, jakże bym mogła! Wiem, że chciałybyś pomóc, ale wiem także, że nie jesteś tak bogata, jak wszyscy sądzą. Poza tym Ralph ostrzegał mnie, żebym nie szła na policję i nikomu nic nie mówiła. Powiedział, że jeśli to uczynię, już nigdy nie ujrzę Stevie'ego. Boję się, że... że on by go zabił!

- Własne dziecko? - sarknął Brent. - Och, Andreo, czy ty przypadkiem nie przesadzasz? Facet przypuszczalnie miał na myśli, że nie pozwoli ci widywać dziecka, jeśli w ogóle te bzdury, które nam wmawiasz, mają cokolwiek wspólnego z prawdą, w co zresztą wątpię.

- To prawda! Wszystko, co powiedziałaś! - zarzekała się gorączkowo. - Mam na to dowód!

- Tak? - Brwi nad miodowymi oczami mężczyzny uniosły się wysoko. - Błagam, nie trzymaj nas w niepewności, moja słodka kłamczucho. Jeśli masz jakiś dowód, pokaż go nam.

Andrea podniosła się i poszła do swojego pokoju. Wyszukała w szufladzie list od Ralpha i podała go Brentowi.

- Proszę, przeczytaj. Może wtedy mi uwierzysz.

Szybko przeleciał oczami po linijkach tekstu, po czym podniósł wzrok. Miał zmarszczone brwi.

- To raczej wątpliwy dowód, nie sądzisz? Coś takiego nie

przejdzie w sądzie - oświadczył. - Czytając ten list można wyciągnąć szereg wniosków, niekoniecznie te, które ty mi przedstawiasz.

- Jakie inne? - napiętym głosem zapytała Andrea. Wy-rwała mu list z ręki i palcem pokazała na pierwszą linijkę.

- Pisz tu o „dobrach”, to jasne jak dzień. A pod koniec, sam zobacz - znowu wskazała palcem - pisze, że cena wzrosła. To powinno wystarczyć na potwierdzenie mojej wersji. Musiałam kraść, by wykupić Stevie'ego.

- „Dobra” mogą oznaczać wiele rzeczy, Andreo. Może chodzi o jakiś przedmiot, który chciał, żebyś dla niego kupiła na wystawie. Co do ceny, może mieć na myśli zapłatę za opiekę nad Stevie'm.

- Nie! Nie widzisz? Nazywa Stevie'ego bękartem i wyraźnie grozi, że robi mu coś złego.

Brent potrząsnął głową.

- Zgadza się, że wyraża się jak gbur. Wyraźnie ma już dosyć dziecka i chce się go pozbyć, ale...

- Pisz, że sprzeda go Cyganom! - przerwała Andrea z trwogą w głosie.

- Wielu rodziców mówi podobne rzeczy, kiedy są źli na dzieci, ale rzadko naprawdę tak myślą - upierał się Brent. - Mój brat często powtarza, że z chęcią powiesiłby swoje dzieciaki na ścianie w miejsce obrazów, gdzie nie miałyby możliwości psocić. To tylko słowa, pusta gadanina. Wszyscy wiedzą, że nigdy nic takiego by nie zrobił.

- Ale Ralph tak! - zawołała Andrea, łapiąc narzeczonego za rękaw. - Błagam cię, Brent! Wiem, że jesteś na mnie wściekły i masz ku temu powody, lecz nie pozwól, by emocje wpłynęły na obiektywną ocenę. Błagam cię, nie dopuść do tego, by Stevie zapłacił za moje grzechy. Grozi mu niebezpieczeństwo i tylko ja mogę go uratować! - łkała.

- Uczynię wszystko... wszystko, aby go odzyskać!

Cichym głosem odezwała się Maddy.

- Wierz jej, Brent. Znam Andreę od ponad dwóch lat i zawsze postępowwała jak osoba szczerą, oddaną i... uczciwą.

Choć brwi Brenta uniosły się w wyrazie niedowierzania, starszka nie przestawała mówić.

- Widziałam Andreę i Stevena razem, i wiem, że ona kocha go całym sercem. Nie wątpię, że poświęciłaby własne życie w jego obronie. Jakiś czas temu zaczęła zachowywać się dziwnie, stała się bardziej zamknięta i roztargniona, jakby straszliwie się czymś martwiła. Czekałam, że mi się zwierzy, ale nie zrobiła tego. Teraz rozumiem dlaczego i żałuję, że nie naciskałam na nią, by wyjaśniła mi swoje zachowanie. Gdybym się uparła, prawdopodobnie uniknęlibyśmy tej nie-miłej sceny. Nieważne... ufam jej i pomogę, jak tylko będę mogła... I mam nadzieję, że ty także - zakończyła, wpatrując się w Brenta błagalnym wzrokiem.

Odpowiedział jej spojrzeniem pełnym złości.

- Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie prosisz? Na Boga, Maddy, jestem prawnikiem! Pochodzę ze starej prawniczej rodziny!

- Nic mnie nie obchodzi, z jakiej rodziny pochodzisz - fuknęła starszka. - Andrea jest twoją narzeczoną i twoim obowiązkiem jest jej pomóc.

W tym momencie wtrąciła się Andrea.

- Myślę, że po wszystkim, co zaszło, powinniśmy odwołać zaręczyny - powiedziała cichym, płaczącym głosem. Zdjęła z palca diamentowy pierścionek i podała go Brentowi. - Mam nadzieję, że odzyskasz pieniądze. W końcu nie był długo używany. - Z gardła wydarło jej się łkanie. Ze zbolałym sercem czekała, aż narzeczony odbierze pierścionek i dane słowo.

Szybkim ruchem wsunął jej pierścionek z powrotem na palec.

- Noś go, dopóki nie powiem, że ma być inaczej - prawie warknął. - I nie waż się go zastawić!

- Nigdy bym tego nie zrobiła - zapewniła pokornie, a w jej przepełnionych smutkiem oczach zamigotała isierka nadziei.

Zaraz jednak się ulotniła, bo Brent rzucił się do nowego ataku.

- Czy wiesz, w jakiej sytuacji mnie postawiłaś? Współpracuję w tej sprawie z agencją Pinkertona! Wiedziałaś o tym? Moim obowiązkiem jest chronić prawo, a nie łamać je lub osłaniać kogoś, kto to czyni! - Zaczął nerwowo przechadzać się po pokoju. - Pomagając ci, ryzykuję własną karierą, nie wspominając już o fakcie, że postępuję wbrew zasadom, które sam wyznaję. I jakby tego było nie dość, dwie z twoich ofiar należą do klienteli firmy mojego ojca. Jeden to mężczyzna, którego okradłaś wczoraj wieczorem. Drugi jest kongresmenem z Nowego Jorku i przebywał w Waszyngtonie, kiedy zajęłaś się swoim złodziejskim fachim. Może mi łaskawie powiesz, co mam teraz zrobić?

- Zignorować - zasugerowała Maddy. - Przynajmniej do czasu, aż ułożymy jakiś plan, który pozwoli Andrei wydostać się z tej matni.

- I uratować Stevie'ego - z nadzieją w głosie wtrąciła Andrea.

- Gdybyśmy tylko mogli udowodnić, że to Ralph Mutton odpowiada za kradzież, bo w końcu cała sprawa jest jego pomysłem - dodała Maddy. - Może gdybyśmy pomyśleli nad tym wspólnie, znaleźlibyśmy jakieś rozwiązanie, które nie zmuszałoby cię, Brent, do zbytniego łamania przepisów prawa. Może wystarczyłoby nagiąć je lekko tu i ówdzie, co przecież prawnicy czynią od czasu do czasu. Je tern pewna, że dałbyś sobie z tym radę, gdybyś tylko spróbował.

- Jeśli to komplement, to raczej wątpliwej wartości - skrzywił się Brent. - Jednakże twoja propozycja posiada pewien sens. Ale Andrea musi opowiedzieć nam prawdę o Muttonie i jego groźbach.

- Przysięgam, że powiedziałam prawdę - zapewniła. - Dał mi nawet odpowiednie narzędzia i powiedział, jak się nimi posługiwać.

- Narzędzia? - powtórzył Brent. - Jakie narzędzia?

- Którymi posługują się złodzieje i kieszonkowcy. Dał mi wytrychy do otwierania różnych zamków i szczypce.

- Szczypce? - jak jeden mąż zapytali Maddy i Brent.

Andrea kiwnęła głową i współczującym tonem wyjaśniła:

- To te dziwnie wyglądające nożyce. Służą do odcinania biżuterii od ubrania.

- I są poręczne, kiedy chce się kogoś nimi ugodzić - przypomniał Brent, rzucając jej oskarżycielskie spojrzenie.

Widać było, że znowu wpadł w gniew. Zauważył, że Andrea nerwowo poprawia serwetę leżącą na poręczu kanapy, wygładzając najmniejszą zmarszczkę i prostując poskręcane frędzle.

- Mogłabyś przestać bawić się tym przeklętym kawałkiem materiału! - warknął zniecierpliwiona, aż podskoczyła.

- Przepraszam! - zawołała. - To bezwiedne. Lubię dokoła siebie porządek i ład.

- Wiem - potwierdził z sarkastycznym grymasem. - Gdybym nie bujał z głową w chmurach, jak jakiś zakochany idiota, od samego początku domyśliłbym się, że to ty jesteś złodziejem, którego szukamy. Kto inny trudziłby się układaniem przedmiotów w szkatułce czy sprząaniem na miejscu przestępstwa? - I to - dodał, podnosząc gliniane figurki spośród zwojów biżuterii rozłożonych u jej stóp - jest główny trop. Proszę, wyjaśnij nam tę zagadkę. Po co zabierałaś te całkowicie bezwartościowe przedmioty? Nie uwierzę, że Ralph kazał ci je kraść.

- Masz rację - przyznała, a na policzki wypłynął jej rumieniec. - Zbierałam je dla Stevie'ego. On lubi zwierzątka. Nie umiem tego wyjaśnić ani się wytłumaczyć, ale te figurki sprawiały, że w jakiś dziwny sposób czułam się bliższa Stevie'ego, dawały mi nadzieję, iż go odzyskam. Te małe przedmioty stały się czymś w rodzaju talizmanu. Podtrzymywały mnie na duchu, kiedy się bałam, dodawały mi odwagi i nadziei, kiedy myślałam, iż już je straciłam.

Brent wpatrywał się w nią, a kiedy skończyła, głęboko westchnął.

- Co ja mam z tobą zrobić, Andreo? Zawróciłaś mi w głowie tak, że nie umiem powiedzieć, gdzie ziemia, a gdzie niebo, co jest dobre, a co złe. - Ponownie machnął

ręką w stronę iskrzącej się kupki. - A co z tymi rzeczami? Nie mogę udawać, że nie istnieją, że ich nie ukradłaś.

- A gdyby tak je oddała? - zaproponowała Maddy.

- Ale, Maddy! Potrzebuję tych rzeczy, by uratować Stevie'ego!

- To znaczy, że zamierzasz dalej zajmować się tym procederem? - z niedowierzaniem zapytał Brent. - Czy naprawdę sądzisz, że przymknę na to oko, kiedy zgodnie z prawem powinienem natychmiast zawiadomić policję?

- Nie! Och, Brent, nie wydawaj mnie! Błagam! Skończyłam z kradzieżami i przysięgam, że nigdy w życiu nie zrobię nic nieuczciwego. Kiedy odzyskam dziecko, stanę się najporządniejszą obywatelką tego kraju. Przysięgam na życie Stevie'ego. Jestem pewna, że te rzeczy wystarczą na wykupienie go, ale muszę je dostarczyć Ralphowi.

- No, Andreo, nie wpadaj w panikę - odezwała się Maddy. - Znajdziemy jakieś wyjście z tego koszmaru, nawet jeśli musiałabym skontaktować się z Lyssem i prosić go, by posłał za panem Muttonem całą armię Stanów Zjednoczonych.

Zawahała się przez moment, po czym dodała.

- Patrząc z drugiej strony, takie działanie może narazić dziecko na większe niebezpieczeństwo, a tego musimy się wystrzegać. Ale gdybym przedstawiła sytuację moim znajomym, jestem całkowicie pewna, że z chęcią zebraliby odpowiednią sumę na zapłacenie okupu. Wtedy mogłabyś dać temu straszemu człowiekowi pieniądze, nie martwiąc się, że oszukuje cię co do prawdziwej wartości przekazywanej mu biżuterii. A tę, którą ukradłaś, mogłabyś zwrócić prawowitym właścicielom.

- Ciekawe, jak miałyby to zrobić? - zainteresował się Brent, choć w jego oczach widać było zwątpienie. - Tu jest tego tysiące, wszystko przemieszane! Jak ona ustali, co komu ukradła?

- Spisałam listę - przepełnionym winą głosem przyznała się Andrea.

- Co zrobiłaś? - zawołał Brent, nie wierząc własnym uszom.

- Spisałam listę, żebym w razie, gdybym miała taką możliwość, mogła zwrócić te przedmioty, a przynajmniej ich równowartość w pieniądzech.

- Czy przyszło ci do tej głupiutkiej głowy, że gdyby ktoś dostał w ręce tę listę, wyładowałabyś w więzieniu na przynajmniej pół wieku? Wielkie nieba, kobieto! Co ty myślałaś?

Popatrzyła na niego, wyraźnie rozżłoszczona.

- Cokolwiek o mnie sądzisz, to wiedz, że nie jestem ekspertem w tego typu działalności. Może i jestem złodziejką, ale nie bez cienia skrupułu. Co więcej, uważam, że uderzasz w złą strunę, panie prawniku. Najpierw krzyczysz na mnie, że kradnę, potem wyśmiewasz się z moich błędów! Chciałabym, byś się zdecydował, po czyjej jesteś stronie, zanim całkowicie stracę rozeznanie!

- Prawda! - z zapamiętem potwierdziła Maddy. - Pomożesz jej, czy nie? I bardzo proszę, byś skończył z tym chodzeniem! Kręci mi się od tego w głowie!

- Oczywiście, że jej pomogę - mruknął Brent. - Myślisz, że będę stał i klaskał w dłonie, jak ją będą wieszali?

Na te słowa Andrea odetchnęła z ulgą i zaczęła się przysłuchiwać szczegółom planu, który Brent naprędce wymyślił.

- Andreo, przynieś tę obciążającą cię listę i zajmij się sortowaniem i pakowaniem kosztowności. Wyślemy je do odpowiednich osób. Tylko, na miłość boską, nie umieść na kopercie swojego adresu - przestrzegł ją kpiąco. - I zmień ten ponury wyraz twarzy. Natychmiast zatelegrafuję do swojego banku po pieniądze. Ten chciwiec, ojciec Stevie'ego, dostanie swoją działkę, a potem i zasłużoną karę.

- Chcę uczestniczyć w kosztach - stanowczo oświadczyła Maddy.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewnił ją Brent. - Poradzę sobie.

Andrea także odrzuciła ofertę przyjaciółki.

- Maddy, to ogromnie miłe, ale nie mogę się na to

zgodzić. To są pieniądze całego twojego życia i mają ci zapewnić spokój na kilka następnych lat.

- Och, bzdura! - fuknęła starszka. - Nie zamierzam żyć wiecznie, a poza tym i tak chcę wszystko przepisać na ciebie, więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś otrzymała te pieniądze już teraz. Ale możemy dobić targu, jeśli ma ci to poprawić samopoczucie. Jeśli skończą mi się pieniądze przed śmiercią, będziesz musiała przyjąć mnie do siebie i zaopiekować się mną. Co ty na to?

- Wspaniale - padła podwójna odpowiedź.

Maddy pokiwała głową.

- Dobrze. A więc ustalone. A teraz, czy mam dalej zakładać, że chcecie się pobrać? - zapytała, nie owijając w bawełnę.

- Nie przypuszczam... - zaczęła Andrea.

- Tak - w tej samej chwili rzucił Brent.

Andrea popatrzyła na niego, a w jej oczach szklily się nadzieja i zdziwienie. Czowała, że jej serce za chwilę pęknie.

- Czy mówisz prawdę? - wyjąkała niepewnie. - Nadal mnie pragniesz?

- Choć to zaskakujące, ale tak. Nie ulega wątpliwości, że wplątałaś mnie w niezłe tarapaty i że do końca życia będę musiał spać z jednym okiem otwartym, obawiając się, iż przetrzebisz moje bielizniane szuflady, ale jednak chcę, byś została moją żoną.

Przyciągnął narzeczoną do siebie. Objął ją i pocałował. Ten pocałunek był jak ślubowanie i Andrea z ochotą mu się poddała.

- Kocham cię, Brent, całym moim sercem - oświadczyła z powagą.

Na co on, odsuwając się, odrzekł:

- A ja szaleję za tobą, Andreo, i nie widzę sposobu, by się z tego wyleczyć. A to dla ciebie prawdziwy łut szczęścia, moja słodka złodziejko, ponieważ mąż, chyba że tego chce, nie może zostać zmuszony do świadczenia przed sądem przeciwko własnej żonie. Mając to w pamięci, powinniśmy

postarać się o specjalne pozwolenie i natychmiast się pobrać, zanim ktoś inny wykryje twoje przestępstwo.

- Och, nie! To by było tragiczne! - zgodziła się Maddy.  
- Ale co ze mną, Brent? Jeśliby do tego doszło, to czy ja także nie muszę zeznawać pod przysięgą?

Po raz pierwszy tego dnia Brent uśmiechnął się wesoło.

- Na szczęście, Maddy, zyskałaś sobie opinię zwariowanej staruszki, która nie bardzo wie, co mówi. Bez obrazy, kochana, ale przypuszczam, że twoje zeznania wprowadziłyby tylko zamieszanie i potwierdziły twoją niewiarygodność, przynajmniej jako świadka, co wysłoby nam tylko na dobre.

Maddy przeszła mówiącego wściekłym spojrzeniem.

- Może i niektórzy myślą, że jestem starą sklerotyczką, ale wielce się mylą. Poza tym nie życzę sobie, byś ty czy jakiś tam sąd orzekał, że jestem osobą niewiarygodną.

Z podniesionymi ramionami, przypominając napuszczoną kure, kontynuowała upominanie Brenta.

- Tym razem przesadziłeś, młody człowieku, i możesz być pewny, że zapamiętam sobie na przyszłość tę obrazę. Pamięć działa mi jeszcze zupełnie dobrze, choć wcale byś sobie tego nie życzył. Co do twojej niedawnej uwagi, że będziesz musiał spać z jednym okiem otwartym, sugeruję, byś nie zamykał też drugiego - zagroziła. - I to nie Andrei powinieneś się wystrzegać, ty kurzy mózdzku. Jestem stara, zgoda, ale naprawdę potrafię się mścić.

Zamilkła, by po sekundzie dodać ze złośliwym uśmiechem:

- Nie chcę się przechwalać, ale naprawdę jestem w tym dobra i z utęsknieniem będę czekać, żeby móc cię zaskoczyć w najbardziej niespodziewanym momencie.

## 18

Następnego dnia Andrea posortowała skradzione przedmioty i porobiła z nich paczki, które miała odesłać właścicielom. Nawet te skradzione na wystawie - wszystko oprócz miniaterek przeznaczonych dla siostrzeńca. Te musiała zwrócić osobiście, ukradkiem, uważając, by nie dać się złapać. Brent zgodził się podążać za nią i natychmiast je wykupić.

Po raz pierwszy mógł zobaczyć Andreę w akcji i był pod wrażeniem. Zadziwiła go zręcznością, zwinnością ruchów, polotem, z jakim odwracała uwagę sprzedawcy, uśmiechając się słodko, zadając pytania o różne przedmioty z lady. Kiedy zagadnięty odwracał głowę, zajmował uwagę czymś innym, Andrea szybko wyciągała miniatutki z torby i stawiała na kontuarze. Oczywiście, kiedy po kilku sekundach Brent podchodził i prosił o nie, biedny sprzedawca wpadał w osłupienie, stwierdzając, że jakimś cudem skradzione przedmioty się odnalazły.

- Zaskoczyłaś mnie - oświadczył Brent, kiedy dotarli do hotelowego pokoju w niedługi czas później. - I nie mogę powiedzieć, że jestem z tego powodu bardzo szczęśliwy. W ciągu godziny oczarowałaś trzech niczego nie podejrzewających mężczyzn i zastanawiam się, czy ja także byłem tak uległy i dałem się tak łatwo zwieść.

Andrea popatrzyła na jego ponurą twarz i powiedziała:

- Przepraszałam cię już za to, że zmuszona byłam cię oszukiwać. Nie sprawiało mi to radości i nie miało to nic wspólnego z uczuciami, jakie do ciebie żywię. Nie kłamię, kiedy mówię, że cię kocham. Niemal pękło mi serce, gdy dowiedziałeś się, że to ja jestem złodziejem. Byłam pewna, że zniszczy to twoją miłość do mnie.

- Chyba żałowałam, że tak się nie stało - gorzko przyznał Brent. - Był to dla mnie ogromny szok.

- W jakiś sposób starałam się cię ostrzec - przypomniała mu. - Odtrącałam twoje wielokrotne oświadczenia, mówiąc, że są rzeczy, których o mnie nie wiesz, sprawy, które muszę jeszcze rozwiązać.

Popatrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

- Mogłaś wyraźniej dać mi do zrozumienia, o jakie sprawy chodzi - zganił ją.

Andrea machnęła ręką w powietrzu i rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- O tak, rzeczywiście! Powinnaś być przy jakiejś okazji, na przykład przy kolacji, wypaplać ci całą prawdę. Nie potrafię sobie wyobrazić twojej reakcji, gdybym oświadczyła: A tak przy okazji, to ja jestem tym złodziejem biżuterii, którego poszukujesz, kochanie. Uwierzyłybyś mi? Zakułybyś mnie w kajdanki i zamknął w więzieniu? Czy tylko roześmiałaś się, sądząc, że żartuję?

- Pozostaje niezaprzeczalny fakt, że kilka razy mnie oszukałaś - poczynając od udawania zmęczenia i choroby, byś mogła spokojnie wymknąć się na nocne łowy, kończąc na powtarzających się kłamstwach dotyczących zawartości twojej torby, a zwłaszcza tych śmiertelnych szczypiec. Nie mówiąc już o historyjce z proszkiem od bólu głowy, którym zabrudziłaś rękawiczki.

Widząc jej zaskoczone spojrzenie, pokiwał głową.

- Tak, w końcu poskładałam części układanki i kilka innych faktów, które same pchały mi się w oczy. Twoja ogromna dbałość o porządek. Mokre ślady, które za sobą zostawiłaś tej deszczowej nocy, kiedy to ledwo co uciekłaś

przed kłami rozwścieczonego pudła. Wstyd mi, że byłem tak ślepy i wcześniej nie zacząłem czegoś podejrzewać.

—' Ty także mnie oszukiwałaś - wytknęła mu pospiesznie. - Uwodziłeś mnie, przysięgając miłość i opowiadając o swoim życiu w Nowym Jorku i pracy prawnika, a przecież potajemnie pracowałeś dla agencji Pinkertona. Jesteśmy kwita.

- Nie do końca - sprzeciwił się Brent. - Nie oszukiwałem cię otwarcie, tak jak ty to robiłaś.

- Brent, nie dziel włosa na czworo. Kłamstwo jest kłamstwem, nieważne, jaką dasz mu nalepkę. Liczy się fakt, że w ostatecznym rozrachunku nie byłeś ze mną całkowicie szczery.

- Przynajmniej przy okazji nie zrobiłem z siebie kompletnego głupca - oświadczył z sarkazmem. - Czego nie można powiedzieć o tobie.

- Cóż, w końcowym efekcie to ty jesteś osobą, która mnie przyłapała. Nikt inny nie był na tyle sprytny, by tego dokonać, więc powinienes pałać dumą - zauważyła w przypływie autoironii.

- A czy ty byłaś dumna, kiedy uznałaś, że należy okraść Shirley Cunningham? - zaatakował ją w odwecie, Andrea ograniczyła się tylko do zjadliwego uśmiechu.

- Postąpiłam złośliwie, nieprawdaż? Zazwyczaj wybierałam najcenniejsze przedmioty, rezygnując z tych, które mogły stanowić dla kogoś jakąś osobistą wartość. Ale wdowa tak mnie rozwścieczyła, że zabrałam wszystko. Muszę przyznać, że tym razem cieszyłam się z tego, że jestem złodziejką.

- A dlaczego ukradłaś mi zegarek, a potem mi go zwróciłaś? - zapytał nadal zagniewanym głosem Brent. - Albo wtedy, gdy pozostawiłaś mnie wiszącego głową w dół. Musiałaś się niezłe uśmieć.

- Tak naprawdę to czułam się wtedy bardzo podłe. Bardziej winna niż kiedykolwiek - wyznała.

Wzruszył ramionami, nic a nic nie ułagodzony.

- To, co mnie najbardziej denerwuje, to fakt, że działałaś tuż pod moim nosem, a ja byłem tak straszliwie ślepy. Przeszukałaś nawet własną sypialnię, sprawdzając, czy złodziej cię nie okradł. Albo ta noc, kiedy widziałem cię na ulicy, a ty za kilka minut otworzyłaś mi drzwi i przysięgałaś, że od dawna już śpisz.

- Jeśli ma ci to poprawić humor, powiem ci, że omal nie złamałam karku, pędząc do pokoju, by się przebrać. W pośpiechu założyłam koszulę na lewą stronę.

- To tylko potwierdza, jak daleko mogłaś się posunąć i że wielu rzeczy jeszcze nie wiem.

- Na przykład?

- Tej nocy, kiedy powiedziałaś, że wymknęłaś się na papierosa. Czy mam sądzić, że był to wybieg i naprawdę wracałaś właśnie ze złodziejskiej eskapady?

- Nie mogłam ci *się* wtedy do tego przyznać, prawda? - zapytała. - Jak sobie przypominam, podejrzewałaś, że spotkałam się z innym mężczyzną. Patrząc obiektywnie, powinieneś być zadowolony, że okazałam się złodziejką, a nie zdrajczynią.

- Ach, w tym właśnie tkwi kłopot, moja droga - odparł zgryźliwie Brent. - Nadal nie jestem przekonany, czy tamtej nocy nie spotkałaś się z Hendersonem i czy rzeczywiście jesteś taka cnotliwa, jak twierdzisz. Potrafisz kłamać jak z nut i przez to rzadko kiedy wiem, czy mówisz prawdę.

Andrea zerwała się z sofy i obrzuciła towarzysza piorunującym spojrzeniem.

- Co ty powiesz? W takim razie może lepiej się stanie, jeśli cofniesz swoją ofertę małżeństwa.

- Może raczej ty postarasz się rozwiąć przed ślubem moje wątpliwości - zaproponował.

- Ha! - sarknęła. - Masz mnie za idiotkę, Brent? Jeśli chcesz posmakować śmietanki, musisz najpierw kupić krowę. Ja poświęcę dziewictwo, a ty porzucisz mnie przed ołtarzem, w ramach zemsty.

- Nie, moja słodka kłamczyni. Takie postępowanie bar-

dziej pasuje do ciebie. Jednakże lepiej dzisiejszej nocy prześpię się na tej kanapie i przypilnuję, byś nie uciekła, zanim się nie pobierzemy. - Popatrzył na narzeczoną ze zmarszczonymi brwiami i dodał arogancko:

- Chyba że zechcesz zaprosić mnie do swojego łóżka i raz na zawsze rozwiążemy nasz dylemat.

Andrea położyła ręce na biodrach i hardo rzuciła:

- Wolałabym już, żebyś spał w końskim łąjnie albo w rynsztoku. Sam lub z jakąś pozbawioną rozumu kobietą, ale nie ze mną. Wybij sobie z głowy ślub. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest mąż, który na każdym kroku mnie o coś podejrzewa i nieustannie wypomina mi grzechy z przeszłości, choć zapewniam cię, że moja czystość lub jej brak, jak twierdzisz, nie jest jednym z nich. Wolę umrzeć jako stara, zidiociała panna, niż pozwolić ci się dotknąć.

- Ale najpierw pójdziesz do więzienia - przypomniał jej oschle. W jego oczach pojawił się upór. - Albo wyjdiesz za mnie jutro, albo spędzisz resztę swoich dni za kratkami. Wybór należy do ciebie, moja ukochana. Radzę jednak, zastanów się porządnie, zanim powiesz coś, czego z pewnością będziesz żałować. Jeśli zostaniesz skazana, a jestem o tym przekonany, nigdy nie zobaczysz swojego ukochanego siostrzeńca. Wszystkie twoje wysiłki i poświęcenia pójdą na marne.

- Nie wierzę, że mówisz prawdę! - zawołała Andrea, osłupiała i zniechęcona. Brent, przyrzeknij mi, że nie narazisz Stevie'ego na niebezpieczeństwo z czystej żądzy zemsty!

- Umyślnie nie, jednak gdybym musiał zeznawać przeciwko tobie, konsekwencje okazałyby się katastrofalne zarówno dla ciebie, jak i dla dziecka. Czy ci się to podoba, czy też nie, twoim jedynym ratunkiem jest poślubienie mnie.

Złotymi oczami spojrzął na twarz narzeczonej. Prawda jego słów była niezaprzeczalna i rozsądek powinien nakazać jej nie sprzeciwiać mu się więcej. Dziewica czy nie, złodziejka czy święta, Andrea musiała zostać jego żoną, nawet jeśli

miał się posunąć do szantażu lub zaciągnąć ją przed ołtarz siłą. Czekał na nią całe życie i nie zamierzał tak łatwo się poddać.

Popatrzyła na niego pochmurnym wzrokiem.

- Mogłabym cię za to znienawidzić! - syknęła.

- Przecież trzy minuty temu przysięgałaś, że mnie kochasz - przypomniał jej twardo.

- Bo tak jest! Było! Och, do diabła! Jestem tak wściekła, że sama nie wiem, co czuję! Jestem zagubiona!

Wybuchnęła płaczem. Brent wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie.

- Ja także - przyznał, głaszcząc ją po włosach. - Jedno tylko jest pewne. Jutro w południe ty i ja pobierzemy się - na dobre i na złe.

Z powodu ślubu, który ustalono na niedzielę, plany wyjazdowe Andrei, Brenta i Maddy musiały ulec zmianie. Postanowili wyjechać z Filadelfii dzień później i wyruszyć do Waszyngtonu porannym poniedziałkowym pociągiem.

W tym czasie Brent postarał się o specjalne pozwolenie na ślub oraz zamówił kaznodzieję, który miał poprowadzić ceremonię. Co do Maddy, starszka wyczyniała prawdziwe cuda, wychodząc ze skóry, by w krótkim czasie, jaki miała do dyspozycji, zorganizować wszystko tak, by uroczystość udała się i zapadła wszystkim w pamięć jako prawdziwie wspaniałe wydarzenie. Cała załoga hotelu, a zwłaszcza szef kuchni i jego pomocnicy, wpadli w panikę słysząc jej żądania dotyczące urządzenia wykwintnego bankietu z ogromnym tortem i fontanną szampana.

Okazało się, że Maddy posiada niebywale wielką siłę perswazji. Kupiła Andrei przepiękną perłową suknię ślubną z satyny, którą wynalazła na stoisku Singer Sewing Machine Company. Udało jej się wynająć Horticultural Hall na terenie wystawy, gdzie miał się odbyć sam ślub i przyjęcie. Na szczęście w niedzielę wystawa była zamknięta, ale i tak na uroczystości miało się stawić więcej niż stu gości - dygni-

tarzy, senatorów, przyjaciół i znajomych poznanych przez Maddy, Andreę i Brenta w czasie pobytu w Filadelfii. Maddy zaprosiła także kilka bliskich jej osób z Waszyngtonu, podobnie Brent posłał po członków swojej rodziny i najbliższych przyjaciół. I oczywiście nieodzownie miał pojawić się oficjalny fotograf wystawy, by uwiecznić na zdjęciach niecodzienną uroczystość.

Maddy nie tylko postanowiła odegrać rolę dobrej wróżki, ale zgodziła się prowadzić Andreę do ołtarza, a towarzyszyć jej miał sam burmistrz Filadelfii. Družbą Brenta miał zostać jego brat, Dan. Młody prawnik okazał wiele dobrego humoru i na mistrza ceremonii wybrał Jenkinsa i jego kolegów, detektywów z agencji Pinkertona!

- A to świnia! - mruzczała pod nosem Andrea, szamocząc się z welonem. - Pewnie wydaje mu się to bardzo zabawne. Ci od Pinkertona będą mnie pilnowali do samego końca, żebym przypadkiem w ostatnim momencie się nie wycofała.

- Ojej, kochana moja, przecież wiesz, że ten chłopak jest w tobie zakochany po uszy. Z jakiego innego powodu chciałby się z tobą żenić po tym wszystkim? - broniła Brenta staruszka. - On tylko stara się chronić kobietę, którą uwielbia.

- Ha! Nie powiem, żeby straszenie żony było dobrym początkiem małżeństwa. Mnie to z pewnością nie poprawia humoru.

- Przysłał ci przepiękny bukiet z przeprosinami - przypomniała Maddy.

Andrea odwróciła się i popatrzyła na przyjaciółkę podejrzliwie.

- Dlaczego nagle tak go bronisz? - zapytała. - Przecież jeszcze niedawno denerwował cię tak samo jak mnie. Mówiłaś coś o zemście, jeśli się nie mylę.

Maddy uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że o tym wspomniłaś, moja droga, bo wpadłam na pomysł doskonałego rewanżu, ale będzie mi

potrzebna twoja współpraca. Skoro jesteś na niego taka cięta, mamy wspaniałą okazję przytrzcęć nieco nosa temu arogantowi. Oczywiście, symbolicznie.

Maddy zabrała się do wyjawiania swojego planu, a kiedy zbliżała się do końca, Andrea tryskała humorem.

.- Och, jakie to przebiegłe! Wprost idealne na tę okazję!

- No myślę - dumnie rzuciła Maddy. - Ale zanim wprowadzimy w życie nasz plan, proszę, byś wybaczyła Brentowi, przywołała uśmiech na twarz i cieszyła się ślubem. W końcu za mąż wychodzi się tylko raz i szkoda robić to z żalem w sercu. Chciałabym, dziecko, byś te dni wspominała z przyjemnością. Pamiętaj, że poślubiasz mężczyznę, którego kochasz, a on kocha ciebie. To jest w tym najistotniejsze. Jeśli żywicie do siebie takie uczucia, reszta sama się ułoży.

Maddy nie mogłaby wybrać bardziej spektakularnego miejsca na uroczystość ślubną. Horticultural Hall był budowlą niezwykle malowniczą, bogato dekorowaną wewnątrz i na zewnątrz. Kwiaty, paprocie, krzewy i drzewa różnych gatunków i kolorów zmieniły marmurowo-szklaną konstrukcję w żywy, pachnący ogród, który pobudzał zmysły. Fontanny wesoło strzelały w górę, otoczone okwieconymi altanami i malowniczymi grotami, porośnięte pnączami łuki rozpościerały się nad przejściami prowadzącymi do wystawnie udekorowanych westybulów i sal przyjęć. Całość przypominała zaczarowaną polanę, zwłaszcza gdy patrzyło się z galerii, ciągnącej się dokoła holu. Dochodziły stamtąd miękkie tony kwartetu smyczkowego.

Brent był mile zaskoczony, kiedy jego piękna narzeczona powitała go promiennym uśmiechem, a nie pochmurną miną, której się spodziewał. Na widok Andrei z wdziękiem zbliżającej się ścieżką posypaną płatkami kwiatów zabrakło mu tchu w piersiach. Wyglądała oszałamiająco, z jasnymi włosami przewiazanymi koronką i oczami jaśniejącymi większym blaskiem niż biżuteria, którą założyła. W mieniącej się

sukni, uszytej jakby specjalnie dla niej, z kamieniami księżycowymi na szyi i bukietem lilii, wydawała się nieskazitelna. Jakby sama bogini zesza między śmiertelników. Brent nigdy nie kochał jej bardziej niż w tej chwili.

Wyraz miłości w jego oczach usunął z umysłu Andrei wszelkie wątpliwości. Z całego serca pragnęła należeć do tego mężczyzny. Stał tam pod drzewkiem tonącym w kwiatkach, czekając na nią; jego złote przepełnione podziwem oczy wołały ją do siebie. Wysoki, ciemny, bardzo przystojny w eleganckim garniturze. Przestała się denerwować, usta rozchyliła w uśmiechu prawdziwego szczęścia. Brent odpowiedział jej podobnie radosnym uśmiechem. Prowadzona bajkowymi, słodkimi dźwiękami harfy, zdawała się płynąć do niego.

Do miłości, do honoru, do radości. Nigdy jeszcze ślubnym przyrzeczeniom nie towarzyszyły tak szczere i mocne emocje. Kiedy Brent wsuwał obrączkę na palec Andrei, na sali nie było ani jednej osoby, której oczy nie byłyby wilgotne. A kiedy pochylił się, by ją pocałować, goście zaczęli wiwatować. Dumni i przepełnieni szczęściem nowożeńcy dołączyli do radosnych okrzyków.

Choć z natury wcale nie płoża, Andrea ze zrozumiałym zmieszaniem przywitała się z rodziną Brenta. Zjawili się całą grupą - wydawało jej się, że jest ich prawdziwy legion. Rodzice, siostrą i trzech bracia oraz dwie bratowe. Tylko dzieci nie przyjechały, zostały w Nowym Jorku.

Na pierwszy rzut oka Grace Sinclair wydawała się atrakcyjną i przyjemną kobietą dobiegającą sześćdziesiątki. Cała w krezach i falbankach, wyglądała na osobę delikatną i słodką, jednak ci, którzy ją znali, mogliby co nieco powiedzieć o jej skłonnościach do dominacji. Jeśli nawet czasami z czymś nie dawała sobie rady, pokrywała ten brak inteligentną złośliwością, która od dawna trzymała całą rodzinę w strachu i zmuszała wszystkich do całkowitego poddania się jej.

Na widok Andrei starsza pani uroniła łezkę, rzuciła kilka

słów pochwały na temat urody synowej, po czym, niemal na jednym oddechu, zapytała:

- Wielki Boże, dlaczego musieliście pobrać się w takim pośpiechu? Jeśli tak bardzo się kochacie, kilka tygodni czy miesięcy zwłoki z pewnością nie zrobiłoby wam różnicy, a nam zaoszczędziłoby chaotycznego pakowania i gnania na złamanie karku. Nie miałam nawet czasu na kupienie nowej sukni i jestem przekonana, że wszyscy to zauważyli. Poza tym, gdybyście przeznaczyci więcej czasu na przygotowania, moglibyście pobrać się w normalnym kościele, a nie w tym... tym lesie!

Robert Sinclair, senior, ujmujący dżentelmen, jakim zresztą był, roześmiał się i jak zwykle wziął na siebie rolę rozjemcy.

- Och, Grace, nie przesadzaj. Przecież uroczystość była w porządku. Ślubu udzielił im ksiądz. Nie sądzę też, żeby ktokolwiek zauważył, w co jesteś ubrana. Goście przyszli uczcić nowożeńców, a nie na pokaz mody.

- Co ty tam wiesz - zrzędliwie ciągnęła Grace, wcale nie ułagodzona.

Robert westchnął i potrząsnął siwą głową. Rzucając w stronę Brenta długie, smutne spojrzenie, powiedział:

- Jednak szkoda, synu, że nie daliście nam znać wcześniej.

Brent uśmiechnął się, zupełnie nie przejęty.

- To tak, jak mi mówiłeś, tato. Miłość uderza nagle i z całej siły, bez ostrzeżenia. Zanim się zorientowałem, co mnie trafiło, Andrea już mnie miała w sidłach.

- Niezupełnie - sprzeciwiła się Andrea. - W rzeczywistości to państwa syn tak się naprzykrzał, że ustąpiłam.

Brent mrugnął do niej.

- Upór mam po ojcu, a wdzięk po mamie.

Andrea uważała, że jest akurat odwrotnie.

Bob, najstarszy brat Brenta, był jak młodsza wersja ojca - zgodny i poważnie myślący, kiedy w grę wchodziły interesy rodziny. Jego żona, Caro, wysoka i piękna brunetka,

miała uśmiech, który podbijał serca wszystkich. Promienio-  
wało z niej zrównoważenie i elegancja, i Andrea pomyślała,  
że gdyby Bob kiedykolwiek wybrał karierę w dyplomacji,  
Caro doskonale nadawałaby się do pełnienia roli żony poli-  
tyka.

Sheila natomiast uzupełniała osobowość Arnie'ego w zu-  
pełnie odmienny sposób. Była pełną temperamentu rudowło-  
są trzpiotką, podczas gdy Arnie dziedziczył po matce zarów-  
no urodę, jak i ciętość, choć okraszona poczuciem humoru.  
W przypadku tej pary stare powiedzenie, że przeciwieństwa  
się przyciągają, w całości się potwierdzało.

Jednakże najbardziej sympatyczni wydali się Andrei Dan  
i Hope. Prawdopodobnie dlatego, że była to najmłodsza para  
Sinclairów. Siedemnastoletnia Hope, złotowłosa, z promien-  
nymi brązowymi oczami, miała w sobie wiele radości życia.  
Dan, tak samo jak Brent, wziął po ojcu spokojny charakter,  
uderzająco piękne oczy, ale mniejszą dawkę jego powagi.  
Niezwykle inteligentny, pełnił w rodzinie rolę wesołka.

To właśnie on pocałował Andreę w policzek i powiedział:

- Witamy w naszej rodzinie, piękna pani. I dziękuję, że  
ulitowałaś się nad moim biednym, bezradnym bratem.

- Tak, może teraz skoncentruje się na tobie, zamiast psuć  
nasze dzieci - wtrąciła Sheila.

- I podaruję mamie więcej wnuków - dodała Hope  
z impertynenckim uśmiechem. Odwróciła się do matki. - Po  
tylu latach naciskania na Brenta, żeby się ożenił, powinnaś  
być szczególnie wdzięczna losowi. W końcu zrobił to,  
o czym marzyłaś.

- I wybrał taką piękną narzeczoną - oświadczyła Caro,  
posyłając nowej bratowej uprzejmy uśmiech. - Musisz wie-  
dzieć, Andreo, że zielenieję z zazdrości. Z chęcią udusiła-  
bym cię za kolor twoich włosów! I ta wspaniała suknia!  
Musisz mi koniecznie powiedzieć, jak ci się udało kupić ją  
w tak krótkim czasie!

- Nie mówmy o sukni - rzucił Dan, w którego oczach  
widniał prawdziwy podziw. - Ja chciałbym wiedzieć, gdzie

Brent znalazł Andreę i czy nie kryje ona gdzieś swojej niezamężnej siostry.

- Przykro mi, bracie - odparł Brent, poklepując drużbę po ramieniu. - Andrea jest jedyna w swoim rodzaju i należy do mnie. Nie pozostaje ci nic innego jak znaleźć sobie własną damę serca, jeśli tylko jesteś zdolny na dostatecznie długo oderwać myśli od tych swoich medycznych ksiąg. Radzę ci pospieszyć się, bo matka zagada cię na śmierć.

- To mi coś przypomniało, Dan - odezwała się Andrea. - Zaprośiliśmy na ślub twojego szkolnego kolegę, który przyjechał tu na wystawę. To właśnie Harry Andrews poznał mnie z Brentem.

Dan wysoko uniósł brwi.

- Patrzcie, temu facetowi poprawił się smak. Zawsze unikałem tego pompatycznego pajaca, ale teraz może z nim pogadam, a nóż mnie także pozna z kimś przynajmniej w połowie tak pięknym jak ty.

Po tych pierwszych kontaktach nerwy Andrei nieco odtajały. Niezbyt przekonana do matki Brenta, doszła do wniosku, że reszta jego rodziny to zupełnie miła gromadka, gotowa z ochotą przyjąć ją w swoje szeregi. Na szczęście nie będzie musiała mieszkać pod jednym dachem z teściową, ponieważ Brent miał w Nowym Jorku własny apartament, gdzie postanowili się przeprowadzić, gdy tylko wydobędą Stevie'ego ze szponów Ralpha. Niedzielne i świąteczne obiady powinny wystarczyć, by stosunki teściowej z synową ułożyły się znośnie.

Reszta dnia minęła jak z bicza strzelił, przynajmniej zdaniem Andrei, choć Brent wydawał się być odmiennego zdania. Wykwintny obiad składał się z ośmiu dań, przerywany zwyczajowymi przy takich okazjach toastami oraz dzieleniem tortu przez pannę i pana młodego. Przy dziesiątym z kolei toaście Brent zaczął błagać przyjaciół i krewnych o umiar, bo wkrótce on i jego ukochana nie będą w stanie skosztować należycie czekającej ich nocy poślubnej.

Odsuwając od Andrei kieliszek do szampana, szepnął jej do ucha:

- Zrelaksowana to jedno, a otumaniona to coś zupełnie innego, moja najdroższa. Pragnę, byś była całkowicie świadoma tego, co się będzie działo w naszym małżeńskim łóżu dziś wieczorem.

- Ja również - zapewniła przekornie, odstawiając na bok i jego kieliszek. Złośliwa iskierka zaiskrzyła się w jej fiołkowych oczach. - A teraz zatańcz ze mną, kochany. Im szybciej nasi goście zajmą się sobą, tym szybciej my będziemy mogli wymknąć się stąd niepostrzeżenie.

## 19

Jakiś czas później koła karocy ślubnej ze sznurem starych butów przywiązanych z tyłu pojazdu zaturkotały na kocich łbach. Nowożeńcy spieszyli się do hotelu. I tak przetrzymano ich dłużej, niż tego pragnęli. Nie udało im się też wyjść po cichu, ponieważ Andrea musiała rzucić swój ślubny bukiet w grupkę panien chętnych do zamążpójścia, a Brent musiał to samo zrobić z podwiązką żony, czego oczekiwali od niego obecni na uroczystości kawalerowie. W końcu wyszli w deszczu rzucanego w nich ryżu, którego ziarenka niemile kłuły Andreeę pod stanikiem sukni.

- Twoi rodzice powinni się cieszyć - stwierdziła z nadzieją. - Bukiet pochwyliła twoja siostra, a Dan złapał podwiązkę. To powinno złagodzić ich rozdrażnienie, nie sądzisz?

- Nie martw się o nich, Andreo - poprosił Brent. - To prawda, że zdenerwowali się nieco pośpiechem, w jakim urządziliśmy ten ślub oraz związanymi z tym niedogodnościami, ale szybko im przejdzie. Zwłaszcza kiedy za rok zaskoczymy ich następnym wnukiem.

- Damy im Stevie'ego - przypomniała. - Przynajmniej mam taką nadzieję.

- Ja także. - Brent pozwolił Andrei wygodnie ułożyć głowę na swoim ramieniu, po czym zmienił temat rozmowy, obawiając się, że żona wpadnie w smutny nastrój. -

O czym to tak dywagowałyście z Maddy w przebieralni dla pań?

- Och... takie tam kobiece sprawy - zająknęła się Andrea, a na jej twarzy pojawił się rumieniec.

Brent wybuchnął śmiechem.

- Ach, rozumiem. Domyślałam się, że chodziło o instrukcje co do nocy poślubnej?

- Coś w tym rodzaju - mruknęła. Lekko się wzdrygnęła, próbując pozbyć się kłujących ziarenek ryżu.

-. Dlaczego tak się wierzisz?

- Pod stanikiem sukni mam tyle ryżu, że wystarczyłoby go na nakarmienie całej armii -jęknęła. - I kłuje mnie!

Brent znowu się roześmiał.

- Gdybyś go ugotowała, zjadłbym cały i najprawdopodobniej uznał za najsmakowitszą potrawę, z jaką się w życiu zetknąłem. Może spróbuję. Gorąco bijące od twojego ciała mogło doskonale go ugotować - zaproponował ze zmysłowym śmiechem.

- Trzymaj język i zęby przy sobie, ty lubieżny wilku - ostrzegła wesoło. - Przynajmniej dopóki nie znajdziemy się w naszym pokoju.

Maddy jeszcze raz przeszła samą siebie. Kiedy otworzyli drzwi do pokoju Brenta, zaskoczył ich widok mnóstwa kwiatów w wazonach, butelek z szampanem i salaterek z przekąskami. Na łóżku rozpościerała się świeżutka pościel, delikatnie skropiona ulubionymi perfumami Andrei. Gazowe lampy zostały zgaszone i zastąpione ciepłym blaskiem świec. Pokój wyglądał niezwykle romantycznie i uwodzicielsko.

Brent podszedł do łóżka, gdzie na brzegu leżał czarny satynowy szlafrok męski, a obok zwiewna i lekka, wielce ponętna koszula damska w kolorze bzu.

- Przypomnij mi, żebym z rana podziękował Maddy - głosem przepełnionym ciepłem powiedział Brent, dotykając aksamitnego materiału koszuli, już teraz wyobrażając sobie w nim swoją zawstydzoną żonę.

- Ja... uff... dobrze - wyjąkała Andrea. - Zrobię to.

- Nie ma potrzeby się denerwować, kochanie - zapewnił ją miękko. - Czekaj nas podróż pełna wspaniałych doznań, a nie gilotyna.

Podał jej koszulę, odwrócił żonę i szybko, zdecydowanie rozpiął tył sukni ślubnej. Pocałował Andreeę w kark, pchnął ją w stronę łazienki.

- Może teraz pójdziesz się przebrać i nabrać trochę odwagi, a ja tu poczekam.

Uciekła z ochotą, a Brent zaczął się zastanawiać, czy w ogóle wyjdzie, kiedy nagle drzwi się otworzyły. Andrea ruszyła w jego stronę sto razy piękniejsza niż w sukni ślubnej, choć i w niej przecież wyglądała przecudownie. Przezroczysta koszula wcięta w pasie podkreślała jej wysoki i jędrny biust i wąską jak u osy talię. Reszta jej gibkiego ciała ginęła w fałdach ażurowego materiału. Rozpuściła włosy, które przykryły ramiona i spływały na plecy blond kaskadą.

- Jesteś boska - wydusił przepełniony podziwem. - Absolutnie boska.

- Nie powinnam była tyle jeść - odparła roztrzęsionym głosem. - Boję się, że zaraz pęknie mi żołądek.

Roześmiał się lekko i wyciągnął dłoń.

- Chodź, mój aniele. Pozwól, bym ci pomógł się odprężyć. - Pociągnął ją, by usiadła obok niego na łóżku, i zaczął masować jej napięte mięśnie karku. - Pamiętasz tamtą noc, kiedy też masowałem ci szyję? Byłem przekonany, że Maddy nas udusi. Czasami niezła z niej jędza.

Andrea westchnęła i opuściła głowę na jedną stronę, odsłaniając szyję w oczekiwaniu pocałunków.

- To mała osóbkka, ale o wielkiej duszy - stwierdziła, z lekka drżąc. - Och, to niebiańskie! Nie przestawaj.

- Nie mam zamiaru - wymruczał jej do ucha, wzbudzając nowy dreszcz. Zaczął całować ją delikatnie wzdłuż szyi, aż do ramion. - Zostawiłaś mi trochę ryżu? - zaśmiał się cicho. - Czy mam się zadowolić twoim pięknym ciałem?

Wąskie ramiączka zsunęły się z jej ramion, odsłaniając piersi. Andrea odwróciła się do kochanka, wygięła zmysłowo i objęła go za szyję.

- Może ziarnko lub dwa ostały się gdzieś w jakimś sekretnym miejscu - powiedziała aksamitnym głosem. - Jeśli będziesz starannie szukał.

- Przrzekam sprawdzić każdy centymetr tego słodkiego ciała - obiecał głosem, w którym zaczynała się pojawiać chrypka pożądania. Wprowadzając słowa w czyn, pochylił usta do falującej piersi, obrysowując ją wilgotnym językiem, a potem pochwycił napinający się sutek w rozpalone wargi.

Andrea wydała z siebie gardłowy jęk; czuła się tak, jakby język kochanka wrzynał się jej w skórę. Miała wrażenie, że okolice łona kurczą się i rozkurczają zgodnie z rytmem, z którym on zachłannie ssał jej pierś. Krew burzyła się w jej żyłach - pulsujący strumień czystej rozkoszy ożywiający najmniejszą tkankę.

W końcu, całe wieki później, odsunął złaknione usta, tylko po to, by poszukać drugiej piersi. Kiedy muskał wilgotnymi, gorącymi pocałunkami przestrzeń między dwoma wznórkami, Andrea rozsunęła połę jego szlafroka i położyła dłoń na gęstwinie włosów porastających klatkę piersiową. Wbiła lekko paznokcie w sutki ukryte między miękkimi splotami. Brent westchnął głęboko; niemalże jęczał, jak wielki kot.

- Tak, dotykaj mnie - zachęcał ją żarliwie. - Poznaj mnie.

Jego usta zamknęły się na jej wyprężonym biuście, a ona po omacku badała jego szerokie i umięśnione plecy, jego rozległą pierś. Gładziła go po mocnej, rozgrzanej skórze. Przeplatała palce przez ciemne włosy, pieszcząc, doprowadzając go do szaleństwa. Pragnąc dać mu tę samą rozkosz, jaką on dawał jej.

Ból w jej wnętrzu rósł, z każdym oddechem, z każdym frenetycznym uderzeniem serca wzrastało napięcie. Nie była

osamotniona w tej męczarni, bo pod jej dłonią krew w żyłach kochanka gnała na równi z jej pulsem. Drgnęła mocno, kiedy jego ręka wśliznęła się pod koszulę i dotknęła uda. Instynktownie zwarła nogi, choć całe ciało rwało się do tego dotyku.

- Nie - szepnął z napięciem, naciskając palcami na rozedrgane uda. - Daj mi odkryć wszystkie twoje jedwabiste sekrety, moja najdroższa.

Jakby czekając na te słowa, ciało Andrei rozluźniło się, uda rozsunęły się pod delikatnym naporem. Andrea zamarła w bolesnym oczekiwaniu, oddech uwiązał jej w gardle.

Nagle Brent ryknął przeraźliwie i nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zadarł koszulę i patrzył na jej łono z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Co to jest, do diabła? - wrzasnął.

Minęło kilka sekund, zanim Andrea pojęła, o co pyta, a kiedy to do niej dotarło, jęknęła z rozpacz.

- A niech to, zupełnie zapomniałam o tym głupim urządzeniu.

- Ale co to jest, na wszystkie świętości? - szorstko powtórzył pytanie Brent.

- Nie zachowuj się jak tępak! - warknęła, starając się wyrwać z jego objęć, ale Brent wzmocnił uścisk i nie pozwolił jej ruszyć się z miejsca. - To, na co wygląda. Pas cnoty!

- Co? - zawył jak uderzony obuchem, wpatrując się w miedziane sieci, odgradzające jej kobiecość od jego dotyku. Mógł jedynie patrzeć.

- Pas cnoty - powtórzyła. - Starodawne urządzenie, którego zadaniem jest chronić kobiecą czystość.

- Wiem, do czego to służy - prychnął Brent. - Chcę wiedzieć, skąd to wzięłaś i po co, na Boga, to założyłaś?

- Powód powinien być jasny nawet dla kogoś tak mało pojętnego jak ty - odparowała gniewnie, bez sukcesu starając się wyrwać z objęć męża, udręczona świadomością, że on swobodnie patrzy na jej nagość. - Czy mógłbyś się zlitować

i mnie puścić? Może ci się wydawać, że jest inaczej, ale nie jestem kawałkiem drewna!

- Skąd to masz? - zapytał ponownie, wyraźnie ignorując jej prośby o uwolnienie.

- A jak ci się wydaje? - rzuciła sarkastycznie. - Maddy zapowiedziała ci, że się zemści, i to w chwili, kiedy się tego będziesz najmniej spodziewał. A ja głupia zgodziłam się, żeby dać ci nauczkę za te wstrętne insynuacje dotyczące mojego dziewictwa.

Brent wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze, wyraźnie starając się nie dać ponieść nerwom.

- W porządku - oświadczył w końcu. - Zemściłaś się i zabawiłaś moim kosztem. A teraz zdejmij to.

Andrea odpowiedziała zuchwałym uśmiechem.

- Nie mogę. - Pokazała palcem na małą kłódeczkę przytwierdzoną do metalowego paska otaczającego jej biodra. - Klucz ma Maddy.

Brent przeklął, ostro i soczyście, po czym puścił żonę i przebiegł całą długość pokoju.

- Niech ta złośliwa starucha będzie przeklęta! Ja ją uduszę! - Przesunął rękę po ciemnych włosach w geście krańcowego zdenerwowania.

- Musisz ją najpierw znaleźć - odpowiedziała Andrea z kpina w głosie; usiadła i owinęła koszulę wokół nóg, ignorując zupełnie fakt, że jej pierś pozostała naga. - Co więcej, podejrzewam, że starsza pani liczy na przeprosiny w zamian za klucz.

- Och, już ja ją znajdę - zaklął Brent. - Nawet gdybym miał rozwalić ten hotel! Ale wątpię, żeby to było konieczne. Najprawdopodobniej śpi teraz słodko w swoim łóżku i uśmiecha się zadowolona przez sen.

Długimi krokami podszedł do łóżka i spojrzał na żonę.

- W tej chwili wolałbym zjeść całą torbę gwoździ, niż przeprosić tę starą wiedźmę! Musi istnieć jakiś inny sposób na wyswobodzenie cię z tego diabelskiego urządzenia - oświadczył. Bez słowa ostrzeżenia pchnął Andree

na plecy i ponownie zadarł jej koszulę. Krzyknęła przerażona.

- Tylko ostrożnie - zawołała. - To nie jest zbyt wygodna bielizna.

- Sama jesteś sobie winna, skoro zgodziłaś się na zwirowane pomysły Maddy - odparował bez cienia współczucia w głosie. Złapał za kłódkę i mocno pociągnął.

- Aj! Do diabła! Jesteś bardzo niedelikatny! -poskarżyła się Andrea.

Brent ponowił próbę, tym razem ciągnąc za końce łańcucha.

- Do cholery, nie mogę sobie z tym dać rady! Pewnie oczka łańcucha są specjalnie połączone, albo miedź jest wzmocniona, żeby łańcuch nie dał się rozerwać. Nawet sama siatka zrobiona jest z kilku zwojów, by wytrzymać napór. W innej sytuacji ta zabawka wzbudziłaby mój podziw!

- Ale nie teraz - rzuciła Andrea, odpychając męża od siebie i ponownie siadając.

Brent westchnął i poruszył głową w geście poddania:

- Skoro nie mogę zerwać kłódki ani łańcucha, zdaje się, że pozostaje mi jedno. Muszę iść do Maddy po klucz i przy okazji najeść się wstydu.

Zrzucił szlafrok i sięgnął po ubrania, które wcześniej starannie ułożył na krześle.

- Zaraz wracam. Ty zostań tam, gdzie jesteś, i postaraj się do mojego powrotu nie wpaść w nowe kłopoty.

Andrea posłała mu kpiący uśmiech.

- Na twoim miejscu nie martwiłabym się. Moje dziewictwo jest znakomicie chronione.

Minęła północ, kiedy Brent wpadł do pokoju i stwierdził, że jego żona spokojnie leży w łóżku zajadając się serem i krakersami.

- Nie mogłem jej znaleźć! - warknął.

- Domyśliłam się - rzuciła Andrea, ukrywając ziewnięcie.  
- Równie dobrze możemy o tym teraz zapomnieć i położyć

się spać. Maddy zjawi się tu rano i uwolni mnie z tej niewygodnej pułapki. W końcu to nie mnie chce ukarać, więc nie każe mi długo cierpieć.

- O nie - uparł się Brent. - Nie uda jej się tak łatwo wygrać. Chcieć, znaczy móc, i wydaje mi się, że znalazłem wyjście. Gdzie są te twoje przeklęte szczypce? Przetniemy to świństwo.

- Brent! Nie możesz tego zrobić! Nie mam pojęcia, skąd Maddy wytrzasnęła to antyczne złomowisko, ale to może być cenne, wypożyczone z jakiegoś muzeum! Nie wolno ci tego tak po prostu pociąć!

- Mogę i zrobię to, bo jest to jedyny sposób, by cię z tego wydobyć i zakończyć tę noc tak, jak powinniśmy wiele godzin temu - upierał się.

Andrea westchnęła.

- Och, no dobrze! Przynies moją torbę. Leży na toaletce.

Odebrała torbę z rąk męża i wysypała jej zawartość na pościel. Brent pierwszy zauważył w kupce szpargałów znane mu szczypce. Sięgnął po nie, lecz Andrea uderzyła go po dłoni.

- Nie tak szybko, mój rozpalony kochanku. Mam inny pomysł, dzięki któremu oszczędzimy może pas cnoty, a także moją biedną, umęczoną skórę. I tak jestem już cała podrapana. A wszystko przez to, że jesteś taki niedelikatny i niecierpliwy.

- Przepraszam - wymamrotał. - Z chęcią posłucham, jaki masz plan.

Andrea podniosła zestaw wytrychów i podała je mężowi.

- ' Zaczniemy od tych mniejszych. Mam nadzieję, że któryś z nich będzie pasował do zamka.

Brent popatrzył na nią z urazą.

- Mogłaś pomyśleć o tym dawno temu i zaoszczędzić nam obojgu mnóstwa kłopotów - zrzędził.

Obrzuciła go przebiegłym uśmiechem.

- Och, przecież kazałeś mi przyrzec, że nigdy więcej nie użyję tych narzędzi, pamiętasz? Twojej żonie nie wolno kraść, kłamać ani wyłamywać zamków.

- Sama wiesz, że to niezwykła okazja.

- Ach, rozumiem - drwiła. - Z twoim poparciem i kiedy ci się to opłaca, mogę kłamać, kraść i otwierać cudze zamki. Czy tak?

- Niezupełnie - sprzeciwił się, odbierając jej filigranowe narzędzia. - A teraz połów się, a ja się postaram uwolnić cię.

- Znam się na tej robocie, więc może będzie szybciej, jeśli ja się nią zajmę - zaproponowała.

- Dam sobie radę - odparł z udaną kurtuazją. - Nie chcę, byś złamała przyrzeczenie albo, Boże broń, paznokiec!

Choć trwało to dobre kilka minut, w końcu zamek odskoczył. Andrea i Brent odetchnęli z ulgą. Andrea natychmiast zaczęła pozbywać się uprzykrzonej osłony.

Jednak Brent miał inne zamiary. Przytrzymał żonę, patrząc przy tym na nią oczami, w których lśniły złośliwe błyski.

- O nie, moja ty podstępna kocico. Ty rozpoczęłaś tę grę, a ja ją skończę. Kazałaś mi cierpieć cały wieczór, więc teraz moja kolej.

Jednym machnięciem ręki zmiotł torbę i jej zawartość z łóżka.

- Teraz, ty moja słodka, połów się i bądź posłuszna jak dobra żoneczka.

- Co... co zamierzasz zrobić?

Pochylił się nad nią, a diabelski uśmiech wykrzywił mu usta.

- Sprawię, że spłoniesz z pożądania, najdroższa. Sprawię, że będziesz pragnęła mnie tak mocno, że nic innego oprócz spełnienia nie będzie się liczyło. I tylko ja cię będę mógł zaspokoić. I każę ci czekać na ten ostateczny moment uniesienia tak długo, jak długo ja musiałem czekać. Zanim skończę, będziesz mnie błagała, bym cię wziął, przyrzekniesz mi wszystko, o co poproszę.

Mówiąc to, zaczął się rozbierać; Po raz pierwszy mogła zobaczyć go całkiem nagiego i na dodatek w pełnej gotowości. Jedynym nagim mężczyzną, którego widziała do tej

pory, był Freddy, i porównanie wyszło nadspodziewanie na korzyść Brenta.

Pochylił się nad nią, tak blisko, że prawie czuła dotyk jego ust na swoich. Drżała w oczekiwaniu na pocałunek.

- Co? Żadnych komentarzy, moja najdroższa? - zapytał miękko, ale i wyzywająco.

Przełknęła ślinę, czując nagłą suchość w ustach, po czym zmusiła się do zuchwałej odpowiedzi.

- Jesteś straszliwie pewny siebie, prawda?

- Taka już moja natura, że chcę być najlepszy we wszystkim - oświadczył. Nie tracąc więcej czasu, przywarł ustami do jej ust. Nie był to pocałunek delikatny. Tak całował mężczyzna, żądający należnej mu nagrody. Język przedarł się przez zaporę warg i rozpoczął wewnętrzną walkę. Gorący. Nalegający. Odważnie biorący to, co do niego należało. Ugryzł lekko dolną wargę, ciągnąc ją delikatnie. Potem wessał się w maleńką ranę. Andrea zadrżała.

Objęła męża za szyję, przyciągając go do siebie, ale on znowu sprzeciwił się jej zamiarom. Najpierw zdjął z niej górę koszuli, odsłaniając piersi. Następnie złapał ją za nadgarstki i unióśł jej ręce nad głowę. Pochwycił obie dłonie jedną ręką.

Spojrzał na nią leniwie tygrysimi oczami,

- To moja gra. Moje zasady - wymruczał zmysłowo, wzbudzając w Andrei dreszcz podniecenia.

Wolną ręką powoli otoczył jedną pierś, umyślnie przedłużając nadejście następnego kroku, zmuszając ją do gorącego oczekiwania. W końcu, nie potrafiąc się opanować, wygięła się w łuk, nadstawiając piersi.

- Mów - mruknał. - Niech usłyszę, czego teraz pragniesz.

- Moje piersi - odpowiedziała szeptem. - Dotknij ich, pocałuj. Proszę.

Palce kochanka robiły coraz mniejsze okręgi wokół jedwabnych wżgórków. Różane szczyty wyprężyły się, jakby błagając o uwagę. Brent ani na chwilę nie odrywał wzroku

od jej oczu, coraz ciemniejszych i coraz bardziej zamglonych, wyczekujących. W końcu, usatysfakcjonowanej jej reakcją, opuścił głowę do mlecznych kul. Wilgotny język wystrzelił i ostudził gorączkę skóry. Dotykał jej lekko jak piórko. To wystarczyło, by zachłysnęła się z uniesienia. Drżała pod nim. Po tym powolnym preludium z nagłą gwałtownością objął gorącymi ustami nabrzmiały sutek. Andrea krzyknęła otumaniona rozkoszą.

Ssał ją namiętnie. Żar przelewał się z jednego ciała w drugie. Przy każdym mocnym dotknięciu ust we wnętrzu kobiety coś się poruszało, kurczyło, naciągało. W końcu cała była jak napięta struna.

Brent pociągnął koszulę w dół. Miękki materiał ocierał się o długie nogi kochanki. Została naga, oprócz miedzianej sieci, która broniła mu dostępu do najsekretniejszego miejsca. Złociste oczy przesuwały się wzdłuż ciała kobiety, która leżała przed nim jak jakaś pogańska księżniczka.

- Jesteś doskonała - stwierdził zachrypniętym głosem.

Jednak ona nie czuła się w tej chwili taka. Bała się. Była goła. Paraliżował ją wstyd. Zawładnęły ją dwie emocje - obawa i podniecenie. Serce biło jak oszalałe, oddech wiązał w gardle.

Jakby pragnąc okiełznać jej niepokój, Brent puścił uwięzione dłonie kochanki, po czym zaczął gładzić jej ciało długimi, ciepłymi ruchami. Napawał nią wzrok i dotyk. Obsypywał krótkimi pocałunkami. Szeptał słowa miłości i podziwu.

Andrea odwdzięczyła mu się pieszczotami, szukając jego ust, wyginając się, by wrażliwy biust dotknął jego mocnej, owłosionej piersi; paznokcie wbiła mu w plecy.

Brent pochwycił koniuszek jej ucha i zaczął go ssać. Zadrżała i roześmiała się głośno.

- To łaskocze.

Zawtórował jej śmiechem.

- Bo powinno.

Przesunął usta w dół, wzdłuż szyi, do miejsca, gdzie

mocno pulsowała żyłka. I jeszcze niżej, do parującego wąwozu między piersiami - całował ją i delikatnie gryzł. Ponownie usta zamknęły się na piersi, doprowadzając Andree do prawdziwej ekstazy.

Zsunął się jeszcze niżej do rozedrganego brzucha. Język wbił się w pępek, niczym pszczoła w poszukiwaniu nektaru. Mięśnie skurczyły się gwałtownie, wilgotny płyn napłynął między uda, żar wezbrał w przystani jej kobiecości.

Brent, jakby wiedziony słonym zapachem kochanki, rozszerzył jej drżące uda i pochylił nad nimi ciemną głowę. Andrea głęboko nabrała powietrza. Przez miedzianą opończę, nadal ochraniającą jej łono, dotarło do niej gorąco bijące od jego ust. Jęknęła, czując, że staje się wiotka jak... Usta natarły na nią z większą mocą, rozsunęły zwoje, język wdarł się przez oczko, usta zaczęły ssać.

- Słodka - wyszeptał Brent. - Taka słodka i gorąca.

Dotknął dłonią, siatki i zaczął pocierać nią o jej ciało, wzbudzając w Andrei jeszcze większą falę pożądania. Cała płonęła, dziwiąc się, że okowy ją opasujące jeszcze się nie rozpuściły. Czuła w środku wilgoć, żar. Pragnienie oddania się kochankowi nigdy jeszcze nie było tak silne. Wygięła się dziko.

Prawie nie czuła, kiedy poluzował przepaskę podtrzymującą pas cnoty, ale tylko na tyle, by mógł wsunąć dłoń pod kunsztowne zwoje. W chwili gdy jego palce spoczęły na jej łonie, wzdrygnęła się zaskoczona. Ogień, który w niej wzniecił, rósł, stawał się jaśniejszy, prawie ją strawił.

- Proszę! - wyjęczała, rzucając głowę na boki, ogarnięta pragnieniem, by cierpienie dobiegło już końca, a zarazem by nigdy nie ustawało. - Och, Brent, proszę!

Czuła ból. Czuła się pusta, a jednocześnie pożądała czegoś, czego nie umiała nazwać. Ale Brent wiedział, czego jej potrzeba. Palec wdarł się do sanktuarium, którego nie dotykała dotąd żadna męska dłoń. Andrea odpowiedziała jęknięciem, wyrażającym zarówno zaskoczenie, jak i podziękowanie. Powolnymi ruchami kochanek gładził jedwabiste wnę-

trze, przygotowując je do połączenia ciał. Język także uczestniczył w tej zmysłowej pieśczoce, napierając na pulsujący guziczek.

Ten podwójny atak to było dla Andrei za dużo. Zesztywniała, każdy centymetr jej ciała naprężył się. Czekwała. Nagle stało się tak, jakby pękła w niej jakaś tama, zalewając ją najwspanialszymi, przytłaczającymi emocjami. Wybuchła w niej tęcza kolorów, wirująca, zwalająca z nóg szalonym tańcem, porywająca ją jak bezwolny listek w dziki wir.

Nadal znajdowała się w okowach zmysłowego uniesienia, kiedy Brent ściągnął z niej pas cnoty i szybkim błogosławionym pchnięciem połączył ich ciała, burząc dzielącą ich barierę. Andrea zadrżała i zamarła w bezruchu. Brent mocno zacisnął zęby, starając się zapanować nad własnym ciałem.

- Czy to już koniec? - szepnęła Andrea, otwierając oczy i wpatrując się w męża.

- Niezupełnie - mruknął. - Chciałabyś, żeby tak było?

Poruszyła się ostrożnie. Ból już minął, jednak dziwiła się, że jej ciało przyjęło jego, choć niezaprzeczalnie czuła w środku jego dojmującą obecność.

- Nie. Wydaje mi się, że chciałabym się dowiedzieć, co teraz nastąpi.

Brent uśmiechnął się i pochylił, by ją pocałować.

- Postaram się zaspokoić twoje oczekiwania, moja zachłanna kocico.

Powoli, delikatnie, zaczął się poruszać, na niej, w niej. Namietność rosła, krok za krokiem coraz silniejsza. Wkrótce Andrea dostosowała się do ruchów kochanka, najpierw z trudem, choć z całym entuzjazmem. Razem wspinali się do nieba, połączeni wspólną podróżą do szczęścia. Ekstaza spłynęła na nich nagle i z impetem. Razem wydali okrzyk rozkoszy, po czym zamarli w mocnym uścisku; świat wokół nich wirował szaleńczo, a gwiazdy spadały w dół.

Po kilku minutach Andrea odważyła się spojrzeć na męża. W oczach miała podziw.

- A więc to o to tyle zamieszania! - powiedziała, wzdy-

chając miękko. - O Boże! Nic dziwnego, że mężatki szepczą i chichoczą, nie zdradzając się słowem przed pannami. Cóż, gdyby dziewice wiedziały, co tracą, bardzo szybko zniknęłyby z powierzchni ziemi!

Brent roześmiał się na tę bezwstydną uwagę, kładąc się obok żony i tuląc ją do siebie.

- Tak się cieszę, że sprawiło ci to przyjemność, kochana, bo odtąd bardzo często będziemy to powtarzać.

- Och, mam taką nadzieję - wymruczała, układając głowę na jego szerokim ramieniu, delikatnie gładząc palcami jego pierś. - Nie zmartwię się, jeśli ta przyjemność stanie się moją obsesją.

## 20

Następnego dnia rano Andrea złożyła na ustach Brenta ostatni słodki pocałunek i siłą wyrwała się z jego objęć.

- Spóźnimy się na pociąg, jeśli natychmiast nie wrócę do swojego pokoju i nie zacznę się pakować - tłumaczyła.

Brent pokiwał głową.

- Proszę - powiedział, rzucając pas cnoty w jej stronę. - Możesz to zwrócić Maddy i pogratuluj jej.

Andrea zachichotała.

- Zrobię to. Czy mam ją także od ciebie przeprosić?

- Nie. Niech trochę poczeka. Wet za wet, jak to się mówi.

Kilka minut później Andrea znalazła się w apartamencie, który dzieliła z Maddy. Obydwie panie poszły się pakować do swoich sypialni, plotkując przy tym wesoło. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Ja otworzę. To prawdopodobnie boy hotelowy po nasze bagaże - zawołała Andrea.

- Albo twój usychający z miłości mąż - odpowiedziała Maddy ze śmiechem.

Andrea zdziwiła się, kiedy na progu zobaczyła Shirley Cunninham.

- Właśnie przed chwilą wpadłam w holu na Brenta - poinformowała. - Powiedział, że dzisiaj wyjeżdżacie, więc musiałam wpaść, by się pożegnać.

Nie czekając na zaproszenie, Shirley pchnęła drzwi i weszła

do pokoju. Zaraz za nią wtoczył się Dugan MacDonald, niewidoczny do tej pory, bo skrył się za drzwiami. Wszedł i zatrzasnął za sobą drzwi, po czym przekręcił klucz w zamku.

Andrea zmarszczyła czoło. Po plecach przebiegł jej dreszcz strachu. Podejrzliwym wzrokiem patrzyła na niespodziewanych gości.

- Bardzo miło z pani strony, pani Cunningham, a także z pana strony, panie MacDonald, ale strasznie się spieszę. Niedługo mamy pociąg, a Brent się niecierpliwi.

- Nie wyjedziesz tym pociągiem, dziewczyno - ostro oświadczył Dugan. - Z pewnością nie z Sinclairem. Jedziesz ze mną do Szkocji.

Kiedy dał krok w jej stronę, Andrea rzuciła się do drzwi sypialni, zamierzając się w niej zamknąć i czekać tam na nadejście pomocy. Ale nie była dostatecznie szybka. Szkot złapał ją i porwał w swoje potężne ramiona, wielką dłońią zatykając jej usta, by nie zdążyła krzyknąć.

- Opróżnij jej walizki - rozkazał Shirley, kierując się do sypialni i mocno ściskając wściekle wierzgającą Andreeę. - Szybko.

W tym momencie pojawiła się Maddy, zaniepokojona dziwnymi odgłosami.

- Co tu...

Andrea, niezdolna ostrzec staruszki, patrzyła przerażona, jak Shirley podnosi wazon i opuszcza go na głowę przyjaciółki. Z jękiem bólu Maddy osunęła się na podłogę. Oszałała ze strachu o siebie i o pracodawczynię, Andrea zdwoiła wysiłki, by się uwolnić, ale bez skutku.

Głośne łomotanie serca nie przeszkodziło jej usłyszeć słów wdowy:

- Myślę, że ta stara mnie nie widziała. To dobrze, bo to popsułoby moje plany związane z Brentem, kiedy już się okaże, że jego żoneczka uciekła.

- To twój problem - sarknął MacDonald. - Miałaś sprawdzić, czy Andrea jest sama. Mam nadzieję, że nie zabiłaś staruchy, bo ja nie będę świadczył, że to był wypadek.

Shirley pochyliła się i nerwowo sprawdziła puls Maddy.

- Żyje. Tylko zemdlała.

- Tracimy cenny czas - przypomniał jej Dugan. - Pomóż mi wsadzić tę miotającą się wiedźmę do kufra, zanim ktoś się tu zjawi. Tylko nie zapomnij zrobić dziur w wieku, żeby mogła oddychać. Jeśli na statku okaże się, że się udusiła, wrócę tu i policzę się z tobą, możesz mi wierzyć.

Andrea opierała się, jak potrafiła, ale nie była godnym przeciwnikiem dla osiłkowatego Szkota. Udało jej się wprawdzie raz krzyknąć, lecz zaraz MacDonald wepchnął jej w usta szmaciany knebel, mocno przymocował go chustką, zawiązał supeł i uderzył Andreę w głowę, aż zadzwoniło jej w uszach.

- Nic z tych rzeczy - warknął grubiańsko. - Będziesz mogła się drzeć i rozrabiać, kiedy znajdziemy się na statku, ale teraz cisza.

Po chwili miała już związane ręce i nogi. Wylądowała we własnym kufrze podróżnym, z kolanami pod brodą. Dugan pogładził ją szorstko po włosach.

- Nie martw się, kochana. Nie będę cię w tym długo trzymał. - Potem zatrzasnął wieko, pozostawiając ją w kompletnych ciemnościach, sam na sam ze strachem. Dźwięk przekręcanego klucza w kłódce zabrzmiał w jej uszach jak pukanie śmierci.

Brent niecierpliwił się, czekając na Andreę i Maddy. Co chwila zerkał na *zegarek*, kiedy *przy kontuarze recepcji* zjawił się poirytowany boy hotelowy i powiedział:

- W pokoju trzysta szesnaście nikt nie otwiera. Jest pan pewien, że miałem zabrać stamtąd bagaże?

- Jak to, nikt nie otwiera? - zdenerwował się Brent. - Pukał pan do właściwego pokoju? Może za cicho? Może nie usłyszały pana, bo są zajęte pakowaniem w sypialniach?

- Sir - zaczął rozzłoszczony już boy - waliłem tak mocno, że umarłego bym obudził. Naciskałem nawet na klamkę, ale drzwi są zamknięte.

- Coś mi się tu nie podoba - mruknął Brent. Chwyć!

boya hotelowego za ramię i pchnął w stronę windy. - Chodźmy. Pójdę z panem. Pogonimy je.

Ku wielkiemu zaskoczeniu chłopca hotelowego drzwi nie były już zamknięte na klucz. Wraz z Brentem weszli do pokoju. Panowała tu tajemnicza cisza, żadnych zdyszanych głosów, towarzyszących harmiderowi pakowania.

Przez otwarte drzwi sypialni Brent zobaczył na podłodze górę kolorowych sukien. Gdyby nie one, przysięgłby, że Andrea się stąd wyniosła. Poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba.

Nagle z drugiej sypialni dobiegł słaby jęk. Brent biegiem ruszył w tamtą stronę, bagażowy podażył za nim.

Andrei tu nie było. Na podłodze leżała Maddy z rękami przy głowie. Wracła do przytomności. Brent pospiesznie ukląkł przy niej i delikatnie przeniósł staruszkę na łóżko.

- Maddy? Maddy? Co się stało? - dopytywał się z trwogą w głosie.

Starsza pani stęknęła, zamrugała powiekami i szeroko otworzyła oczy. Z trudem udawało jej się utrzymać wzrok na wykrzywionej strachem twarzy Brenta. W końcu odezwała się słabym głosem:

- Ktoś mnie czymś uderzył. Pamiętam, że usłyszałam jakieś zamieszanie, i kiedy weszłam do pokoju, ten wielki Szkot trzymał Andreę tuż nad jej kufrem, tak jakby chciał ją do niego wepchnąć. - Spróbowała unieść głowę i rozejrzeć się. - Czy ona tu jest? Czy nic się jej nie stało?

- Nie - sucho poinformował Brent. - Andrea zniknęła wraz ze swoimi bagażami. MacDonald musiał ją porwać, po tym, jak cię uderzył.

- To nie on mnie uderzył - poprawiła go Maddy. - Był tu jeszcze ktoś. - Zmarszczyła brwi, próbując się skoncentrować. - Słyszałam kobiecy głos. Znajomy.

- Czy coś jeszcze sobie przypominasz? Czy wiesz, dokąd ten Szkot zabrał Andreę?

- Nie. Przykro mi, Brent, ale z pewnością nie uciekł daleko, nie zdążyłby, prawda? Musisz za nim gonić. Zawołaj

do pomocy swoich przyjaciół od Pinkertona. Znajdź ją, zanim zdarzy się coś strasznego.

Brent podniósł się i odwrócił do chłopca hotelowego.

- Proszę zostać tu z panią. Powiem recepcjoniście, żeby natychmiast przysłał do niej lekarza.

Był w połowie drogi do drzwi, kiedy Maddy zawołała za nim.

- Poczekaj! Właśnie coś mi przyszło do głowy! Ten kobiecy głos należał do wdowy Cunningham.

- Jesteś pewna? - zapytał Brent, wracając w stronę łóżka.

- Założę się o własne życie!

- Albo Andrei - z powagą zauważył Brent. Poklepał Maddy po pomarszczonej dłoni. - Znajdę ją, Maddy. Nawet gdybym miał poruszyć niebo i piekło.

- Najpierw pociągnij za język tę Cunningham i dowiedz się, co ma do powiedzenia - poradziła zboląłym głosem. - Założę się, że ona wie, gdzie podział się MacDonald. To szczwana sztuka!

Nie było trudno zlokalizować Shirley Cunningham. Siedziała w małej czytelni, tuż obok wejścia głównego, skąd bez przeszkód mogła obserwować, co się dzieje w holu. Popełniła błąd wierząc, że Maddy jej nie zidentyfikuje.

Jedno spojrzenie na rozwścieczoną twarz Brenta powiedziało jej, jaka jest sytuacja. Napadł na nią jak rozjuszony byk.

- Gdzie jest moja żona? - warknął przez zaciśnięte zęby; jego oczy ciskały błyskawice.

Shirley postanowiła bezczelnie go zbyć. I to był jej następny błąd.

- Skąd mogę wiedzieć, gdzie uciekło to dziecko? Możliwe, że w przeciwieństwie do mnie jest zbyt młoda, by docenić prawdziwego mężczyznę w łóżku. Gdybyś zapytał mnie o radę, ostrzegłabym cię.

Brent w okamgnieniu, ze zwinnością tygrysa, podniósł rękę i pochwycił Shirley za gardło.

- Ostrzegam cię - syknął. - Powiedz, dokąd zabrał ją MacDonald! Jeśli skłamiesz, będzie to ostatnie kłamstwo, które przecisnie ci się przez usta.

Wdowa Cunningham zaczęła wyraźnie blednąć. Widać było, że się przestraszyła.

— On... uhh... zabrał ją na... nabrzeże. Czeka tam na niego statek, który płynie do Szkocji.

Brent natychmiast puścił szyję kobiety i zrobił krok do tyłu.

- A teraz miły pan detektyw zabierze cię do aresztu - oświadczył, wskazując mężczyznę stojącego w drzwiach. - Tak na wszelki wypadek, gdyby okazało się, że skłamałaś. Poza tym z wielką przyjemnością dopilnuje on, żebyś nie mogła wyrządzić krzywdy następnej naiwnej ofierze, nie mówiąc już o waleniu staruszek wazonami po głowach.

Na zewnątrz hotelu czekał Jenkins. Udało mu się skądś zdobyć parę koni. Brent wskoczył na siodło, po czym runął przed siebie, zostawiając kolegę daleko w tyle.

- Na nabrzeże! - krzyknął przez ramię.

Był późny ranek i na ulicach panował straszliwy tłok. Gnając na złamanie karku między powozami i karocami, Brent czuł się jak pstrąg usiłujący płynąć pod prąd. Na duchu podtrzymywała go jedynie myśl, że MacDonald musiał napotkać te same przeciwności, więc nie mógł zajechać daleko. Co więcej, musiał wziąć powóz, żeby przewieźć kufer, w którym znajdowała się Andrea.

Związana i wepchnięta do szorstkiego skórzanego kufra, Andrea czuła się jak worek z kartoflami. Miała wrażenie, że za chwilę w jej ciele nie zostanie się jedna cała kosteczka. Ze względu na zatykający jej usta knebel i dociśnięte do klatki piersiowej kolana, prawie nie mogła oddychać. Przez sześć wyrżniętych w przykrywie kufra dziur docierało do niej powietrze zmieszane z kurzem ulicy.

W całej tej okropnej sytuacji jedna rzecz napawała ją wdzięcznością. Teraz, kiedy jej oczy przyzwyczyły się do

ciemności panujących wewnątrz kufra, te małe dziurki dostarczały jej na tyle światła, że mogła sobie jakoś poradzić ze strachem. Przynajmniej nie czuła się tak, jakby pochowano ją żywcem! Chyba że się tu udusi, co wydawało się całkiem prawdopodobne.

Zmusiła się do myślenia o czymś bardziej radosnym, na przykład o tym, jak dobrze byłoby przywalić drągiem w pułstą głowę Dugana MacDonalda! I upiec Shirley Cunningham na rożnie!

Raz jeszcze powóz podskoczył na jakimś występie, wypompowując z płuc Andrei całe powietrze. Nie panikuj, po raz setny nakazała sobie w myśli. Możesz swobodnie oddychać, jeśli tylko będziesz robiła to spokojnie. Spokój i rozsądek, dziewczyno. Nie poddawaj się. Brent cię uwolni. Jakoś cię odnajdzie. Trzymaj się i staraj się spokojnie oddychać!

Po jakimś czasie, kiedy myślała, że już więcej nie znieś bolesnego kłucia w płucach, powóz zatrzymał się. W ciągu kilku sekund kufer został podniesiony do góry. Usłyszała czyjeś chrząknięcie, odgłosy kroków na drewnianym podeście. Powietrze niesło teraz ze sobą zapach ryb i wilgoci, z czego wynioskowała, że dotarli na nabrzeże.

Och, Brent, pospiesz się! - modliła się w myślach, próbując powstrzymać się od płaczu. Ostatnią rzeczą, której teraz potrzebowała, był zapchany nos!

Odniosła wrażenie, że kufer się zniża i w końcu staje na ziemi. Nad głową usłyszała głucho dudnienie.

- Jesteśmy już prawie na miejscu, dziewczyno - poinformował pocieszająco Dugan. - Zaraz zjawią się chłopaki ze swoją szalupą, żeby dowieźć nas na statek.

Andrea zamrugała, ze zmarszczonym czołem zastanawiając się, co też tak zablokowało kilka z jej cennych otworów i zabrało większość docierającego do niej światła. Potem zdała sobie sprawę, że patrzy na tył Dugana. Głupi Szkot usiadł na kufrze!

No cóż, w obecnej sytuacji niewiele mogła zdziałać, ale niech będzie przeklęta, jeśli nie wykorzysta szansy na zemstę, gdy tylko nadarzy się okazja! Na szczęście ręce miała związane z przodu, więc mogła przesunąć je do lewej piersi. W chwilę później przeżyła moment wielkiej satysfakcji, bo Dugan ryknął przeraźliwie i podskoczył na równe nogi. Andrea pomachała groźnie szpilką broszki, po czym wciągnęła ją do środka.

Choć raz Brent był szczęśliwy, że Szkot wygląda jak wielka góra. Trudno było nie zwrócić na niego uwagi. Kilka szybkich pytań i wskazówek, i Brent gnał wzdłuż przystani na spotkanie przeciwnika, a Jenkins znowu tylko łykał pył dolatujący spod kopyt pędzącego konia.

- MacDonald! - wściekły ryk odbił się od powierzchni wody.

Dugan okręcił się zaskoczony i w tej samej chwili na jego szczęce wylądowała pięść Brenta. Dugan potrzęsnała kudłatą głową, jakby uderzenie nie było niczym więcej niż ukąszeniem komara. Wpatrywał się w przeciwnika. Czekał i uśmiechał się.

- Gdzie ona jest, MacDonald? Co zrobiłeś z moją żoną?

- Tak szybko zgubiłeś swoją ślicznotkę, Sinclair? - kpiąco zapytał Szkot. - Myślisz, że odeszła i znalazła sobie prawdziwego mężczyznę?

- Już wcześniej cię ostrzegałem, MacDonald. Andrea należy do mnie. I odzyskam ją, choćbym miał wymyć tobą pokład tamtego statku!

- Ha! Trzeba kilku takich jak ty, żeby sprowadzić mnie do parteru. A dopóki ci się to nie uda, nie zobaczysz nawet kosmyka jej włosów.

Wyzwanie zostało rzucone i przyjęte. Dwaj mężczyźni przygotowywali się do walki. Pierwszy zaczął Dugan, mocno zamachując się na rywala. Brent kucnął, okręcił się, po czym rąbnął obcasem w szczękę rudobrodego olbrzyma.

Dugan zachwiał się, niemalże padając do tyłu, potknąwszy

się o kufer. Błysk szacunku załśnił mu w oczach. Znowu się przygotował. On i Brent obchodzili się w kółko jak dwa wściekłe psy. Nagle Dugan rzucił się do przodu, pochwycił Brenta w niedźwiedzi uścisk i podniósł z ziemi. Stopy Brenta zwisały bezwładnie kilką centymetrów nad ziemią. Już widział siebie z pogruchootanymi żebrami, ale na szczęście wpadł na pomysł kopnięcia przeciwnika w krocze. Ten natychmiast go puścił, wykrzywiając twarz z bólu.

Brent z hukiem rąbnął o ziemię, uderzając przy tym w stertę skrzyń, która poruszyła się i pochyliła niebezpiecznie.

Dugan szybko wrócił do siebie. Zaatakował Brenta w chwili, gdy właśnie odzyskiwał równowagę. Brent zrobił krok w bok, wysunął nogę przed olbrzyma, po czym kantem dłoni walnął Dugana w kark.

Szkot wpadł w górę bagażu, zrzucając kilka waliz do wody. Jedna spadła prosto na jego głowę, mocno waląc go w skroń. Dziękując w myśli wschodniemu ogrodnikowi, który nauczył go kilku sztuczek pomocnych przy walce z o wiele silniejszym przeciwnikiem, Brent chwycił Dugana, pchnął na plecy i skoczył mu na pierś. Głowa olbrzyma zakołysała się, oczy wyszły mu z orbit.

— Do cholery, MacDonald, tylko mi tu nie mdlej! - warknął Brent, mocno potrząsając Szkotem. - Gadaj, gdzie ją trzymasz! Gdzie jest Andrea?

Olbrzym zdołał tylko machnąć ręką wskazując na przystań.

- Pewnie już ją wciągnęli na statek. Kufer z otworami w wieku.

Gdyby nie knebel, Andrea krzyknęłaby z radości, kiedy usłyszała głos Brenta. Jest! Znalazł ją! No, może nie do końca, ale wkrótce. Jak tylko wydusi od MacDonalda, gdzie ją trzyma.

W trakcie gdy mężczyźni walczyli ze sobą, Andrea zwijała się w swoim małym więzieniu, przysłuchując się jękom

i stękaniami. Modliła się o wygraną Brenta, modliła się, żeby w jakiś sposób zwyciężył o wiele silniejszego przeciwnika. Miała nadzieję, że mąż pomyślał o tym, by zapewnić sobie pomoc. Może mu się uda wyzwolić ją z rąk tego szalonego Szkota!

Przy pierwszym wstrząsie Andrea wstrzymała oddech. Wielkie nieba! Co tam się dzieje? Przy następnym zaczęła się poważnie bać. Trzeci wstrząs nadszedł zaraz po drugim, a z nim dziwne uczucie, że serce podchodzi jej do gardła. Potem, nagle, kufer zaczął się obracać, a Andrea razem z nim.

Zamarła z przerażenia. Wiedziała, że spada. Nie mogła temu zapobiec. Prawie nie słyszała głośnego plusku, kiedy kufer wpadł do rzeki. Ale poczuła to uderzenie całym ciałem. Ból przeszył ją nagle. Rąbnęła głową i kolanami w bok skrzyni. W chwilę później nastąpiło drugie uderzenie, lżejsze, któremu towarzyszyło jakieś drapanie, jakby kufer ciągnięty był po czymś ostrym. Wielka skrzynia zahuściła się, zawirowała, aż w końcu spokojnie zaczęła się kołysać.

Mimo zagłuszającego wszystko szaleńczego bicia serca Andrea usłyszała fale bijące w bok kufra. Przez jedną sekundę panicznie bała się, że zatonie, że za chwilę woda ją pochłonie.

Dobry Boże! Utonę, myślała z przerażeniem. Utonę! Tu i teraz! Nigdy więcej nie będę czuła pocałunków Brenta. Nie uratuję Stevie'ego. Nie dowiem się, czy z Maddy jest wszystko w porządku.

Zaczęła płakać, wręcz łkać, objijając się o ściany kufra.

Boże, nie chcę umierać, modliła się gorączkowo. Błagam, nie chcę jeszcze umrzeć!

Minęło kilka sekund, zanim pojęła, że jej obawy są bezpodstawne, że kufer upadł na wodę odpowiednią stroną i przez otwory nie wpływa nic oprócz powietrza i światła, choć w kątach zaczynała zbierać się woda. Andrea wydedukowała, że skrzynia wylądowała w płytkiej wodzie i tylko część kufra jest zanurzona.

Dziękuję ci, Boże! - wyszeptała w myślach. - Och, dziękuję! I błagam, spraw, by Brent się pospieszył.

Brent z niedowierzaniem wpatrywał się w MacDonalda. Następnie jego wzrok przeniósł się na rzekę, na skrzynie i walizki, które wpadły do wody. Przez chwilę nie dostrzegał nic, co przypominałoby podróżny kufer Andrei. Potem zobaczył go - dryfował na płytkiej wodzie, obijał się o brzeg zgodnie z rytmem fal.

- Andreo!

Pozostawiając MacDonalda Jenkinsowi, który do nich dołączył i przygotowywał się do aresztowania Szkota, Brent niczym szalenciec popędził wzdłuż brzegu.

- Wyłówcie kufer! - krzyczał. - W środku jest kobieta!

Kiedy dotarł do brzegu, grzęznąc w błocie po nogawki spodni, kilku robotnikom udało się już przechwycić kufer i teraz wyciągali go na brzeg. Padając na kolana przy przemoczonemu kufrze, Brent krzyknął zachrypniętym od strachu głosem:

- Andrea? Najdroższa, słyszysz mnie?

Odpowiedział mu odgłos drapania i towarzyszące mu stłumione jęki. Brent szybko wypowiedział modlitwę dziękczynną.

- Trzymaj się, kochanie. Mamy cię już - podtrzymywał na duchu uwięzioną w skrzyni żonę. - Już za chwilę będziesz bezpieczna. Zaraz wyłamiemy zamek.

Jeden z robotników podał Brentowi łom. Kiedy otworzył wieko, z wnętrza wyrzały na niego fiołkowe oczy pełne łez.

Brent wyjął z ust żony knebel, mocno przyciśnięty chustką zawiązaną z tyłu głowy, po czym pomógł jej wydostać się ze skrzyni. Przycisnął Andreę do siebie i trzymał tak, zapominając, że musi jeszcze rozciąć krępujące ją więzy.

- Myślałem, że już cię straciłem - wyznał zduszonym głosem. - Odchodziłem od zmysłów.

- Wiedziałam, że się zjawisz - wykrztusiła Andrea. - Byłam pewna. - Potem zaczęła płakać. Zachłystywała się

łkaniem, wylewając potoki łez, czym zaskoczyła i siebie, i obejmującego ją Brenta.

Nie puszczał jej, dopóki się nie uspokoiła, po czym niechętnie odstawił na zamulony grunt. Scyzorykiem rozciął liny, przytrzymujące nadgarstki i kostki. Delikatnymi ruchami zaczął masować zdrętwiałe kończyny.

- Maddy - jęknęła Andrea, zaciskając zęby z bólu. - Co z Maddy?

- O wiele lepiej niż z tobą w tej chwili. Była przytomna i zdrowa, kiedy ją zostawiałem, choć bolała ją głowa. Tylko dzięki niej od razu wpadliśmy na to, kto cię porwał. Zatrzymaliśmy Shirley Cunningham. MacDonald też już jest pewnie w kajdankach. Obydwoje nieźle zapłacą za to, co zrobili.

Andrea spochmurniała.

- Chciałabym spędzić pięć minut w zamkniętym pokoju *sam na sam z wdową Cunningham - oświadczyła twardo.* - Ta wstrętna kobieta dogadała się z MacDonaldem, żeby się mnie pozbyć, bo chciała zdobyć ciebie!

- Nigdy nie miała na to najmniejszej szansy - stanowczo zapewnił Brent. - Jesteś jedyną kobietą, której pragnę.

Andrea zarzuciła mu ramiona na szyję, po czym uśmiechnęła się najbardziej kochanym i słodkim uśmiechem.

- Nie mogę zaprzeczyć, że Shirley Cunningham umie ocenić mężczyzn i klejnoty. Ale ponieważ okazała się taka podła, żałuję, że zmusiłeś mnie do zwrócenia jej biżuterii. Posiadała kilka cennych egzemplarzy. Nie przypuszczam, żebyś się zgodził na maleńki wypad...

- Absolutnie nie - przerwał jej ostro Brent. Ucinając dalszą dyskusję, pochylił się i zamknął usta Andrei długim i pełnym miłości pocałunkiem.

## 21

Przed wyjazdem do Filadelfii Andrea opuściła mieszkanie siostry i przeniosła się do Maddy. Teraz, kiedy wrócili do Waszyngtonu, Maddy upierała się, by Andrea i Brent zatrzymali się u niej, zamiast wynajmować pokój w hotelu. Taki układ wydawał się korzystny dla każdej ze stron, zwłaszcza że młoda para mogła opiekować się starszą panią, która nadal nie najlepiej się czuła.

W tym czasie reszta Sinclairów postanowiła wykorzystać pobyt w Filadelfii. Zostali w mieście na kilka dni, by zwiedzić wystawę. Potem wracali do Nowego Jorku, gdzie miała do nich dołączyć młoda para, kiedy już upora się ze sprawami, które należało załatwić w Waszyngtonie. Nie do końca zaznajomiona z sytuacją, a zwłaszcza nie wiedząc nic o kradzieżach dokonywanych przez Andreę oraz niebezpieczeństwie, które groziło jej siostrzeńcowi, rodzina Brenta była przekonana, że wyjazd do Waszyngtonu stanowił tylko krótką wyprawę po Stevie'ego i rzeczy Andrei. Nie mieli najmniejszego pojęcia o tajemniczej i niebezpiecznej akcji, którą musieli przedsięwziąć Brent i Andrea.

Kilka telegramów do Kena Browna dotyczących porwania Stevie'ego oraz okupu, którego żądał ojciec dziecka, wystarczyło, by prywatny detektyw przedsięwziął śledztwo. Ken miał się spotkać z Andreą i Brentem w Waszyngtonie. Wbrew obawom żony, Brent był pewien, że Ken zgodzi się

im pomóc, bo choć należał do drużyny Pinkertona, był także jego najlepszym przyjacielem. Razem wymyśla, w jaki sposób odzyskać dziecko. Postarają się, by Ralph słono zapłacił za łajdackie postępowanie i jednocześnie oczyszczą Andreę z wszelkich podejrzeń.

W kilka godzin po ich przyjeździe do stolicy Ken przechadzał się po salonie Maddy, starając się przetrwać wszystko, czego się dowiedział, i znaleźć drogę wyjścia z labiryntu, w którym znaleźli się Brent z Andrea.

- To absurdalne! - wykrzyknął. - Mój przełożony nigdy w to nie uwierzy! Szczerze mówiąc, po wysłuchaniu całej tej dziwacznej historii sam mam kłopoty z jej zrozumieniem. Brent, chłopie, ty i twoja żona wpadliście w niezły galimatias i trzeba będzie trochę pogłównkować, żeby was z tego wyciągnąć.

Brent ponuro kiwnął głową.

- Zdaję sobie z tego sprawę i dlatego skontaktowałem się z tobą, i to wbrew woli Andrei. Bała się, że zawiadomisz policję i wszystko źle się skończy.

Odpowiedzi detektywa towarzyszyła jego skwaszona mina.

- Zbyt długo się przyjaźnimy, żebym mógł cię zawieść, kiedy potrzebna ci pomoc. Poza tym, aresztowanie Andrei nie pomoże w rozwiązaniu problemu jej siostrzeńca i tego niegodziwca, Muttona. Jestem szalony, że daję się wciągnąć w to bagno, ale zdaję się, że nie możecie liczyć na inną pomoc.

- W takim razie naszym pierwszym zadaniem jest stworzyć jakiś rozsądny plan - podsunął Brent. - I natychmiast wprowadzać go w życie.

- Już poczyniłem pewne kroki - poinformował go przyjaciel. - Po otrzymaniu informacji o porwaniu Stevie'ego oddelegowałem do sprawy jednego z detektywów. Oczywiście po cichu. Miał obserwować Garden Hotel, sprawdzić, czy Mutton zjawi się tam, by odebrać informację od Andrei. Potem miał go śledzić do miejsca zamieszkania, żebyśmy wiedzieli, gdzie trzyma dziecko.

Andrea zmarszczyła brwi.

- Życzę mu większego powodzenia niż miałam ja pewnego razu, kiedy próbowałam zrobić to samo. Ralph mnie zauważył i omal mnie za to nie udusił. Ostrzegł mnie, żebym więcej tego nie robiła, bo zemści się na Stevie'm. Mam nadzieję, że pański detektyw umie być ostrożny.

Ken westchnął.

- Obawiam się, że niezbyt, Andreo. Dzisiaj po południu policja znalazła ciało Corbina w ustronnej uliczce. Miał poderżnięte gardło.

Po tym bezceremonialnym oświadczeniu dało się słyszeć trzy głębokie sapnięcia.

- Och, wielki Boże! -jęknęła Andrea. - Czy Ralph... czy on...

Ken dokończył jej myśl.

- W tej chwili nie jesteśmy w stanie ustalić, czy mordercą jest Mutton. Corbina mógł zabić zupełnie ktoś inny, co nie jest niczym dziwnym na peryferiach tego miasta.

- Przykro mi z powodu twojego pracownika - wyraził żal Brent. - Nie chcieliśmy nikogo narażać. Prawdę mówiąc, aż do tej pory nie sądziłem, że odzyskanie Stevie'ego może okazać się tak niebezpiecznym przedsięwzięciem, choć Andrea nieraz mnie o tym przekonywała.

- Czy ten biedak dowiedział się czegoś istotnego, zanim spotkał go ten smutny koniec? - z wahaniem zapytała Maddy.

- Jeśli nawet tak, nie miał czasu, by mnie o tym powiadomić.

Brent przeklął pod nosem.

- Musimy szybko coś postanowić, zanim Mutton skrzywdzi chłopca.

- O ile już tego nie zrobił - z przestachem mruknęła Andrea.

- Módlmy się o pomyślne rozwiązanie, ale przygotujmy na najgorsze - zaproponowała Maddy.

Ponownie przejmując przewodnictwo w rozmowie, Brent powiedział:

- Najbardziej logicznym posunięciem w tej chwili wydaje mi się, żeby Andrea skontaktowała się z Muttonem.

- Zgadzasz się - rzucił Ken, po czym rozwinął myśl. - Andreo, zostawisz mu list powiadamiający go, że masz resztę okupu, ale jest tego tak wiele, że nie możesz zostawić tego w recepcji hotelowej. Wyznacz mu spotkanie w jakimś publicznym miejscu.

-. Gdzie? - jednocześnie zapytali Andrea i Brent.

- Niech on zaproponuje miejsce, byleby nie była to jakaś odludna uliczka - poradził Ken. - Jeśli to Ralph zamordował Corbina, prawdopodobnie będzie bardzo podejrzliwy.

- Zwłaszcza jeśli to ty miałabyś dyktować mu warunki. Musimy jakoś uspić jego podejrzliwość - przestrzegł Brent.

Ken kiwnął głową.

- Przy odrobinie szczęścia zdołamy ustawić na wyznaczonym miejscu naszego człowieka. Będzie uzbrojony, ale ubrany tak, żeby nie rzucił się w oczy.

- Czy to w ogóle możliwe? - wtrącił Brent nieco sarkastycznie. - W Filadelfii Jenkins był pierwszym, na którego wszyscy patrzyli. Nawet Maddy zwróciła na niego uwagę. A nieszczęsny Corbin też widać nie pasował do tła.

Ken wzruszył ramionami, wcale nie obrażony.

- Łatwiej jest wmieszać się w tłum normalnych przechodniów. Jakiś urzędnik, robotnik, może dżentelmen na zakupach. Właśnie dlatego najlepiej jest wyznaczyć spotkanie gdzieś w otwartym terenie, jeśli tylko się to uda.

- Poza tym, doskonale by się stało, gdybyśmy złapali Muttona, kiedy będzie miał przy sobie skradzione przedmioty - rozmyślał na głos Brent.

- Masz nadzieję przerzucić winę na Ralphi? - dedukował Ken.

Brent twierdząco kiwnął głową.

- Wiem, że to nieco naciągane, ale to doskonałe rozwiązanie. Cała wina spadnie na Muttona, a Andrea będzie czysta.

- Ale Ralph z pewnością mnie wyda - zmartwionym głosem zauważyła Andrea.

- I nic mu to nie da - zapewnił ją Brent z pocieszającym uśmiechem. - Jako prawnik jestem przekonany, że gdy policja złapie go na gorącym uczynku, nie będzie się specjalnie przejmowała jego zeznaniami.

- Tak czy inaczej dobrze by było, żeby policja złapała go z biżuterią - wtrącił Ken. - Trudno byłoby ustalić, do kogo należy gotówka, natomiast skradzione przedmioty o wiele łatwiej jest zidentyfikować. Uwierzcie mi, że policja będzie wniebowzięta, kiedy okaże się, że seria przestępstw została dokonana przez jedną osobę. Oskarży się Ralpa o wymuszenie, kradzież, a może i o morderstwo, a wtedy miną długie lata, zanim ten bandzior ponownie zobaczy światło dzienne.

- Ale przynajmniej połowę przedmiotów ukradłam w czasie pobytu w Filadelfii, a Ralph był wtedy w Waszyngtonie - przypomniała Andrea. - Co więcej, większość przedmiotów została odesłana do właścicieli. Jeśli te kradzieże chcemy przypisać Ralphowi, czy nie będzie wyglądało dziwnie, że oddał część łupów?

Brent machnął ręką.

- Niekoniecznie. Dlaczego ktoś miałby się upierać, że kradzieże w Filadelfii i Waszyngtonie to robota Ralpa? Ken może potwierdzić, że dziwne zbiegi okoliczności zdarzają się, nawet w świecie przestępczym. Czasami tylko przez zwykły zbieg okoliczności różne wykroczenia są do siebie podobne czy też wyglądają na popełnione przez jedną osobę. Bywa też, że ktoś popełni jakąś zbrodnię, a druga osoba stara się go naśladować, po to, żeby zmylić policję lub po prostu z czystego podziwu.

Odezwała się Maddy.

- Mówią że naśladownictwo to forma uznania. Czy właśnie tak zamierzasz tłumaczyć kradzieże w Filadelfii?

- Byłoby bardziej przekonujące, gdyby uczynił to Ken - zasugerował Brent.

- Oczywiście, podam to jako uzasadnione wytłumaczenie

- zgodził się detektyw. - Poza tym nasz plan to tylko założenia. Musimy mieć kilka błyskotek, które dasz Ralphowi, żebyśmy mogli złapać go na gorącym uczynku. A tak przy okazji, czy dostałeś już pieniądze z Waszyngtonu, Brent?

- Tak, będą czekały na mnie jutro w banku.

- Mam kilka cennych przedmiotów, które możesz do nich dodać - zaproponowała wielkodusznie Maddy. - Zresztą, jak już raz zauważył Brent, dziwnie to wygląda, że z naszego kręgu tylko ja i Andrea nie zostałyśmy okradzione. Mam teraz szansę na dołączenie do grona ofiar złodzieja. Andrea także może coś dorzucić, choć nic bardzo wartościowego.

Ken potrząsnął głową.

- Doceniam pani ofertę, ale niezupełnie to miałem na myśli. Takie posunięcie w oczach prawa mogłoby tylko bardziej wiązać was z Muttonem.

- To prawda - zgodził się Brent - a właśnie tego chcemy uniknąć.

Ken zwrócił się do Andrei.

- Waham się zaproponować ci to, co chodzi mi po głowie. Wręcz odrzęcza mnie ten pomysł. Ale byłoby doskonale, gdybyś okradła kilka niczego nie podejrzewających osób. Najlepiej kogoś z okolicy, w której zamieszkuje Mutton. Wtedy oprócz pieniędzy na okup dostarczylibyśmy Ralphowi te przedmioty.

Brent wpatrywał się w kolegę w osłupieniu i niedowierzaniu.

- Człowieku! Czy postradałeś rozum? A co będzie, jeśli ją złapią?

- Wiem, że to ryzykowne, Brent, ale tylko to w tej chwili przychodzi mi do głowy. Przedmioty, które zostaną znalezione przy Ralphie, muszą być łatwe do zidentyfikowania przez ich właścicieli, a my nie mamy nic. Same pieniądze nie wystarczą. Zaspokoją żądania Muttona, lecz nie udowodnią policjantom, że to on jest złodziejem, którego od dawna szukają.

Andrea uspokajająco poklepała męża po ramieniu.

- Nie martw się tak, Brent. Stałam się ekspertem w tej dziedzinie. Bez trudu ukradnę kilka cennych sztuk.

- Nie! Zabraniam ci!

Delikatny uśmiech na jej twarzy zmienił się w groźną minę.

- Mówimy tu o ratowaniu mojej głowy, Brent. Nie mam ochoty do końca życia oglądać się ukradkiem przez ramię, ciągle przerażona, że ktoś dowie się o moich uczynkach i zarzuci mi je. Chcę, by cała sprawa została rozwiązana tu i teraz, w taki czy inny sposób. I jeśli ukradzenie kilku błyskotek ma w tym pomóc, a Stevie i my wszyscy uwolnimy się od Muttona, zrobię to z przyjemnością.

Małżonkowie wymienili spojrzenia, podczas gdy reszta czekała na ich decyzję. Ku zaskoczeniu Kena, pierwszy ustąpił Brent.

- Zgoda, mój piękny złodzieju. Jeszcze jedna krótka eskapada. Ale będę przy tobie przez cały czas. Nie puszcze cię samej.

Posłała mu szelmowski uśmiech.

- Wcale tego nie pragnę. Z całą przyjemnością zabiorę cię ze sobą. Tylko żebyś nie dał się złapać. Twoja matka nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Ken wzdrygnął się żartobliwie.

- Boże broń! Już widzę całą rodzinę Sinclairów z wyceLOWANYMI we mnie lufami pistoletów! Dziękuję bardzo, Andreo, za tę wspaniałą wizję! Tak jakby ta sprawa i tak nie była dostatecznie pogmatwana!

- Och, a wydawało się, że uwielbiasz wyzwania - Brent z humorem skomentował wypowiedź kolegi.

Ken przewrócił oczami.

- Wyzwania tak, ale tu trzeba dokonać cudu, a to nie należy do moich najmocniejszych stron.

Tak jak ustalili, następnego dnia Andrea dostarczyła wiadomość dla Ralpa do Garden Hotel. W drodze, posiłkując się poręcznymi szczypcami, ogołociła kilku przechod-

niów z co cenniejszych przedmiotów. Brent obserwował jej poczynania, krocząc kilka kroków tuż za żoną. Tak samo jak poprzednio, zadziwiła go zręcznością. Pocieszał się myślą, że przedmioty, które ukradła, wyglądały na tyle charakterystycznie, że kiedy tylko Ralph zostanie pochwycony, a policja zamieści informację o tym w prasie, poszkodowane osoby z łatwością rozpoznają swoje dobra.

Obecnie, po przekazaniu Ralphowi wiadomości, pozostawało im tylko czekać na jego odpowiedź. Wszyscy siedzieli jak na szpilkach, Brent zaś krążył po pokoju niczym dziłkie zwierzę na uwięzi. Andrea i Maddy ostrzegły go, że jeśli nie przestanie, przywiążą go do krzesła. Właśnie podczas takiego krążenia wpadła mu w ręce mała statuetka z brązu, wciśnięta na tył szafki w pokoju Andrei, w którym teraz mieszkali.

Panie znajdowały się w saloniku, starając się zająć szyciem, kiedy Brent z hukiem zbiegł po schodach. Wpadając do pokoju, podsunął Andrei figurkę pod nos i patrząc na nią groźnie, zapytał szorstko:

- Czy to jest twoja własność, moje ty złotko?

Andrea skrzywiła usta i głębiej wbiła się w krzesło.

- Niezupełnie.

-W takim razie mam nadzieję, że właścicielką jest Maddy.

Starsza pani przecząco pokręciła głową.

- Nie, ale ta figurka jest mi skądś znana. Jestem pewna, że już gdzieś widziałam te dziwaczne rzeźbienia.

Brent zdusił westchnienie.

- Andreo, powiedz, że to nie jest statuetka, która zniknęła z pałacu prezydenckiego.

Andrea przygryzła dolną wargę i niechętnie kiwnęła głową.

- Nie chciałam jej ukraść, Brent.

- Jak to, nie chciałaś jej ukraść? - zapytał z udawanym spokojem. - Do diabła, Andreo! Kiedy tylko coś sobie zdołamy wyjaśnić, zaraz wypływa na wierzch nowa sprawa.

- Przykro mi. Zupełnie zapomniałam o tej szkaradnej figurce! Pewnego wieczoru znajdowałam się w bibliotece

prezydenta i trzymałam statuetkę w rękach, kiedy nagle wszedł jeden z gości. Tak mnie zaskoczył, że automatycznie wepchnęłam ją do kieszeni, a potem po prostu zapomniałam odstawić ją na miejsce. Dałam ją Ralphowi, ale on oddał mi ją, mówiąc, żebym nie wciskała mu takich śmieci. Nie wiedziałam, co z tym zrobić, więc odstawiłam na półkę w swoim pokoju.

- Zgadzam się, że figurka nie wygląda na cenną - oświadczył Brent - ale już kilka tygodni temu Ken powiedział, że od łąat znajdowała się w pałacu prezydenckim.

Andrea jęknęła. Maddy tylko się uśmiechnęła.

- A więc to nie jest własność Lyssa ani Julii? Wiedziałam, że mają lepszy gust.

- Nie. Ale jest to prezent od jakiegoś zagranicznego potentata dla któregoś z poprzednich prezydentów, choć nikt nie pamięta dla którego. Odchodząc zostawił figurkę na wyposażeniu pałacu.

- Sprytny człowiek - mruknęła Andrea. - To był najprawdopodobniej najprostszy sposób na pozbycie się jej, nie urażając przy tym nikogo.

- To w tej chwili nie jest istotne. Ukradłaś narodową własność i należy ją zwrócić. Myślę, że załatwimy to drogą pocztową i będziemy się modlić, żeby statuetka nie zaginęła po drodze.

- Och, po co przysparzać sobie tylu kłopotów? - odezwała się Maddy, odkładając na bok szycie. - Wyślę liścik do Julii, powiadamiając ją, że już wróciłam i że wpraszam się na herbatkę z ciekawostkami z wystawy. Naturalnie, jak zazwyczaj, zabiorę ze sobą Andreę. Sama odstawi na miejsce statuetkę. Ty też możesz iść, jeśli masz ochotę.

Brent machnął głową, jakby chciał otrząsnąć się z zaćmienia.

- Dla ciebie to takie proste! Liścik, powitanie, i nagle pijesz herbatkę z żoną prezydenta! Wielkie nieba! Prawie nie mogę w to uwierzyć!

Maddy roześmiała się.

- To nic takiego, młodzieńcze. Robiłam tak od lat. Szok nastąpi w chwili, kiedy któreś z nich mi odmówi. Właśnie dlatego proponowałam skontaktowanie się z Lyssem, kiedy dowiedziałam się o kłopotach Andrei. Jednakże, biorąc pod uwagę fakt, że ukradła coś z jego rezydencji, może rozsądniej byłoby wykorzystać inne środki, zanim przedstawimy mu otwarcie całą sytuację.

Zgodnie z przypuszczeniami Maddy, cała czwórka została zaproszona do pałacu prezydenckiego na następne popołudnie. Brent długo męczył się z wyborem krawata, a kiedy już podjął decyzję, Andrea stwierdziła, że jej zazwyczaj pewny siebie mąż ogromnie się denerwuje czekającą ich wizytą.

- Nie ma się o co martwić, Brent - zapewniła go. - Jestem pewna, że bez przeszkód odstawię statuetkę. I nie obawiaj się spotkania z prezydentem i jego żoną, bo są oni bardzo miłymi ludźmi.

- Jestem o tym przekonany - odpowiedział, jeszcze raz podejmując walkę z krawatem, który jakoś nie chciał odpowiednio się ułożyć. - Jednakże, w przeciwieństwie do ciebie i Maddy, czuję się nieco skrępowany, gdyż jest to dla mnie niecodzienne wydarzenie. Polityka administracji Granta okazała się niewypałem, a pracownicy bandą oszustów, ale generalnie sam Grant jest kimś. Tak więc, z jednej strony podziwiam człowieka, z drugiej uważam, że całkowicie zawiódł. Gdybyż potrafił tak kontrolować Kongres, jak radzi sobie z armią... Poza tym, zastanawiam się, o czym mam z nim rozmawiać.

- Po prostu życz mu szczęścia w każdym przedsięwzięciu, do którego się będzie przymierzał - poradziła. - W końcu Hayes wygrał nominację republikanów i w jesiennych wyborach będzie stawał przeciw Tildenowi z twojego stanu Nowy Jork. Prezydent Grant wkrótce ustąpi z fotela, prawdopodobnie z wielką ulgą. Julia już pewnie rozpoczęła pakowanie.

- Dobrze by się stało - stwierdził z rozdrażnieniem Brent. - Może w ferworze pakowania nikt się nie zdziwi, że ni stąd, ni zowąd statuetka nagle wróciła na miejsce.

Cofnął się o krok, by przyrzeć się krawatowi w lustrze, po czym przeklął ze zniechęceniem. Andrea w końcu się nad nim ulitowała i kilkoma zwinnymi ruchami zawiązała wspinały węzeł.

- Ale gala! - rzucił Brent, klepiąc ją lekko po pośladku.

- Uśmiechaj się - poradziła Andrea, wspinając się na palce i składając na ustach męża słodki pocałunek. - Jesteś o wiele bardziej czarujący bez tej pochmurnej miny, a przecież chcesz zrobić dobre wrażenie. Zresztą nie mogę się już doczekać, kiedy przedstawię mojego przystojnego męża śmietance towarzyskiej Waszyngtonu. Wszystkie panie zzielenieją z zazdrości.

Po prawie ośmiu latach sprawowania funkcji Pierwszej Damy Julia Grant niezaprzeczalnie stała się wyśmienitą panią domu. Bardzo szybko udało jej się sprawić, by goście poczuli się swobodnie. Po kilku zdaniach na temat polityki rozpoczęła rozmowę o wystawie i ślubie Andrei.

Oprócz Maddy i jej towarzyszek zjawili się także zawsze popularni Lucille i Harold Huffmanowie oraz Freddy Newton. Andrea z niesmakiem stwierdziła, że kiedy tylko rzuciła na nich okiem, natychmiast na jej policzkach wykwitł ogromny rumieniec. Oczywiście, w tym momencie Brent popatrzył na nią i zauważył jej reakcję. Na jego pytające spojrzenie, potrząsnęła głową.

- Później - szepnęła, modląc się w duchu, by mąż zapomniał o całym incydencie.

Co gorsza, Lucille z miejsca ogromnie zainteresowała się Brentem. Kiedy tylko jej mąż odwracał wzrok, posyłała mężowi Andrei spojrzenia pełne podziwu, otwarcie z nim flirtując.

W chwili gdy okazało się, że jest prawnikiem, zamrugała słodko rzęsami i oświadczyła:

- Och, ja po prostu przepadam za adwokatami! Są tacy mądrzy! I tacy zaradni! Czy pan także jest taki, panie Sinclair?

- Staram się - krótko odpowiedział Brent, nie rozwodząc się na ten temat. Siedząca przy nim Andrea zgrzytała zębami.

Po jakiejś minucie Lucille nie wytrzymała i ponownie zwróciła się do Brenta.

- Wiem, że to niezbyt grzeczne zwracać uwagę na takie rzeczy, panie Sinclair, ale pana oczy są fascynujące. Takie złote i jakby... zwierzęce! - Przy tych słowach Lucille zadrżała, co, jak domyślała się Andrea, miało na celu zaintrygowanie Brenta.

- Uważaj, Lucillo - ostrzegła Andrea, obrzucając ją stalowym wzrokiem. - Przypomnij sobie opowieść o dziewczynie, która jechała na grzbiecie tygrysa. Nie śmiała się długo.

- Och, ale ja tak kocham wszystkie zwierzęta - sapnęła Lucilla. - Im są dziksze, tym lepiej.

Choć Brent, co prawda grzecznie, ale jednak ignorował adorującą go damę, Andrea kipiała ze złości. Podobnie Freddy, który w ramach zemsty rozpoczął własną małą subtelną batalię, której celem było emablowanie Andrei.

Obawiając się, że wkrótce dojdzie do otwartej walki, Maddy postanowiła natychmiast rozładować atmosferę i zaproponowała, by Brent, który pierwszy raz gościł w pałacu prezydenckim, rozejrzał się i zwiedził go. Julia o choczko podtrzymała propozycję przyjaciółki, ale, nie chcąc opuszczać reszty gości, zasugerowała, by rolę przewodnika wzięła na siebie Andrea.

- Byłabyś tak miła, kochanie? Znasz tu wszystko. Proszę tylko, byście nie patrzyli na panujący w domu bałagan związany z przeprowadzką. Aha, kiedy dotrzecie do biura Lyssa, przypomnijcie mu, proszę, żeby dołączył do nas, gdy tylko skończy pracę. Przyrzekł mi to.

Lucille poderwała się, mówiąc, że ona także chce towarzyszyć Brentowi, na co Julia pospiesznie jej przerwała:

- Och, ale ja nie mogę się doczekać, aż mi opowiesz o swoich planach przeróbki twojego pięknego domu. A ty, Freddy, podobno masz być pomocnikiem artystycznym.

Andrea i Brent wymknęli się z saloniku i skierowali prosto do małej biblioteki, znajdującej się na tyłach korytarza. Kiedy znaleźli się w środku, Andrea wyjęła z kieszeni statuetkę i ustawiła ją w głębi narożnej półki na książki. Oboje odetchnęli z ulgą.

- Zmykajmy stąd, zanim ktoś tu zajrzy - ponaglała Andrea. - Nie chcę nigdy więcej przebywać w pobliżu tej szkaradnej figurki.

- Nie tak szybko, moja ty zarumieniona żono. - Łapiąc ją za łokieć, Brent odwrócił Andree do siebie. - Najpierw powiesz mi, co, do diabła, jest między tobą a tym imbecylem Freddy. Kiedy go zobaczyłaś, zaczerwieniłaś się po korzonki włosów.

- Ach, to nic takiego. Naprawdę.

- Jeśli tak, to dlaczego zrobił na tobie takie wrażenie? - zdziwił się Brent. - No, wyrzuć to z siebie, Andreo. Całą prawdę.

- Ja... uch... och..., tam do diaska! Jeśli musisz wiedzieć, to leżałam pod łóżkiem w pokoju Jeffersona na górze, podczas gdy Freddy i niewierna pani Huffman uprawiali miłość! Uwierz mi, że było to dla mnie wielce krępujące przeżycie, po którym do tej pory nie mogę się otrząsnąć. Dziękuję Bogu, że przynajmniej nie wydało się, że tam leżę.

Brent wpatrywał się w żonę w osłupieniu.

- Chcesz powiedzieć, że się tam ukryłaś i wszystko słyszałaś?

- Gorzej. Przez chwilę także widziałam!

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Brent. - Widziałaś ich... uch..

- Nagusieńkich - skończyła za niego suchym głosem. - Tak. I powiem, że było to niczego sobie przeżycie. Po raz pierwszy widziałam dorosłego mężczyznę jak go pan Bóg stworzył.

Brent nie przestawał wpatrywać się w żonę. W końcu odzyskał głos i wybuchnął:

- Nie mam pojęcia, jak na to zareagować. Nie jest przyjemne dowiedzieć się, że własna żona widziała innego mężczyznę nago, nie wspominając już o tym, że była świadkiem, jak ten mężczyzna uprawia miłość z damą.

Andrea sapnęła nerwowo.

- Brent, nie widziałam samego aktu, choć słyszałam więcej, niż bym chciała. A Lucilla nie jest damą. Słowo wierność nie istnieje w jej słowniku. Co więcej, jeśli choćby uśmiechnie się znowu do ciebie, będę zmuszona powrywać jej wszystkie włosy z głowy.

- Po tym, co usłyszałem, to samo może zagrażać Fredy'emu - oznajmił Brent.

Andrea nagle uśmiechnęła się i z kpiącą miną rzuciła:

- Jeśli przyniesie ci to jakąś ulgę, to powiem, że pan Bóg o wiele lepiej zadbał o ciebie niż o niego. Przy tobie Freddy po prostu wysiada!

## 22

Po powrocie do domu Andrea podeszła do Brenta i pomachała mu przed nosem szafirowo-diaamentowym naszyjnikiem.

- Czy to ci coś przypomina? - zapytała wesoło.

Popatrzył na nią zaskoczony.

- Andreo!

Maddy zapiszczała i klasnęła w dłonie.

- Och, Andreo! To jest najbardziej ulubiony naszyjnik Lucilli. Kiedy stwierdzi, że go zgubiła, wpadnie w rozpacz!

- Należało jej się za flirtowanie z Brentem - oświadczyła dziewczyna. - Zresztą, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, otrzyma go z powrotem, kiedy przyłapią Ralpa.

Brent zmarszczył brwi.

- Wytłumacz mi, jak chcesz to zrobić, żeby kradzież spadła na Muttona. Pani Huffman bez wątpienia zorientuje się, że kolia zginęła jej w czasie wizyty u prezydenta, a nie sędzę, żeby Ralph był jego częstym gościem.

- Rozważyłam to, kochanie. Ukradłam naszyjnik w chwili, gdy Lucilla wsiadała do powozu i tak serdecznie obejmowała nas na pożegnanie. Co zresztą było zwykłym wybiegiem, żeby przytulić się do ciebie. Poza tym tak się złożyło, że usłyszałam, iż państwo Huffman wraz z Freddym wybierali się przed obiadem na zakupy, a potem do teatru.

Kiedy Lucilla odkryje, że zginął jej naszyjnik, będzie musiała wrócić pamięcią do tysiąca miejsc. A Ralph mógł znajdować się w każdym z nich.

- Tak czy inaczej, nie powinnaś była tak ryzykować - mruknął niezadowolony Brent.

Andrea wzruszyła ramionami, wcale nie przejęta.

- Twój kolega od Pinkertona kazał mi zebrać kosztowną biżuterię - przypomniała. - Okazja sama pchała się w ręce, że tak powiem, zwłaszcza że ta zdzira tak ci się narzucała. Poza tym miałam do wyboru albo ją okraść, albo wydrapać jej oczy, a nie chciałam obrazić Julii.

Wreszcie, po nie kończącym się oczekiwaniu, kiedy Andrea prawie już odchodziła od zmysłów, nadeszła wiadomość od Ralpa. Dostarczył ją mały ulicznik, zarzekający się, że nie zna mężczyzny, który zapłacił mu za tę usługę.

Sama notatka była krótka i treściwa, choć umyślnie niejasna, w razie gdyby dostała się w niepowołane ręce.

*Sobota. Dwunasta w południe. Center Market w Moll. Przyjdź sama. Nie spóźnij się.*

- Och, Brent! -jęknęła Andrea po odczytaniu liściku. - Jeszcze dwa dni! Dlaczego on mi to robi? I Stevie'emu? Wiem przecież, że chce się go pozbyć, więc po co to odwlekanie? Nie myślisz chyba, że podejrzewa jakąś pułapkę? A jeśli zrobił już coś strasznego temu biednemu dziecku?

- No, kochanie, nie zamartwiaj się na zapas - uspokajał żonę Brent, przytulając ją do siebie, by mogła wypłakać się na jego piersi. - Wątpię, żeby coś podejrzewał. Po prostu jest ostrożny.

Ken, bardzo w tej chwili podniecony wiadomościami od Andrei, zgodził się z przyjacielem.

- Przypuszczam, że wybrał sobotę, ponieważ liczy na tłok i zamieszanie. Nikt nie zwróci na was uwagi, kiedy będziecie wymieniać kosztowności na dziecko. Przynajmniej

tego się spodziewa. Jednakże ustalając termin na niedzielę, daje nam czas na przygotowania. Teraz, kiedy znamy dokładną godzinę i miejsce, możemy postawić tam naszego funkcjonariusza, który będzie czekał na jego przybycie. I bardzo mnie cieszy fakt, że wybrał środek dnia i to w publicznym miejscu. Sam nam się pcha w ręce. Chciałbym tylko wiedzieć, jak ten facet wygląda. Wielki, nieprzyjemny brutal to nie jest opis zaspokajający nasze wymagania.

Andrea pociągnęła nosem, a na jej twarzy zaczął zakwitać słaby uśmiech.

- Przepraszam Ken, ale Lilly nie miała jego zdjęcia, a mnie nigdy nie przyszło do głowy prosić go o nie. Podejrzewam, że w sklepie będzie się kręciło mnóstwo niechlujnych, grubych szczurów rynsztokowych z przetłuszczonymi włosami, ale ilu towarzyszyć będzie dziecko? To powinno wyróżnić go spośród tłumu wielkich, prymitywnych bandziorów.

- Zgoda, jednak i tak będziemy chyba musieli poczekać, aż do niego podejdziesz, żeby zyskać całkowitą pewność. Poza tym Ralph musi dostać do rąk kosztowności. A to oznacza, że zanim nadejdzie pomoc, ty i Stevie możecie znaleźć się w niebezpieczeństwie. Będziesz musiała bardzo ostrożnie odgrywać swoją rolę, nie dając po sobie poznać, że jesteśmy w pobliżu.

W tej chwili Andrei przyszła do głowy nagła myśl. Ponownie przeczytała krótki liścik. Ręce zaczęły jej się trząść i gwałtownie pobladła.

- Właśnie sobie uzmysłowiłam, że Ralph nic tu nie pisze na temat Stevie'ego. Co będzie, jeśli go ze sobą nie przywiodzie? Jeśli...

- Gdyby żaba miała skrzydła, to mogłaby fruwać - wtrąciła Maddy. - Nie ma co dywagować i zastanawiać się, co robi Ralph. Po prostu musimy czekać, a w odpowiednim momencie działać.

Brent i Ken ze zdziwieniem popatrzyli na staruszkę, zaskoczeni jej cudacznym porzekadłem, lecz Andrea tylko

kiwnęła głową, jakby doskonale rozumiała ekscentryczną pracodawczynię.

- To prawda, ale tak bardzo tęsknię za Stevie'm i tak bardzo się o niego boję. Sobota jest dopiero za dwa dni, a i wtedy coś się może nie powieść. Chcę odzyskać dziecko. Potrzebuję go, a ono mnie.

Andrea obudziła się w sobotni rano całkowicie trzeźwa, podniecona i niezdolna leżeć nawet minuty dłużej. Przez jakiś czas przewracała się z boku na bok, skopując z siebie kołdrę, aż wreszcie obudziła tym Brenta. Wstała więc, narzuciła szlafrok i zaczęła krążyć po pokoju.

Brent z troską w oczach patrzył na żonę. W końcu, porzucając wszelkie nadzieje na dalszy wypoczynek, odrzucił pościel i wyciągnął ramiona w stronę Andrei.

- Chodź tu, kochanie - powiedział. - Wróć do łóżka i pozwól, że jeszcze przez chwilę cię poprzytulam. Jesteś roztrzęsiona jak misjonarz na zebraniu kanibali! Rób tak dalej, a do południa zostanie z ciebie strzępek nerwów.

- Nic nie mogę na to poradzić - jęknęła Andrea, rzucając mu udęczone spojrzenie. - Wszystko we mnie aż piszczy. Czuję się jak struna napięta do granic możliwości.

Ponieważ nie podeszła do niego, Brent wstał i wcale nie zawstydzony swoją nagością zbliżył się do żony. Bez jednego słowa wziął ją w ramiona i przeniósł na łóżko. Położywszy ją delikatnie na pościeli, pochylił się nad nią, wiążąc ją w objęciach i wpatrując się w nią złotym spojrzeniem.

- Kiedy wreszcie się nauczysz, że jestem tu, by dzielić z tobą twoje zmartwienia? Nie musisz już więcej walczyć w pojedynkę, kochana. Umiem pokonać smoka gołymi rękami, gdyby to było konieczne. Ale teraz, w tej chwili, najlepsze, co mogę zrobić, to zmniejszyć twoje napięcie.

- Wdzięczna ci jestem za chęć udzielenia mi pomocy, Brent, ale wątpię, żebyś mógł w tej chwili coś mi dać.

*Mężczyzna* wysoko uniósł brwi, a *oczy* załśniły mu diabelsko.

- Wyobrażam sobie, że to będzie zależało od rodzaju pomocy, jaką pragnę ci zaoferować, nie sądzisz?

Mówiąc to, wyciągnął ręce do paska szlafroka, rozsunał go, odsłaniając jedwabiste ciało żony.

- Nigdy nie przestanę się dziwić, jak pięknie jesteś zbudowana - mruczał. - Za każdym razem wprawiasz mnie w zachwyty.

Pochylił się. *Andrea* rozchyliła wargi w oczekiwaniu na *pocałunek*, ale wkrótce okazało się, że nie one były celem *Brenta*. Usta mężczyzny spoczęły lekko na jej piersiach. Najpierw owiał je ciepłym oddechem, gładząc wargami, a potem powoli objął całe, delikatnie naciskając zębami.

*Andrea* jęknęła cicho. Nagle jej myśli skupiły się na *Brencie* i jego grze miłosnej. W tej chwili zapomniała o całym świecie. Jakby posłuszna najlżejszym ruchom męża, wygięła do przodu ciało wibrujące do taktu zmysłowej melodii. Zalała ją fala gorąca. Palce same wbiły się w ciemną czuprynę, przyciągając ją do piersi, z niemą prośbą o więcej.

- *Tak* - wyszeptała. - *Och, tak!*

Przeniknął ją nagły dreszcz, kiedy ręce kochanka zsunęły się po bokach, doszły do wcięcia talii i dalej do wypukłości bioder. Palce męża delikatnie łaskotały wewnątrz jej ud, posuwając się do centrum jej pożądania. Poddając się, rozchyliła nogi, zapraszając do zbliżenia.

Choć wiedziała, co ją czeka, pieszczota miejsca, w którym skupiło się całe jej pragnienie, sprawiła, że nagle poczuła, jakby przeszyła ją rozgrzana do czerwoności błyskawica. Po sekundzie wiła się dziko pod ciałem kochanka, poddając się *bezwstydnie boskim* doznaniom. *Chciała*, by akt miłosny trwał wiecznie, choć czuła, że wkrótce ogrom rozkoszy ją zabije.

To, co przeżywała, graniczyło z ekstazą, lecz nagle jęknęła, bo *Brent* niespodziewanie się odsunął. Zabrał jej ten wspaniały moment uniesienia. Natychmiast wyciągnęła ra-

miona i pochwyciła w niego męża, pragnąc, by znowu do niej przywarł.

Roześmiał się, wyrwał się z uścisku, pochwycił Andree w tali i jednym ruchem przerzucił ją na brzuch.

- Przykro mi, kochanie, ale lubię bułeczki posmarowane masłem z obydwu stron.

Odrzucając z oczu jasne pasmo, Andrea popatrzyła na niego przez ramię.

- Nie jestem bułeczką, za to ty, Brent, jesteś podstępny węże! Jak śmiesz robić mi coś takiego? Doprowadź mnie do...

- Rozkoszy? - skończył za nią, zachłystując się śmiechem. Pchnął ją lekko na łóżko, pochylił się i ochrypłym głosem szepnął jej do ucha: - Nie obawiaj się, najmilsza. Jeszcze daleko do końca. Najlepsze dopiero się zdarzy.

Niczym porażona prądem, wstrząsnęła się z pożądania. Drżała dalej, bo Brent ciepłymi pocałunkami obsypywał jej plecy, po czym jego wilgotny język przesunął się aż do karku. Ogarnięta zachwytem, całkowicie zauroczona, Andrea znowu dała się zaskoczyć, kiedy kochanek ponownie zmienił taktykę. Jeszcze przed sekundą doprowadzał ją do granic rozkoszy, gdy wtem mocno nacisnął dłońmi na mięśnie ramion i zaczął je masować.

Pomimo złości, nie potrafiła powstrzymać jęku zadowolenia, bo rzeczywiście masaż czynił cuda. Nie zważając na pełen zarozumiałości śmiech męża, wygodnie rozłożyła się na łóżku. Nie zastanawiała się już, co ma jeszcze nastąpić. Była pewna, że będzie to coś wspaniałego.

Zrelaksowała się, przysięgając sobie, że się stąd nie ruszy, nawet gdyby zależało od tego jej życie, kiedy nagle Brent uczynił coś, co sprawiło, że podskoczyła jak oparzona. Bez żadnego uprzedzenia palce kochanka wdarły się pomiędzy jej rozsunięte uda prosto do świątyni rozkoszy.

Andrea wydała z siebie okrzyk zaskoczenia.

- Ty podstępny diable! Przestań mnie katować, bo za chwilę oszaleję!

- Ale ja chcę, byś oszalała, kochanie - wymruczał miękko, nie przestając jej pieścić. - Oszalała z pożądania. Oszalała za mną.

Mówiąc to, podciągnął Andreeę na kolana, robiąc między nimi miejsce dla siebie. Jego dłoń odszukała pierś, po czym zaczęła gładzić i pieścić nabrzmiałe sutki. Drugą ręką objął żonę w pasie i położył palce na wzgórku miłości. Jeden z nich przedarł się przez gąszcz, docierając do gorącego i wilgotnego centrum.

Andrea dyszała, prawie łkała.

- Brent, proszę! Chcę ciebie teraz! Tak bardzo cię pragnę, że to aż boli!

Próbowała się odwrócić, popatrzeć mu w twarz, ale nie pozwolił jej na to. Potem wszedł w nią od tyłu. Z nagłą. W sam środek. Wbił się w nią z gwałtownością zadającą kłam dotychczasowemu droczeniu się.

- Słodkie nieba! - Stęknął przez zaciśnięte, zęby. - Jesteś taka gorąca i miękka! Jak płonący kawałek satyny!

Szybko przechodząc do porządku naci faktem, że wziął ją w ten sposób, Andrea nie mogła się nadziwić, jak dogłębnie ją wypełnia. Czuła go w sobie - pulsującego, napierającego na jej łono. Wszystko w niej stało się nagle ogromnie wrażliwe, czułe na najmniejsze poruszenie.

Instynktownie przywarła do niego, dopasowując ciało do jego rytmu, pozwalając, by wszedł jeszcze głębiej, dostosowując się do tempa.

Świat wirował wokół nich, upojenie porwało ich wysoko do zalanego słonecznymi promieniami nieba. Ich dusze połączyły się, buchając świetlistą rozkoszą. Na skrzydłach uniesienia spływali powoli ku ziemi - ich serca na zawsze były ze sobą złączone.

Bezpieczna w objęciach Brenta, Andrea zapadła w niepokojną drzemkę. Brent jednakże nie zasnął. Teraz on zaczął rozpatrywać w myślach przyszłe wydarzenia, starając

się przewidzieć wszystkie ewentualności i przeciwności, na jakie może napotkać ich plan.

Kiedy obudził żonę, pozostało jej tylko pół godziny na umycie się, ubranie i kilka pospiesznych łyków kawy. Nie przeszkadzało jej, że nie ma czasu na porządne śniadanie, bo i tak nie mogłaby nic przełknąć. Sama nie wiedziała, kiedy znalazła się z mężem w powozie.

Wysiedli z niego dwie przecznice przed budynkiem marketu, resztę drogi idąc piechotą. Ponieważ Andrea miała stawić się na miejscu spotkania sama, Brent kroczył kilka kroków za nią, uważając, by nie stracić jej z oczu, ale też nie pokazując, że jej towarzyszy.

Dotarliśmy do głównego wejścia, Andrea rozejrzała się dokoła. Przed nią rozciągał się olbrzymi budynek miejskiego marketu. Podjazd tarasowały różnorodne pojazdy i rozklekotane stoiska z mnóstwem towarów.

W Waszyngtonie było wiele sklepów, w których ludzie zaopatrywali się w żywność i inne produkty w ciągu tygodnia, jednak okoliczni farmerzy zwozili w soboty świeże warzywa i owoce do miasta i wystawiali je na sprzedaż. Zwłaszcza latem i wczesną jesienią. O tym, że jest to dla mieszkańców niewątpliwa atrakcja, świadczyły tłumy kupujących.

Przekupnie zachwalali tu głośno swoje towary. Straganiarze, którym udało się wywalczyć lepsze miejsca, zachęcali przechodniów do zakupów, chętnie obniżając ceny. Tuż obok znajdował się targ sienny, a po drugiej stronie ulicy tętniące życiem Hale. Niedaleko było kilka parków i muzeów, Smithsonian Institution, arsenał, ogród botaniczny, ministerstwo rolnictwa i nie dokończony pomnik Waszyngtona. Obok Hal trwała właśnie aukcja koni, która przyciągnęła tłum gapiów i kupujących.

Gdzieś pośród tego tłumu łotr i mały chłopiec czekali na Andreę. Zrazu nie dostrzegła Ralpa i Stevie'ego, zauważyła natomiast po drugiej stronie ulicy rozmawiającego z jakimś mężczyzną Kena. Skinął jej lekko głową.

Podszedł do niej Brent, uchylając kapelusza.

- Widziałaś go? - spytał cicho.

Andrea posłała mu wymuszony uśmiech.

- Jeszcze nie. Myślisz, że powinnam rozejrzeć się za nimi?

- Broń Boże. Stój tutaj i czekaj, aż Ralph sam do ciebie podejdzie. Nie stracimy cię w ten sposób z oczu, będziesz mogła pokazać go nam. Pamiętasz umówiony znak?

- Tak. Mam otworzyć parasolkę, gdy tylko go zauważę.

- Właśnie. Będę w pobliżu. Pilnuj dobrze sakiewki, dopóki nie dasz jej Ralphowi. Ten tłok to raj dla kieszonkowców.

Kiedy odszedł, poczuła się strasznie osamotniona, mimo że stanął kilka kroków dalej i podziwiał dojrzałe truskawki na pobliskim straganie.

Zaczęła już wątpić, czy Ralph przyjdzie na spotkanie. Przez następnych kilka minut wzięła zań trzech innych mężczyzn, ale nigdzie nie widać było śladu malca. Nagle poczuła czyjś wzrok na karku.

Oczywiście, idiotko, powiedziała sobie. Przecież Brent, Ken i pewnie z dziesięciu detektywów z agencji Pinkertona nie spuszczało z niej oka. Jednak to spojrzenie zdawało się inne, intensywniejsze.

Odwróciła się i zaczęła rozglądać po tłumie. Tam! Kilka metrów dalej, w pełnej straganów alejce, obok chłopskiego wozu stał Ralph i wpatrywał się w nią uparcie, ale jej wzrok przyciągnął mały chłopiec, który przysiadł na kole. Chociaż brudny, obdarty, z nie mytymi włosami przylepionymi do czoła, patrzyła nań z radością.

Szczęśliwa, że widzi go wreszcie, po tak długim czasie, Andrea zapomniała o umówionym znaku. Wiedziona instynktem, ruszyła w jego stronę z otwartymi ramionami.

- Stevie!

Dopiero teraz mały ją zauważył. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Anda! Anda! - krzyknął podniecony i zaczął machać do niej, piszcząc z radości.

Z przerażeniem zobaczyła, że chwieje się i spada z koła wozu głową w dół. Ralph rzucił się chłopcu na pomoc i na chwilę obydwoj zniknęły jej z pola widzenia.

Lękając się, że małemu mogła stać się krzywda, za wszelką cenę pragnąc jak najprędzej być przy nim, przepychała się przez tłum. Już tylko kilka kroków dzieliło ją od chłopca, kiedy zobaczyła znów głowę Ralpha. Zagniewany, ciskał jakieś przekleństwa w stronę leżącego na ziemi Stevie'ego.

Ralph posłał jej ponure spojrzenie i zaczął głośniejsz kłać. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

- Ty suko! - wrzasnął. - Nigdy go nie dostaniesz!

Zobaczyła jasną główkę. Ralph porwał chłopca i zaczął uciekać w przeciwnym kierunku, torując sobie drogę trzymanym na rękach dzieckiem.

- Zatrzymaj się! - krzyknęła Andrea, biegnąc za nimi.

Za plecami usłyszała głos wołającego ją Brenta. W chwilę później był już przy niej, złapał ją za rękę i razem zaczęli się przedzierać przez tłum.

Ralph wpadł na wózek z pomidorami, wyrzucił go, cała zawartość posypała się na ziemię. Gniewne krzyki straganiarza mieszały się z okrzykami przerażenia kupujących, którzy ślizgali się w czerwonej mazi. Andrea przewróciła się, pociągając za sobą Brenta.

Zabrudzeni, zaczęli się nieporadnie podnosić, gdy minął ich Ken z dwoma swoimi ludźmi. Cała trójka dobyła już broni. Andrea pobladła.

- Na Boga! Nie pozwól im strzelać! - zaniósła się płaczką, przywierając do Brenta. - Gotowi zranić Stevie'ego!

Brent usiłował ją uspokoić.

- Będą strzelać tylko wtedy, jeśli upewnią się, że nie zranią chłopca - zapewnił ją, chociaż prawdę powiedziawszy niezbyt był pewien umiejętności pomocników Kena.

Gdy Brent usłyszał, jak Andrea w głos woła Stevie'ego, kiedy zdał sobie sprawę, że zapomniała o umówionym syg-

nale, sam dał znak kapeluszem. Jeden z ludzi Pinkertona, młody nadgorliwiec, natychmiast opuścił zajmowane dotąd stanowisko i rzucił się biegiem w stronę Andrei. Ralph musiałby być kompletnym imbecylem, gdyby nie zrozumiał intencji młodzieńca. Z powodu bezmyślności jednego człowieka starannie obmyślana zasadzka brała w łeb.

Andrea ciągnęła Brenta do przodu, mimo że prawie nic nie widziała przez zalane łzami oczy. Rozpętało się pandemonium, jako że Ralph przewrócił po drodze jeszcze kilka wózków, potrącał stragany, rozrzucał towary. Jajka, główki sałaty, groch, fasola sypały się we wszystkie strony. W dodatku na ziemię poleciało kilka skrzynek z kurczakami. Ptaki rozproszyły się z głośnym gdakaniem i furkotem skrzydeł.

Biegli bez tchu, roztrącając ludzi, przebiegając wzdłuż długich rzędów straganów. Andrea ciężko dyszała, ból przeżywał jej piersi. Kiedy Brent zatrzymał się w końcu, potknęła się i omal nie upadła.

- Zgubiliśmy go - mruknął ponuro, wypowiadając to, czego Andrea najbardziej się obawiała. - Niech to wszyscy diabli. Zgubiliśmy go.

## 23

Gdyby nie Brent i jego wsparcie, Andrea wpadłaby w histerię. Być już tak blisko celu i w ostatniej chwili stracić Stevie'ego, kiedy miała go już niemal w ramionach!

Andrea odchodziła od zmysłów, Brent nie posiadał się z wściekłości.

- Niech diabli porwą Kena! Czy ci idioci nie potrafią nic zrobić jak należy?

- Przepraszam, Brent. Sherrick jest nowy i trochę nadgorliwy. Gdybym wiedział, że się tak wyrwie, nie wziąłbym go ze sobą.

- Stało się - westchnęła Andrea przez łyżę. - Moja wina, że zapomniałam dać wam znak.

Brent objął ją pocieszającym gestem.

- Jak powiedziałaś, co się stało, to się nie odstanie. Musimy obmyślić inny plan uratowania chłopca.

Skinęła niepewnie głową.

- Jak myślisz, co Ralph teraz zrobi? Będziemy czekać, aż znowu nawiąże z nami kontakt? Co się stanie ze Stevie'm? Och, Brent! - łkała. - Taki był brudny i obszarpany. Jak ulicznik. Musimy go odzyskać, zanim Ralph wprowadzi w czyn swoje pogroźki.

- Odzyskamy - powiedział uspokajająco.

- Jak? - zapytała, zdając sobie doskonale sprawę, że żadne z nich nie ma gotowego planu.

Brent wysunął jednak pewną sugestię.

- Wracajmy do hotelu. Ktoś tam musi znać Ralpha. W końcu przekazywali jego wiadomości. Wypytały wszystkich pracowników, do ostatniej pomywaczki. Może w ten sposób dowiemy się, gdzie Ralph ukrywa Stevie'ego.

Ken odciągnął Brenta na stronę.

- Nie chciałbym niepokoić Andrei. Jest już i tak zbyt zdenerwowana. Możemy mieć jednak kłopoty z odnalezieniem jej siostrzeńca.

Brent zachmurzył się.

- Sytuacja jest tak zła, że gorzej już chyba być nie może.

- Dziecko może zniknąć - odparł Ken, a widząc ponurą minę Brenta, pospieszył z wyjaśnieniem: - Naprawdę zniknął. Davis ostatni widział Muttona, ale nie dojrzał chłopca. Klnie się, że Ralph był sam i biegł jak oszalały. Mógł pozbyć się małego gdzieś po drodze i Bóg jeden wie, gdzie pędrak jest teraz.

Brent stłumił jęk.

- Andrea nie może się o tym dowiedzieć. Może Davis się myli? Może ścigał nie tego człowieka?

Ken wzruszył ramionami, ale w jego wzroku nie było otuchy.

- To możliwe, ale nie spodziewałbym się wiele. Nic nie będziemy wiedzieli na pewno, dopóki nie znajdziemy Muttona. Tymczasem kazałem Sherrickowi pokręcić się po rynku, na wypadek gdyby Stevie gdzieś tu został porzucony.

- Na Boga, Ken - mruknął kaśliwie Brent. - Wielka pociecha. Ten głupiec zepsuł już, ile mógł. Powinniśmy postawić na nogi policję, niech szukają Ralpha i Stevie'ego. Jeśli mały ucierpi przez fanfaronadę i pośpiech Sherricka, kark mu skręć!

Pracownicy Garden Hotel w niczym nie przypominali zatrudnionych w bardziej szacownych hotelach. Nie było tu szwajcara, kucharza, podkuchennych, prawdę mówiąc, w ogóle nie było kuchni. Cały personel stanowili skwaszony

menedżer i właściciel w jeden osobie, trzy ospałe pokojowe i dwóch recepcjonistów, którzy pełnili też obowiązki bagażowych, jeśli byli akurat w dobrym nastroju. Wydobyć z nich jakiejś informacji równało się próbie przekonania lamparta, by wyszedł z ukrycia i z własnej woli przedsięwziął się w gotowe futro.

Nic nie wskórali grzecznymi pytaniami na temat Ralph. Andrea też nic z nich nie wyciągnęła po dobroci. Dopiero na dźwięk słowa policja personel jakby się ocknął, ale i to niewiele pomogło.

- Nie znam.

- Widziałem go raz czy dwa, ale nie wsadzam nosa w nie swoje sprawy. Tak jest bezpieczniej.

- Nie zatrzymuje się tutaj. Czasami tylko przychodzi posiedzieć kilka godzin i idzie sobie.

- Nic nie widziałam, nie słyszałam, nic nie powiem.

Tylko jedna pokojowa okazała coś na kształt zrozumienia,

- Obyście znaleźli jego i dzieciaka. Słyszałam, że z niego kawał drania. Nie chciałabym spotkać go na swojej drodze.

Z nosami na kwintę Andrea i Brent wrócili do domu, żeby opowiedzieć Maddy o wydarzeniach dnia. W obliczu fiaska, jakie właśnie ponieśli, szanse na wykupienie Stevie'ego były prawie żadne. Andrea mogła się tylko modlić, że chciwość przeważy wściekłość i że Ralph po namyśle spróbuje jeszcze raz nawiązać z nimi kontakt.

Tymczasem Ken i jego ludzie mieli nadal prowadzić poszukiwania, chociaż w mieście tak dużym jak Waszyngton było to zadanie równie beznadziejne, co szukanie igły w stogu siana. Tyle tylko, że teraz wiedzieli, jak wygląda Ralph i chłopiec.

Brent wahał się, czy powinien powiedzieć Andrei, że Mutton mógł pozbyć się dziecka i że Stevie być może błąka się po ulicach. Przerazony. Głodny. Narażony na przeróżne niebezpieczeństwa i na łaskę obcych ludzi. Postanowił na razie nie przysparzać jej dodatkowych trosk. Gdyby się

dowiedziała, nie zatrzymałby jej w domu, chciałyby sama szukać po całym mieście, podczas gdy Stevie mógł być nadal z ojcem, bezpieczny, jeśli w ogóle jakieś dziecko mogło być bezpieczne z tym człowiekiem.

Usłyszawszy, co zaszło, Maddy załamała rękę.

- Powinniście byli pozwolić mi pomówić z Lyssem.

- Co by to dało? - lamentowała Andrea.

- Dałby więcej ludzi. Byłyby większe szanse znalezienia Ralpa i Stevie'ego.

- Ralph jest już tak rozwścieczony, że lękam się o los Stevie'ego. Nie chcę go rozdrażniać jeszcze bardziej. Nie wiadomo, co by zrobił, gdyby poczuł, że wpadł w pułapkę. Poczekajmy. Może ochłonie na tyle, że zechce raz jeszcze skontaktować się z nami i pertraktować na temat okupu.

- Andrea ma rację - przytaknął Brent. - Może się nam uda dać mu skradzione klejnoty i przygwoździć go. Tymczasem Ken próbuje ustalić, gdzie Ralph się ukrywa.

Mina Maddy świadczyła o powątpiewaniu.

- Oby mu się powiodło, ale na miejscu Ralpa nie ryzykowałabym. Znalazłabym sobie inną kryjówkę. Myślę, że się gdzieś przyczai, póki nie poczuje się w miarę bezpieczny.

Pomimo powagi sytuacji, Brent nie mógł pohamować chichotu.

- Mówisz, Maddy, jak bohaterka jakiejś powieści apaszo-wskiej, albo jak ktoś, kto ma duszę zbrodniarza.

Maddy tylko się uśmiechnęła i rzuciła zaczepnie.

- Jedno i drugie. Zastanawiałam się, czy nie spróbować napisać czegoś w tym guście, gdybym tylko znalazła trochę czasu. To ciekawsze niż bujać się w fotelu na biegunach, nie sądzisz?

Kiedy drugiego dnia napiętego wyczekiwania nadal nie mieli żadnych nowych wieści, Maddy wzięła sprawy w swoje ręce.

- Przykro mi, Brent, ale serce mi się kraje, kiedy patrzę na Andreeę. Je mniej niż wróbel, ma takie cienie pod oczami, że pewnie oka nie zmrużyła. Zwariuję widząc ją w takim stanie. Ruszcie obydwójce tyłki i jedziemy do hotelu, tyle że tym razem nie wyjdziemy z niczym, na Boga!

Brent nie próbował się sprzeczać. Zbyt martwił się o Andreeę. Jeśli Maddy potrafi z tych ludzi coś wydusić, niech próbuje.

Andrea też się nie sprzeciwiała. Przynajmniej czymś się zajmą. Poza tym Maddy zdawała się gotowa na wszystko. Andrea wiedziała, że kiedy starsza pani wpada w podobny nastrój, lepiej od razu przystać na dziwne pomysły, które zresztą często okazywały się całkiem szczęśliwe.

Maddy weszła do hotelu niczym generał prowadzący oddziały do walki. Wywijając różową parasolką jak mieczem, wycelowała ją w pierś oszołomionego recepcjonisty i rozkazała wyniosłe:

- Chcę się widzieć z szefem, młodzieńcze, i żadnych głupich wykrętów.

Młody człowiek zamrugał oczami, wreszcie wyjąkał:

- Nie można mu teraz przeszkadzać, madame, jest na lunchu.

- Gdzie jada?

- Ehm... ehm... w swoim biurze - powiedział chłopak z ociąganiem, ruchem głowy wskazując drzwi za recepcją.

- Zawołaj go - nakazała mu Maddy.

- Ale, madame...

- Żadnych tłumaczeń - przerwała. - Albo go tutaj sprowadzisz, albo my tam wejdziemy.

Młodzieniec skrzywił się, westchnął i zapytał z rezygnacją:

- Kogo mam zaanonsować?

- Powiedz, że ciotka prezydenta Granta natychmiast chce się z nim widzieć - oznajmiła Maddy tonem księżnej krwi.

Biedakowi o mało oczy nie wyszły z orbit. W ukłonach cofał się ku drzwiom, zapukał i zniknął.

Brent osłupiał na tę zuchwałość Maddy.

- Nie jesteś przecież krewną prezydenta? - zapytał niepewnie.

Andrea zachichotała.

- Jasne, że nie. Ale muszę przyznać, że nie słyszałam nigdy równie pysznej historyjki.

- Moja Andreo - rzuciła Maddy od niechcienia - to kwestia zapatrywań. Skoro wszyscy pochodzimy od Adama i Ewy, wszyscy jesteśmy w jakimś stopniu spokrewnieni.

- Trochę naciągana teoria, ale tkwi w niej ziarno prawdy - zgodził się Brent, kręcąc głową. - Masz szczególny sposób ujmowania spraw, Maddy.

Młodzieniec pojawił się z powrotem.

- Pan Baker czeka, madame - oznajmił pospiesznie.

- Spodziewam się - prychnęła Maddy.

Po dziesięciu minutach wychodzili z hotelu z nazwiskiem i adresem drugiego recepcjonisty, człowieka, który według zapewnień pana Bakera trzymał z Ralphem Muttonem.

- Jesteś wspianała, Maddy - stwierdził Brent. - Nigdy nie widziałem tak skutecznego połączenia precyzyjnej perswazji i jawnego przymusu. Byłabyś świetnym prokuratorem.

Machnęła lekceważąco dłonią.

- Po prostu trzeba wiedzieć, kiedy przykręcić śrubę. To sztuka, mój chłopcze, której nabywa się z wiekiem.

Andrea westchnęła.

- Żałuję, że nie miałam twojego sprytu, kiedy zaczęła się cała ta historia z Ralphem. Oszczędziłoby mi to wielu nieszczęść i zmartwień.

Recepcjonista, Jimmy Johns, wynajmował pokój na trzecim piętrze obskurnej czynszówki kilka przecznic od hotelu. Nie chcąc zostawiać pań samych w powozie w tej podejrzanej dzielnicy, Brent z ociąganiem zabrał je ze sobą.

- Powinienem był odwieźć was najpierw do domu i przyjechać tu z Kenem - mruknął rozgarniając nogą śmieci na schodach. - Będziemy mieli szczęście, jeśli nie ukradną kół od powozu, kiedy będziemy na gorze.

- Nie możemy tracić czasu - podkreśliła Andrea krzywiąc się na panujący we wnętrzu smród. - Poza tym słyszałeś, że Maddy obiecała jakiemuś wyrostkowi w czerwonej koszuli pół dolara za przypilnowanie powozu.

Maddy przytknęła do nosa perfumowaną chusteczkę i oznajmiła radośnie:

- Przypomina mi się mieszkanie, które mój przyjaciel malarz wynajmował kiedyś w Londynie. Miły człowiek, ale straszny dziwak. Był przekonany, że człowiek musi się borykać z różnymi przeszkodami, by tworzyć wielką sztukę. Mylił się zupełnie. Dopóki żył w nędzy, nie namalował nic godnego uwagi. Dopiero kiedy na powrót zamieszkał ze swoją bogatą rodziną, zasłynął jako portrecista.

Na pukanie Brenta usłyszeli gburowaty głos:

- Wynocha! Jestem zajęty.

Zanim Brent zdążył cokolwiek powiedzieć, Andrea nakażała mu milczenie.

- Ejże, Jimmy, dla mnie nie będziesz miał czasu? - zapytała słodko.

Drzwi otworzyły się natychmiast. Jimmy Johns zmierzył ich wrogim spojrzeniem i próbował zatrzaskać drzwi, ale Brent szybko wepchnął go do pokoju. Andrea i Maddy wsunęły się za nim.

- Powiedziałem, że nic nie wiem - sarknął Johns. Brent przygwoździł go wzrokiem.

- Twój szef jest innego zdania.

- No to się myli. A teraz zbierajcie się stąd. Nie mam czasu.

- Słyszałeś, Brent, co mówi ten młody człowiek? Nie ma czasu. Daj mu w łeb i idziemy stąd - poradziła Andrea spokojnym głosem, ciskając przy tym wściekłe iskry z oczu.

Maddy była tego samego zdania.

- Tak, tu trzeba nieco mocniejszych środków perswazji. Doradzałabym prawy sierpowy.

W dłoni, którą Jimmy krył dotąd za plecami, błysnął nóż. Brent chwycił młodzieńca za przegub. Andrea z przeraże-

niem patrzyła, jak obaj mocują się przez chwilę. Nóż wypadł z wykręconej do tyłu ręki i z brzękiem uderzył o podłogę.

- A teraz, Jimmy, przemyśl jeszcze raz, co masz nam do powiedzenia - oznajmił Brent surowo. - Gdzie jest Ralph Mutton?

- Nie mogę powiedzieć - wycedził chłopak przez zaciśnięte z bólu usta. - Zabiłby mnie.

Andrea podeszła do szeroko otwartego okna, żeby odechnąć świeżym powietrzem.

- Jak myślisz, Jimmy, gdybyś wypadł z tej wysokości na ulicę, to zginąłbyś na miejscu? Czy tylko połamał kości? - zapytała bez troski.

- To zależy, jak by upadł - wpadła jej w słowo Maddy.

- Może spróbujemy i zobaczymy, co się stanie? - zainteresował się Brent i pchnął młodzieńca w stronę okna.

- Nie! Proszę! - zawył Jimmy.

- Zaczynaj mówić! Już! Możesz zacząć od adresu Ralpa.

Szczękając zębami Jimmy podał nazwę ulicy w pobliżu własnego mieszkania.

- Już go tam nie ma - dodał gorączkowo. - Przedwczoraj wyjechał z miasta.

- Dokąd?

- Chyba na północ. Myślał złapać pociąg, który odchodzi o północy.

- Miał Stevie'ego? - zapytała ostro Andrea.

- Nie wiem. Jakaśmy spotkali się w barze na rogu, to był sam, bez dzieciaka.

- Ma zamiar kontaktować się z tobą? Będziesz nadal odbierał przesyłki dla niego?

- Nie wiem. Nic nie mówił.

Brent trochę zwolnił uścisk.

- Mów lepiej prawdę, Jimmy. Jeśli przekonam się, że skłamałeś, wrócę tu i skończę z tobą.

Zanim całkiem uwolnił swoją ofiarę, odezwała się Maddy:

- Nie puszczaj go, dopóki nie powie o tym człowieku, który był pikietą i którego Ralph znał - przypomniała mu.

- Pikieta? - powtórzył Brent, nic nie rozumiejąc.
- Andrea wyróciła oczy i przetłumaczyła:
- Myśli o paserze, z którym Ralph załatwiał interesy.
- Słyszałeś, co mówią panie. Kto pracował dla Ralpa?
- Zach Whitman. Ma lombard na Canal Street.

Brent nachylił się i podniósł nóż.

- Dzięki, Jimmy. Jesteś bezcennym źródłem informacji. Pożegnamy cię teraz. - Jeden zwinny ruch i tępa rękojeść noża wylądowała na głowie młodzieńca. Jimmy z jękiem osunął się na podłogę i padł bezwładnie jak worek u stóp Brenta.

- Idziemy, moje panie - powiedział Brent i poprowadził je do drzwi. - Musimy sprawdzić słowa Jimmy'ego, nim oprzytomnieje, bo może okazać się, że nakarmił nas stkiem kłamstw, by samemu uprzedzić tymczasem Ralpa.

- Nie sądzę, żeby było mu tak spieszo wyznać, że puścił farbę - snuła domysły Maddy.

- Przeklęty ten, kto złe przynosi wieści - dopowiedziała Andrea.

- No właśnie.

Nie zaskoczyło ich, choć rozczarowało, kiedy okazało się, że Jimmy nie kłamał. Na pukanie do drzwi Ralpa nie doczekali się odpowiedzi. Nie słysząc żadnych odgłosów dochodzących z wnętrza, Andrea wyjęła z torebki pęk kluczy i zaczęła majstrować przy zamku.

Brent uniósł wysoko brwi.

- Ciagle nie rozstajesz się ze swoimi narzędziami pracy? - zażartował.

Posłała mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Ciekawam, co byśmy bez nich zrobili? - odcięła się. - A teraz milcz, pozwól mi się skoncentrować, a sam uważaj, czy nikt nie idzie. Tylko tego by brakowało, żeby Ralph nas przyłapał, jak włamujemy się do jego pokoju.

Dopiero kiedy dostali się do pustego wnętrza, Andrea zdała sobie sprawę, jak bardzo liczyła, wbrew wszelkim

poszlakom, że w środku znajdzie Stevie'ego. Ujrzeni nędzną izbę z brudnym barłogiem; naczynia z zaschłymi resztkami jedzenia piętrzyły się na ledwie trzymającym się stole, wszędzie poniewierały się butelki po whiskey i niedopałki cygar.

- Jak można mieszkać w takiej plugawej norze? - parsknęła Maddy, kręcąc głową.

- Jak mógł narażać Stevie'ego na podobne życie? - dodała zrozpaczona Andrea.

Brent przejrzał komodę i niewielką szafę.

- Ralph zabrał ten niewielki dobytek, który miał. Ten obwieś mówił prawdę. Ptaszek wyfrunął z gniazda.

Andrea z ciężkim sercem rozglądała się po nędznej izbie, która była domem Stevie'ego przez ostatnie tygodnie. Goła podłoga nie przykryta żadnym chodnikiem, żadnych firanek w brudnych oknach, żadnych obrazków na ścianach, z których obłaziła farba. Żadnych zabawek świadczących, że mieszkało tu dziecko.

Wtedy zobaczyła kawałek jasnoniebieskiego pluszu w kącie łóżka. Powoli, jakby z lękiem, podeszła i wyciągnęła szmacianego zwierzaka spod poduszki. Ze łzami w oczach przycisnęła zniszczoną zabawkę do piersi.

- Kupiłam Stevie'emu tę owieczkę zaraz po jego urodzeniu - powiedziała płacząc. - Wszędzie ją ze sobą zabierał. Nie zasnął bez niej.

Skuliła się z bólu, zachwiała. Brent musiał ją objąć, żeby nie upadła.

- Stevie, gdzie jesteś? - zawołała. - Dokąd on cię zabrał? Co z tobą zrobił?

- Znajdziemy go, kochanie - szepnął Brent, próbując ją bezskutecznie pocieszyć i lękając się, czy jego słowa nie są tylko prózną obietnicą. - Nie poddamy się. Odzyskamy go.

## 24

Rzut oka na rozkład jazdy upewnił ich, że pociąg odjeżdżający o północy z Waszyngtonu i jadący na północ staje w Baltimore, pierwszej większej stacji na tej trasie. Brent kupił dwa bilety, dla siebie i dla Andrei. Mieli ruszyć w drogę jeszcze tego samego dnia.

Maddy chciała jechać z nimi, lecz Andrea wyperswadowała jej ten zamiar.

- Ktoś musi zostać na miejscu, w razie gdyby Ralph próbował się z nami skontaktować. Może znowu przekaże wiadomość na nasz adres, jak ostatnio.

- No dobrze - przystała niechętnie Maddy. - Szkoda mi tracić takiej przygody. W moim wieku rzadko się trafiają takie okazje. Wszyscy próbują trzymać człowieka pod kłosem, jakby się bali, że przy pierwszej sposobności trafi go apopleksja.

- Zaopiekujesz się kociakiem, kiedy mnie nie będzie? - upewniała się Andrea.

- Tak, będę miała na oku to przekłete zwierzę - obiecała Maddy, po czym wskazała głową na pluszową kulkę, którą Andrea ścisnęła niczym talizman od chwili, kiedy znalazła ją w pokoju Ralpha. - Tym zwierzakiem też mam się zaopiekować? Ani chybi mniej będzie kłopotliwy niż to kocisko.

Andrea pochyliła głowę, w jej oczach pojawiły się łzy.

- Nie, wezmę go ze sobą, żeby dać Stevie'emu, gdy tylko go odnajdziemy.

Przed odjazdem Brent umówił się z Kenem, chcąc go poinformować o ostatnich wydarzeniach. Ten zgodził się porozmawiać z lichwiarzem i obiecał natychmiast powiadomić Brenta o wyniku indagacji. Miał też nadal szukać Stevie'ego w Waszyngtonie.

Zanim się pożegnali, Ken dał im jeszcze dopiero co wydrukowane plakaty z podobizną Ralphi Muttona i jego rysopisem. W dolnym rogu plakatu znajdował się mały rysunek przedstawiający Stevie'ego.

- Rozkleimy je w całym mieście. Powinniście zrobić to samo w Baltimore, czy gdziekolwiek się zatrzymacie. Niech ludzie przynajmniej wiedzą, jak Mutton wygląda. Oszczędzi wam to żmudnych tłumaczeń.

Andrea patrzyła zafascynowana na rysunkowe portrety.

- Jak to zrobięś? - nie mogła wyjść z podziwu. - Są jak żywi.

- To zasługa Sherricka, nie moja - odparł Ken. - Chciał jakoś naprawić to, że popsuł zasadzkę na rynku.

- On to narysował? - zapytał Brent niedowierzająco. - Przecież widział ich tylko przez chwilę!

- Tak. Zaniósł potem szkice do rytownika i z własnej kieszeni zapłacił za druk plakatów. Zrobił też między naszymi ludźmi zbiórkę pieniędzy na nagrodę dla tego, kto dopomoże w ujęciu Muttona.

Brent słuchał w osłupieniu, niemało zawstydzony, że tak wykpił współpracowników Kena.

- Powiedz, że ja wyznaczę nagrodę - oznajmił wielkodusznie. - I przeproszę ode mnie, że tak źle ich potraktowałem. Wiem, że chcieli jak najlepiej. Więcej nie można żądać. Andrea i ja doceniamy ich wysiłki.

Ken skinął głową.

- To naprawdę dobrzy ludzie, Brent. Niektórym brak tylko doświadczenia, ale będą z nich kiedyś wytrawni detektywi. Skan i przerobienie pona.

Brent i Andrea wyjechali tej samej nocy, dwa dni po Ralphie. Po półtoragodzinnej podróży zameldowali się w hotelu w Baltimore, blisko dworca. Poszukiwania rozpoczęli wczesnym rankiem, zaczynając od stacji kolejowej, gdzie umieścili jeden z plakatów przedstawiających Ralpa i rozpytywali pracowników.

Czarny bagażowy miał wrażenie, że widział Ralpa.

- Zauważyłem go, bo wyglądał mi na takiego, co przejechał na gapę w towarowym.

- Czy był z nim mały chłopiec? - zapytała Andrea z nadzieją w głosie.

Bagażowy pokręcił głową.

- Nie, madame, chyba żeby go utknął w worku, co go targał na plecach.

- Widzieliście, w którą stronę poszedł? - chciał wiedzieć Brent. - Może przesiadł się na inny pociąg?

- I tak być mogło, ale ja widziałem, jak idzie ku miastu. Pewnie szukać taniego noclegu.

Brent i Andrea całymi godzinami przemierzali ulice, zatrzymując przechodniów, zagadując sklepikarzy, wpytując w podrzędnych hotelikach i pensjonatach, uciekając się do pomocy stójkowych. Kilku osobom zdawało się, że mogły widzieć Ralpa, ale nikt nie był pewien. Nikt też nie potrafił powiedzieć, czy był z nim Stevie.

- Co zrobimy, Brent, jeśli natkniemy się na Ralpa? Po tym wszystkim, co się stało, nie sądzę, żeby był skory do pertraktacji z nami. Jak go zmusić, by nas wysłuchał? Czy zdążymy go przekonać, by oddał Stevie'ego? - pytała Andrea.

- Jeśli uda się nam go wytropić, mam nadzieję, że zechce nas wysłuchać. W końcu zależy mu na okupie, a chciwość stanowi silną motywację.

- A jeśli nie zechce? - niepokoiła się Andrea. - Jeśli będzie chciał umknąć? Albo gorzej, jeśli będzie chciał walczyć? O ile Ken ma rację, zabił już jednego detektywa. Nie będzie miał skrupułów wobec nas, zwłaszcza jeśli uzna, że zdoła umknąć z pieniędzmi. Boję się jak wszyscy diabli.

- Wiem. Mnie też nie jest do śmiechu. Gdybym sądził, że Ralph zechce się układać ze mną, zostawiłbym cię w Waszyngtonie, z Maddy.

- Na pewno! - parsknęła. - Nawet gdybyś mnie przykuł do łóżka, uwolniłabym się jakoś i pojechała za tobą. Muszę być tutaj, w razie gdyby udało się nam wykupić Stevie'ego. Poza tym Ralph dotąd pertraktował tylko ze mną, może dlatego, iż sądzi, że kobietę łatwiej zastraszyć. Tchórzliwy szczur!

Brent przytaknął.

- Tacy zazwyczaj szukają ludzi, których mają za słabszych od siebie. Nie zdarza się, by stawili czoło tym, których uważają za równych sobie. Nie uderzają, jeśli nie czują przewagi.

- Więc postanowione - powiedziała chwytając Brenta za rękę i *przyspieszając* kroku, - Znam Ralpha na tyle, by wiedzieć, że będzie grał nieczysto albo wcale. Nie chcę, żeby nas zaskoczył. Idziemy do najbliższego sklepu z bronią. Musimy mieć równe szanse.

- Stójże! - Brent zatrzymał się gwałtownie. Patrzył na nią z mieszaniną podziwu i rozbawienia. - Podziwiam twój hart, kochanie, ale nie dajmy się ponieść emocjom. To Baltimore, a nie Dziki Zachód, gdzie egzekwuje się prawo, strzelając z biodra.

- Ken nosi broń - upierała się Andrea. - My też powinniśmy odpowiednio się ubezpieczyć.

- Ja jestem - odparł krótko.

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Jesteś?

- Tak. Mam mały pistolet za pazuchą.

- O! Chcę mieć taki sam - oznajmiła po chwili namysłu.

- Okropny pomysł - powiedział strojąc paskudne miny.

- Co wiesz o broni palnej? Wiesz, jak celować? Jak strzelać? Posługiwać się bronią tak, by nie odstrzelić sobie palca u nogi?

Popatrzyła na niego, zadziornie unosząc brodę.

- Nie, ale mogę się wszystkiego nauczyć. Wystarczy poćwiczyć. W końcu jeśli Maddy potrafi, to ja też.

- Wybacz, kochanie - odparł. - Nie mamy czasu na ćwiczenia i nie pozwolę, żebyś nas narażała, nosząc broń, o której nie masz pojęcia. Może kiedyś kupimy dla ciebie mały pistolet, teraz na pewno nie.

Po długim dniu bezowocnego dreptania po ulicach Brent zaordynował wspaniałą kolację. Baltimore słynie ze znakomych świeżych krabów przyrządzanych na wiele wyszukanych sposobów. Jedna z pokojówek w hotelu poleciła im niepozorną na oko restauracyjkę w pobliżu portu. Jej opis tak zaintrygował Brenta, że teraz nie mógł się doczekać reakcji Andrei.

Nazwanie lokalu skromnym nie oddawało rzeczywistości. Drewniana elewacja przeżarta solą i wystawiona na mokrą bryzę poszarzała z latami, szyld nad drzwiami był nieczytelny ze starości. Wnętrze zdobiły lampiony, sieci rybackie, muszle, dziwne wypchane ryby, wypaczoną podłogę posypano piaskiem. Goście siedzieli na drewnianych ławach przy stołach przykrytych czymś, co bardziej przypominało papier do zawijania mięsa u rzeźnika niż serwety.

Brent i Andrea zostali poprowadzeni do takiego stołu. Zaopatrzone ich w wielkie serwetki i fartuchy z ceraty chroniące ubranie. Andrea założyła swój z pewnym wahaniem, rozglądając się w pełnym dezaprobaty milczeniu po wnętrzu. Otoczenie było obskurne, a maniery gości jeszcze gorsze. Wspaniałe zapachy sprawiły jednak, że żołądek skręcał jej się z głodu.

Wszędzie wokół głowy nachylały się nad dymiącymi stertami krabów. Spoglądała osłupiałym wzrokiem, jak idą w ruch palce rozrywające z trzaskiem pancerze i wydobywające białe mięso. Jedni łykali je tak, inni maczali w miseczkach z roztopionym masłem. Nikt nie zawracał sobie głowy sztucami, nikt się ich nie domagał. Przypominało to pierwotną ucztę.

Andrea zobaczyła, że Brent wyszczerza zęby w uśmiechu; w jego oczach pojawiły się psotne iskierki.

- No i jak?

- Nie... do wiary! - wyjąkała. - Nigdy w życiu nie widziałam czegoś podobnego.

Roześmiał się w głos.

- Jeśli jedzenie jest w połowie tak smaczne, jak zapowiadają to zapachy, czeka nas prawdziwa rozkosz.

- Wiedziałaś coś wcześniej. Mogłaś mieć na tyle przyzwyczajenia, żeby mnie uprzedzić - powiedziała Andrea z naganą w głosie.

- To by zepsuło całą niespodziankę - przyznał szczerze. - Prawdę mówiąc, chciałem zobaczyć, jaką zrobisz minę.

- Masz mnie za aż taką snobkę? - prychnęła obrażonym tonem.

- Ani trochę. Tylko że możesz zamęczyć człowieka tą swoją potrzebą porządkowania całego świata wokół siebie. Dla kogoś, kto nie nawykł do przesadnej dbałości, może to być irytujące.

- Postanowiłeś zatem pokazać mi dzisiejszego wieczoru przesadną niechlujność?

Uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

- Pomyślałem, że dobrze ci zrobi otrzeć się o brud, zejść na chwilę na ziemię między zwykłych śmiertelników i zobaczyć, jaka to może być przyjemność.

Usługująca dziewczyna przyniosła jedzenie: bułeczki, masło, paterę z owocami i serami, i wielką misę gotowanych krabów. Wszystko to postawiła na stole, położyła obok małe drewniane młoteczki.

- Niech wam idzie na zdrowie! Zaraz przyniosę piwo.

- Nie podajecie tu wina? - zapytała Andrea niepewnie.

Dziewczyna zachichotała.

- Wino nie idzie z krabami, moja złota. Wierz mi, że jasne pełne lepiej smakuje.

Andrea nie miała pojęcia, jak się zabrać do dziwnego posiłku. Brent, przyjrząwszy się uważnie innym biesiadni-

kom, chwycił pospiesznie gorącego kraba i zaczął go rozrywać.

Skrzywiła się na ten widok.

- Obrzydliwość!

Roześmiał się.

- Daj spokój, Andreo. Nie bądź taka delikatna. Nie uszczypnie cię. Nie widziałem, żebyś się krzywiła na rost-bef albo na gotowaną szynkę. To prawie to samo. Jedzenie jest zawsze jedzeniem, kiedy przyrządzone trafi na talerz.

- Nie widzę tu żadnego talerza - wycodziła przez zęby.

- To go sobie wyobraź, jeśli w czymś ci to pomoże - poradził i ujmując młoteczek zabrał się za rozbijanie krabiego pancerza. Wyciągnął kawałek mięsa szczypcami, zanurzył go w maśle i wepchnął do ust.

- Mmmm! Niebo w gębie! - oznajmił z przymkniętymi z rozkoszy oczami.

Kropla masła spływała mu po brodzie. Andrea nachyliła się przez stół i otarła tłuszcz swoją serwetką. Odrobina została na czubku palca. Zanim zdążyła cofnąć dłoń, Brent chwycił jej palec i zlizął masło.

Zaskoczona, poczuła nagły dreszcz.

- Oh, Brent - zawołała cicho.

- Mówiłem ci, jaka to przyjemność. A to dopiero początek.

Wydobył następny kawałek mięsa, umoczył w maśle i podał Andrei.

- Spróbuj. Zobaczysz, że ci zasmakuje.

Z ociąganiem otworzyła usta, włożył mięso i złocącym się od masła palcem przesunął po jej wargach.

Ponownie drgnęła, jej ciało zdawało się ożywać. Gdyby ktoś powiedział jej wcześniej, że jedzenie może być tak zmysłowym, erotycznym przeżyciem, nie uwierzyłyby.

Gdy pojawiła się usługująca z napitkiem, prysnął czar, który Brent rzucił na Andreę. Dopiero teraz zaczęła żuć i przełykać.

- Smakuje ci? - zapytał Brent. Widząc błysk w jego oku, Andrea nie była pewna, czy ma na myśli mięso, czy sposób, w jaki je podał.

Zaczerwieniła się.

- Tak, naprawdę dobre, dzięki.

- Jak ty, moja kochana. Tak jak ty. - Otarł odrobinę masła z kącika jej ust i oblizał palec.

Karmił ją tak przez cały posiłek, ona robiła to samo, czerpiąc z tego diabelną przyjemność. W miarę jedzenia jej opory stopniały. Wkrótce rozrywała pancerzyki, jakby robiła to przez całe życie.

Rozbijanie szyjek młoteczką okazało się trochę trudniejsze. Mocowała się właśnie z jakimś kawałkiem, kiedy wysliznął się jej z ręki, przeleciał po stole i wylądował na kolanach Brenta.

Przez chwilą obydwójce siedzieli zaskoczeni., spoglądając na siebie w milczeniu, po czym na zatłuszczonych wargach Brenta pojawił się szeroki uśmiech.

- Zgubiłaś coś, kochanie? - zapytał, lekko unosząc brew.

Rozglądając się wokół z zakłopotaniem, jakby chciała się upewnić, czy nikt nie zauważył jej niezdarności, mruknęła:

- Bądź cicho i podaj mi zaraz z łaski swojej tę szyjkę.

Podniósł głowę i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Samą ją sobie weź.

- Gdybyśmy byli sami, wzięłabym pod uwagę twoją skandaliczną radę - odparła nie tracąc rezonu - ale nie w restauracji pełnej ludzi.

Wykrzywił się w jej stronę.

- Psujesz zabawę - powiedział wzruszając ramionami i podał jej pechowy kawałek kraba. - Ale będzie czas, kiedy zostaniemy sami w naszym pokoju.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - nadała się.

Widząc jego bezczelne mrugnięcie, poczuła jak krew zaczyna jej szybciej pulsować w żyłach.

- Pomyśl, moja kochana. Twoje gorące wargi na moich

udach - nagle się wstrząsnął i jęknął niecierpliwie: - Pośpiesz się, kończmy czym prędzej, zanim stracę panowanie nad sobą, wciągnę cię pod stół i zacznę się z tobą kochać na oczach wszystkich.

Następnego ranka podjęli na nowo poszukiwania, wędrując metodycznie po całym mieście, od krańca do krańca. Znając pociąg Ralpa do butelki, zajrzeli nawet do tutejszego browaru, chociaż Andrea nie wierzyła, żeby podjął jakąkolwiek pracę.

Wreszcie wiedziony przeczuciem Brent zaczepił jakiegoś małego ulicznika, by zasięgnąć jego opinii.

- Gdybym nie znał miasta i szukałbym sposobu szybkiego zarobienia kilku dolarów, uczciwie albo i nie, gdzie powinienem pójść?

- A ile dacie? - zapytał wyrostek.

Brent wsunął mu w dłoń pięciodolarówkę, którą chłopak sprawdził zębem, po czym odpowiedział:

- Na tor. Dzisiaj po południu w Pimlico są wyścigi konne.

Mały już chciał brać nogi za pas, kiedy Andrea złapała go za kołnierz.

- Sprytny jesteś, tylko nie dość szybki - oznajmiła gładko. - A teraz oddaj panu zegarek i rozstaniemy się w przyjaźni.

Chłopak spojrzął na nią jak zbity pies i rzucił zegarek. Kiedy go puściła, odszedł sarkając pod nosem:

- Już nie można nawet nic zarobić na ulicy.

Brent pokręcił tylko głową.

- Nic nie poczułem.

Mrugnęła zawadiacko.

- Tylko złodziej pozna kolegę po fachu. Czasami się przydaje.

Tego popołudnia w Pimlico miały się odbyć dwie gonitwy, nie tak ważne jak biegi majowe, ale na całkiem

dobrym poziomie. Jak na sezon ogórkowy pojawiło się sporo grających, co utrudniało Andrei i Brentowi wypartywanie Ralpa. Postanowili zająć stanowisko koło kas, gdzie przyjmowano zakłady, uznawszy, że nawet jeśli Mutton jest bez grosza, tam właśnie kręci się dość „klientów” z wypchanymi portfelami, napraszających się, by ich oskubać.

Miała się właśnie rozpocząć pierwsza gonitwa, przy kasach opustoszało, gdy Andrea dostrzegła raptem ich człowieka. Zrazu nie mogła uwierzyć, że to rzeczywiście Ralph, być może dlatego, iż nie oczekiwała, że uda się im tak łatwo go odnaleźć. Zaczęła szarpać Brenta za rękaw, chcąc zwrócić jego uwagę i wskazując w stronę Ralpa.

W tej samej chwili Mutton ją zauważył i wrósł w ziemię z szeroko rozdziawionymi ustami. Andrei to wystarczyło, by nabrała pewności, że się nie myli. Już miała go zawołać, gdy odwrócił się na pięcie i rzucił się do ucieczki niczym wypłoszony zając.

Brent pognął za nim. Andrea biegła z tyłu zakasując wysoko suknię i nie zważając na obyczajność.

- Ralph! Zaczekaj! Proszę! Gdzie Stevie?- krzyczała nie przejmując się tym, że ludzie dookoła słuchają i nie wiadomo, co sobie pomyślą. - Poczekaj! Niech ktoś zatrzyma tego człowieka!

Nawet jeśli Ralph słyszał jej nawoływania, nie zwracał *na nie* uwagi. Gapie *patrzyli obojętnie*. *Nikt nie miał zamiaru* się mieszać. Nie zwalniając ani na chwilę, Mutton gnał w stronę trybun, roztrącając po drodze widzów i wzbudzając gniewne okrzyki.

Już się zdawało, że go dogonią tym bardziej iż w pobliżu pojawił się porządkowy i ruszył w stronę Ralpa, gdy raptem rozległ się wystrzał oznajmiający początek gonitwy. Tłum kibiców dopingujących faworytów powstał jak na komendę ze swoich miejsc. Ralph zniknął im z oczu pośród rozentuzjasmowanej ciżby.

- Tędy! - zawołał Brent, chwytając Andreę za rękę

i ciągnąc ją w stronę schodów wiodących do bandy. - Pobiegnij chyba w stronę stajni.

Andrea w śliskich butach niemal zjechała po schodach, wykręcając przy tym kostkę. Do oczu napłynęły jej łzy. Pomimo bólu, podskakując i potykając się, biegła tak szybko, jak potrafiła. Kiedy skręcili za węgiel budynku, na padok, gdzie dżokeje i trenerzy przygotowywali konie do następnej gonitwy, wpadli w prawdziwe pandemonium. Najwyraźniej coś lub ktoś — zapewne Ralph - wystraszył i tak już podenerwowane konie, które wpadły teraz w panikę. Trenerzy usiłovali powściągać wodze oszalałych zwierząt, powstrzymać jakoś delikatne wierzchowce pełnej krwi. Dżokeje z trudem trzymali się w siodłach. Zwierzęta rżały, tańczyły nerwowo, stawały dęba, dziko przewracając oczami, młóćąc kopytami ziemię i powietrze.

Któryś z wierzchowców runął w stronę Andrei i Brenta. Nie mieli kiedy uciec ani gdzie się schronić. Andrea poleciała na bok, odrzucona pędem konia. Upadła twarzą w piach, Brent zwałił się na nią. Poczowała dławiący ból w piersiach. Brent po chwili poderwał się, pomógł jej wstać. Z trudem chwyciła powietrze.

- Nic ci się nie stało? - zapytał wystraszony, a kiedy nie odpowiedziała od razu, potrząsnął nią mocno, co odniosło wręcz odwrotny rezultat.

Upłynęło sporo czasu, zanim nabrał pewności, że nie zrobiła sobie krzywdy. On też wyszedł bez szwanku, chociaż cudem tylko uniknęli stratowania. Uganianie się za Ralphem zaczynało być coraz bardziej niebezpieczne.

- Znowu nam umknął - mruknęła Andrea, stając na nogi i wykrzywiając się z bólu, do jakiego przyczyniała skręcona kostka.

- Wierzyć się nie chce, że ten ciężki bawół potrafi tak szybko biegać! Gdyby nie to, że musimy mieć go żywego i wyciągnąć z niego, co zrobił ze Stevie'm, klnę się, że następnym razem bez namysłu zastrzeliłabym łajdaka. Gdybym tylko miała rewolwer.

- Jeśli dojdzie do strzelania, zostaw to mnie - oznajmił Brent pełnym zawodu głosem; czule wycierał brud z podrapanego policzka Andrei.

- Władować kulkę w ten tłusty tyłek!.- prychnęła wściekle, przywodząc zatroskanego małżonka do śmiechu. - Jest tak wielki, że stanowi łatwy cel. Może wreszcie nie będzie mógł gnać i uda nam się go złapać, a wtedy porachujemy mu wszystkie kości!

## 25

Co teraz? - zapytała Andrea. Wrócili już do hotelu. Siedziała na łóżku z okładem lodu na kostce. Brent wyglądał przez okno.

- Nie wiem - wyznał. - Może wieczorem powinienem rozejrzeć się po tawernach, a ty zostaniesz tutaj, żeby trochę wydobrzeć.

- Chyba powinienes, chociaż niechętnie na to przystaję - powiedziała.

Przez chwilę milczała, po czym wypowiedziała głośno dręczące ją od kilku dni obawy.

- Jak myślisz, Brent, gdzie może być Stevie? Bagażowy na dworcu twierdził, że Ralph był sam, tak jak dzisiaj na wyścigach, chyba że schował go w jakiejś mysiej norze i później poszedł po niego. Tak się martwię. Co on z nim zrobił?

Nadeszła chwila, której Brent lękał się najbardziej. Odwrócił się i spojrzał na nią poważnie.

- Nie wiemy, gdzie jest teraz Stevie, Andreo. Jeden z ludzi Kena uważa, że wtedy na rynku chłopiec mógł się zgubić w tłumie. Nie widział, żeby Ralph miał go ze sobą Uciekając, ale detektyw może się mylić. Ralph mógł zostawić Stevie'ego u kogoś, zanim wyjechał do Baltimore. Po prostu nie wiemy.

Patrzyła na niego przerażona, wstrząśnięta.

- Przez cały ten czas - zaczęła drżącym, zdławionym głosem - wiedziałeś i nie powiedziałeś mi ani słowa, Zlituj się, Brent! Jak mogłeś? - Teraz prawie krzyczała, była na skraju hysterii. - Jak mogłeś mi nie powiedzieć?

Podszedł do niej, ale cofnęła się, przywierając do zagłówek łóżka. Niebieskie oczy spoglądały oskarżycielsko. Usiłował nie drżeć pod jej wzrokiem.

- Przepraszam, Andreo. Ken myślał... Uznałem, że nie należy przysparzać ci dodatkowych trosk, dopóki nie wiemy nic pewnego.

- Uznałeś. Myślałeś. Kto dał ci prawo decydowania za mnie? - napadła na niego z impetem. - Stevie jest moim siostrzeńcem! Jest moim dzieckiem. Lilly umierając powierzyła mi opiekę nad nim. Muszę wiedzieć o wszystkim, o każdej rzeczy, która go dotyczy. Jak mogłeś ukrywać tak ważne informacje? Jak mogłeś?

- Jako twój mąż poczytuję sobie za swój obowiązek dbać o ciebie najlepiej jak potrafię, troszczyć się o twoje dobro. Dźwigać ciężary, które spadają na ciebie, chronić cię przed złem. Po prostu chcę ci oszczędzić zmartwień, Andreo, choćby nawet przez krótki czas.

- Jak krótki, Brent? - rzuciła lodowato. - Gdybym nie zapytała, jak długo miałeś zamiar trzymać mnie w niewiedzy, ślepą na to, że może już nigdy nie odzyskam Stevie'ego, że jeśli Ralph go nie ma i nie wie, gdzie mały jest, już nigdy go nie znajdziemy?

Gorące, słone łzy popłynęły jej po policzkach, kiedy zrozumiała, co oznacza usłyszana właśnie wiadomość.

- Boże, a więc to prawda? Może być w tej chwili wszędzie. Może nawet...

- Nie. - Mimo że się wrywała, Brent chwycił ją w ramiona i przytulił. - Nie wolno ci tak myśleć! Ken i jego ludzie ciągle szukają Stevie'ego. Jeśli jest w Waszyngtonie, znajdą go. Jeśli nie, wydobędziemy z Ralpa, gdzie jest. Musisz w to wierzyć, kochanie, tak jak musisz wierzyć, że odzyskamy go całego i zdrowego.

Zanosząc się szlochem, niezdolna odrzucić pociechy, przytuliła się do Brenta. Łkanie powoli przeszło w pochlipywanie. Brent trzymał ją w ramionach, kołysał uspokajająco i przyrzekał, że wszystko dobrze się skończy. Wreszcie uniosła twarz, zacisnęła dłonie i zaczęła okładać męża pięściami, wyładowując resztki napięcia.

- Brent, nie ukrywaj nigdy przede mną podobnych wieści - wyrzuciła z siebie zdławionym głosem. - Nie jestem delikatnym kwiatkiem, który należy bez przerwy trzymać pod kloszem, tylko dorosłą kobietą. I tak masz mnie traktować. Mam dość rozumu i siły, żeby znieść kilka szturchańców od życia, choćby i bolesnych.

- Jeśli obiecuję, przestaniesz okładać mnie pięściami? - zapytał.

Zamrugała oczami, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, co robi, i zamarła z uniesionymi w górę dłońmi. Ujął ją delikatnie za nadgarstki i przyciągnął jej ręce do ust.

- Wybacz mi, Andreo. Powiniennem być pomyśleć, jak cię zabolilo to, że tak długo ukrywałem przed tobą prawdę. Zapomniałem, jaka potrafisz być uparta i niezależna, i jak dzielnie sobie radziłaś, zanim się poznaliśmy. Niewiele kobiet potrafiłoby zrobić tak wiele, nawet przez miłość do dziecka. Wiedz, że jestem z ciebie bardzo dumny.

- I ja jestem dumna z ciebie - powiedziała miękko i przesunęła palcami po jego wargach. - Nie mówię, że cię nie potrzebuję, ani że potrafię obejść się bez twojej rady i pomocy. Tak bardzo polegamy na tobie, na twojej miłości. Bez ciebie nie podołałabym temu wszystkiemu. Chciałabym, żebyśmy traktowali się jak równi sobie, jak kumple.

- Jesteśmy nimi, kochanie. Następnym razem, kiedy będę się zachowywać jak tępy muł i traktować cię jak słabego na umyśle głuptasa, zobowiązuję cię, żebyś wytargała mnie za uszy.

Posłała mu zadziorne spojrzenie.

- Dziękuję, kochany, ale nie trzeba mi na to twojego

pozwolenia. Uważam, że taki jest przywilej żony, jeśli nie wręcz święty obowiązek.

Po pewnym czasie rozległo się pukanie do drzwi. W progu stał bagażowy z dworca.

- Jak to dobrze, że nareszcie pana znalazłem - oznajmił na wstępie. - Takem se pomyślał, że się pan ucieszy, jak mu powiem, że ten gość, co go pan szukał, dzisiaj po południu kupił bilet na pociąg do Filadelfii. Pociąg już poszedł, ale za trzy godziny będzie następny. Wcześniej nie dałem rady przyjść, boby mnie pryncypał nie puścić.

Brent poparł swoje podziękowania dwudziestodolarówką "za fatygę", a kiedy bagażowy zniknął, zwrócił się do Andrei:

- Co robimy, kochanie? Wracamy do Waszyngtonu czy jedziemy za Ralphem do Filadelfii?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Gdyby były jakieś wiadomości o Stevie'm, Ken przysłałby chyba telegram. Zawiadomiłeś go, gdzie się zatrzymaliśmy?

- Tak. Przed wyjazdem sprawdzę jeszcze, czy nic do nas nie ma.

- Zatem lepiej chyba jechać za Ralphem i spróbować wyciągnąć z niego wszystko, co wie. Może zostawił Stevie'ego u jakichś swoich kompanów w Waszyngtonie albo spełnił swoje groźby i sprzedał małego. Jeśli nie złapiemy Ralpha, nie będziemy mieli pewności. Może czegoś się jednak dowiemy. Nie ma nic gorszego niż taka niepewność i wątpliwości.

- Myślisz, że pojechał na wystawę? - podsunął Brent. - Może idąc za twoim przykładem uznał, że zarobi tam fortunę?

- Jeśli tak, mam nadzieję, że Jenkins go przyłapie i posadzi w jednej celi z Dunganem MacDonalodem, a potem, jeśli o mnie idzie, może wyrzucić klucz do rynsztoka i zostawić ich na zatracenie.

- Razem z Shirley Cunningham?
- Cała trójka dobrała się w korcu maku - przytaknęła Andrea.

Pociąg miał krótki postój w Wilmington. Brent w tym czasie na wszelki wypadek wypytał zawiadowcę i kilku bagażowych, chcąc się upewnić, że Ralph nie wysiadł tutaj, zamiast jechać dalej na północ. Mógł przecież próbować ich przechytryć i wystawić do wiatru, a samemu wrócić do Waszyngtonu. Nikt go jednak nie widział, Andrea i Brent uznali przeto, że Ralph pojechał jednak do Filadelfii.

Dojechawszy do Miasta Stulecia, stanęli w hotelu Continental, tam, gdzie zatrzymali się poprzednio. Przywitani przez samego dyrektora, zostali przezeń zaprowadzeni do swojego pokoju.

- Bardzo się cieszę, że znowu państwa widzę po tak krótkim czasie - oznajmił radośnie. - Gdy tylko otrzymaliśmy telegram, natychmiast zarezerwowaliśmy jeden z najładniejszych apartamentów, za darmo. Proszę to potraktować jako formę przeprosin za to, co przeżyła pani Sinclair pod naszym nosem, by tak rzec - przerwał na chwilę i mówił dalej: - A jak się miewa kochana pani Foster? Mam nadzieję, że doszła do siebie po tym nieszczęsnym uderzeniu w głowę.

- Ma się dobrze, dziękuję. Powiem jej, że pytał pan o nią - oznajmiła Andrea.

Dyrektor westchnął z ulgą.

- Życzę miłego pobytu. Jeśli możemy w jakikolwiek sposób umilić państwu wizytę u nas, wystarczy jedno słowo, a cała obsługa będzie do państwa dyspozycji.

Kiedy zniknął, Andrea spojrzała pytająco na Brenta.

- Co tu się dzieje? Wielkie nieba, już myślałam, że padnie przed nami na kolana i zacznie całować po stopach.

Brent wyszczerzył zęby.

- Pewnie chodzi o to, że jestem prawnikiem. Boją się, że pozwiemy ich do sądu i puścimy z torbami.

- Ależ to śmieszne! Nie ich wina, że MacDonald zawziął

się na mnie, a Shirley Cunningham zagięła parol na ciebie i że obydwójce knuli coś przeciw nam.

- To prawda, ale Maddy została napadnięta, dostała w głowę wazonem. Jeśli czują się aż tak winni, że dają nam apartament za darmo, ani myślę zaglądać darowanemu koniowi w zęby.

- Boże! I ty masz czelność mnie nazywać złodziejką? - parsknęła Andrea w przypływie sardonicznego nastroju. - Popatrz w lustro, panie Sinclair. Może mamy ze sobą więcej wspólnego, niż podejrzewasz.

Jenkins okazał wielkie zadowolenie na ich widok.

- Straszne nudy zapanowały tu po waszym wyjeździe - zwierzył się. Złodzieje niemal natychmiast przycichli.

Andrei dech zaparło ze strachu, co za chwilę może usłyszeć. Kolana się pod nią ugięły, kiedy powiedział:

- Tak się zastanawiałem, że aresztowaliśmy tę Cunningham i Szkota akurat we właściwym momencie. Myślicie, że mieli więcej wspólnych sprawek na sumieniu?

Andrea i Brent wymienili spłoszone spojrzenia.

- A to interesujący zbieg okoliczności, Jenkins! - oznajmił Brent z udanym podziwem. - Sam nigdy bym na to nie wpadł, ale jeśli mnie pamięć nie myli, pani Cunningham była jedną z ofiar. Ukradziono jej przecież klejnoty, czyż nie tak?

- Może chcieli nas wywieść w pole tą kradzieżą? - zasugerował detektyw. - Zresztą, odzyskała swoje kosztowności, podobnie jak reszta, dzień, dwa przed waszym wyjazdem. Ktoś przesłał je pocztą.

- Chyba coś mi się obito o uszy, chociaż byłem wtedy pochłonięty przygotowaniem do ślubu - powiedział Brent. - Co o tym myślisz? Jeśli Duncan i Shirley są złodziejami, czemu zwracali sobie głowę zwracaniem skradzionych rzeczy?

Jenkins zmarszczył czoło w głębokim namyśle.

- Nie bardzo to rozumiem - przyznał - ale pracuję nad tym. Jak tylko do czegoś dojdę, dam wam znać.

- Będziemy czekać. Tymczasem może będziesz nam mógł pomóc w pewnej sprawie osobistej. - Brent podał Jenkinsowi jeden z plakatów i zaczął opowiadać historię, którą obmyślili z Kenem, jak to Ralph żądał od Andrei okupu za Stevie'ego, jak to Brent dostarczył pieniądze z własnej kieszeni, jak zasadzka się nie udała. - Nie wiemy, gdzie jest teraz mały, natomiast Ralph uciekł do Filadelfii. Dlatego tutaj jesteśmy, Chcemy go odnaleźć i potrzebujemy pomocy.

- Rozejrzę się - obiecał Jenkins - i poproszę moich ludzi, żeby zrobili to samo. Jeśli Mutton jest w mieście, znajdziemy go.

Andrea dziwnie się czuła wracając na miejsce swoich jakże pamiętnych występów. Jeszcze niezwyklejsze wydało jej się to, że dostali apartament, który poprzednio zajmowała włoska hrabina i jej kochanek, ten sam apartament, z którego uciekała wieczorem przez balkon, kiedy Brent gonił ją w teatrze i zaplątał się o własne nogi. Wtedy po raz ostatni ukradła. Następnego ranka Brent pokazał jej przekłętą czarną chustkę.

- Ironia losu, prawda? - stwierdził. - Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Andrea skinęła głową.

- Jak w dziwnym śnie, który się ciągle powtarza. Ci sami ludzie, te same miejsca. Szkoda, że nie ma tutaj z nami Maddy.

- Ja się cieszę, że została w Waszyngtonie - stwierdził Brent bez ogródek. - Bardzo mi dobrze bez jej ukochanych szaleństw i niespodzianek, którymi mnie z lubością zaskakiwała.

- No tak - zaśmiała się Andrea radośnie. - Turnieje, pasy cnoty. Maddy uwielbia średniowiecze. Ciekawam dlaczego?

- Może w poprzednim życiu spalili ją na stosie? W ten sposób rozprawiali się wówczas z czarownicami. Nie to, żebym nie lubił kochanej staruszki, ale potrafi zaleźć za skórę.

Spędzili już w Filadelfii trzy dni, rozklejając plakaty z podobizną Ralpha i Stevie'ego wszędzie, gdzie znaleźli

kawałek wolnego muru, i nie ustając w poszukiwaniach. Nawet z pomocą całego zastępu ludzi Pinkertona nie natrafili na najmniejszy ślad Ralpha. Kamień w wodę.

- To beznadziejne - orzekła Andrea zmęczonym głosem i odgarnęła kosmyk włosów opadających na czoło. Z nieba ciągle lał się żar, ludzie snuli się jak niemrawe muchy w smole, ale na wystawie pełno było zwiedzających. — W tym tłumie nigdy go nie znajdziemy.

Usiedli na ławce koło fontanny w pobliżu głównych pawilonów ekspozycyjnych.

- Nawet jeśli na niego natrafimy, małe są szanse, żebyśmy z niego wydusili, gdzie jest Stevie - utyskiwał Brent. - Nabieram coraz większego przekonania, że Ken miał rację i że Stevie zgubił się wtedy na rynku. Co oznacza, że niepotrzebnie zwracamy sobie głowę poszukiwaniem Ralpha.

- Może powinniśmy wracać do Waszyngtonu - powiedziała Andrea - i próbować szukać Stevie'ego. Wiem, że Ken robi, co w jego mocy, ale nie mogę oprzeć się uczuciu, że...

- Że powinnaś też tam być? - dokończył Brent, kiedy głos jej się załamał.

- Tak. To głupie, prawda? - Nagle wyprostowała się i rozejrzała z nachmurzoną miną. - Prawie tak głupie, jak nieokreślone poczucie, że ktoś nas obserwuje. Nie mogę się pozbyć tego wrażenia.

- Jesteś po prostu rozdrażniona. Ten upał każdego doprowadziłby do obłądu. - Mówiąc to, sam nie mógł się powstrzymać i powiódł wzrokiem po tłumie, jakby chciał się upewnić, czy ma rację, ale nie zauważył nic podejrzanego.

- Dugan MacDonald ciągle siedzi za kratkami? - zapytała ze zmartwioną miną i przygryzła wargę. - Strach pomyśleć, że mógłby się wydostać na wolność i kręcić się teraz gdzieś tutaj, czekając sposobności, żeby zapakować mnie do kufra i wywieźć do Szkocji.

Widząc, jak zadrzała pomimo upału, Brent objął ją i przytulił do siebie.

- Zapewniam cię, kochanie, że będzie siedział jeszcze

wiele lat, ale żeby cię uspokoić, jeszcze się upewnię, kiedy tylko wrócimy do hotelu.

- Naprawdę? Wiem, że zachowuję się jak gaska, ale nie mogę pozbyć się dziwnego wrażenia.

- Przecież przekonałaś się już chyba, że zrobię dla ciebie wszystko, moja kochana — oznajmił uroczyście.

Rozpromieniła się w uśmiechu, słysząc te słowa.

- Zaniesiesz mnie do dorożki? Nie czuję nóg.

Po długiej, zimnej kąpieli i przebraniu w świeże ubranie Andrea poczuła się trochę lepiej na ciele i duchu. Jakby jeszcze dla poprawienia nastroju, kiedy schodzili na kolację, spotkali zadowolonego z siebie Jenkinsa, który oznajmił im, że Dugan MacDonald siedzi, jak powinien, w więziennej celi.

- Widzisz, kochanie. Jedno zmartwienie mniej - powiedział Brent z serdecznym uśmiechem.

- Ponosi mnie wyobraźnia - wyznała ze skrucą, trochę zażenowana swoimi rojeniami. - Chyba jednak nie zaszkodzi rozejrzeć się tutaj jeszcze przez kilka dni. Kto wie, może się na coś natkniemy. Maddy twierdzi, że cuda się zdarzają.

Przeciągali kolację, zadowoleni, że po ciężkim dniu mogą wreszcie odpocząć. Do pokoju wrócili późno. Syci, zadowoleni, oczekiwali, że zaraz padną na łóżko, będą się kochać długo i leniwie, po czym wtuleni w siebie zapadną w sen.

Brent przekręcił klucz w zamku i miał już wejść do saloniku, gdy nagle wrósł w ziemię. Zatrzymał ręką Andreeę.

- Dziwne. Lampa zgaszona — mruknął. - Jestem pewien, że zostawiłem światło, kiedy wychodziliśmy.

Andrea poczuła gęś skórki na karku.

- Może pokojowa przyszła posłać łóżka i zgasła ją wychodząc.

Spojrzała, jak Brent otwiera szeroko drzwi wpuszczając do tonącego w mroku pokoju trochę światła z korytarza, po czym oczy rozszerzyły się jej ze zgrozy na widok, który ujrzała. Salonik wyglądał niczym pobojuwisko po kanonadzie artylerijskiej. Poprzewracane meble, z kanapy i foteli powyrywane

włosie, rozrzucone po całej podłodze, połamane, walające się wokół drobiazgi, rozbite wazony, zalane wodą dywany. Wśród tego nieładu poniewierające się książki o powyrywanych kartkach i pogiętych okładkach. Nawet zawartość szuflady małej sekretary została wyrzucona na podłogę.

- Biegnij do recepcji i każ natychmiast sprowadzić Jenkinsa - powiedział Brent ściszym głosem, po czym wyciągnął z kieszeni mały rewolwer i miał już ruszyć do środka.

- Nie wchodzi tam sam - szepnęła gorączkowo, chwytając go za poję surduta. - On mógł się tu gdzieś zacząć.

- Mam broń. Idź. Rób, co mówię.

- Nigdzie się nie ruszę. - Ku własnemu niezadowoleniu usłyszała, że zaczyna głośno szcekać zębami. - Boję się - wyznała.

- W porządku. - Ustąpił. - Zostań zatem na zewnątrz przy drzwiach, a ja tymczasem sprawdzę, czy nikogo tu nie ma.

Jęknęła cicho, co odczytał jako przyzwolenie. Kolana się pod nią ugiwały, kiedy patrzyła, jak wchodzi do saloniku. Już wewnątrz zatrzymał się, by zapalić gazowy kinkiet na ścianie. W świetle pokój nie prezentował się ani trochę lepiej. Upewnili się tylko, że nie ma w nim włamywacza.

Brent skierował się w stronę uchylonych drzwi sypialni, ostrożnie stąpając po rozbitym szkłe i rozmaitych śmieciach, starając się nie czynić hałasu. Wbrew jego poleceniu Andrea szła za nim, z duszą na ramieniu i na miękkich nogach.

W sypialni zastali taki sam rozgardiasz. Pościel z łóżek zrzucana na podłogę, materace i poduszki porozcinane nożem. Wszędzie fruwało pierze, na podłodze poniewierały się ubrania. Żadna szuflada nie ostała się nie tknięta. Nawet puzderko z pudrem i flakoniki z perfumami ktoś zmiotł z toaletki i rozdeptał na proszek.

W milczeniu, z zaszępioną miną, Brent zajrzał do małej łazienki, choć nikogo nie spodziewał się znaleźć; uznał, że łotr wyniósł się zniszczywszy przedtem wszystko, co nadało się do zniszczenia.

Ciągle z bronią w pogotowiu, Brent odwrócił się do stojącej w progu sypialni Andrei, która spoglądała na pobożnik wielkimi jak spodki oczami; ich głęboki, fiołkowy błękit kontrastował z nienaturalnie pobladłą twarzą. Z jedną dłonią ciągle na gardle nachyliła się powoli, jakby pogrążona w transie i podniosła z podłogi złamany grzebień. Miał jej powiedzieć, żeby go zostawiła, nie dotykała niczego, zanim pojawi się policja, kiedy obydwójce usłyszeli zgrzyt metalu. Odgłos doszedł od strony balkonu. Po sekundzie rozległo się stłumione mruknięcie i trzask łamanego drewna.

- Na podłogę! - syknął Brent, sam zaś rzucił się w stronę drzwi balkonowych i jednym szarpnięciem otworzył je na oścież. W tej samej sekundzie doszedł ich uszu przeraźliwy chrobot paznokci zsuwających się z drewna, a zaraz potem donośny łoskot i wrzask.

Pojęli, co zaszło. Andrea nie miała żadnych wątpliwości, co się właśnie stało. Usłyszała krzyk Brenta.

- Stój, bo strzelał. - Po czym szcęknęła repetowana broń.

Podbiegłszy do balkonu, zdążyła jeszcze zobaczyć ciemną sylwetkę mężczyzny szybko przemykającego pod murem w stronę ulicy.

- To Ralph! Trafiałeś go?

- Gdzieżby. Ten rewolwer nadaje się tylko do strzelania z bliskiej odległości. Biegł bardzo szybko. Zanim zdążyłem wymierzyć, był już prawdopodobnie zbyt daleko - mruknął gniewnie.

- Może go postrzeliłeś. Utykał bardzo mocno.

- Pewnie stłukł nogę przy upadku, kiedy barierka się złamała. Tu jest wysoko.

- Wiem. - Spojrzała na złamaną balustradę i połamane kwiaty na klombie. - Mogłabym mu powiedzieć, że te balaski nie wytrzymają jego ciężaru. Ledwo wytrzymały mój. Prawdę mówiąc, musiałam je nadwerżyć, kiedy sama uciekałam tą drogą. Pamiętam, że jeden złamałam.

- Pamiętam - oznajmił. - Słyszałem, jak pękał i jak

rabnęłaś pupą o ziemię. Wydawało mi się, że cię schwyce, ale pomknęłaś niczym sarna, zanim zdążyłem cię dogonić.

- Zupełnie jak Ralph dzisiejszego wieczoru. To był on, tak?

- Tak. Wygląda na to, że tym razem naprawdę się na nas zawzięł. Miałaś rację, kiedy ci się zdawało, że ktoś nas śledzi. Przyszedł za nami do hotelu, zobaczył, w którym pokoju mieszkamy. Poczekał, aż wyjdziemy na kolację i przewrócił wszystko do góry nogami.

- Szukał okupu, który miałam mu dać za uwolnienie Stevie'ego - domyśliła się Andrea.

- Sądząc po tym, w jakim stanie zostawił nasz apartament, miał niełatwe zadanie - odparł Brent z ciężkim westchnieniem.

- Szukał na darmo - powiedziała Andrea beztrząsco. - Kiedy ja coś schowam, to na amen.

Brent zagapił się na nią z otwartymi ustami.

- Wielkie nieba, kobieto! Wywrócił tu wszystko do góry nogami. Gdzie schowałaś pieniądze?

- Tutaj. - Andrea klepnęła się po pupie. - W turniurze, gdzie nie ważyłby się zająrzeć nikt poza tobą. Nie sposób znaleźć bezpieczniejszego miejsca.

Brent zaniósł się głośnym, rubasznym śmiechem. Trzymał się pod boki, nie mogąc złapać powietrza. Oparł się o balustradę, lecz raptem spoważniał, słysząc ostrzegawcze skrzyknięcie metalu.

- Moja ty spryciaro - powiedział przytulając ją mocno i prowadząc do pokoju. - Pora zawiadomić dyrekcję hotelu o katastrofie. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby grzecznie nas poprosili, żebyśmy się wynieśli, uznawszy nas za dwoje najgorszych Jonaszy, na jakich się kiedykolwiek natknęli.

## 26

Nowy Jork? - powtórzył Brent z filiżanką znieruchomią w pół drogi do ust. - Jesteś pewien?

Jenkins skinął głową.

- Jeśli Mutton nie zamierza przedostać się do Anglii, musi wsiąść w Nowym Jorku. To jedyny i ostatni port, w którym zatrzymują się statki handlowe przed skokiem przez Atlantyk.

- Jest pan absolutnie pewien, że Ralph wsiadł na statek? - zapytała Andrea odsuwając talerz. Raptem straciła apetyt.

- Tak, madame. Wnosząc z opisu, to musiał być on. - Wyszczrzył zęby. - Kto inny mógłby utykać, udekorowany łądygami kwiatów i pachnący niczym wiosenny bukiet?

- Sprawy przyjęły interesujący obrót - mówił jakby do siebie Brent. - Ten człowiek zmierza do jaskini lwa. Nie ma pojęcia, że znam Nowy Jork jak własną kieszeń.

- To wielkie miasto, Brent - przestrzegła go Andrea. - Nie sądzisz chyba, że będzie nam łatwo tara go znaleźć.

- Może nie, ale zawsze lepiej poruszać się po znanym terenie. Znam tam mnóstwo adwokatów, sędziów, urzędników sądowych, nie wspomniawszy już o setkach innych, których poznałem w ciągu wielu lat. Zamówimy dodatkowe plakaty i rozkolportujemy, gdzie się da. Przy odrobinie szczęścia może się zdarzyć, że ktoś z moich znajomych go wypatrzy.

Andrea wzruszyła ramionami.

- Powiedzmy. Jeśli jednak potrafił ukryć się w Waszyngtonie, o ile łatwiej będzie mu zaszyć się w Nowym Jorku, wśród nieprzebranych mas ludzkich.

Brent uśmiechnął się.

- Nie jest tak źle. Wbrew powszechnym wyobrażeniom ludzie nie są tam zbici w zwarty tłum i nie spychają się nawzajem do oceanu przy najdrobniejszym ruchu. Poza tym nie będę udawał, że z przyjemnością wrócę do domu i do pracy. Oczulek pewnie już wyczekuje niecierpliwie, kiedy znów pojawię się w biurze i przejmę wszystkie uciążliwe sprawy, które zwykle on i brat zrzucają na mnie.

- A co ze Stevie'm? - przypomniała mu ponuro.

Brent westchnął.

- Nie wiem, Andreo. Po prostu nie wiem.

Tu w ich niewesołe rozważania wtrącił się Jenkins:

- Chłopiec ma blond włosy, tak? Mierzy niecały metr? Ma niebieskie oczy i jest rozbrykany jak małe kangurzątko?

Na wargach Andrei zadrgał uśmiech.

- Nie można by go lepiej opisać.

- A zatem koniec waszych zmartwień. - Szczerząc zęby w uśmiechu wskazał dłonią w stronę wejścia do restauracji.

- Zmierza tu siwowłosa, ledwie żywa dama, którą ciągnie berbecę doskonale pasujący do opisu.

Andrea zamarła; bała się wierzyć we własne szczęście, bała się obejrzeć.

- Brent? - pisnęła bezradnie.

Brent zdążył już spojrzeć we wskazanym kierunku. W miejsce zdumionej miny na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Wszystko się zgadza, kochanie. To Maddy, a ta żywa małpka obok to, zdaje się, Stevie.

Andrea skoczyła na równe nogi, zanim zdała sobie sprawę, co robi. Z okrzykiem radości porwała chłopca w ramiona i zaczęła wirować z nim w koło. Z oczu płynęły jej łzy szczęścia.

- Anda! - wykrzyknął wniebowzięty mały. Kiedy wreszcie przestała wirować, ciągle nie wypuszczając malca z objąć, ujął jej twarz w małe dłonie i powiedział po prostu: - Nie smuć się, Anda. Stevie cię kocha.

Słyszając to rozplakała się na dobre i z trudem wydusiła przez łyzy:

- Nie smucę się, Stevie. Płaczę, bo jestem szczęśliwa, że cię widzę, płaczę, bo i ja cię kocham, skarbie. Bardzo, bardzo kocham! Okropnie za tobą tęskniłam, kiedy cię nie było z nami.

- Tęskniłaś - powtórzył, przedrzeźniając ją. - Nie jak Łalf - dodał, zniekształcając „r”.

- I ja nie lubię wcale Ralpa, moje maleństwo - zapewniła chłopca. - Nie musisz się już martwić. Nigdy już go nie zobaczysz. Pojedziemy razem do Nowego Jorku. Będziesz mieszkała ze mną i z Brentem. Cieszysz się?

- Nie - oznajmił Stevie z nadąsaną miną.

Andrea spojrzała na niego zdezorientowana.

Maddy zaniósł się tubalnym śmiechem.

- Andreo, nie bierz sobie tego, co mówi, do serca. Zdaje się, że to ulubione słowo Stevie'ego, które wśród innych zasłyszał od Ralpa. Taki wiek, choć bywa to męczące. Miejmy nadzieję, że jego zasób słów wkrótce się powiększy.

- Och, Maddy! Jeszcze nigdy w życiu nie ucieszył mnie tak czyjś widok. Dziękuję!

- Podziękuj Kenowi. Zaraz się tu pojawi, tylko dopatrzy naszych bagaży i twojego zwariowanego kota. Ja wpadłam tu tylko przejazdem, by tak rzec, a także dlatego, że Stevie ostatnio nie pała zbyt miłą miłością do mężczyzn. Trudno mieć do niego pretensje, po tym wszystkim, co wycierpiał od Ralpa. Może minąć jednak trochę czasu, zanim przywyknie do tego, że musi dzielić się tobą z Brentem.

- Och, Stevie na pewno polubi Brenta - powiedziała Andrea kołyszając malca na kolanach. - Prawda, kotku?

- Nie! - Padła wojownicza odpowiedź.

Andrea uniosła brew.

- Chodź. Musicie się poznać. Zobacysz, jaki jest miły - zaproponowała z pełnym nadziei uśmiechem. - Będzie teraz twoim tatusiem.

- Nie!

Maddy pokręciła głową:

- Na twoim miejscu, kochanie, zaopatryłabym się w zapas proszków od bólu głowy.

Andrea nie mogła uwierzyć, że naprawdę odzyskała Stevie'ego. Był jednak tutaj, trzymała go w ramionach, przyssał się do niej jak pijawka i nie chciał iść do nikogo innego, szczególną nieufnością obdarzając mężczyzn. Spojrzał na Brenta i natychmiast zaczął ryczeć. Dopiero kiedy Andrea zamówiła lody, uspokoił się na tyle, że Maddy i Ken mogli opowiedzieć historię jego zaginięcia i szczęśliwego odnalezienia.

- Jakaś wieśniaczka znalazła go na rynku, zapłakanego i obitego - mówił Ken. - Miał wielkiego siniaka na czole, którego pewnie nabił sobie spadając z koła wozu. Niewiele mogąc wydobyć z dwulatka, zaczęła rozpytywać wśród przekupniów, czy ktoś nie zgubił dziecka. Nikt się nie zgłosił. Pech chciał, że w pobliżu nie było żadnego z naszych ludzi. Wszyscy rozproszyli się gdzieś w tłumie.

Zapłakany Stevie usnął w końcu na jej wozie. Zrobiło się późno, zbierało się na deszcz, babina zaczęła pakować towary. Spieszyła się, żeby zdążyć do domu przed ulewą, i zamiast zawieźć Stevie'ego na policję, do kościoła albo do sierocińca, zabrała go ze sobą.

W tym miejscu Maddy podjęła opowieść:

- Był u niej przez tydzień, aż do dzisiejszego rana, kiedy znowu wybrała się na targ. Tu zobaczyła jeden z naszych plakatów i tak nas znalazła. Zamiast wysłać depezę, postanowiliśmy przyjechać pierwszym pociągiem i zrobić wam niespodziankę.

- To prawdziwy cud - oznajmiła Andrea cicho. W oczach

błyszcząły łyzy, kiedy patrzyła na malca siedzącego na jej kolanach.

- Trzeba by wysłać tej kobiecie jakieś pieniądze w formie nagrody - zdecydował Brent. - Bóg widzi, że takich ludzi nieczęsto się spotyka.

- Już o tym pomyśleliśmy - zapewniła go Maddy. - Daliśmy jej sto dolarów i trzeba było ją długo namawiać, żeby przyjęła taką sumę. Przekonywała nas, że mając dwójkę swoich, wie doskonale, co znaczy stracić dziecko, nawet na krótko. Zamartwiała się, że przysporzyła Andrei strapień trzymając Stevie'ego u siebie przez cały tydzień.

- Odzyskaliśmy go wreszcie i nigdy już nie spuszczę go z oka - poprzysięgła Andrea.

- Będziesz musiała zmienić zdanie, bo inaczej gotów nie pójść do szkoły - pokpiwał Brent.

- Zastanowię się - przyrzekła Andrea. - Ale na razie chcę go mieć blisko siebie.

Nowy Jork jawił się jak kalejdoskop widoków, dźwięków i zapachów zmieszanych niczym w wielkim zwariowanym tyglu. Kamienica, w której mieszkał Brent, usytuowana na skraju Central Parku, znajdowała się z dala od zgiełku. Szczęśliwi lokatorzy zażywali tu ciszy i spokoju. Dodatkową korzyść stanowił fakt, że od domu rodziców Brenta, położonego w pobliżu Gramercy Park, dzieliły ją ledwie dwie mile, acz od biura dwakroć większa odległość.

Mieszkanie, wbrew oczekiwaniom Andrei, okazało się przestronne i wysokie, z balkonem i pięknym widokiem na park. Co więcej, było dwupoziomowe. Na niższym poziomie znajdowała się kuchnia, jadalnia, salon i mały gabinet, gdzie Brent umieścił swoją bibliotekę i biurko. Na piętrze do dyspozycji pozostawały cztery pokoje, po dwa po każdej stronie korytarza z łazienkami łączącymi sypialnie. W jednej, którą Andrea miała teraz dzielić z mężem, sypiał Brent. Drugi pokój pełnił rolę gościnnego, a pozostałe dwa stały dotąd puste, nie umeblowane.

- Po co kawalerowi takie duże mieszkanie, skoro nie wykorzystywałeś całego? - zapytała zdziwiona Andrea. - Bardzo mi się podoba, będzie nam tutaj wygodnie, teraz, kiedy mamy zamieszkać tutaj we trójkę, ale tylko dla siebie mogłeś być przecież znaleźć coś mniejszego i na pewno tańszego.

Brent uniósł brwi i zrobił paskudną minę.

- Nie mógłbym wtedy urządzać orgii, które w każdy weekend organizowałem dla swoich przyjaciół - oznajmił, z trudem zachowując poważną minę.

Stała z na wpół otwartymi ustami, niepewna, czy ma uwierzyć, czy nie.

Na widok jej osłupiałej miny, poczuł wyrzuty sumienia i spuścił z tonu.

- Żartowałem. Nie wpatruj się we mnie, jakbyś zobaczyła dwugłowe cielę. Nigdy nie byłem na żadnej orgii, nie mówiąc już o urządzeniu jakiejś u siebie.

Popatrzyła na niego bezradnie.

- Skąd mogłam wiedzieć? Znamy się od kilku tygodni. Mało o tobie wiem. Możesz mi z łaski swojej powiedzieć, co to takiego orgia?

- Wyjaśnię ci kiedy indziej, jeśli pozwolisz. Pytałaś o mieszkanie - przypomniał jej. - Wynająłem je przede wszystkim ze względu na położenie i na widok. Niewiele jest mniejszych apartamentów niż z czterema sypialniami, nie miałem wyboru. Mogłem co prawda zaproponować któremuś z przyjaciół, by się tutaj wprowadził i płacił połowę czynszu, ale wychowałem się z trzema braćmi i siostrą, toteż wolałem zamieszkać sam.

- Twoi starsi bracia się poženili, Dan jest w szkole. W domu twoich rodziców zrobiło się dużo miejsca. Dlaczego się od nich wyniosłeś?

Uśmiechnął się krzywo.

- Nie wiem, czy będąc na moim miejscu, chciałybyś mieszkać z moją matką.

- Rozumiem.

Mimo że sprawę ustalenia miejsca pobytu Ralph'a pozostawiono Kenowi, który kierował poszukiwaniami z biura Pinkertona na Manhattanie, Brent rozesłał wici wśród swoich znajomych, by i oni mieli oczy otwarte. W mieście wielkości Nowego Jorku odnalezienie kogoś było, jeśli nie całkiem niemożliwe, to w każdym razie niezwykle trudne. Brent zapewnił Andree, że dokładnie z tego samego względu Ralphowi niezwykle trudno będzie odnaleźć ich i Stevie'ego. Możemy być spokojni, mówił, i zacząć myśleć o swoim życiu rodzinnym.

Zaznajomiwszy Andree z okolicą, pobliskimi sklepami, przedstawivszy jej służbę, Brent po kilku dniach wrócił do pracy w firmie prawniczej. Maddy przyjeżdżała często w odwiedziny, ale nie chcąc się narzucać młodym, wolała zatrzymać się w hotelu. Andrea rzuciła się w wir nowych obowiązków, których wymagała pozycja żony i matki.

Uwielbiała zajmować się Stevie'm, zabierała go na spacer do parku, czytała, bawiła się z nim, zachwycona dociekliwością dwulatka tak samo jak jego urodą. Rósł i uczył się bardzo szybko, ale piętno, które pozostawiło na nim spotkanie z Ralphem, nie zniknęło, przysparzając Andrei ciągłej troski. Kłął jak z nut i były to bodaj jedyne słowa w jego ograniczonym jeszcze słowniku, których wymawianie nie sprawiało mu żadnych kłopotów. Andrea o mało nie zemdlała, gdy po raz pierwszy nazwał ją wywłoką.

- Stevie! To bardzo brzydkie słowo. Nie chcę go więcej od ciebie słyszeć - upomniała go, nie posiadając się z oburzenia. - Nie wolno ci tak nazywać ani mnie, ani żadnej innej pani.

- Łalf tak ciebie nazywał - odparł Stevie z całkowitą niewinnością.

- Nie wątpię - mruknęła Andrea pod nosem, do Stevie'ego zaś powiedziała: - Ralph brzydko mówił. Jestem teraz twoją matką. Możesz mnie nazywać mamusią albo Andą ale nie inaczej.

Stevie pokręcił jasną główką.

- Nie, będę do ciebie mówił tofanie, jak Brent.

Gniew Andrei stopniał w jednej chwili. Uśmiechnęła się.

- Dobrze, możesz do mnie mówić kochanie, jak Brent.

Na tym nie kończyło się jednak barwne słownictwo Stevie'ego, stanowiące punkt wyjścia do zażartych sprzeczek między Andrea i Brentem na temat wychowania małego.

- Może sam przestanie, jeśli będziemy puszczać mimo uszu jego przekleństwa, nie napominać go przy każdej okazji, nie robić zamieszania - mówiła z nadzieją w głosie.

- Bardzo wątpię - odpowiadał Brent sceptycznie. - Poza tym, jeśli nie będzie nas słuchał, kiedy tłumaczymy mu, że ma nie powtarzać pewnych słów, lekki klaps w pupę nie zawadzi od czasu do czasu. Nie uczyni mu krzywdy, a wywrze odpowiednie wrażenie.

- Mówisz jak Ralph - zaoponowała Andrea. - Wiesz, jaki Stevie ma stosunek do mężczyzn po tym, co ten łajdak z nim zrobił. Zaczyna cię dopiero akceptować. Wszystko zniszczysz, jeśli go uderzysz.

- Zatem ty będziesz wymierzała kary - oznajmił Brent. - Nawet taki szkrab powinien już wiedzieć, kiedy robi coś niedopuszczalnego. Musi się nauczyć, że są zasady, których nie wolno łamać. Rozumiem, że wiele przeszedł, ale to nie znaczy, że z tego powodu mamy mu pozwalać na wszystko.

- Może powinnam was obydwu przełożyć przez kolano i użyć dyscypliny. Nie dalej jak dzisiaj Stevie nazwał Maddy starym nietoperzem. Idę o zakład, że usłyszał to wdzięczne określenie od ciebie.

Stevie nabrał też zwyczaju wdawania się w bójki z innymi dziećmi, bił też kotkę, kiedy tylko jej dopadł. Cały klan Sinclairów zebrał się jak zwykle w niedzielę w domu rodziców Brenta, gdy Shelly, trzyletnia córeczka Sheili i Arnio'ego raptem zaczęła przeraźliwie krzyczeć. Wszyscy natychmiast rzucili się do sąsiedniego pokoju zobaczyć, co stało się małej.

- On mnie uderzył! - rozpłakała się dziewczynka, wska-

zując oskarżycielskim gestem na Stevie'ego, który wpatrywał się w nią, przyciskając do piersi swoją owieczkę. - Stevie mnie uderzył! - Wyciągnęła rączkę z czerwonymi śladami.

Sheila nachyliła się, żeby pocieszyć małą.

- Wiem, kochanie, że boli, ale nie stało się nic straszego. Widzisz? Nie masz nawet rozciętej skóry.

Okropnie zażenowana zachowaniem Stevie'ego, wściekła na niego, Andrea próbowała powstrzymać gniew. Opanowując się ze wszystkich sił, przyklękła, wyjęła Stevie'emu kciuk z buzi i zapytała spokojnie:

- Dlaczego uderzyłeś Shelly? To bardzo brzydko.

- Zabrała mi owieczkę! - odpowiedział z płaczącą miną.

- Rozumiem. - Od chwili, kiedy Stevie odzyskał swoją zabawkę, nie rozstawał się z nią, jakby się lękał, że znowu zniknie. Nie lada zabiegów wymagało namówienie go, żeby wypuścił ją z objęć przynajmniej na czas kąpieli czy ubierania i akcje te zazwyczaj kończyły się okropną awanturą.

- Stevie, wiem, że kochasz swoją owieczkę, ale nie wolno bić innych dzieci, kiedy chcą się nią bawić. Musisz dzielić się zabawkami.

Spojrzał w jej zagniewane oczy.

- Nie! Moja owieczka!

Brent przykucnął obok Andrei.

- Pozwól. Ja z nim porozmawiam - powiedział odsuwając ją na bok.

Pomimo oporów ze strony małego, wziął go na kolana. Spoglądali sobie teraz prosto w oczy.

- Wiesz, Stevie, co zrobiła moja mama, kiedy uderzyłem innego chłopca? Uderzyła mnie też, żebym wiedział, jak bardzo to boli.

Stevie szeroko otworzył oczy.

- Nie będę cię bił, bo źle jest bić innych. Nikogo nie wolno bić - ciągnął Brent. - Ale jeśli jeszcze raz zdarzy ci się to zrobić, wezmę wielki kawałek mydła i umyję ci buzię w środku. Wiesz, jakie niesmaczne jest mydło?

Stevie ponuro skinął głową.

- Niesmaczne jak gówno.

Brent usłyszał za plecami tłumione chichoty i wstrzymane oddechy. Westchnął.

- Znowu powiedziałeś brzydkie słowo. Tego też nie wolno robić. Za to też powinniśmy myć ci język mydłem, jeśli nie przestaniesz.

Stevie zacisnął wargi, wciągnął policzki i pokręcił głową.

- Zatem zachowuj się jak należy, synu. Zrozumiano?

Stevie zastanawiał się przez chwilę, wreszcie z ociąganiem przytaknął.

- W porządku. A teraz przeproś Shelly. Powiedz, że ci przykro, że ją uderzyłeś.

Ze ściągniętą buzią, jakby sprawiało mu to niezmierny ból, Stevie wymamrotał:

- Pseprasam, Selly, Stevie nie bije.

Brent nagroził go mocnym uściskiem.

- Dobry chłopiec. I jeszcze jedno. Skoro popłakała się przez ciebie, powinienesz pożyczyć jej teraz owieczkę na pociechę.

- Nie! - padła natychmiast twarda odpowiedź.

- Tak - nalegał Brent. - Tylko na chwilę. Potem ci ją odda. Obiecuję.

Stevie kurczowo ścisnął zabawkę. W oczach pojawiły mu się łzy, broda zaczęła drżeć.

- Ocuje? - zapytał podejrzliwie.

Brent poważnie skinął głową.

- Przysięgam.

Stevie ważył jego słowa, wreszcie się rozchmurzył, w policzkach pojawiły się dołeczki.

- Miętaj. Tofanie umyje ci język.

## 27

Andrea była w fatalnym humorze. Usiłowała urządzić mieszkanie, korzystając z rady i pomocy Maddy. Zajęcie to pochłaniało mnóstwo czasu, resztę poświęcała opiece nad Stevie'm. Domem zajmowała się dochodząca gosposia i kucharka, lecz Andrea musiała czuwać nad wszystkim.

- Chodzę ciągle za tą roztrzępaną dziewczyną i poprawiam po niej - narzekała do Brenta na służącą.

- Nie zauważyłem, żeby była taka okropna - odparł Brent. - Może za wiele od niej wymagasz.

- Może jesteś takim samym flejtuchem jak ona - odparowała Andrea.

- Jeśli nie jesteś z niej zadowolona, znajdź na jej miejsce kogoś, kto sprosta twoim wymaganiom.

- Pewnie tak zrobię. Przy okazji zmieniłabym też kucharkę.

- Tutaj się z tobą zgadzam - przyznał Brent. - Ma zwyczaj przesalać wszystko, prawda?

Andrea skinęła głową.

- A mięso serwuje twarde jak stara podeszwa.

- Może powinniśmy nająć też nianię - zaproponował Brent.

Andrea spojrzała na niego tak, jakby jej właśnie powiedział, że ma przyszczyć na nosie.

- Nie - oznajmiła zdecydowanie. - Sama będę się zaj-

mowała Stevie'm. Potrzebuje mnie. Ufa mi. Jest jeszcze zbyt zagubiony, żeby oddawać go w ręce kogoś obcego.

Brent westchnął ciężko.

- Wiem, Andreo, ale bądź rozsądna. Zameęczysz się biorąc wszystko na siebie. Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś poświęcała mi trochę więcej uwagi. Chciałbym czasami wyjść gdzieś z tobą potańczyć albo pójść do teatru, czy zaprosić przyjaciół na kolację. Tymczasem kiedy wracam do domu, jesteś tak zmordowana, że powieki same ci się zamykają.

- Żadnej niani - powtórzyła nieugięcie, z ostrzegawczym błyskiem w oku. - Przynajmniej nie w tej chwili.

- W porządku. Rób jak chcesz. Jeśli uznasz, że potrzebujesz pomocy, wystarczy słowo, a zatrudnimy kogoś.

- Nie zaperzaj się tak - powiedziała Andrea. - Może bym i ustąpiła, gdybyś był bardziej wyrozumiały i pozwolił czasami Stevie'emu spać w naszym łóżku, szczególnie wtedy, kiedy śnią mu się koszmary.

Brent pokręcił głową.

- Nie, Andreo, nie możemy wdrażać go do złych nawyków. Ma swój pokój, własne łóżeczko i tam ma spać.

- Wiesz przecież, jak bardzo się boi.

- Może powinnaś zostawiać mu zapaloną lampkę nocną. Spojrzała na niego lodowato.

- Jesteś potworem bez serca.

- Nie. Jestem tylko mężem, który chce mieć w nocy żonę dla siebie, a Stevie jest jeszcze odrobinę za mały, by go wprowadzać w to, czym zajmują się mamusie i tatusiowie pod kołdrą. Nie sądzisz?

- Nie będziemy przecież robić takich rzeczy przy nim - oburzyła się Andrea.

- To właśnie chciałem powiedzieć, kochanie. Sprawa zamknięta.

Dwa dni później, kiedy Brent był w pracy, dwóch ludzi dostarczyło do domu wielkie pudło. Zabrali się za rozpako-

wywanie go i ku swej radości Andrea ujrzała maszynę do szycia Singera, najnowszy model.

- Och, pamiętała! - westchnęła pod nosem. - Kochany mój!

- Mam nadzieję, że mówisz o swoim mężu, któremu ostatnio skapiłaś cieplejszych słów - zauważyła nieco zgryźliwie Maddy, która bawiła właśnie z wizytą w Nowym Jorku.

Andrea z pokorą przyjęła reprimendę.

- Prawda, że ostatnimi czasy byłam dla niego trochę niemila - zgodziła się.

- Łagodnie mówiąc, moja droga.

- Wiem. Po prostu mamy inne zdanie na temat metod wychowywania Stevie'ego. Brent twierdzi, że go rozpieszczam i psuję, ale po tym wszystkim, co przeszedł, nie mam serca być wobec niego surowa. Potrzebuje czułości, a nie twardej ręki, czy, mówiąc słowami Brenta, „dyscypliny” i „nadzoru”. Dopuszczaj prawnika do głosu, a zagada cię na śmierć.

- Gdzie się podział ten mały łotr? Myślę o Stevie'm. Jest podejrzenie cicho.

- Śpi, dzięki Bogu. Miał męczący poranek. Zapaskudził całą kuchnię i siebie owsianką, a kiedy chciałam go umyć, podniósł wrzask pod niebiosa. Potem uparł się, że sam się ubierze, co zajęło mu trochę czasu. Teraz oczywiście nie mogę znaleźć jednego jego bucika, natomiast na swoim grzebieniu znalazłam całą kępę kociej sierści. Kotka nie wychodzi spod kanapy.

- Mądra kocica - mruknęła Maddy. - Sama bym tam weszła, gdybym się zmieściła.

Andrea puściła mimo uszu komentarz Maddy i zmieniła temat.

- Masz ochotę pójść ze mną na zakupy, kiedy Stevie się obudzi? Teraz, gdy mam już maszynę do szycia, okropnie chciałabym ją wypróbować. Kupię chyba materiał na nową sukienkę i może coś na ubranka dla Stevie'ego, jeśli znajdzie wykroje.

- A jaką będzie miał z tego korzyść twój mąż, który, chcę ci przypomnieć, kupił to wspianiałe urządzenie? - zainteresowała się Maddy.

- Przypomnij mi, żebym się rozejrzała za cieniutkim płótnem. Uszyję mu kilka koszul.

- Wybacz, kochanie, ale nie sądzę, żeby oczekiwał tego rodzaju podziękowania za swoją hojność.

- No to kupię mięso na pieczeń i przygotuję wspianiałą kolację.

Maddy pokręciła głową i oznajmiła zjadliwie:

- Wbrew temu, co się słyszy, droga do serca mężczyzny nie prowadzi przez żołądek. Celuj trochę niżej, a będziesz bliższa sukcesu.

O świecie Stevie obudził się z płaczem i koszmarne snu. Zazwyczaj to Andrea wstawiała, by go uspokoić, ale tej nocy była tak zmęczona, że nawet nie drgnęła, gdy Brent wstał i poszedł do małego.

- Co się dzieje, synku? Miałeś zły sen? - zapytał Brent łagodnie, siadając na brzegu łóżka, i wyciągnął rękę, żeby pogładzić chłopca po włosach.

Stevie zrobił unik.

- Anda. Chcem do Andy - pochlipywał.

- Andrea śpi - powiedział Brent. - Chodź do mnie na kolana, dobrze?

Stevie wahał się przez długą chwilę, po czym, ciągle popłakując, przytulił się do Brenta.

- Tusiaj. Bojem - wyjąkał przez łzy.

- Tusiaj? - zapytał Brent nic nie rozumiejąc.

- Tak. - Stevie zaczął się kołysać w jego ramionach.

- Aha. Huśtaj. Jasne. - Brent uśmiechnął się. - Coś jeszcze?

- Anda piewa.

Brent skrzywił się.

- Ma lepszy głos niż ja - przyznał. - Ja skrzeczę jak ropucha. Może lepiej coś ci opowiem?

Stevie przytaknął i wtulił mokry policzek w owłosioną pierś Brenta.

- Dawno, dawno temu był mały chłopczyk, taki jak ty i jak ty na imię miał Stevie. Chociaż był bardzo odważny, okropnie bał się jednej rzeczy - wielkoluda, który mieszkał po drugiej stronie wzgórza i który nazywał się Ralph.

Stevie zadrżał. Brent przytulił go mocniej, oparł brodę na czubku jego główki.

- Pewnego dnia wielkolud ukradł Stevie'ego i Stevie bardzo długo mieszkał razem z nim, ale w końcu uciekł i wrócił do domu do mamusi i nowego tatusia. Miał całe mnóstwo ślicznych zabawek i kotka, z którym się bawił, ale ciągle się bał, że wielkolud go znajdzie i znowu ukradnie. Tatus Stevie'ego był bardzo duży i bardzo silny, i bardzo sprytny, i obiecał, że ochroni Stevie'ego. Obiecał synkowi, że jeśli wielkolud się pojawi, to go przegna za siódmą górę i za siódmą rzekę.

- Napławdę? - zapytał Stevie sennie.

- Tak, i wtedy tatuś dał Stevie'emu króliczą łapkę na szczęście, bo, jak wiadomo, łapki królicze odpędzają wielkoludy i Stevie nie musiał się już nigdy bać Ralpha.

- Ja ce łapkę - powiedział Stevie żałośnie.

- Dostaniesz ją ode mnie - obiecał Brent. - Kładź się pod kołdrę, zaraz ci ją przyniosę. - Delikatnie położył malca i okrył kołderką. - Zaraz wracam.

Wrócił po chwili i wsunął króliczą łapkę w małą piastkę.

- Jutro kupimy łańcuszek, żebyś mógł ją nosić na szyi i nigdy się z nią nie rozstawać.

Pochylił się i pocałował chłopca w czoło.

- A teraz śpij już i nie bój się. Przy mnie będziesz bezpieczny. Przyrzekam.

Stevie uśmiechnął się i ziewnął szeroko. Już zasypiał. Brent na palcach podszedł do drzwi. Stanął, słysząc głos małego.

- Tofam Benta.

Brent poczuł pod powiekami piekące łzy.

- I ja cię kocham, Stevie. Słodkich snów, synku.

Stało się to w najmniej oczekiwanym przez Andreę momencie. Pewnego popołudnia wracała właśnie ze Stevie'm z parku, gdy zauważyła człowieka przypominającego z wyglądu Ralpa. Dzieliła ją od niego spora odległość i zanim zdążyła się upewnić, zniknął jej z oczu, ale to wystarczyło, by obudziły się stare lęki. Wróciła spieszenie do domu, zamknęła drzwi na cztery spusty i przez resztę popołudnia nie spuszczała oka ze Stevie'ego. Kiedy Brent wrócił z pracy, była na skraju hysterii.

- Miałem nadzieję, że więcej o nim nie usłyszymy - powiedział Brent zmęczonym głosem. - Może to nie był Ralph, tylko ktoś, kto go przypominał. Nie chce mi się wierzyć, że znalazłby nas tak szybko, kiedy myśmy mieli do dyspozycji policję, agencję Pinkertona i przez miesiąc szukaliśmy go bez skutku.

- Tak czy inaczej, wystraszyłam się porządnie. Nie będę spać spokojnie, dopóki go nie złapią- oznajmiła roztrzęsiona Andrea. - Jedna chwila nieuwagi może nas drogo kosztować. Kiedy pomyślę o swoich beztróskich spacerach po mieście ze Stevie'm, o zakupach, o zabawach Stevie'ego w parku, tylko pod opieką Maddy, to czuję się tak, jakbym umyślnie prowokowała nieszczęście. Jeśli był to rzeczywiście Ralph, mógł porwać Stevie'ego, zanim zdążyłabym otworzyć usta i wezwać pomocy.

Brent zawiadomił policję, a ludzie Kena przez tydzień pilnowali domu. Ralph się nie pojawił. Nikt z sąsiadów ani okolicznych sklepikarzy nie widział nikogo o podobnym wyglądzie, mimo że zostali uprzedzeni i obiecali donieść, jeśli zauważą coś podejrzane.

Niemniej Andrea znowu żyła w strachu. Bała się wyjść na ulicę, bała się zostawić Stevie'ego samego choćby na chwilę, bała się otwierać drzwi. Wahała się nawet, czy pójść jak zwykle w niedzielę do Sinclairów na obiad. Jednym słowem, sama zamieniła się w pustelnicę i zrobiła pustelnika ze Stevie'ego, a wszystko z obawy, by nie naprowadzić Ralpa na ślad chłopca.

- Nie możesz tak egzystować - powiedział w końcu Brent. - To niezdrowe, psychicznie i fizycznie, zarówno dla ciebie, jak i dla Stevie'ego. Nie będziesz przecież tak żyła przez resztę życia, nie zamkniesz Stevie'ego pod kluczem niczym zwierzę w klatce. Potrzebuje spacerów, słońca, świeżego powietrza. Musi biegać, spalać rozsadzającą go energię.

- Potrzebuje przede wszystkim bezpieczeństwa - sprzeciwiała się z uporem.

- Potrzebuje normalności - nie ustępował Brent. - Potrzebuje matki, która zachowuje się racjonalnie, zamiast utwierdzać go w jego lękach, teraz, kiedy zaczyna z nich wychodzić. Na Boga, Andreo! Co się z tobą dzieje? Gdzie jest ta dzielna kobieta, którą tak podziwiałem, kiedy się poznaliśmy? Andrea, która nie ulekkaby się samego diabła? Kto ryzykował życie, żeby zebrać okup za dziecko, kto nikogo się nie lękał? Kto ścigał Ralpha przez tuzin stanów?

- To wszystko działo się, zanim odzyskałam Stevie'ego. Nie potrafię myśleć o tym, że mogłabym go znowu utracić. Drugi raz nie zniosłabym podobnego koszmaru.

Brent spoglądał na nią bezradnie.

- Jak mam cię wyciągnąć z tego więzienia, które sama sobie stworzyłaś, jak odzyskać żonę?

- Schwytaj Ralpha Muttona - odpowiedziała zmęczonym głosem.

Dwa tygodnie później Brent i Andrea leżeli w łóżku, omawiając kolejny plan schwytania Ralpha.

- Powtórzmy sobie wszystko jeszcze raz, żeby upewnić się, czy niczego nie przeoczyliśmy - zaproponował Brent. - Wiadomość o naszym planowanym wyjeździe pojawiła się w dzisiejszej gazecie. Ralph ma dość czasu, by tu dotrzeć, nawet jeśli nie ma go w Nowym Jorku. Goście zaproszeni, wszystko gotowe na jutrzejsze przyjęcie: jedzenie, napoje, ludzie Kena wystąpią jako kelnerzy i lokaje. Stevie jest

bezpieczny u Boba i Caro. Okup schowany w dogodnym miejscu, tak że w każdej chwili możemy mieć do niego dostęp. Lepiej nie możemy być chyba przygotowani.

- Miejmy nadzieję, że twój plan okaże się skuteczny - powiedziała Andrea niepewnie. - Kiedy pierwszy raz o nim opowiedziałeś, wydawał mi się znakomity, ale teraz myślę o tym, jak często coś nam się nie udawało. Mam nadzieję, że nie pominęliśmy żadnego ważnego elementu.

- O niczym chyba nie zapomnieliśmy - odparł Brent. - Zrobiliśmy wszystko z wyjątkiem wysłania Ralphowi drukowanego zaproszenia.

... Gdybym wiedziała, dokąd je wysłać, i to bym zrobiła - powiedziała Andrea sucho. - A jeśli Ralpa nie ma w Nowym Jorku? Jeśli policja ma rację, że wyniósł się z miasta i że może być teraz w Waszyngtonie?

- Dlatego zamieściliśmy artykuł we wszystkich ważniejszych gazetach tu, tam i jeszcze w kilku miastach po drodze. Żeby go zwabić. Ralph jest zbyt chciwy, żeby zrezygnować z pieniędzy. Pamiętasz, jak zdemolował nasz pokój w hotelu w Filadelfii, przekonany, że uda mu się znaleźć okup? Jeśli wrócił do Waszyngtonu, to dlatego, że sądził, iż ty tam jesteś, ze Stevie'm i pieniędzmi.

Andrea zrobiła wielkie oczy.

- Brent! Tak się cieszę, że Maddy jest z nami. Skóra mi cierpnie, kiedy pomyślę, co by się stało, gdyby Ralph próbował zmusić ją do powiedzenia, gdzie jesteśmy. Mógłby zrobić sobie z niej zakładnika.

- I ja o tym myślałam. To jeszcze jeden powód, dla którego musimy go złapać. Nie możemy do końca życia siedzieć jak na szpilkach, lękając się, że może wyskoczyć jak diabeł z pudełka, wszędzie i o każdej porze. Wybraliśmy chyba najlepsze rozwiązanie. Zwabimy go w zasadzkę.

- A jeśli Ralph nie zauważył artykułu? Wszystkie nasze starania i przygotowania pójdą na marne.

- Wtedy wymyślimy coś innego. Myślę jednak, że jest duże prawdopodobieństwo, iż Ralph złapał przynętę.

Nie zapominaj, że zapłąciliśmy dodatkowo, by nasz artykuł pojawił się na pierwszych stronach, a nie zniknął gdzieś w kronice towarzyskiej. Zawarliśmy w nim wszystkie informacje, które chcieliśmy, by dotarły do Ralpha,

Andrea wzięła w rękę poranne wydanie leżącego na łóżku dziennika i raz jeszcze spojrzała na tekst, który czytała tyle razy, że każde słowo znała już na pamięć. Zawierał opis ich ślubu ilustrowany zdjęciem całej trójki, ze Stevie'm, pozującej przed domem. Numer kamienicy był czytelny jak na dłoni, ale ujęcie sprawiało wrażenie przypadkowego, tak by ów nadmiar informacji nie wzbudził podejrzeń Ralpha. W tekście mowa była o usytuowaniu domu i wspaniałym widoku na Central Park. Jeśli Ralph ich szukał, teraz nie powinien mieć żadnych trudności.

Artykuł stwierdzał także:

*Młodożeńcy wyjadą w spóźnioną podróż poślubną do Europy natychmiast po uroczystej kolacji, którą wydają w swojej rezydencji w sobotni wieczór. Chociaż ograniczona, lista gości, wśród których znajdują się naturalnie członkowie najbliższej rodziny i przyjaciele, zawiera nazwiska wielu znanych osobistości. Chodzą pogłoski, że ma się nawet pojawić prezydent wraz z małżonką. Pan Sinclair i jego młoda żona są prawdziwymi dziećmi szczęścia i po powrocie do kraju znajdują się wśród śmietanki towarzyskiej.*

- Jeśli Ralph rzeczywiście przeczytał artykuł, wie, że ma niewiele czasu - mówił Brent. - Musi uderzyć, zanim wyjedziemy, inaczej nie zobaczy pieniędzy. Będzie przypuszczał, że chcemy przeznaczyć na podróż to, co jego zdaniem jemu się należy. Teraz pewnie wariuje, a już zupełnie oszaleje, kiedy odkryje, że to wszystko to tylko pułapka i że nie mieliśmy zamiaru nigdzie wyjeżdżać.

- Co będzie, jeśli pojawi się dzisiaj, zamiast jutro? - zapytała Andrea i wstrząsnęła się na samą myśl o takiej ewentualności. - Cały nasz plan opiera się na jutrzejszym

przyjęciu. Założyliśmy, że pojawi się jutro, bo uzna, że będziemy pochłonięci uroczystością.

- Ken rozstawił już ludzi wokół domu, w kamienicy naprzeciwko, w parku, w zaułku obok. Wynajął nawet puste mieszkanie na trzecim piętrze. Ma detektywów w oknach i na dachu. Jeśli Ralph pojawi się dzisiejszej nocy, to jutrzejsze przyjęcie będzie okazją do specjalnej celebracji.

- Przynajmniej nie musimy się lękać o Stevie'ego. Przypomnij mi, żebyś podziękowała Bobowi i Caro za to, że zgodzili się wziąć małego do siebie.

- Chętnie na to przystali, kiedy usłyszeli, co zamierzamy. Dzięki Bogu Stevie nie bije już każdego napotkanego dziecka. Nie muszą się bać o Lynn i Robbie'ego, a ja nie muszę się bać, że rośnie nam w domu mały ludożerca.

- Zdziwiłam się, że tak łatwo dał się namówić i nie zrobił rabanu, że musi się ze mną rozstać na te dwa dni.

Brent wyszczerzył zęby.

- Od kiedy ma swoją króliczą łapkę, zrobił się okropnie odważny. Skończyły się koszmary, płacze, czepianie się spódnicy, strach przed każdą nową osobą. Zauważyłem, że nie ssie już kciuka, a i owieczka towarzyszy mu tylko podczas snu. Bardzo jestem z niego dumny.

- Uwielbia cię - powiedziała Andrea i oczy się jej zamglily. - Ja też.

## 28

Andrea omiotła jadalnię krytycznym spojrzeniem. Wszystko lśniło, co było w dużej mierze zasługą nowej gosposi. Przykryty koronkowym obrusem stół, który mógł z łatwością pomieścić czterdzieści osób, zastawiony był cieniutką porcelaną. Całości dopełniały kryształowe kieliszki i srebrne sztuce skrzące się refleksami światła żyrandola. Na pomocniku stały tace z zakąskami i przystawkami. Z kuchni, gdzie nowa kucharka ostatnimi muśnięciami mistrzowskiej ręki kończyła kulinarne dzieło, dochodziły rozkoszne zapachy. Wszystko było gotowe z wyjątkiem ściśniętego strachem żołądka Andrei.

- Zdenerwowana? - Za jej plecami stanął Brent.

Skinęła szybko głową.

- Tak. Teraz, kiedy nadszedł ten moment, nie wiem, czy chcę, żeby Ralph się objawił. Czy Ken nie powinien już tu być? - zapytała niespokojnie, bawiąc się wisiorkiem na szyi.

- Zaraz przyjdzie. Przestań się zamartwiać, Andreo. Nie chciał wzbudzać podejrzeń przychodząc wcześniej. Dość, że jego ludzie czuwają i będą obserwować gości.

Andrea nachmurzyła się.

- Ilu miał przysłać? Umawialiśmy się, że w domu będzie tylko sześciu. Jeden przy drzwiach ma odbierać okrycia, jeden do pomocy w kuchni i czterech, którzy będą podawać do stołu.

- Zgadza się - potwierdził Brent. - Dlaczego pytasz? Nie pojawili się jeszcze?

- Aż zbyt wielu. Sześciu przyszło razem, ale teraz doliczyłam się siedmiu. Ostatni jest trochę dziwny. Może wydaje mi się taki, bo ma okulary i jego liberia różni się nieco od tej, którą noszą pozostali.

Brent wzruszył ramionami.

- Potraktuj go jako dodatkową parę rąk do pomocy i ciesz się.

- Chyba tak - zgodziła się z wątlym uśmiechem.

Gdy goście zaczęli przybywać, Andrea ukryła swe obawy pod powitalnym uśmiechem. Maddy, niech ją Bóg błogosławi, pojawiła się jako jedna z pierwszych. Zaraz za nią ściągnął Ken, ale zanim Andrea zdążyła zapytać go o dodatkowego detektywa, już musiała witać kolejnych gości.

Bob i Caro od wejścia zapewnili ją, że Stevie bawi się świetnie i że polubił kuzynów. Przyszli Arnie i Sheila, chociaż Andrea zastanawiała się, czy jej szwagierka na kilka tygodni przed porodem powinna być na przyjęciach. Gdyby doszło do jakiegoś zamieszania, ciężarnej mogłoby to nie wyjść na zdrowie.

Kilka minut później powiedziała coś na ten temat do teściowej:

- Czy to dobrze, że Sheila bywa w towarzystwie w tak zaawansowanym stanie, pani Sinclair?

Grace uniosła dumną brew.

- Ja na jej miejscu nie byłabym taka aktywna, ale ona twierdzi, że jej lekarz nie widzi żadnych przeciwwskazań. Widać i medycyna zmienia się wraz z obyczajami. Możesz mnie nazywać matką Sinclair, tak jak pozostałe synowe - oznajmiła z miną cesarzowej wyświadczonej niebyszą łąską kornej poddanej.

Andrea nie przyjęła propozycji.

- Jeśli wolno, wolałabym raczej mówić do pani Grace. To takie ładne imię, jest w nim styl i gracia, która tak do pani pasuje.

- Jak chcesz - odparła Grace obcesowo, choć Andrea

zauważyła, że nieco zmiękła, po czym odwróciła się i ruszyła do salonu dając znak mężowi, by szedł za nią.

Robert zatrzymał się na chwilę, żeby pocałować Andreę w policzek.

- Tak trzymaj - szepnął z porozumiewawczym mrugnięciem. - Więcej much złapiesz na cukier niż na ocet. Nie przesadz tylko ze słodyczą, bo teściowa wejdzie ci na głowę.

Andrea uśmiechnęła się.

- Dziękuję, panie Sinclair, Spróbuję.

- Tatu - powiedział z ciepłym błyskiem w oku. - Nazywaj mnie tatu.

Spoglądając za nim, Andrea zastanawiała się, jak taki kochany człowiek mógł ożenić się z tak arogancką osobą, Zamyślona sięgnęła po kieliszek i dopiero poniewczasie zorientowała się, że podał go jej ten sam człowiek, który wcześniej wzbudził jej obawy i o którego miała zapytać Kena.

Co w nim było takiego, co ją niepokoiło? Czy to, że jego liberia była wygnieciona i wisała na nim jak na wieszaku? Czy też zaniedbane wąsy, pozbawione rudawego odcienia, jaki miały włosy? Z jakiegoś powodu różnił się od pozostałych detektywów-kelnerów.

Z westchnieniem zrezygnowała z prób odpowiedzenia sobie na te pytania. Powinna witać gości, pełnić obowiązki gospodyni. Miała tysiące innych trosk na głowie.

Kiedy wszyscy już przyszli i nie zdarzyło się nic nieprzewidzianego, Andrea odetchnęła. Krążyła pomiędzy zebrany mi, zamieniając z każdym słówko, poznając przyjaciół Brenta, jego współpracowników i ich żony. Wszyscy byli uprzedzająco grzeczni, każdy uważał za swój obowiązek wyrazić zachwyt piękną panną młodą. Pytano, jak podoba się jej Nowy Jork, zapraszano do udziału w wentach, proponowano członkostwo różnych klubów.

Szła do kuchni, by zobaczyć, czy można już podawać obiad, gdy drogę zastąpiło jej podejrzane indywiduum z wąsikami.

- Przepraszam - powiedziała myśląc o czymś innym i chciała wyminąć kelnera, kiedy poczuła pod żebrem coś twardego i okrągłego jak lufa rewolweru.

Spojrzała na niego i teraz dopiero dojrzała za okularami dobrze znane, bezwzględne oczy.

- Tak, siostró, to stary Ralphie w przebraniu - mruknął cicho. - Przyszedłem złożyć życzenia nowożeńcom, co to chcieli się wypuścić do Europy za moje moniaki. Tymczasem my sobie we dwójkę skoczymy w krótką podróż. Tu na górę, do sypialni. Dasz mi okup, bo się należy. Bądź cicho, a nikomu nie stanie się krzywda.

Wbił jej broń pod żebro.

- Ruszaj. Powolutku, bez krzyku, to może ta pukawka nie wypali.

Andrea nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego nikt ich wtedy nie zatrzymał, nikt nie zwrócił uwagi na jej twarz, bladą zapewne jak kreda. Przeszli bez trudu przez rój gości, weszli na schody. Ken i Brent nadal nic nie zauważyli.

Prawie na samej górze miała przez chwilę ochotę zrzucić Ralpha ze schodów. Ważyła w głowie swoje szanse, gdy chwycił ją za rękę i wbił jej rewolwer w plecy.

- Nic nie kombinuj. Jak zlecę, pociągnę cię ze sobą i mąż cię będzie zbierał z podłogi.

Wciągnął ją do małżeńskiej sypialni, najwyraźniej zaznajomiony z rozkładem mieszkania.

- Już tu byłem - oznajmił. - Patrzyłem za pieniędzmi, ale nie mogłem nic znaleźć. Nie szkodzi, sama mi je dasz.

Wepchnął ją do pokoju i stanął przy drzwiach, blokując je nogą. Andrea z wściekłością spoglądała na zrujnowaną sypialnię. Wyrzucone z szafy na podłogę ubrania. Powysuwane szuflady komód. Porozpruwane poduszki. Widok podobny do tego, jaki zastali z Brentem w pokoju hotelowym w Filadelfii.

- Przypomnij mi, żebym nigdy nie wynajmowała cię do prac domowych - powiedziała chłodno. - Nie masz w tym kierunku talentów.

- Nie miel językiem, tylko dawaj forszę - warknął. - Już.  
- Skąd wiesz, że jest tutaj? - zapytała buńczucznie. -  
Może schowałam ją gdzieś na dole albo w banku.

- Lepiej, żebyś miała ją tutaj, inaczej posiedzimy sobie razem, dopóki twój mężulek jej nie przyniesie.

Nie widząc innego wyjścia, mając nadzieję, że złapią go z pieniędzmi i inkryminowanymi kosztownościami, podeszła do łóżka i zdjęła ozdobną gałkę przy wezgłowie. Wyjęła z niej płócienny woreczek.

- Masz. - Rzuciła mu zawiniątko. - Bierz i wynoś się.

Raptem drzwi się otwarły i do pokoju weszła Maddy. Zobaczywszy najpierw bałagan, a po chwili Ralpha z rewolwerem w ręku, odwróciła się na pięcie, gotowa wszcząć alarm.

Ralph na moment stracił orientację. Andrea wykorzystała tę chwilę nieuwagi i użyła własnej broni. Drewniana gałka trafiła Ralpha w rękę, rewolwer upadł na podłogę, poleciał pod łóżko i tam wypalił z ogłuszającym hukiem. Maddy zaczęła krzyczeć. Wszystko zdarzyło się równocześnie.

Ralph w przekrzywionych okularach zanurkował po broń. Andrea rzuciła się na niego od tyłu, drapiąc jak oszalały szympan. Pociągnęła za włosy. W rękę została jej rudawa peruka. Maddy chwyciła go za nogi. Cała trójka kotłowała się na ziemi, gdy do pokoju wpadł Brent i Ken ze swoimi ludźmi.

- Andrea!

- On ma broń! Jest pod łóżkiem! Trzymajcie go!

W jednej sekundzie Ralph leżał na środku pokoju, płasko rozciągnięty na brzuchu, z rękami wykręconymi do tyłu.

Kiedy Ken nachylił się, żeby założyć mu kajdanki, zobaczył w jego lewej dłoni płócienny woreczek.

- Czy to jest to, o czym myślę? - zapytał, rzucając Andrei krótkie spojrzenie.

Skinęła głową.

- A więc w końcu sukces - sapnął zadowolony z uśmiechem i zwrócił się do swoich detektywów: - Zapamiętajcie. Zabieram ten woreczek przestępcy. Zakładam, że są w nim

skradzione dobra. Będziecie świadczyć przed sądem, co zawiera.

Co rzekłszy, Ken usiadł na plecach Ralpa, otworzył woreczek i wytrząsnął jego zawartość. Wypadły monety i kilka sztuk biżuterii.

- Czy któraś z tych rzeczy należy do pani? - Ken spojrzał na Andreę.

Odpowiedziała tak, jak ustalili wcześniej:

- Tylko pieniądze. Resztę musiał ukraść komuś innemu.

- Ty wredna suko - ryknął Ralph, unosząc głowę.

Brent szarpnął go za włosy.

- Znieuważasz moją żonę. Nie zapomnę ci tego, kiedy spotkamy się w sądzie. - Po tych słowach walnął brodą Ralpa o podłogę, a słysząc jęk Muttona, dodał lekkim tonem: - Przy okazji, wiesz, że jestem prawnikiem? Znam prawie wszystkich sędziów w tym stanie i mogę ci obiecać, że sporo czasu spędzisz za kratkami. Być może resztę twojego nieudanego życia.

Ken sprowadzał skutego więźnia na dół, kiedy pojawili się Lyss i Julia Grantowie. Maddy naturalnie natychmiast oświeciła swoich dostojnych przyjaciół, co zaszło. Prezydent był wstrząśnięty usłyszawszy, że na Andreę dokonano napadu z bronią w rękę i że biedna Maddy też znalazła się w niebezpieczeństwie. Ken dodał, że Ralph, opryszek i uliczny złodziejasek, jest mieszkańcem Waszyngtonu, po czym pokazał państwu Grantom skradzione przedmioty. Tak jak oczekiwał, Julia rozpoznała pośród biżuterii naszyjnik z szafirów, własność Lucilly Huffman.

Ralph był skończony. Symbolicznie oskarżony, postawiony przed sądem i skazany przez towarzystwo zebrane w mieszkaniu Sinclairów. Nikt oczywiście nie dał wiary jego zapewnieniom, że biżuterię kradła Andrea.

Balsamem na wyrzuty sumienia Andrei, nie mówiąc już o sumieniu Brenta i Kena, był fakt, że biżuteria znaleziona przy Ralphie mogła wrócić do prawowitych właścicieli.

Odnaleziono nawet drobiazgi wcześniej zastawione przez Muttona, a właściciel lombardu, ratując własną skórę, zgodził się złożyć obciążające Ralpa zeznania.

Był sądzony za wymuszanie i kradzieże oraz za zabicie agenta Pinkertona. Świadek zidentyfikował mordercę i odebrał nagrodę wyznaczoną przez agencję detektywistyczną. Sędzia kierując się orzeczeniem ławy przysięgłych, dobrem państwa oraz najpewniej opinią samego prezydenta, skazał Ralpa na śmierć przez powieszenie.

Tylko Andrea okazała coś na kształt współczucia i to tylko przez wzgląd na Stevie'ego.

- Co powiemy Stevie'emu, kiedy zapyta, kto jest jego prawdziwym ojcem? Jak mu powiedzieć, że człowiek, który go spłodził, którego krew płynie w jego żyłach, był takim łotrem, że zabił innego człowieka i sam skończył na szubienicy?

- Nie wiem, Andreo - przyznał Brent. - Jakoś będziemy musieli temu sprostać, kiedy przyjdzie właściwa chwila. Być może nigdy nie zapyta. My zaś będziemy chować go w miłości i trosce. Nauczmy być uczciwym i dobrym, zupełnie innym niż Ralph. Opowiemy mu o jego matce, o tym, jak go oddała pod twoją opiekę, wiedząc, że będziesz go chronić ze wszystkich sił. Zrozumie, że krew Lilly oraz twoja miłość są silniejsze niż każde zło, które mógłby odziedziczyć po Ralphie.

Nadeszło Boże Narodzenie. Choinka została ubrana, nad kominkiem zawisły pończochy, Stevie ułożony do snu, kolorowe paczki znalazły się pod drzewkiem. Brent i Andrea dali już sobie prezenty. On jej kupił ozdobne akwarium, które tak jej się spodobało na Wystawie Stulecia - z kwietnym łukiem i klatką na ptaki.

- Och, a to niespodzianka! - śmiała się. - Jest śliczne, ale nie wiem, czy nie ściągniemy sobie nieszczęścia na głowę hodując pod jednym dachem rybki i kanarka. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę kota i Stevie'ego, szykuje się interesująca kombinacja.

Ona podarowała mu elegancki smoking. Sama wybrała brokat i uszyła na swojej maszynie.

- Jest idealny - oznajmił. - A gdzie twój, kochanie? Musiałeś przecież uszyć do kompletu taki sam sobie - powiedział, czyniąc aluzję do tamtej nocy, kiedy w pokoju hotelowym dzielili papierosa i namiętność.

Teraz Brent składał kolejkę, którą kupił dla Stevie'ego. Na obiekcje Andrei, że chłopiec jest za mały na tak drogą zabawkę, wyznał ze skruchą, że bardziej miał na względzie własną przyjemność.

Andrea zniknęła, zostawiając go sam na sam z dziecięcą fascynacją. Nie wiedziała, że wróciła, gdyby nie to, że usłyszał pobrzękiwanie. Wychylił głowę spod drzewka, by sprawdzić, co to za dziwny, metaliczny dźwięk, i szeroko otworzył usta. Uderzył głową o choinkę, tak że drzewko zachwiało się niebezpiecznie, i wpatrywał się osłupiały w Andreę.

Uśmiechała się za półprzezroczystą zasłoną otulającą twarz. W oczach błyskały iskierki radości i przekory. Wygięła się zmysłowo, monety przy staniku i wokół bioder zadźwięczały wesoło. Nad szarawarami w odsłoniętym pępku tkwił wielki ametyst.

Brent oczarowany patrzył na jej taneczne ruchy, na ciało, które wijąc się rytmicznie przemawiało doń pradawnym językiem bez słów. Nuciała przy tym wprawiającą w trans melodię.

Zafascynowany, wyczołgał się spod drzewka, a ona zbliżała się w tańcu. Drocąc się z nim rozmyślnie uskakiwała, gdy wyciągał ku niej rękę. Uwodziła go, kusiła, doprowadzała do kresu wytrzymałości.

Jego ciało odpowiadało na tę grę, odpowiadało na kobiecość. Czekał, aż znowu się zbliży jak ćma igrająca z ogniem. Wtedy skoczył niczym przyczajony w trawie tygrys rzucający się na gazelę.

Wpadła w jego objęcia ze śmiechem, z oczami rozświetlonymi pożądaniem równie wielkim jak jego własne.

- Zawlecz mnie do swojej jaskini i tam zakosztuj ze mną rozkoszy - powiedziała schrypniętym głosem.

- Tu cię chcę mieć. Teraz - powiedział, ściągając zasłonę z jej twarzy.

Przywarli do siebie z pasją, która eksplodowała gwałtownym płomieniem, gotowym strawić ich oboje.

- Kobieto, nie przestajesz mnie zaskakiwać - mruknął. - Skąd masz ten skandaliczny przydzwiewek i gdzie się tak nauczyłaś tańczyć?

Andrea uśmiechnęła się.

- Maddy go przysłała, razem z muzyką, kilkoma fotografiami i szczegółową instrukcją. Ćwiczyłam całe dnie, żeby zrobić ci niespodziankę.

- Cud, że nie zemdlałem z wrażenia albo nie umarłem, próbując zaspokoić głód, który we mnie wzbudziłaś.

- To burczenie, które słyszałam, to twój brzuch? - popkiwała.

- Wątpię. To dzika bestia, która tkwi we mnie.

- Musimy ją częściej wypuszczać na wolność. Całkiem mi się podoba.

- Jak się miewa staruszka? - zapytał Brent po chwili.

- Maddy? Pełna werwy, jak zawsze. Zachwycona podróżą dookoła świata. Dostałam list z Konstantynopola. Zdaje się, że spotkała tureckiego kupca, który zupełnie stracił dla niej głowę. Tam właśnie kupiła ten kostium. Twierdzi, że ma taki sam, tylko jasnoczerwony. Uznała, że przy mojej karnacji lepszy będzie szkarłat.

Brent wsparty na łokciu dotknął ametystu w pępku.

- Nie może być prawdziwy. Jest wielki jak jajo. Kosztowałyby majątek.

Andrea wzruszyła ramionami.

- Nie kwestionowałabym jego prawdziwości. Maddy potrafi być ekstrawagancka ponad wszelką miarę. W swoim liście podkreśla, że ten kostium to prezent bożonarodzeniowy dla nas obydwójga. Ja mam go nosić, a ty czerpać z tego korzyści.

Brent zachichotał.

- Stara szczwana lisica, a ty jesteś flirtiarą i zbereźnicą.  
- I obie nas uwielbiasz.  
- Tak, i nie mogę się doczekać, kiedy znowu dla mnie zatańczysz. Masz tyle zabójczego wdzięku.

- Och, ledwie się zaczęłam uczyć, ale za kilka miesięcy powinnam być już dobra. W każdym razie będę miała wydatniejszy brzuch, co jest konieczne przy orientalnych tańcach.

Czekała na jego reakcję. Musiało upłynąć kilka długich minut, a kiedy wiadomość do niego dotarła, ponownie osłupiał.

- Czy ty... Czy my... Czy masz na myśli to, o czym ja myślę, że mówisz?

- Tak, mój kochany. - Spojrzała w jego rozradowane oczy. - Spodziewamy się dziecka. Gdzieś na początku lata, jeśli dobrze obliczam.

Z wielką czułością, trwożliwie, położył dłoń na jej brzuchu. Palce lekko mu drżały, głos także.

- Najdroższa. Ledwie mi się to w głowie mieści. Moje dziecko, tutaj, w twoim ciele.

Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że się ucieszysz, pomimo kłopotów, które mieliśmy na początku ze Stevie'm. Powiedziałaś kiedyś, że chcesz mieć dziesięcioro dzieci.

- Chciałam. Chcę... Tak myślę.

- Zatem trzeba będzie chyba nająć nianię.

Całował jej brzuch, piersi, wargi.

- Mam nadzieję, że to będzie dziewczynka. Syna już mamy. Tak byłoby wspaniale, gdyby była córeczka. Z fiołkowymi oczami i całym urokiem swojej matki.

- I pasem cnoty - dodała Andrea ze śmiechem.

- Koniecznie z pasem cnoty - przytaknął.

K O N I E C